

ILONA GOŁĘBIEWSKA

Opowieść o trudnych wyborach,
potrzebie życiowych zmian
i staraniach o codzienne
szczęście

Pamiętnik
ze starego domu



ILONA GOŁĘBIEWSKA

Pamiętnik
ze starego domu



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Powieść dedykuję

*Mieszkańcom Kurpi Białych
za szczególną dbałość o tradycję i kulturę regionu
oraz za serdeczność okazywaną wszystkim osobom,
które odwiedzają moje rodzinne strony.*

*Moim przyjaciołom z dzieciństwa,
dzięki którym było ono wyjątkowe,
a zapisane w pamięci wspomnienia są bezcenne.*

*Istotne jest nie tyle to, by mieć wspomnienia,
ile by wyrównać z nimi rachunki.*

UMBERTO ECO

Prolog

Słowa mają moc zachowania przeszłości

Wrzosowe pole skąpane w porannych promieniach jesiennego słońca rozciągało się po sam horyzont. Powoli opadała gęsta mgła, która jak zawsze dodawała temu miejscu tajemniczości. Wrzosowisko przypominało misternie tkany dywan. Było po prostu piękne. Unoszący się w powietrzu zapach zasuszonych krzewów i liści zapowiadał rychło zbliżającą się zimę. Po lazurowym niebie snuły się leniwie chmury. Czas jakby się zatrzymał. Wszystko miało właściwe miejsce.

Tego dnia nie trzeba było nigdzie szukać szczęścia. Alicja miała je na wyciągnięcie ręki. Stała pośrodku wrzosowiska, ściskając w dłoni swój pamiętnik. Wzięła głęboki wdech, by jeszcze mocniej poczuć ten piękny zapach. Zapach dzieciństwa, w którym były zakłete wszystkie marzenia małej Alicji. Minęło już tyle lat, a tu wciąż jest jej miejsce na ziemi. Tu zaczęła się jej historia.

Spojrzała za siebie. Pośrodku zadbanego podwórka stał jej stary drewniany dom. Wzruszyła się na jego widok. Za każdym razem odkrywała w nim coś nowego. Była w nim jakaś magia. Z komina unosił się dym. Porośnięta mchem dachówka mieniła się kolorowo. Rosnące koło domu dwa rozłożyste świerki chroniły go przed wiatrem. Przez otwarte okiennice wpadały do środka promienie słońca, a uchylone drzwi zapraszały do wnętrza.

Spadające wokół jesienne liście sprawiały, że dom wyglądał jak z baśni. Widać było, że skrywa w sobie wiele tajemnic i historii zamieszkujących go pokoleń.

Alicja doskonale wiedziała, że nie ma na świecie drugiego takiego domu! Tu rozczarowani życiem ludzie odnajdują spokój, tu spełniają się najskrytsze marzenia, tu wszystkie problemy zostają przed progiem.

– Mamusiu! Spójrz! Jeszcze nigdy tak wysoko nie poleciał! – Z rozmyślań wyrwał ją radosny głos Michałka. Odmieniane przez niego na wszystkie sposoby słowo „mama” wciąż było dla niej najpiękniejszym darem od losu. Tak samo jak jej syn.

Spojrzała na niego. Stał na skraju wrzosowiska i małymi rączkami z wielkim trudem utrzymywał wijący się w powietrzu latawiec. Obok niego biegała Rozalka. Śmiała się w głos z kota Jowisza, który za wszelką cenę chciał dogonić ciągnący się za latawcem ogon.

– Pięknie! Prawie do samego nieba! – odpowiedziała z wielką miłością w głosie. – Mocno trzymaj! Inaczej będziemy musieli szukać go u sąsiadów!

– Albo spadnie na drzewo! Tatuś będzie musiał na nie wchodzić – wtórowała Rozalka.

– Ja dowodzę tym latawcem. Nic złego się nie stanie! – uspokoił je Michałek.

Alicja jeszcze długo patrzyła, jak tych dwoje maluchów skutecznie radzi sobie z coraz wyżej unoszącym się latawcem. Bardzo dawno temu, dokładnie w tym miejscu, to ona biegała z latawcem po wrzosowisku. A nad stawem stał jej ojciec i łowił ryby. Teraz, tuż przy mostku, siedział jej ukochany Adam i ciosał drewno na kolejną rzeźbę. Poczwała w sercu niebывały spokój. I wzruszenie. Pojawiało się u niej zawsze, gdy

uświadamiała sobie, ile miłości, ciepła i wsparcia dostała od Adama. Była po prostu kochana.

Raz jeszcze spojrzała na swój stary dom i podziękowała w myślach za ogrom szczęścia, jakim los ją obdarzył. Usiadła na brzoźowej karpie. Otworzyła swój pamiętnik. Pachnący jeszcze nowością. Już jakiś czas temu wpadła na pomysł, by spisywać wszystkie swoje myśli, uczucia i sytuacje, które przynosi życie. Miała taką potrzebę serca. Ale i nadzieję, że ten pamiętnik będzie dowodem, że Alicja Pniewska była kobietą, która potrafiła walczyć o szczęście swoje i swojej rodziny. Chciała też naśladować swojego dziadka Jana. Dzięki pamiętnikowi, który pisał w obozie zagłady, Alicja mogła lepiej go poznać. Odkryła też jego wielką tajemnicę. Lada chwila miała ona zmienić życie wielu ludzi.

Dotknęła czystej kartki. Przez moment się zawahała. O czym mogłaby teraz napisać? Czy jej historia jest warta opowiedzenia? A może powinna pisać o innych? O ludziach, dzięki którym odnalazła swoje miejsce w życiu? Którzy ją pokochali? A może o tym starym domu? Nieśmiało nakreśliła pierwsze słowa.

Pniewo, 3 października

Kiedy byłam małą dziewczynką, uwielbiałam przyglądać się dziadkowi, który zawsze czytał książki, siedząc pod kaflowym piecem w naszym starym domu. Myślałam wtedy, że jego książki mają czarodziejską moc. Bo gdy dziadek czytał, cały świat wokół niego przestawał istnieć. Nic się nie liczyło. Potem wytłumaczył mi, że to właśnie słowa zapisane w książkach mają taką moc. Mogą wzruszać, rozśmieszać, przenosić w inne miejsca, umożliwiają poznanie niezwykłych ludzi. To one dają nam niezwykłą siłę. Chronią też przeszłość przed zapomnieniem. Teraz sama już to dobrze wiem. Życie mnie tego nauczyło. Słowa mają moc. Dlatego piszę. Chcę zachować przeszłość od zapomnienia.

Pamiętam ten dzień, a właściwie noc, kiedy po wielu latach przyjechałam do starego domu. Boże! Jak ja się wtedy bałam! Wszystkiego! Bałam się życia, ludzi, siebie. Od tej chwili niedługo miną dwa lata. Niby niedużo, ale w moim życiu zaszły ogromne zmiany. Właśnie tu, w tym starym domu znalazłam niepokojący dokument. I zamarłam... Po latach dowiedziałam się, że mam siostrę Ewę. Odnalazłam ją. Nie było wielkich wyznań, płaczu, tęsknoty. Było poprawnie. Nic więcej. Potrzeba nam czasu. I zaufania. O to teraz najtrudniej.

Gdy tu przyjechałam, byłam kobietą, która przegrała swoje życie. Tak przynajmniej mi się wtedy wydawało. Porzucił mnie mąż, straciłam pracę. A na domiar złego wiedziałam już, że nigdy nie będę mieć dziecka. Taki pstryczek w nos od losu. Ale było mi pisane co innego. Poznałam Michałka. Mojego sąsiada. Dziecko o tragicznej przeszłości. Pokochałam go całym sercem i przysięgłam jego babci, że zrobię wszystko, by zostać jego mamą. Kilka batalii w sądzie, mnóstwo zszarganych nerwów, nieprzespane ze strachu noce. A na koniec wiadomość. Michałek zostanie moim synem! I tak się stało. Mam syna.

Michała Pniewskiego.

Ale życie nieustannie zaskakuje. To, co jest pewne, za chwilę takim być nie musi. Okazało się, że moja rodzina ma mnóstwo tajemnic. Jedna zaskoczyła mnie najbardziej. Mój dziadek Jan i jego przeszłość. Długo nie mogłam w to uwierzyć. Ratował ludzkie życie. Wiele ludzkich istnień. Pozostawił po sobie zadanie. Dostałam w spadku jedynie listę. Listę ludzi bez przeszłości. Teraz to do mnie należy decyzja, co dalej z nią zrobić.

Całe szczęście, że nie jestem sama. Mam blisko tych, których kocham całym sercem. I jestem przez nich kochana. Niby proste w teorii, ale tak trudne do zrealizowania w życiu. To właśnie tu, po przyjeździe do Pniewa dowiedziałam się, że ludzi nie kocha się za coś, ale mimo wszystko. To Adam pokazał mi, czym jest miłość mężczyzny do kobiety. Dał mi wszystko, o czym marzyłam przez trzynaście lat toksycznego małżeństwa z Pawłem.

Teraz wiem jedno. W naszym życiu może się zdarzyć dosłownie wszystko. Wystarczy jedna chwila, jedno spotkanie, jedno spojrzenie. Właśnie tylko tyle, by wyrzucić codzienność do góry nogami. Można się tego bać. Można wyczekiwać tego, co nieuchronne. Ale można też po prostu żyć. Cieszyć się każdym dniem, rozmową z dzieckiem, miłym spotkaniem. Doceniać drobne chwile szczęścia. Bo to właśnie z nich składa się nasze życie.

Odeszła w zapomnienie historia szarych dni,

Był w nich potężny smutek i niespokojne sny.

Uśpione serce zaczęło kochać od nowa,

Przed tobą swoich uczuć już nie chowam.

W szalonym pędzie czas zatoczył wielki krąg,

Na mojej mapie znów jest dzisiaj stary dom.

Rozdział I

*W rytmie codzienności – o tęsknocie
za siostrą, tajemniczych dokumentach, kobiecie jak zły cień i „Wrzosowisku”
jak marzenie*

Wciąż przede mną uciekasz

W pośpiechu zbiegłam po schodach. Dni takie jak ten dodają mi skrzydeł. Wystarczy jedno spotkanie z Dorotą, a od razu mamy kilka nowych pomysłów, omówione plany na kolejne pół roku i jeszcze więcej zapału do pracy. To dopiero początek naszych coraz śmielszych działań. A do tego zawsze znajdziemy chwilę na dobrą kawę i szczerą rozmowę od serca. Odkąd Dorota zaczęła pracę w moim „Wrzosowisku” i otworzyłyśmy filię w jej warszawskim mieszkaniu w starej zadbanej kamienicy, nasz biznes mocno się rozwinął. Wreszcie jesteśmy paniami swojego czasu! Kochamy naszą pracę, bo projektowanie ogrodów to nasza pasja i dzięki niej się poznałyśmy. Czego chcieć więcej?

Wychodząc, pchnęłam mocno frontowe drzwi i po chwili stałam pośrodku podwórka. Rozejrzałam się wokół, podziwiając misterne zdobienia nad oknami kamienicy. Rażnym krokiem ruszyłam do głównej bramy. Wciągnęłam głośno powietrze i pomyślałam, że na wiosnę Warszawa staje się miastem pełnym radości. W sumie jak wszystko, co budzi się z zimowego snu.

Dołączyłam do spieszącego się tłumu w Alejach Jerozolimskich. Przyglądałam się z uwagą twarzom mijających mnie ludzi. Kiedyś tego nie robiłam. Bałam się, że ściągnę na siebie czyjś złowrogi wzrok. Chciałam być niewidzialna. Ludzie wzbudzali we mnie lęk i taką dziwną pewność, że wszystko, co dobre, już mnie ominęło. Ale to już za mną.

Nagle stanęłam. Moje serce zabiło szybciej. Jeszcze raz spojrzałam przed siebie. Chciałam się upewnić. Ewa? To na pewno ona? Dostrzegłam ją w tłumie. Nie mogłam się mylić. Rozpoznałabym ją nawet na końcu świata. Przyspieszyłam kroku, wpadłam niechcący na jakiegoś mężczyznę.

– Uważaj, jak chodzisz, kobieto! – oburzył się.

– Przepraszam pana, bardzo się spieszę – wyjaśniłam zdawkowo.

– Jeszcze pod samochód pani wpadnie przez ten pośpiech – ostrzegł.

Dalej go nie słuchałam. Zaczęłam biec, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony. Ewy nigdzie nie było. Dobiegłam do pasów. Cholera! Jak na złość czerwone światło! Spojrzałam na drugą stronę ulicy. Ewa szła chodnikiem, trzymając za rękę Sylwię. A jednak! Nic mi się nie przewidziało. Zerknęłam na sygnalizator. Niech już będzie to zielone!

– Ewa! Zaczekaj! – wołałam za nią. Obejrzała się. Nasze spojrzenia się spotkały.

– Czego tak pani krzyczy?! Nie pali się! – zwróciła mi uwagę rozzłoszczona staruszka.

– Muszę! Tam jest moja siostra! – tłumaczyłam zdenerwowana. Zapaliło się zielone

światło. Tłum ruszył, a ja razem z nim. Nie miałam ani chwili do stracenia.

Przebiegłam przez pasy. W popłochu rozglądałam się na wszystkie strony. Skierowałam się do miejsca, w którym widziałam je przed chwilą. Sprawdziłam dwie sąsiednie ulice. Nigdzie ich nie było. Wyjęłam telefon i wybrałam numer Ewy. Abonent czasowo niedostępny. Cholera!

Weszłam do pobliskiej kawiarni i usiadłam przy oknie. Uważnie przyglądałam się przechodniom. Miałam nadzieję, że gdzieś wypatrzę Ewę i Sylwię. Tak bardzo chciałam chociaż chwilę z nimi porozmawiać. Nie widziałyśmy się od dawna.

– Co podać? – usłyszałam nad sobą miły głos kelnerki.

– Yyy... kawę poproszę – odpowiedziałam zmieszana.

– Jaka? Latte? Czarną z mlekiem? Cappuccino?

– To może poproszę po prostu czarną. Bez mleka.

Kawa i tak była wymówką. Przyszłam tu jedynie obserwować ludzi. Byłam wścicka. Na siebie i na Ewę.

Miało być przecież zupełnie inaczej. W dniu, kiedy otrzymałyśmy wyniki badań potwierdzające, że jesteśmy siostrami, miał się rozpocząć nowy etap mojego życia. Przecież miałam siostrę. A z siostrą się spotyka, rozmawia, ma się wspólne plany i marzenia. My ich nie mamy. Ewa nie chce utrzymywać ze mną kontaktu. Nawet ją trochę rozumiem. Tak nagle wtargnęłam do jej życia. Wcześniej zastanawiałam się, czy mój ojciec rzeczywiście mógł być takim draniem, który zdradza żonę, a potem jeszcze porzuca swoje dziecko. To mi się w głowie nie mieściło. Ale prawda okazała się bolesna. Mam siostrę.

Nie mogę odżałować, że Ewa nie chce dać nam szansy. Nawet nie wiem, gdzie mieszka. Nigdy nie podała mi swojego adresu. Dzwoniłam do niej dziesiątki razy, chociaż obiecałam sobie, że nie będę tego robić. Albo nie odbierała, albo miała wyłączony telefon. Adam irytuje się, że tak narzucam się komuś, kto nie chce mieć ze mną kontaktu. I ma rację.

Ostatni raz widziałyśmy się przed Bożym Narodzeniem. Ewa poprosiła o spotkanie. Naiwnie wierzyłam, że czas świąt i świąteczna atmosfera sprawiły, że chce mnie lepiej poznać i ułożyć nasze relacje. Myliłam się. Po prostu miała do mnie interes. Nic wielkiego, potrzebowała kilku dokumentów naszego ojca. Akt urodzenia, akt zgonu i czegoś tam jeszcze. Chciała ustalić sędownie, że Piotr Pniewski był także jej ojcem. Miała już dosyć kłopotliwej odpowiedzi „ojciec nieznany” w rubrykach z pytaniem o dane rodziców. Chciałam pomóc i liczyłam na to, że bardziej się do siebie zbliżymy.

Przyjechała do Pniewa. Poszłyśmy razem na grób naszego ojca, chociaż z początku była temu niechętna. Przekonałam ją. Potem odwiedziła mnie w starym domu. Nikt nam nie przeszkadzał, mimo to czułam, że dzieli nas niewidzialny mur.

– Jak sobie radzisz ze wszystkim? – pytałam ostrożnie, by jej nie spłoszyć. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Ciągle zerkała na telefon.

– Razem dajemy radę. Mówię razem, bo Sylwia to niezwykle dziecko. Nie sprawia żadnych problemów, a czasami mam wrażenie, że jest bardziej rozsądna niż ja. – Roześmiała się, chociaż nie zabrzmiało to szczerze. – Pomaga nam sąsiadka. Bardzo polubiła Sylwię i jak muszę gdzieś bez niej wyjść, wtedy pani Bogusia chętnie się nią

zajmuje.

– Czyli można powiedzieć, że wreszcie macie spokój. A Marek? Już was nie nęka?

– Marek... Wiesz, chyba nie chciałabym o nim rozmawiać. To już zamknięty rozdział. Staram się żyć tym, co jest teraz – odparła beznamiętnie. Zrobiło mi się przykro. Byłyśmy siostrami, a gdyby ktoś z boku przysłuchiwał się naszej rozmowie, zapewne pomyślałby, że jesteśmy dla siebie zupełnie obce.

– Przepraszam, nie powinnam o niego pytać. Cieszę się, że zaczęło się wam układać. Trochę się o was martwiłam. W ogóle się nie odzywałaś. – Próbowałam ją skłonić do zwierzeń.

– Wiesz... Chyba nic mądrego ci nie odpowiem. Tak wyszło. Miałam na głowie mnóstwo spraw. Znalazłam pracę. Nic wielkiego, na razie na trzy miesiące. Pomagam księgowej w małej firmie. Może przedłużą mi umowę. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Tak to wyglądało. Rozstałyśmy się bez większych emocji. Nawet nie pytałam, czy zadzwoni, bo byłam pewna, że i tak zrobi po swojemu. Od tamtej pory minęły trzy miesiące. Nie odezwała się ani razu. Dopiero dziś dostrzegłam ją wśród tłumu. Chociaż... Już sama nie wiem, czy to na pewno była ona.

Wróciłam do domu. Adam nie musiał o nic pytać. Od razu dostrzegł, że coś mnie gryzie. Miałam mu o niczym nie mówić, ale mocno nalegał. Wysłuchał mnie. Nie oceniał.

– Nie martw się, jeszcze zmysłów nie postradałam – uspokoiłam go.

– Wkurza mnie ta Ewa. Za kogo ona się uważa? Zachowuje się jak rozkapryszona dziewczucha – odburknął zniesmaczony.

– Sam ciągle podkreślasz, że mało ją znam. Może ma powody, by się nie odzywać.

– Musisz jednak przyznać, że po tak wielkiej pomocy, jaką od ciebie dostała, to jednak mało grzecznie się teraz zachowuje – podsumował Adam.

Nic nie odpowiedziałam. Miał rację. Nie oczekuję od Ewy zbyt wiele, ale mogłaby się postarać o zwyczajną życzliwość.

Ludzie bez przeszłości

Tajemnice są czymś, co nas intryguje, czasami wzbudza strach lub daje do myślenia. W mojej rodzinie była, jest i obawiam się, że będzie, kumulacja tajemnic. Najpierw pamiętnik mojego dziadka, potem tajemnicze poświadczenie schowane w starej szafie i wreszcie dokumenty skrzętnie ukryte „na polskiej ziemi pośród polskich drzew”, które mój dziadek Jan tłumaczył razem z Elizabeth w obozie zagłady Stutthof. To była ich wielka tajemnica.

Nie przypuszczałam, że kiedyś uda mi się je odnaleźć. Nie było na to żadnych szans. Aż nagle przyszedł dzień, kiedy wszystko stało się jasne i oczywiste. Razem z Henrykiem Sokolskim i Jonasem Kleinem, wnukiem Elizabeth, odnaleźliśmy je pod najstarszą jabłonią w moim sadzie. To tam zakopał je dziadek. Jeszcze za życia wiele razy powtarzał, że mam o tę jabłoń dbać szczególnie.

Odnalezienie dokumentów było porównywalne do trzęsienia ziemi. Nikt z nas nie spodziewał się, że będą dotyczyć spraw życia i śmierci. Tak to można określić. Działania Elizabeth i mojego dziadka Jana były ocaleniem dla kilkuset dzieci. Podrabiali ich akty

urodzenia i wywozili je poza obóz. W innym wypadku te dzieci czekałaby pewna śmierć. Bo w obozie nie były do niczego potrzebne. Szczególnie te najmłodsze, które nie nadawały się do pracy. Zapewne Elizabeth wykradała je prosto ze szpitala. Niektóre zaraz po urodzeniu. Musiała mieć współnika, który wywoził je poza obóz. Zanim to jednak nastąpiło, musiała podrobić dokumenty. Do tego potrzebowała pomocy mojego dziadka Jana, który znał język niemiecki, a poza tym był kimś, komu Elizabeth mogła zaufać.

Przez pierwsze dni po odnalezieniu dokumentów zapadła totalna cisza. Nikt z nas nie wiedział, co należy zrobić. Bałam się nawet najmniejszej decyzji. Czy można tak na szybko decydować o życiu kilkuset osób? Domyślałam się, że znaczna ich część jeszcze żyje. Mają swoje rodziny, dzieci, wnuki. I co? Nagle ma się ktoś pojawić i powiedzieć, że są kimś zupełnie innym? Mają inne pochodzenie, innych rodziców? Że ktoś postanowił ich uchronić przed śmiercią, co wiązało się z oddaniem pod opiekę obcym ludziom?

Przerażała mnie sama myśl o tym. Jonasa zresztą też. Razem z nim i Henrykiem spędziliśmy mnóstwo godzin na rozmowach. Przychodziły nam do głów różne pomysły, które i tak po jakimś czasie wydawały się albo głupie, albo mało odpowiedzialne. Przeczytałam stopy książek o ludziach, którzy po latach dowiedzieli się o swoich wojennych losach, na przykład o rozdzieleniu z rodziną. To były prawdziwe dramaty! I co? Czasami i po kilkudziesięciu latach, często przez przypadek, dowiadawali się, że są kimś zupełnie innym! Nie mogłam sobie nawet wyobrazić ich bólu i żalu wobec losu. Potem szukałam fundacji, stowarzyszeń, instytucji, które mogłyby pomóc. Tylko że to wszystko było dla mnie bardzo trudne.

Nawet dzwoniłam do kilku instytucji, ale jak już dochodziło do konkretów, wtedy się wycofywałam. Zwyczajnie tchórzyłam. Bałam się ujawnić, jakie właściwie dokumenty mam u siebie i potwierdzić, że mają one niezwykłą wartość. Zaklinałam się na wszystkie świętości, że jeżeli ta sprawa będzie mieć szczęśliwy finał, to zrobię wszystko, by nikt nie zapomniał o Elizabeth, o Janie i wszystkich, dzięki którym ocalono tyle dzieci. Ale jak to zwykle bywa, łatwiej było coś obiecać, niż to osiągnąć.

Pierwsze światelko w tunelu pojawiło się po prywatnym śledztwie Jonasa. Rzucił wszystko, żeby znaleźć choćby najmniejszą wskazówkę, która doprowadziłaby nas do kogoś, kto posiadał więcej informacji. Przypominało to poszukiwanie igły w stogu siana. Ale tak to już jest, że jak ktoś szuka, to w końcu znajdzie. Jonas znalazł!

To był już późny wieczór. Dzieci spały. Z Adamem nie było nam wtedy po drodze, tego dnia się pokłóciliśmy. Siedziałam przy kominku i czytałam, a on zamknął się w sypialni i udawał, że robi coś ważnego. Gdy zobaczyłam na wyświetlaczu telefonu numer Jonasa, od razu poprawił mi się humor. Uwielbiam z nim rozmawiać.

– Mam! – usłyszałam w słuchawce telefonu zamiast: „cześć”, „dobry wieczór”, „co tam słyhać?”. Jonas był niezwykle podekscytowany.

– Fajnie! – odpowiedziałam rozbawiona. – A co ciekawego masz?

– Znalazłem trop! Coś, co może nam pomóc ustalić, czy ludzie opisani w dokumentach tłumaczonych przez twojego dziadka istnieli naprawdę – wyjaśnił na jednym wydechu. Aż wstałam z wrażenia. Prędzej bym się końca świata spodziewała niż takich wieści.

– To nie jest żart? – upewniłam się.

– Skąd! To było banalnie proste...

– Ale jak? Jak ci się to udało? – weszłam mu w słowo. Czułam, że cała się trzęsę.

– Przypadkiem! Dziś rano! Po drodze do pracy zawsze kupuję kilka gazet. No wiesz, takich z dziedziny finansów. Lubię je przejrzeć przed pracą.

– I tam o tym pisali? O dokumentach? O obozie? – zdziwiłam się.

– Nie no, nie tam. To znaczy i tak, i nie – tłumaczył to pokrętnie. – W jednej gazecie jest taki dodatek. Społeczny, że tak powiem. I tam był ten artykuł.

– Nic z tego nie rozumiem – odparłam.

– W tym dodatku był artykuł. O kobiecie. Matyllda ma na imię. Z pochodzenia Polka. Zrobili z nią wywiad, bo po latach odnalazła swoją córkę.

– I to ma coś wspólnego z naszymi dokumentami? – pytałam zdziwiona.

– No tak! Bo widzisz, ona urodziła dziecko właśnie w obozowym szpitalu w Stutthofie. Ale to dopiero początek całej historii. – Poczulałam, że zalewa mnie fala gorąca. Byłam pewna, że ta kobieta będzie kimś ważnym w naszej sprawie.

– I co dalej pisali? – niecierpliwiłam się.

– Opowiadała o obozie. O tym, jak tam było, jakie mieli warunki i że gdy tam trafiła, była w ciąży. Wzięli ją do pomocy w szpitalu. Wcześniej pracowała jako pielęgniarka.

– I tam urodziła dziecko?

– Tak. Właśnie tam. Ale wiedziała, że jej dziecka nie czeka dobra przyszłość.

– O ile w ogóle jakaś czekała – odpowiedziałam z sarkazmem.

– Wiedziała, że jej córka nie przeżyje w tym piekle ani jednego dnia. Zaraz po narodzinach postanowiła ją oddać.

– Wspomniała komu? – drażylałam temat.

– Tak. Kobiecie o imieniu Elizabeth. Alicja, rozumiesz to? Przecież to nie może być żaden przypadek, prawda? – dopytywał, bo nagle ucichłam. Nie byłam w stanie pojąć, że poza Henrykiem jest na świecie jeszcze ktoś, kto znał Elizabeth. I być może mojego dziadka.

– To musiała być twoja babcia. To nie jest przypadek, za dużo szczegółów się zgadza – spostrzegłam dosyć trzeźwo.

– Mamy to! Rozumiesz? Mamy osobę, która tam z nimi była. I nie sądzę, że była tylko zwykłą pielęgniarką – powiedział tajemniczo.

– Co masz na myśli?

– Mogę się założyć, że pani Matyllda pomagała im we wszystkim. A widząc, że to ma sens, oddała też swoje dziecko. Bo tylko tak mogła je uratować.

– Matko, aż trudno to sobie wszystko wyobrazić. No dobrze, a gdzie ta pani teraz jest?

– Mieszka w Polsce! W domu seniora, czy jakoś tak.

– Wiesz dokładnie gdzie?

– No nie. Takich szczegółów gazeta nie podała. Ale znajdziemy tę Matylldę!

Rzecz niemożliwa stała się prosta do wykonania. Pomocny okazał się internet. Wpisałam w wyszukiwarkę nazwisko kobiety. Matyllda Beck. Przejrzałam wszystko, co się dało, i znalazłam. W Polsce również udzieliła trzech wywiadów. Mówiła

o odnalezionej po latach córce i wspominała swój pobyt w Stutthofie. Mieszkała teraz w podwarszawskim Legionowie w domu seniora, który należał do jej syna. Była dosłownie na wyciągnięcie ręki. Cieszyłam się jak dziecko, że wreszcie zrobimy krok do przodu. A zarazem bałam się. Co dalej? Czy się z nią spotkam? I jak to będzie? Postanowiłam zdać się na los.

Jesteś jak zły cień

– Rozalka miała dziś ciężką noc. Wstawałem do niej kilka razy. Znowu jakieś koszmary – oznajmił Adam. Siedział w fotelu przy kominku. Nie wyglądał zbyt dobrze. Miał podkrążone oczy. I bardzo smutną twarz.

– To dla niej bardzo trudny czas. Musimy być blisko niej i przekonywać, że zawsze może na nas liczyć.

– Tylko że nie mogę bezradnie patrzeć, jak ona się boi. Ciągle dopytuje, czy mama ją zabierze do siebie – wyjaśnił zrezygnowany.

– Maciek mówi, że mamy czekać?

– Tak. Niech Joanna zrobi pierwszy ruch. Prędzej czy później na coś się zdecyduje.

– A jak zaczniesz przeciągać to w czasie? I udawać dobrą mamę przez rok, dwa lata?

– zapytałam, bojąc się zarazem reakcji Adama.

– Nie myślę o tym. Liczę na cud. A najbardziej chciałbym się któregoś dnia obudzić i stwierdzić, że to był tylko zły sen.

Serce mnie zabolalo, kiedy to powiedział.

Nagły powrót Joanny po kilku latach był jak przejście tornada. Wszystko wywróciła do góry nogami. Tak jak nagle zostawiała Adama z małą Rozalką, tak zniemacka postanowiła się o nią upomnieć. Ktoś mógłby powiedzieć, że to od nas zależy, na ile wpuszczymy Joannę do naszego życia. Niby tak. Jest jednak Rozalka, i tu się zaczynają prawdziwe problemy. Jej matka, jak chyba każda, chce być jak najbliższej dziecka. Pragnie tego nawet ta, która wcześniej je porzuciła. Czy można jednak wierzyć w tak nagłą przemianę?

Najważniejsza jest dla nas Rozalka. Robimy wszystko, by jak najmniej odczuła konflikt pomiędzy swoimi rodzicami. Ale to tylko dziecko. Martwi się sto razy bardziej niż dorośli. Tak naprawdę jest w potrzasku. Z jednej strony kocha swojego tatę i wie, że to na niego zawsze może liczyć, a z drugiej chce do mamy, bo przecież wypytywała o nią i tęskniła za nią wiele lat. Znowu z powodu uporu rodziców najbardziej cierpi dziecko.

Joanna wcale nie pomaga. Wręcz przeciwnie. Knuje na każdym kroku. Owszem, odgrywa rolę kochanej mamuski, która wraca po latach i robi jak najwięcej, by córka darowała jej wszystkie winy. Ale nie powinna robić w ten sposób. Nie przez przekupywanie dziecka, składanie obietnic bez pokrycia i sterowanie jego uczuciami. Rozalka całkowicie się w tym pogubiła. Kocha Joannę, a zarazem na swój dziecięcy sposób wie, że nie może jej do końca ufać. Ma przez to poczucie winy. Bo jak to? Boi się własnej mamy? Jest jej wstyd. Próbuje to sobie po swojemu wytłumaczyć. Przy tym ciągle stara się udowodnić Adasiowi, że wciąż jest dla niej najważniejszy. Takie dramaty u dziecka w tym wieku? To zdecydowanie za dużo.

Joanna jeszcze bardziej podkreśla sytuację. Jest jak zły cień, którego nie można się pozbyć. Doskonale wiem, że buntuje Rozalkę. Wystarczy ich jedno spotkanie, a mała jest zamknięta w sobie i przez kilka kolejnych dni chodzi bardzo smutna. Dostaje od mamy całe stosy prezentów. Cieszy się, jak to dziecko, ale zaraz próbuje się z tego tłumaczyć.

Przyznaję się do jednego. Zdarzyło mi się podsłuchiwać jej rozmowy z Michałkiem. Mój kochany chłopiec martwi się tym, że nagle Adaś i Rozalka wyprowadzą się z naszego domu. Wie o tym, że Joanna jest nadal żoną Adama. Wyciąga z tego proste wnioski. Jego też już życie nauczyło, że nic nie jest pewne i czasami dzieją się rzeczy, których bardzo byśmy nie chcieli. Jednocześnie stara się wspierać Rozalkę, ciągle zapewniając, że kocha ją jak siostrę.

A ja? Pogubiłam się w tym na dobre. I coraz częściej wychodzę na tę najgorszą. Nie umiem być spokojna, widząc, co wyprawia Joanna. Złoszczę się, tłumaczę Adamowi, w jaki sposób manipuluje nim i Rozalką. Wytykam jej nienawiść, matactwa i to, że jest gotowa dosłownie na wszystko, by osiągnąć swój cel. Co w zamian mam? Coraz więcej pretensji i kłótni. Nie da się tego ukryć. Odkąd pojawiła się Joanna, pomiędzy mną i Adasiem nie jest za dobrze. Owszem, nadal się bardzo mocno kochamy i chcemy tworzyć razem rodzinę, ale...

No właśnie, jest kilka „ale”. Z każdym dniem więcej. Ja mam swoje racje, on ma swoje. A Joanna coraz częściej stwarza sytuacje, w których to właśnie ja najbardziej obrywam. Wychodzę na taką, która podburza Adama, by zrezygnował ze starań o córkę. Bzdura! Chcę jedynie, by widział, jak skutecznie Joanna nim manipuluje.

Najbardziej boję się jednego. Utraty Adama. Czy jest to możliwe? Niby nie, ale martwię się, że pod wpływem tyłu zmartwień i lęku, że Joanna odbierze mu Rozalkę, będzie skłonny iść na zbyt duże ustępstwa. A nawet zgodzi się, żeby spróbowali znowu odbudować swoją rodzinę. Czy Adam mógłby być do tego zdolny? Wydaje mi się, że nie. Ale to nie on rozdaje karty w tej grze, tylko Joanna. I tak jak po latach nieobecności potrafi na wszelkie sposoby udowodniać miłość do córki, tak postanowiła powalczyć o Adama. Nie mam pojęcia, czy to jej prawdziwe zamiary, czy kolejna intryga. Wiem na pewno, że mam poważne powody do obaw. Nie umiem tak jak ona rozpychać się łokciami i walczyć o swoje. Wciąż siedzi we mnie Alicja, która wątpi w siebie. A takie sytuacje tylko tę niepewność pogłębiają.

Ostatnio podsłuchałam przypadkiem ich rozmowę. Joanna była z Rozalką na wycieczce w Pułtusk. Przywiozła córkę pod wieczór, a Adam poszedł ją odprowadzić do samochodu. Chciał omówić warunki jej kolejnych odwiedzin. Stałam za rogiem domu, przycinając gałęzie bukszpanu. Powinnam odejść, ale świadomie tego nie zrobiłam. Kierowała mną ciekawość i zwyczajnie chciałam wiedzieć, jak i o czym rozmawiają. Przestraszyłam się tego, co usłyszałam.

– Miałyśmy bardzo udany dzień. Rozalka tyle o tobie opowiadała – mówiła podekscytowana Joanna. Stanęła naprzeciwko Adama i za wszelką cenę chciała sprawić, by skupił na niej uwagę.

– To miłe. Dobrze o tym wiedzieć – odpowiedział zdawkowo Adam.

– Jesteś dla niej bardzo ważny. Wiesz, o co mnie dziś zapytała? – Przegarnęła nerwowo włosy i oparła się o samochód.

– O co?

– Dlaczego nie możemy być razem? To znaczy ja i ty. I oczywiście ona.

– To jeszcze dziecko. Nie rozumie wszystkiego. – Adam starał się zachować dystans. Wiedziała, że ta sytuacja jest dla niego bardzo trudna.

– Adam, powiem to wprost. Myślę, że Rozalka ma rację. Przecież moglibyśmy spróbować raz jeszcze. Oficjalnie wciąż jesteśmy rodziną – zaproponowała bez owijania w bawełnę. Podeszła do Adama i dotknęła jego ramienia. Cofnął się o krok.

– Przestań! Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz? – upomniał ją.

– Wiem, co mówię. I to jest propozycja na serio. Spróbujmy wszystko odbudować.

– Słuchaj. Ja już mam swoją rodzinę. Jest nią Alicja, Rozalka i Michałek. Czy ci się to podoba, czy nie – tłumaczył, gwałtownie gestykulując.

– Przypominam ci, że oficjalnie to nadal ja jestem twoją żoną. Przemyśl to. Dla dobra Rozalki. Chyba nie chcesz jej skrzywdzić?

Miałam ochotę podejść do niej i uderzyć ją w twarz. Bezczelna! Jak mogła to zaproponować?!

– Nie mam siły na takie rozmowy. Zawsze byłaś nieobliczalna. Nic się nie zmieniłaś – odparł Adam. Wzbierała w nim złość.

– Sam pomyśl. Czy to nie byłoby najlepsze rozwiązanie? – ciągnęła Joanna.

– Dla ciebie na pewno. Dla mnie już mniej. Nie chcę skrzywdzić kobiety, którą kocham. I to z wzajemnością.

Na te słowa poczułam w sercu przyjemne ciepło.

– Tylko że to ja jestem matką twojej córki i mogę dać ci kolejne dzieci. Ona sprawi tylko, że i ty, i Rozalka będziecie nieszczęśliwi. Zawsze będzie taką zadrą między wami. A uwierz mi, że z biegiem lat to ja będę dla Rozalki najważniejsza. Alicja nie będzie tu miała żadnego znaczenia.

Jej słowa mocno mnie zaboląły, ale i sprowadziły na ziemię. Tak, to ona miała prawa przysługujące matce. Ja nią dla Rozalki nie mogłam być.

– Czego oczekujesz? – zapytał zniecierpliwiony Adam. Jego zachowanie mnie zdziwiło.

– Daj mi szansę. Udowodnię ci, że mogę być dobrą żoną i matką. Słyszysz?

– Jedź już. Proszę cię, jedź – odpowiedział i ruszył w kierunku domu. A ja poczułam, że właśnie tracę grunt pod nogami i że Adam zaczyna rozważać pomysł Joanny.

Tamtej nocy nie spałam ani minuty. Analizowałam ich rozmowę. Wniosek był jeden. Adam nie przytaknął ani nie zaprzeczył planom Joanny. Zatem się wahał. A to oznaczało, że w ogóle brał pod uwagę taką możliwość. Sprawiał mi tym ogromny ból. Ostatni raz czułam się tak, gdy dowiedziałam się o zdradach Pawła, mojego męża. Czułam się wtedy zwyczajnie oszukana. Nic tak wcześniej nie bolało jak świadomość bycia ciągle oszukiwanym przez partnera.

Człowiek staje się taki słaby, gdy jego szczęście zależy od drugiej osoby. A najgorsza jest walka między tym, co się wie, a tym, co się czuje. Rozum i serce, dwie przeciwności. Moje serce podpowiada, by walczyć i zrobić dosłownie wszystko dla mojej rodziny. Rozum każe się uspokoić i czekać. Bo bycie z kimś w związku wiąże się z przejściem bagażu jego przeżyć i doświadczeń.

Ale ja jestem tylko człowiekiem, mam swoje słabości, czuję zazdrość, strach i żal z powodu zachowania Adama. On jakby coraz mniej widział moją miłość. A może zwyczajnie się do niej przyzwyczaił?

Historia lubi się powtarzać. Będąc małą dziewczynką, wysłuchiwałam kłótni moich rodziców. Potem zapadła decyzja o wyjeździe z Pniewa. Teraz jest podobnie. W starym domu coraz częściej słyhać sprzeczki. Nie wytrzymujemy tego napięcia. Wystarczy jedno małe nieporozumienie, by padły słowa, które nigdy nie powinny być powiedziane. Tak jak wczoraj. Zaczęło się banalnie. Od próby obrony swoich racji.

– Tyle razy mówiłem, żebyś się nie wtrącała! Sam się tym zajmę. Nie mogę za bardzo drażnić Joanny. Może to wykorzystać! – denerwował się Adam.

– No pewnie! Mam czekać, aż wszystkim nam wejdzie na głowę! A może właśnie na to liczysz? Nie myślę się? – rzuciłam z sarkazmem.

– O czym ty mówisz? – wszedł mi w słowo.

– Jakoś ostatnio nie przeszkadza ci, że ona ciągle nas nachodzi. Tak lubisz jej towarzystwo? Bo w nic innego nie uwierzę – podniosłam głos.

– Ciszej bądź, bo dzieci usłyszą – uspokajał mnie.

– Wiesz co? Mam dosyć grzecznego przyglądania się, jak pozwalasz Joannie na te wybryki. Naprawdę coraz częściej myślę, że tego chcesz – powiedziałam wprost.

– No teraz to już przesadzasz! Może jeszcze powiesz, że to moja wina?

– Po części na pewno. Jakoś nie chcesz się pozbyć swojej żony raz na zawsze. Co, przekonała cię, byście jeszcze raz spróbowali zacząć od nowa? – wypomniałam Adamowi.

– I ty mówisz o zaufaniu? Podśluchiwałaś, a teraz masz pretensje?!

– Przecież widzę, co się dzieje! Ona cię omotała. A ty? Jeszcze trochę i za nią polecisz! – rzuciłam mu prosto w twarz i wyszłam, trzaskając drzwiami.

Przez godzinę czekałam na niego na werandzie. Nie przyszedł. Uniósł się honorem i nie miał zamiaru dalej brnąć w kłótnię.

Z każdym dniem coraz bardziej czuję, że go tracę. W dużej mierze sama jestem sobie winna. Jestem zła, zazdrosna, czuję się odstawiona na boczny tor. A przecież potrzebuję go, jak nikogo na świecie.

Codziennie chwile szczęścia

– Widziałem w gazecie, że jest taka świeczka na baterie. Świeci trzy miesiące. Może ją kupimy? – zapytał Michałek.

Byliśmy na cmentarzu. To nasz stały punkt w planie tygodnia.

– Dobry pomysł. Kupimy kilka, tak na przyszłość – przyklasnęłam jego pomysłowi.

– Babcia Jasia mówiła wczoraj, że jak jest zapalony znicz, to znak, że się pamięta o tych, co poszli do nieba – stwierdził poważnie. – Ja o mamie, tacie i dziadziusiu pamiętam. Muszę stawiać tu dużo światełek.

– Możemy postawić ich jeszcze więcej, jeśli tylko będziesz chciał.

Pogłaskałam go po głowie i mocno do siebie przytuliłam.

– Zawsze wieczorem, jak idę spać, mówię coś ważnego mamie i tacie, wiesz?

- To ciekawe. Co im mówisz?
- Że jesteś najlepszą mamą na świecie. I że teraz nazywam się tak samo jak ty!
- powiedział z nieukrywaną radością.
- To bardzo miłe. Ja też rozmawiam ze swoimi rodzicami. Może nie tak często jak ty, ale rozmawiam – przyznałam się.
- O czym?
- Mówię im, co u mnie słyhać, co teraz wszyscy robimy, co mnie cieszy, a co smuci, jakie mam problemy.
- Na pewno na nas patrzą z nieba i nam pomagają. – Uznał to za najbardziej oczywistą sprawę na świecie. Potarł rękawem nieco zaczerwieniony nos i spojrzał w dal.
- Zobacz! Dziadek idzie!

W głównej bramie cmentarza pojawił się Henryk. Podpierając się drewnianą laską, szedł powoli asfaltową alejką. Z jego nogą było coraz gorzej, więc zachęciłam go do korzystania z laski. Trochę marudził, ale ostatecznie stwierdził, że to nie jest taki zły pomysł. Znacznie trudniej przekonać go, by zrezygnował z mieszkania w swoim leśnym schronie, a na dobre przeniósł się do tych czterech kątów wyszykowanych specjalnie dla niego w moim budynku gospodarczym. Jest uparty i nic na to nie mogę poradzić. Jak już kończą mu się racjonalne argumenty, wtedy stwierdza, że to schron jest jego domem i tu zamierza doczekać końca swoich dni.

Michałek pobiegł do niego i rzucił się mu na szyję, przy okazji całując w policzek. Henryk jest jego ukochanym dziadkiem, spędzają ze sobą mnóstwo czasu. Michaś z dumą opowiada w szkole, że jego dziadek jest bohaterem, że przeżył wojnę, był w obozie, a do tego opowiada niesłychanie ciekawe historie. Tylko jeszcze na jedno Michałek nie namówił Henryka. Żeby zabrał go do schronu w lesie.

– Mamusiu! Dziadek mówi, że niedługo zrobi dla mnie specjalną huśtawkę w sadzie!

– No nie wiem. Chyba jeszcze jest na to za zimno – stwierdziłam mimo jego zapału.

– Dzień dobry, Alicjo. Co u was dobrego słyhać? – zapytał Henryk. Od razu spojrzał w kierunku grobu moich rodziców i dziadków, gdzie jakiś czas temu została umieszczona tablica upamiętniająca jego ukochaną Małgosię. Często tu przychodzi, przynosi kwiaty lub dekoracje z wikliny. Tym razem też trzymał w dłoni pięknie wykonany bukiet z suszonych kwiatów.

– Myślałam o tobie. Od trzech dni do nas nie zajrzałeś. Wszystko w porządku?

Codziennie się o niego martwię. Przebywa w schronie całkiem sam. Różne złe rzeczy mogą mu się przydarzyć.

– W jak najlepszym. O ile się zgodzicie, to teraz pojadę do was na pyszną herbatę. Mamy marzec, ale nadal jest chłodno.

– Hura! Dziadziuś do nas pojedzie! A pokażesz mi najpierw schron? Prooooooś!

– Michałek uwiesił się na ręce Henryka i patrzył na niego błagalnym wzrokiem.

– Może innym razem. Teraz lepiej opowiedz mi, co będziemy robić w święta.

– O właśnie! Święta już wkrótce, musimy się do nich przygotować – stwierdziłam poważnie, widząc, że Michałek już się krzywi na to, że będzie musiał posprzątać w swoim pokoju. Tego akurat nie cierpi.

Jak ten czas leci... Dopiero co było Boże Narodzenie, a na dniach już Wielkanoc. A ja z niczym się nie wyrabiam. Gonią mnie terminy oddania kolejnych projektów. Odkąd razem z Dorotą podjęłyśmy współpracę jako podwykonawca u Franka Bojarskiego, serdecznego kolegi jeszcze z czasów studiów, obroty „Wrzosowiska” wzrosły o dwieście procent! Więcej klientów, więcej projektów, więcej pieniędzy. Konsekwencją jest taka ilość pracy, że ledwo z Dorotą zdążamy wykonać wszystko w terminie.

A Franek? No cóż, można powiedzieć, że nic się nie zmienił od czasu studiów. Wciąż ma przy sobie wianuszek wpatrzonych w niego kobiet... i nadal nie robi to na nim najmniejszego wrażenia. Zawsze taki był. Uwielbialiśmy z naszą paczką chodzić na bulwary wiślane i snuć plany, jacy to w przyszłości będziemy piękni i bogaci. W przypadku Franka to wszystko się spełniło. Tylko szczęścia w miłości nie ma. Raz go nawet zapytałam o jego sprawy sercowe. Odpowiedział, że on prosty chłopak ze wsi jest, to i zwyczajnej relacji szuka. A to coraz trudniejsze, kiedy wszyscy oceniają go z perspektywy jego sukcesów biznesowych. W sumie to się cieszę, że Franek znowu pojawił się w moim życiu. Dobry z niego przyjaciel.

Dorota trochę inaczej to widzi. Ostatnio stwierdziła, że Franek ma na mnie oko. Omal się kawą nie oblałam, słysząc to jej wyznanie. Ma kobieta pomysły! Dodatkowo ubzdurała sobie, że musimy dołączyć do śmietanki towarzyskiej w branży projektowania ogrodów. W tym celu mamy chodzić na bankiety. Już zaplanowała jedno wyjście. Długo z nią nie wytrzymam!

– Wyobraź sobie. Przyjęcie, dostojni gości i my w pięknych sukniach, a wokół nas mnóstwo przystojniaków. Boże! Chciałam dożyć takich czasów! – stwierdziła rozmarzona Dorota. Byłyśmy w naszym warszawskim biurze. Ona odpoczywała na antresoli i snuła wizje naszej świetlanej przyszłości, a ja siedziałam przy biurku i kończyłam pilny wykres.

– Ciekawe, kto nam będzie tych kiecek szukał, bo na pewno nie ja – mruknęłam pod nosem. – I pamiętaj, że to wszystko słono kosztuje.

– Znajdę sponsorów. Wiesz, tak jak robią celebrytki. Wypożyczymy ciuchy. Już mam kilka pomysłów, jak to zrobić. I dobrze wiesz, że dopnę swego.

– Nie da się temu zaprzeczyć – przyznałam jej rację.

– Musisz się oderwać od wszystkich problemów. Jeszcze trochę i będzie z ciebie istna kura domowa.

– I kto to mówi? – Spojrzałam w górę. Nie widziałam Doroty, tylko jej rękę, w której trzymała wachlarz i zmysłowo nim machała. – To chyba ty jesteś naczelną matką Polką?

– Teraz już nie. Dziewczynki są dosyć samodzielne, Maciek mi pomaga, a ja stawiam na siebie i nasze „Wrzosowisko”.

– Zazdroszczę. Tak pozytywnie. U mnie ciągle sajgon. Najbardziej wkurza mnie Joanna – przyznałam zrezygnowana.

– I tak cię podziwiam. Na twoim miejscu dawno bym jej przyłożyła. Ma kobieta tupet. Utrudniaj jej wszystko, jak tylko możesz. I pilnuj Adama. Facet różne numery może w życiu wyciąć. Wiem, co mówię.

– Powinnam się tym poważnie martwić? – zapytałam wystraszona.

– Wiesz... – Dorota szybko zeszła z antresoli. – Nie chcę cię straszyć, ale obie wiemy, że Joanna jest kobietą zdolną do wszystkiego. I ma w rękach groźną broń – własne dziecko. Nie zgadniesz, co jej po głowie chodzi. Na pewno będzie manipulować Adamem. To silny facet, ale wiadomo, że w zależności od sytuacji człowiek może się różnie zachować. Nieprzewidywalność. To coś, na co nikt z nas nie jest przygotowany.

– Matko! Na co mi to wszystko było – wyznałam z nieukrywanym smutkiem i położyłam głowę na blacie biurka. Dorota przytuliła mnie po przyjacielsku.

Joannę najchętniej wysłałabym do wszystkich diabłów. Albo jeszcze lepiej, na Księżyc, bez biletu powrotnego. Dawno nie czułam wobec kogoś takiej złości. Chociaż to nawet za grzeczne słowo. Zwyczajnie jej nienawidzę. I boję się. Jest spełnieniem moich koszmarów. Przez nią mam mnóstwo zmartwień i problemów. Jedyne sprawa dokumentów czasami odrywa mnie od domowych trosk. Jest jeszcze babcia Jasia. O nią też się bardzo martwię. Ciągle jest smutna, przesiaduje na cmentarzu, mówi dużo o śmierci. Tydzień temu odbyłyśmy poważną rozmowę. Podeszłam ją. Powiedziałam, że Michałek bardzo się o nią martwi i też jest smutny. Podziałało. Oby jak najdłużej!

Rozdział II

Delikatna nić zaufania – o intrygach w cieniu zemsty, roszczeniach porzuconej córki, niespodziewanym spotkaniu i świadku tragicznej historii sprzed lat

Kłamstwo jest bronią tchórzy

Złe emocje powoli opadały. Dotarło do nas, że z powodu Joanny nasz związek jest wystawiony na ciężką próbę. Adam przyznał, że sytuacja go nieco przerosła. Wiele razy wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy Joanna wróci. Ale na taką jazdę bez trzymanki nie da się przygotować. Szczerze ze sobą porozmawialiśmy i okazało się, że w sumie myślimy i czujemy podobnie. Zapytałam wprost, czy istnieje ryzyko, by podjął decyzję o powrocie do żony. Zaprzeczył. Uspokoił mnie, że to nigdy się nie zdarzy.

Ale jak to w życiu, czasami nawet największe zapewnienia nie wystarczą, tym bardziej że Joanna nie odpuszczała. Mało tego. Zaatakowała ze zdwojoną siłą. Potrafiła przyjechać do Rozalki trzy razy w tygodniu. I to bez zapowiedzi, za to z całym bagażnikiem prezentów. Mnie traktowała jak czarny charakter, więc wolałam trzymać się z boku, inaczej zaraz padał zarzut, że próbuję odciągnąć matkę od jej własnego dziecka. Wkurzało mnie coś jeszcze. Joannie do niczego się nie spieszyło. Tak jak na początku straszyla sądem i walką o Rozalkę, tak teraz odpuściła. Wyglądało na to, że obecna sytuacja całkiem jej odpowiada, jakbyśmy wszyscy tworzyli patchworkową rodzinę.

Dużym wsparciem okazała się być dla mnie dawna znajoma Adama, jeszcze z czasów, kiedy mieszkał z żoną w Warszawie i miał wystawy w stołecznych muzeach. Pracowała wtedy w jednym z nich. Cały czas utrzymywali kontakt. Często dzwoniła do Adama, pytała, co u niego. Ostrzegała przed Joanną i przekazywała wiele ważnych informacji o jej codziennym życiu. Rozumiała też moją sytuację, czułam, że mocno mi kibicuje i życzy, by Joanna jak najszybciej się od nas odczepiła. Sporo o niej wiedziała.

Pewnego dnia spotkaliśmy się z Marzeną Dubicz w kawiarni na Chmielnej. Znajoma Adama od razu wydała mi się osobą konkretną i prawdomówną. Polubiłam ją. Czułam się przy niej komfortowo, jak przy dobrej znajomej.

– Adaś, wiesz, że życzę tobie i twojej rodzinie jak najlepiej. Ale znasz mnie, mówię prosto z mostu. Nigdy nie lubiłam Joanny i zawsze o tym wiedziałeś.

– Marzenko, wiem o tym. Jednak sytuacja jest trudniejsza. Chodzi o Rozalkę. Wiesz dobrze, że dla niej zrobię wszystko. Zastanawiam się, na ile Joannie na niej zależy.

– Ja bym tu nic nie zakładała. Trzeba poczekać na rozwój sytuacji – doradzała Marzena.

– Tak, tylko że czas to teraz jej najlepsza wymówka – powiedziałam w zamyśleniu. Obydwoje tak jakoś dziwnie na mnie spojrzeli. – Mam na myśli to, że taka sytuacja może trwać kilka miesięcy, pół roku, rok. Mieliliśmy czekać na jej pierwszy ruch. Jak widać, Joannie się nie spieszy. Może dobrze to przemyślała – tłumaczyłam swoje obawy.

– Masz rację – przyznał Adam, a ja poczułam, jak kamień spada mi z serca.

– Sam nie możesz iść pierwszy do sądu? – zasugerowała delikatnie Marzena.

– Mogę, jasne, że mogę. Mój adwokat jednak doradzał, żebyśmy zaczekali na jej pierwszy krok. Dużo by powiedział o jej dalszych planach. A tu nic.

– No wiesz, tym sposobem to sobie za chwilę rodzinę rozbijesz. Nikt długo nie wytrzyma takiej natrętnej baby – powiedziała bez ogródek i spojrzała na mnie. Zawadiacko się uśmiechnęła. Czulałam jej wsparcie.

– Tak, jak najszybciej będzie trzeba się tym zająć – przyznał Adam. – Wiesz, czym ona w ogóle się teraz zajmuje? Gdzie mieszka? Gdzie pracuje?

– Pewnie, że wiem! I nawet nie musiałam prowadzić śledztwa, bo Aśka na prawo i lewo kłapie dziobem, jak to się ustawiła w życiu. – Marzena nie kryła swojego oburzenia.

– Pracuje gdzieś? – dopytywał Adam.

– I to gdzie! W domu mody! Ma fotel dyrektora kreatywnego.

– No proszę... Jak ktoś chce, to i może – wyrwało mi się na wieść, że Joanna jak zwykle wyszła ze wszystkiego obronną ręką.

– Mówiła, że ma odpowiednie znajomości. Ktoś podobno docenił jej wykształcenie i talent. Pewna znajoma mówiła mi, że Joanna prowadzi się teraz z takim jednym gościem. Jest z branży modowej. Można się łatwo domyślić, skąd takie przyspieszenie jej kariery – tłumaczyła Marzena.

Poczułam się pewniej. Czyli jednak ma faceta. Liczyłam, że Adam weźmie sobie do serca słowa znajomej i zobaczy, że Joanna próbuje manipulować jego uczuciami.

– Gdzie mieszka? – Adam zadawał kolejne pytania. Sprawiał wrażenie kogoś, komu zupełnie nie zależy na tym, co za chwilę usłyszy. Mnie jednak nie oszuka. Za dobrze go znam. Byłam pewna, że jest mu z tego powodu przykro.

– Zatrzymała się u dawnej przyjaciółki. Nie wiem, czy ją pamiętasz... Klaudia, kiedyś pracowała ze mną jako kustosz i zajmowała się promocją muzeum.

– A tak, pamiętam ją – przyznał Adam.

– Oficjalnie mieszka u Klaudii, ale można się przecież domyślać, że częściej przebywa u faceta.

– To do niej podobne – skwitował smętnie Adam.

Marzena przekazała nam jeszcze kilka szczegółów z życia Joanny. O tym, że na siłę próbuje odnowić dawne kontakty, dużo opowiada o Rozalce i przekonuje, że lada chwila zabierze ją do siebie. Adam słuchał tych rewelacji i coraz bardziej się denerwował. Najwyraźniej za jego plecami Joanna snuła wizję szczęśliwego życia z Rozalką. I ewentualnie z nową miłością.

Wracaliśmy do domu markotni. Na miejscu wcale nie było lepiej, bo czekała na nas niemiła niespodzianka. Mikulska wybiegła do nas z płaczem, że Joanna przyjechała z jakimś facetem i namówiła Rozalkę na wspólny wyjazd do Pułtuska na gofry. Babcia nie chciała jej puścić, ale mała zaczęła potwornie płakać, że chce do mamy.

Adam się wściekł. Kazał mi wsiadać do samochodu. Pognaliśmy do Pułtuska. Przez całą drogę modliłam się, by Rozalka tam była. Nie mówiłam tego głośno, ale siedział we mnie dziwny niepokój, że Joanna mogłaby zabrać Rozalkę do siebie. Adam nic nie mówił. Tak mocno ścisnął kierownicę, że aż mu zbieleły dłonie. Byłam pewna, że ma podobne

obawy. Do kawiarni wszedł pewnym krokiem, nie zważając na nikogo. Podeszedł do stolika, przy którym siedziała Joanna z Rozalką. I jakiś facet.

– Jesteś z siebie zadowolona? – zapytał groźnie.

– Adam, uspokój się. Nie psuj nam miłej chwili. Zobacz, jak Rozalka świetnie spędza czas. – Joanna pogłaskała córkę po głowie, która na widok Adama przybrała taką minę, jakby przed chwilą ktoś przyłapał ją na gorącym uczynku.

– Rozalko, chodź. Jedziemy do domu. Nie powinnaś tu przyjeżdżać, skoro babcia ci nie pozwoliła. Porozmawiamy o tym później. – Adam nie do końca kontrolował to, co mówił.

– Już idę tatusiu – odpowiedziała smutnym głosem Rozalka. Wstała z krzesła i wzięła w dłonie swoją ulubioną maskotkę, z którą nigdy się nie rozstawała.

– Może dołączycie państwo do nas? Szkoda przez dawne nieporozumienia psuć tak udany wieczór – odezwał się towarzysz Joanny. Uważnie mu się przyglądałam. Moim zdaniem wyglądał na bardzo opanowanego.

– Wydaje mi się, że to w ogóle nie jest pana sprawa i ostrzegam, że jeśli jeszcze raz bez mojej zgody zbliży się pan do mojej córki, to będzie pan miał problemy – zagroził Adam.

– Uspokój się! – krzyknęła Joanna. Znajdujący się w kawiarni goście spojrzeli na nas.

– Daruj sobie umoralniające gadki. – Adam nachylił się nad Joanną i ściszył głos. – Zabieraj stąd swojego kochasia i nie udawaj dobrej mamusi. Dobrze wiem, że jesteś tak samo wredna jak kilka lat temu. Drugi raz na twoje sztuczki się nie nabiorę. – Joannie zrobiło się głupio i przepaszającym wzrokiem patrzyła na swojego towarzysza. – Kochanie, wracamy do domu. – Adam wyprostował się i wyciągnął rękę w stronę Rozalki. Nie protestowała.

– Jeszcze tego pożałujesz – powiedziała Joanna przez zaciśnięte zęby.

– Nie próbuj mną manipulować. Twoje groźby nie robią już na mnie żadnego wrażenia. A teraz przepraszam, wracam ze swoją rodziną do domu.

Przyglądałam się całej sytuacji z wielką uwagą. Wreszcie poczułam, że mam nad Joanną przewagę.

Bunt porzuconej córki

Tak to już zazwyczaj bywa, że jeżeli czegoś bardzo mocno chcemy, to wtedy nam się to nie przydarzy. Czekamy, dokładamy podwójnych starań, a na horyzoncie jak nie było, tak nie ma żadnego efektu. Nie należy przejmować się tym, na co nie mamy wpływu, to najlepsze wyjście. Najczęściej los uśmiecha się do nas, gdy najmniej się tego spodziewamy.

Tak było z Ewą. Opuściłam. Przestałam dzwonić, zamartwiać się i zamęczać innych swoimi domysłami, dlaczego Ewa się do mnie nie odzywa. Zwyczajnie dałam sobie nieco czasu. Podobno goi wszelkie rany. A przynajmniej pozwala się do nich przyzwyczaić.

Było wtedy sobotnie popołudnie, zaczynało się powoli ściemniać. Adam zabrał

dzieci na przedstawienie, które zorganizowali jego studenci na ASP. Nie pojechałam z nimi, bo gonił mnie termin oddania projektu, a i tego dnia nie za dobrze się czułam. Po południu uznałam, że pójdę na spacer. By przewietrzyć głowę przeciążoną nadmiarem pracy. Nogi same poniosły mnie na cmentarz. Tam zawsze odzyskiwałam spokój i pewność, że moi bliscy czuwają nade mną.

Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłam Ewę przy pomniku moich rodziców i dziadków. Stała w skupieniu. Nawet mnie nie zauważyła, gdy podeszłam blisko. Dopiero po chwili spostrzegła, że nie jest sama. Jednak nie wyglądała na zaskoczoną. Wręcz przeciwnie. Jakby wiedziała doskonale, że prędzej czy później tu przyjdę.

– Myślałam, że to będzie kolejny nudny dzień, a ty mi sprawiłaś niespodziankę. – Przywitałam się z nią serdecznie i pocałowałam w policzek. Jak siostrę.

– Chyba to u nas rodzinne. Same niespodzianki i tajemnice – odpowiedziała z nutką ironii w głosie. Odniosłam wrażenie, że przyjechała tu w określonym celu.

– Postanowiłaś odwiedzić grób naszego ojca? – Gdzieś jeszcze w środku tliła się we mnie nadzieja, że Ewa zdecydowała się przyjechać ze względu na zwykłą przyzwoitość.

– Nooo... Chyba tatuś jest mi coś winny, prawda? – zapytała, wybuchając śmiechem.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli? – Przeczynałam, że ma złe zamiary. Widać to było w jej oczach, słowach, zachowaniu. Wyglądała złowrogo.

– Alicjo, myślałam, że jesteś bardziej domyślna – odpowiedziała, przeczesując włosy.

– Wiesz, zaczyna mi się nie podobać sposób, w jaki do mnie mówisz. Mam wrażenie, że chcesz doprowadzić do kłótni. Dlaczego?

– Wszystko przemyślałam. Podsumowałam swoje życie i straty, jakie wiązały się z tym, że mój szanowny tatuś postanowił zwać i się mnie wyrzec. Nie dość, że żyłam w biedzie, to jeszcze wstydziłam się braku ojca. Ciągle słyszałam przyzwisko „sierota” – mówiła niezwykle rozgoryczona.

– I co w związku z tym? – Zaczęłam się domyślać, o co jej chodzi.

– Skoro tatuś się znalazł i oficjalnie jestem jego córką, to i jakaś scheda po nim mi się należy, prawda? Nawet wtedy, gdy tatuś leży już w grobie.

– Ale... – Zatkanęło mnie, jak Boga kocham, zatkanęło mnie.

– Popytałam tu i tam. Wątpliwości nie ma. Należy mi się spadek. Ty dostałaś po ojcu spory majątek. Teraz musisz się ze mną podzielić – wyznała wprost. Na jej twarzy widziałam grymas ogromnej satysfakcji.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytałam bliska łez. Nie wiem, co sprawiło mi większą przykrość. Wizja, że będzie się domagać starego domu, czy fakt, że po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam, zwyczajnie wymierzyła mi cios w serce.

– Albo oddajesz mi połowę majątku, albo jego równowartość. Twoja decyzja. Przyszłam po swoje i nie odpuszczę. Coś po tatusiu mi się jednak należy – powtórzyła.

– Ty chyba nie mówisz tego poważnie? – Wciąż nie mogłam uwierzyć w jej zamiary.

– Do żartów mi daleko. To jak? W jaki sposób się dogadamy?

– Ten majątek... To mój stary dom i działka. Nic więcej. Tu się wychowałam, to był dom moich rodziców i dziadków. Nie mogę go sprzedać – tłumaczyłam, licząc naiwnie, że Ewa zrozumie i odpuści.

– W takim razie kasa. Chcę ją mieć do końca kwietnia – zażądała.

– Co? Nie mam tak dużych pieniędzy. I nie zarobię takiej sumy w tak krótkim czasie.

– To już będzie twój problem. Czekam na pieniądze – powiedziała ze złością i ruszyła w kierunku wyjścia z cmentarza.

– Zaraz, zaraz! – Nie wytrzymałam. – Tak szybko zapomniałaś o pieniądzach, które mój ojciec przekazał twojemu wujowi na wasze utrzymanie? Równy milion starych złotych. Jeszcze ci mało?

Wreszcie mnie olśniło. Przecież mój ojciec przekazał pieniądze dla Magdaleny i jej córki. Co z tego, że tak dawno temu?

– To było wieki temu. Te pieniądze zwyczajnie nam się należały. Matka z nim wpadła, to chociaż tyle musiał zrobić. Teraz mówię o spadku. Tatusz zostawił po sobie majątek. Połowa należy się mnie. I tego ci nie daruję! – krzyknęła, aż ludzie w sąsiedniej alejce zaczęli się oglądać. Chwyciła swoją torebkę i energicznym krokiem ruszyła w kierunku bramy.

– Nie możesz mi tego zrobić! – zawołałam za nią zrezygnowana.

– Mogę! A jak będziesz robiła problemy, pójdę z tym do sądu!

– Ale... Ewa...

Już mnie nie słuchała. Zniknęła za główną bramą. A ja czułam się tak, jakby cały świat zawalił mi się na głowę.

Wróciłam do domu i porządnie się rozplakałam. Czułam potworny żal. Miało być tak pięknie... Ja, odnaleziona po latach siostra i nasza wspólna przyszłość. A wyszło jak zawsze. Wielkie rozczarowanie, jeszcze większe zdziwienie, że ktoś, kogo się wyciągnęło niedawno z wielkich tarapatów, może się tak odwdzięczyć. W żaden sposób nie umiałam tego zrozumieć. Znowu naszły mnie czarne myśli i lęk, że stracę swój stary dom?

Wieczorem wrócił Adam z dziećmi, a ja nadal byłam zapłakana. Myśleli, że bardzo źle się czuję lub stała się jakaś tragedia. Dzieciom wytłumaczyłam, że spotkała mnie okropna przykrość. Chyba uwierzyły. Przed Adamem nie mogłam ukrywać prawdy.

– Miałaś rację... – przyznałam przez łzy. – Ewa jest zupełnie inną osobą, niżbym chciała. Skorzystała z naszej pomocy, potem zniknęła. A teraz zjawia się i chce majątku.

– Alicjo... No już... Chodź, przytul się do mnie. – Wtuliłam się w ramiona Adama. Pierwszy raz od kilku godzin poczułam spokój. – To nie twoja wina. Chciałaś jak najlepiej. Nie znając jej, pomogłaś. Tak robi dobry człowiek.

– I co teraz mi z tego przyszło? A jak zabierze mi dom? – zapytałam i spojrzałam prosto w jego oczy. Tak niecierpliwie czekałam, by zaprzeczył. By powiedział, że prędzej świat się skończy, niż pozwoli mi skrzywdzić.

– Nigdy tak się nie stanie. Słyszysz? Masz moje słowo. Przysięgam. – Wytał sploty spływające po moich policzkach łzy. Był taki cierpliwy. Nie wypominał, że przecież tyle razy ostrzegał mnie przed Ewą, a ja oczywiście go nie słuchałam. Wołałam naiwnie wierzyć w jej dobre zamiary.

– A jeżeli ona ma rację? Ma takie samo prawo do majątku po naszym ojcu.

– Chyba nie mówisz tego poważnie? – Adam odsunął się ode mnie. Dostrzegłam na jego twarzy grymas gniewu. – Nigdy na to nie pozwolę! – Chodził energicznie po kuchni. Wiedziałam, że kłótnia wisi w powietrzu.

– Przecież tego nie chcę. To mój dom. Ale to był również jej ojciec. Spadek jej się należy.

– Nie wierzę! Nie wierzę w to, co mówisz. I nie będę tego słuchał. Pamiętaj o tym, że jej mamuśka razem z wujkiem wyciągnęli od twojego ojca ogromne pieniądze.

– Mówiłam jej o tym, ale nie chciała nawet słuchać. Uznała, że to były pieniądze na ich utrzymanie. Teraz domaga się spadku. Obawiam się, że ma rację.

– To może od razu się spakuj i oddaj jej klucze! Czy ty w ogóle siebie słyszysz? Kocham cię, ale czasami mam dość twojej naiwności. Przerażasz mnie! – Nie dał mi dojść do słowa. Powtarzał, że nie dbam o swoje interesy i lada chwila wszystko oddam obcej kobiecie.

Jego słowa bardzo mnie zabolęły. Ale największy cios padł ze strony Doroty. Chciałam się jej wyzalić, znaleźć zrozumienie i wsparcie. Zamiast tego dowiedziałam się, że nie myślę o przyszłości Michałka. Od razu nasłała na mnie Maćka i stwierdziła, że on już sobie ze mną porozmawia. Przyjechali do mnie na drugi dzień z misją przemówienia mi do rozsądku.

– Ogólnie roszczenia Ewy są uzasadnione. Jest córką Piotra Pniewskiego i z tej racji należy jej się majątek. Ojciec jej nie wydziedziczył ani nie zostawił po sobie testamentu, w którym by wszystko scedował wyłącznie na ciebie – tłumaczył jasno Maciek.

– Czyli muszę jej oddać albo połowę majątku, albo równowartość w gotówce, tak?

– Na pierwszy rzut oka tak. Ale jest pewne wyjście. Trzeba wykazać, że twój ojciec jeszcze za życia przekazał na wychowanie Ewy milion starych złotych i uzasadnić, że to była kwota należącego się jej majątku.

– O! To by było dobre! Niech spada ta cwaniara! – Dorota przysłuchiwała się nam z uwagą i tylko czekała na takie słowa Maćka.

– Da się to udowodnić? – Jeszcze nie dowierzałam, że z tej patowej sytuacji może być jakieś dobre wyjście.

– Masz dokument znaleziony w starej szafie. Jasno z niego wynika, że twój ojciec przekazał Magdalenie i jej wujowi kwotę miliona starych złotych. Jeżeli Ewa pójdzie do sądu, wtedy ten dokument będzie dowodem. Są jeszcze świadkowie. Na przykład ten przyjaciel twojego taty, który mieszka w Wyszkowie. On mógłby zeznawać.

– To by wystarczyło? Załatwimy ją odmownie? – Dorota coraz bardziej się nakręcała.

– Będziemy próbować. W razie czego postaramy się wykazać, że przekazując tę kwotę, Piotr Pniewski z nawiązką spłacił swoje zobowiązania jako ojciec, a także uregulował kwestie majątkowe. – Maciek wydawał się nad wyraz spokojny. Znalazł sposób na rozwiązanie problemu i uznał sprawę za zamkniętą.

– No co ty, Alicjo, nie cieszysz się? – zapytała Dorota. Uważnie mi się przyglądała.

– Nie no, cieszę się, tylko... – Nie wiedziałam, jak mam im to powiedzieć.

- Chociaż nie mów, że ci jej szkoda. Naprawdę byłabyś ostatnią naiwną.
 - Dorota, to nie tak. To jest dla mnie bardzo trudne. Nie chcę z nią walczyć, klócić się, włóczyć po sądach. To moja siostra!
 - Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż pozwolę ci zrobić kolejną głupotę.
 - Potrzebuję czasu, by to przemyśleć. – Tak naprawdę czekałam na cud.
- Nowe spojrzenie na stare sprawy

Czas pozwala nabrać dystansu wobec zdarzeń, które wydawały się największą życiową tragedią. Przykładem jest Dorota. Małe niedopatrzenie omal nie doprowadziło jej do bankructwa. Kilka dni temu zapadł jednak prawomocny wyrok w obu sprawach, które Dorota wytoczyła byłemu szefowi. Pierwszą o zniesławienie i oszustwo, jakim było podmienienie kolejnych stron kontraktu, a drugą o odszkodowanie za poniesione straty. Poszło gładko, dwa wyroki na korzyść Doroty. Dostała porządne odszkodowanie. Zgodnie z obietnicą całość przeznaczyła na filię „Wrzosowiska” w Warszawie. Inwestuje pieniądze w nowoczesny sprzęt, oprogramowanie, coraz lepszych konsultantów.

Jedynym minusem naszej wspólnej działalności są sprawy urzędowe. Matko! Jak ja tego nienawidzę! Mogłabym całe dni projektować, planować, dobierać rośliny, jeździć po giełdach kwiatowych. A muszę jeszcze walczyć z urzędami. Zwariować można!

Wczoraj poszłam do banku. Okazało się, że gdzieś brakuje mojego podpisu. Tyle się mówi, że żyjemy w erze cyfryzacji i wystarczy jedno kliknięcie do załatwienia sprawy, a jak przychodzi co do czego, to bez tradycyjnego podpisu ani rusz. Nastawiłam się, że sprawę załatwię w pięć minut. Czekala mnie niemiła niespodzianka – kolejka jak diabli!

– Wszyscy tu do stanowisk biznesowych? – zapytał stojącego przede mną mężczyznę.

– No niestety. Jakaś awaria systemu. Trzeba czekać – odpowiedział znudzony.

– Cholera! – skwitowałam zdenerwowana. – O przepraszam, nie chciałam.

– Może sobie pani kląć, ale to i tak nic nie pomoże.

Facet działał mi na nerwy. Najchętniej bym mu coś odpowiedziała, ale już nie chciałam narzekać. Postanowiłam zadzwonić do Adama. Nerwowo szukałam w torebce telefonu. Dostrzegłam kątem oka, że stanął za mną jakiś mężczyzna.

– Pani to Alicja Pniewska? – zapytał.

– Tak... – odpowiedziałam mimochodem i dopiero po chwili dotarło do mnie, że ktoś wie, jak się nazywam. Podniosłam głowę. – Paweł? – W moim głosie było tak wielkie zdziwienie, że chyba połowa ludzi z kolejki się obejrzała. – Co ty tutaj robisz?

– Zapraszam cię do stanowiska dla klientów z leasingiem – powiedział serdecznie.

– Ale jaki... – Nie dokończyłam, bo Paweł chwycił mnie za przedramię i wskazał drogę.

– Przecież to była wymówka dla tych z kolejki – odpowiedział zadowolony.

Szłam obok niego i zastanawiałam się, co mój były mąż robi w tym banku i co to wszystko ma w ogóle znaczyć. Zaprowadził mnie do pokoju, który dosłownie kipiał od luksusu. Skórzane meble, marmurowe ściany i mahoniowe biurko, na którym stała wygrawerowana plakietka z napisem „Paweł Kubis – Dyrektor Departamentu

Administracji Kredytów”. No i wszystko jasne. Nie dość, że trafiłam na byłego męża, to jeszcze pracuje w banku, który obsługuje moje „Wrzosowisko”. Gorzej być nie mogło.

Zapytał, co mnie tu sprowadza. Na wieść o brakującym podpisie tylko się uśmiechnął. Polecił usiąść na wygodnej kanapie.

– Pani Jolu, zapraszam do mnie na chwilę – powiedział do słuchawki telefonu. Po chwili do biura weszła kobieta w średnim wieku, w idealnie skrojonej garsonce.

– W czym mogę pomóc, panie dyrektorze? – zapytała, zerkając na mnie.

– Nasza klientka, pani Alicja Pniewska, ma problem z brakującym podpisem. Za chwilę pani wyjaśni szczegółowo, o co chodzi. Proszę jej sprawę załatwić w trybie pilnym.

– Oczywiście, panie dyrektorze. – Sekretarka wysłuchała uważnie mojej prośby i poprosiła o piętnaście minut na jej załatwienie.

– Jak ci się podoba moje nowe biuro? – zapytał Paweł.

– Bardzo. Chociaż prędeż bym się tu spodziewała indiańskiego wodza niż ciebie – przyznałam szczerze. – Zostałeś dyrektorem w tym banku? Gratuluję.

– Jak widzisz, wróciłem do żywych i zacząłem od nowa. Myślałem, że się odezwiesz po tym, jak ostatnio widzieliśmy się pod kliniką. Co cię tam sprowadziło?

– Wyobraź sobie, że mam siostrę. Wtedy się potwierdziło, że jest nią naprawdę.

– Robi się ciekawie... – podsumował i rozparł się w fotelu.

– Lepiej powiedz, jak twoje zdrowie?

– Cholerny szczęściarz ze mnie. Kostucha mnie nie złapała. Kto by pomyślał, że taki wredny facet jak ja dostanie drugą szansę, prawda? – stwierdził i radośnie się roześmiał.

– Widzę, że humor ci dopisuje. To dobrze. Przyznam, że gdy widziałam cię ostatni raz w szpitalu tuż przed wyjazdem do Szwajcarii, to bardzo się bałam, czy przeżyjesz. Przepraszam, że jestem taka bezpośrednia.

– I pomyśleć, że nie umiałem cię docenić – powiedział cicho.

– Słucham? – dopytałam, nie do końca rozumiejąc jego słowa.

– Alicjo, czy jesteś szczęśliwa? – zapytał wprost.

– Trudne pytania zadajesz. Ale okay, odpowiem. Tak, jestem szczęśliwa i wreszcie żyję tak, jak tego chciałam – wyznałam i poczułam wielką ulgę, że te słowa wreszcie padły.

Paweł wyglądał na mniej zadowolonego. Niezręczną chwilę przerwała sekretarka, przynosząc dokumenty, na których zostawiłam wymagany podpis. W pośpiechu wyszłam z jego biura i postanowiłam nigdy tu nie wracać. Cieszyłam się, że pokonał raka i może ułożyć swoje życie na nowo. O naszym spotkaniu szybko zapomniałam, wpadając w wir codziennych obowiązków.

Nastał ciepły początek kwietnia, a wraz z nim przysłała Wielkanoc. Miałam więcej czasu niż zazwyczaj i mogłam z przyjemnością podjąć się świątecznych przygotowań. I tym razem w starym domu mieli pojawić się liczni goście, zatem zakasałam rękawy i razem z babcią Jasią wzięłyśmy się do pracy. To był niezwykle tydzień. Sam fakt, że będą to kolejne rodzinne święta, sprawiał, że nic więcej nie miało znaczenia.

Odkąd przeprowadziłam się do Pniewa, na dobre weszłam w świat regionalnej

kuchni. Owszem, przy dużym wsparciu babci Jasi i pani Irenki, ale byłam już w stanie przygotować mnóstwo oryginalnych potraw. Najlepiej wychodzi mi zupa grzybowa po kurpiowsku, gęś pieczona z jabłkami, rejbak, czyli baba ziemniaczana, żur kurpiowski oraz fafernuchy! Ależ jestem z siebie dumna! Czuję się prawdziwą gospodynią! A gospodini to ktoś niezwykle ważny – zarządza, planuje i sprawia, że cały dom jest przyjazny dla innych.

Dzieci przez cały tydzień chodziły na zajęcia do Kuźni Kurpiowskiej, gdzie przygotowały pisanki z włóczki i sitowia, kwiaty z bibuły i wiele innych dekoracji. Dzięki nim cały dom nabrał świątecznego charakteru.

Z jeszcze większym zapałem dzieci przyłożyły się do przygotowania święconki. Dumnie zaniósł ją w sobotę do kościoła i potem nie mogły się nacieszyć, że pośród innych to właśnie ich była najładniejsza.

W Niedzielę Wielkanocną poszliśmy rano na mszę rezurekcyjną. Dzieci nie mógł ominąć udział w procesji wokół kościoła, która przypominała barwne przedstawienie w teatrze. W promieniach kwietniowego słońca kobiety i mężczyźni ubrani w tradycyjne kurpiowskie stroje wyglądali niezwykle dostojnie. Obok nich szli strażacy w odświętnych mundurach. Wszystkich zebranych rozpieszczała duma, że mogą być częścią tego święta i wspólnie cieszyć się nadejściem coraz bardziej słonecznych dni.

Biesiadowaliśmy, jak na prawdziwe święta przystało. Przy naszym stole odbyły się niezliczone rozmowy, nie zabrakło żartów, refleksji. I wspomnień. Tych było szczególnie dużo. Wreszcie opowiedzieliśmy wszystkim, jak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Adamem. Ale mieli miny! Kto by pomyślał, że wypadek na krzyżówkach będzie początkiem naszej miłości, a powrót do starego domu początkiem nowego życia.

Patrzyłam na swoją rodzinę i dziękowałam losowi, że to wszystko mi się przydarzyło. Kochający mężczyzna, dzieci i dom, w którym odnalazłam spokój.

Najpiękniejszych chwil w życiu nie da się zaplanować. One przychodzą same. Ważne, by je odnaleźć w codzienności. Życie jest za krótkie, by odkładać wszystko na później. Jeszcze niedawno zupełnie o tym nie pamiętałam. A teraz? Umiem zawalczyć o siebie, swoją rodzinę i nasze szczęście. Z życia każdy ma tyle, ile sam będzie miał odwagę wziąć. Więc biorę pełnymi garściami.

Świadek niemożliwego

Pani Matylda Beck na wieść, że ktoś jej poszukuje, i to jeszcze w sprawie wydarzeń sprzed kilkadziesiąt lat, od razu zgodziła się na spotkanie. Dodzwoniłam się do domu opieki, w którym aktualnie przebywa. Jego dyrektorem był syn pani Matyldy. Podkreślił co prawda, że jego mama jest schorowaną staruszką zbliżającą się do setnych urodzin, ale z wielką przyjemnością podejmuje u siebie miłych gości. Poprosił jedynie o wyjaśnienie, kim jestem i co mnie łączy z jego mamą. Powiedziałam, że mój dziadek przebywał razem z panią Matyldą w obozie zagłady Stutthof.

Jonas i ja jechaliśmy do Legionowa pełni nadziei, że przed nami otwiera się całkiem nowy etap sprawy dokumentów sprzed lat. Intuicja podpowiadała mi, że spotkam osobę, która nie dość, że razem z moim dziadkiem była w obozie, to jeszcze mogła być

świadkiem ratowania przez niego i Elizabeth polskich dzieci. Obawiałam się jedynie, że nasze spotkanie i wywołane nim emocje wpłyną niekorzystnie na panią Matyldę. Jak zwykle martwiłam się niepotrzebnie. Przywitał nas Stefan Beck, jej syn, i przyznał, że jego mama cały dzień o niczym innym nie mówiła, jak tylko o tym, że czeka na ważnych gości. Do tego nakazała mu zamówić najlepsze ciasto w mieście.

W skromnym pokoju czekała na nas staruszka z tak serdecznym uśmiechem, że trudno byłoby go nawet opisać. Speszona poprawiała ciągle włosy spięte w delikatny kok. Wstała z łóżka i podeszła, by mnie ucałować jak córkę.

– Wnuczka Jana! Coś nieprawdopodobnego! – powiedziała na przywitanie. W jej oczach dostrzegłam życzliwość. – Uwielbiałam go! Miał w sobie radość życia! Dzięki niemu tamte dni w obozowym piekle były bardziej znośne. A i żartować lubił! Ile to razy podsłuchiwał niemieckich żołnierzy, by potem psuć ich plany. Niesamowity to był człowiek!

– Wszystko pani pamięta... – powiedziałam wzruszona, a pani Matylda jeszcze mocniej mnie przytuliła.

– Dziecko drogie, każdą sekundę pamiętam. I mówię o tamtych strasznych dniach, by ludzie wiedzieli, co żeśmy przeszli. Nikt o tym nie może zapomnieć.

– Mam dla pani jeszcze jedną miłą wiadomość. Przyjechał ze mną ktoś bardzo ważny.

Pani Matylda usłyszawszy to, badawczo spojrzała na Jonasa, który do tej pory stał za mną.

– Nie znam pana – powiedziała z niepokojem.

– To jest Jonas Klein, wnuk Elizabeth Bauer, która razem z panią... – Chciałam jej wszystko wyjaśnić, ale po chwili okazało się to niepotrzebne.

– Matko kochana! Wnuk Elizabeth? Niesłychane! – Przyłożyła dłonie do swoich ust.

Dawno nie czułam się tak dobrze w czyimś towarzystwie. Pani Matylda Beck mnie oczarowała. Chciało się nieustannie słuchać jej opowieści. A mówiła pięknie. Pod tym względem przypominała mi dziadka. Sama zresztą bardzo dużo o nim mówiła. I o Elizabeth. Wyznałam jej szczerze prawdę o odnalezionych dokumentach i o tym, że czasami mam wątpliwości, czy podjęta przez mojego dziadka i Elizabeth decyzja o ratowaniu dzieci była dobra. To znaczy, na pewno taka była. Ale przecież tyle osób przez całe życie nie znało prawdy o swoim pochodzeniu.

– Dobry z ciebie człowiek, dlatego masz takie myśli – przyznała pani Matylda.

– Nie wiesz, jak tam było, jakie to były czasy i ludzie, których nie można nazwać bliźnimi. Wszystkim nam było tam bardzo źle. Piekło to dobre słowo na opisanie tego miejsca. Ale najgorzej miały dzieci. Sama podróż do obozu była dla wielu z nich przystankiem do śmierci. Przyjeżdżały głodne, wyziębione, chore.

– Nie miały szans na przeżycie – dopowiedziałam przygnębiona.

– Starsze dzieci nadawały się do pracy. A jak nie, wiadomo, co się z nimi działo. Najcenniejsze były najmłodsze dzieci, które miały nordycki wygląd. Tyle dzieci wtedy porwali. Zabierali je matkom zaraz po przyjeździe.

– Nie mówi się o tym za wiele – przyznał Jonas. – Babcia opowiadała mi, że dzieci

traktowano tak, jakby ich tam nie było. Chyba że przydawały się do pracy. Wspominała też, że dzieci były wykorzystywane do eksperymentów medycznych.

– Zgadza się. Najczęściej najmłodsze. Nie nadawały się do pracy, ale były cenne dla personelu szpitala – opowiadała z żalem pani Matylda.

– Elizabeth i mój dziadek chcieli im pomóc i uchronić przed śmiercią – stwierdziłam.

– Tak, pomogli też mojej córce. – Na te słowa pani Matylda wbiła wzrok w podłogę. Spokojne dotąd dłonie zaczęły się trząść.

– Przepraszam... Nie powinniśmy tak pani przemęczać. Może porozmawiamy o tym innym razem? I tak jesteśmy bardzo wdzięczni, że zgodziła się pani z nami spotkać. Mamy czas na jeszcze wiele rozmów.

– Nie chcemy pani zasmucać. Owszem, ta sprawa nas interesuje. Ale pani zdrowie jest najważniejsze – dodał Jonas.

– Nie, wszystko w porządku, już jest dobrze – uspokoiła nas pani Matylda. – Czasami tylko na samo wspomnienie tamtych dni nachodzi mnie straszny smutek. Ale to już przeszłość. Ja i moja córka przeszliśmy w życiu wiele złego. Ale dane nam było się odnaleźć. Kocham ją nad życie. Chociaż do końca moich dni będę żałowała lat, które nam zabrano.

– Czy opowie nam pani swoją historię? – zapytał Jonas.

– Kiedyś myślałam, że zabiorę ją do grobu. Bo i po co rozdrapywać stare rany? Ale potem, gdy odnalazłam swoją córkę, już wiedziałam, że muszę mówić o tamtym nieszczęściu jak najwięcej. By ludzie nie zapomnieli. By piekło, przez które przeszliśmy, już nigdy się nie powtórzyło.

– Chcemy zadbać, by pamiętano waszą historię. To wam się zwyczajnie należy. Jak pani trafiła do obozu i poznała mojego dziadka?

– To były dosłownie chwile. Najpierw łapanka. Potem jazda pociągiem towarowym. Jak było? Brud, zimno, choroby. I ja. Dwudziestotrzyletnia kobieta w zaawansowanej ciąży. Był rok czterdziesty czwarty. Wtedy już dawno było wiadomo, że naziści zbudowali obozy zagłady i chcą zniszczyć nasz naród. Jechałam na pewną śmierć.

– Nosząc pod sercem dziecko... – dodałam zamyślona.

– Nie trafiłam do komory gazowej chyba przez pomyłkę. Albo to był cud. W tamtej chwili nie miało to znaczenia. Jeden ze strażników zapytał, czy to prawda, że jestem pielęgniarką. Potwierdziłam. Zaprowadził mnie do szpitala i powiedział, że tu będę pracować. Potrzebowali personelu.

– Pojawiła się też nadzieja na przeżycie – stwierdził Jonas.

– Wtedy jeszcze nie. Już pierwszego dnia dostałam gorączki. Trwała kilka kolejnych dni, z których nie zapamiętałam ani sekundy. Czuwała wtedy nade mną niezwykła kobieta. Podała leki, które uratowały mi życie. To była właśnie Elizabeth. Tak się poznałyśmy.

– Początek znajomości. A może nawet przyjaźni? – dopytałam z ciekawości.

– Tak, tak... Dostałam od niej wiele dobra. Chociaż czekała nas trudna decyzja. Wiedziałam doskonale, że nawet jeżeli moje dziecko urodzi się zdrowe, to i tak je zabiją,

a mnie wmówią, że zmarło zaraz po porodzie. Chciałam je ocalić. Poprosiłam o pomoc Elizabeth. Rozumiała mnie jak nikt inny. Sama też była w trudnej sytuacji. W zaufaniu wyznała mi, że również spodziewa się dziecka.

– Po upadku obozu urodziła zdrowego syna. To był mój ojciec – wyjaśnił Jonas.

– O tym dowiedziałam się dopiero po kilkudziesięciu latach – przyznała zasmucona pani Matylda. – Wtedy liczyło się dla mnie tylko to, by ocalić moje dziecko. Elizabeth wyznała, że może mi pomóc w jeden sposób. Oddać je niemieckiej rodzinie.

– Rozwiązanie równie tragiczne, jak i wszystkie pozostałe. Nie sposób sobie wyobrazić, co też pani wtedy musiała czuć. – Tak bardzo jej współczułam!

– W pierwszej chwili tak pomyślałam. Byłam na nią zła, że zaproponowała mi coś takiego. Ale potem przyszło opamiętanie. Liczyło się tylko życie mojego dziecka. Elizabeth nic innego nie mogła zrobić. Wszyscy patrzyli jej na ręce, była pod ciągłą obserwacją. Jej mąż był potworem i za każdy fałszywy ruch groziła jej śmierć.

– Wiele razy opowiadała mi, jak bardzo czuła się czasem bezsilna – dodał Jonas.

– Jej było tak samo ciężko jak i nam. Doskonale pamiętam noc porodu. Był bardzo deszczowy wrzesień. Tamtej nocy zarządzono w szpitalu kwarantannę. Mnie odwieziono do izolatki. Tam w obecności Elizabeth urodziłam dziewczynkę. Widziałam ją przez kilka sekund. Była piękna. Elizabeth okryła ją ręcznikami i wzięła na ręce. Przy drzwiach zatrzymała się i zapytała, jakie imię wybrałam dla małej. Odpowiedziałam, że Helenka. Wtedy myślałam, że już nigdy nie zobaczę swojego dziecka. Nie wierzyłam, że przeżyję obóz. To graniczyło z cudem. Ale byłam spokojna, że moje dziecko będzie żyć. Tylko to się liczyło – wyznała, a po jej policzkach popłynęły łzy.

– Pani Matyldo, przełożmy rozmowę na inny czas. Jest już pani bardzo zmęczona, a my nie chcemy dokładać pani kolejnych zmartwień. – Zrobiło mi się głupio, że zmuszamy ją do przywołania bolesnych wspomnień.

– Nie, już jest dobrze. Chcę wam wszystko opowiedzieć. Zaraz po porodzie kazano mi wykonywać w szpitalu różne prace. Nie widziałam Elizabeth przez kilka dni. Martwiłam się o nią i o moje dziecko. Poszłam do jej ogrodu. Tam spotkałam Jana Pniewskiego. Powiedział, że moja córka jest bezpieczna i ma już nowy dom. Zdradził mi, że od teraz nosi inne imię i nazwisko. Nie chciał jednak zdradzić jakiegokolwiek szczegółu.

– Dziadek tłumaczył dokumenty, podrabiał akty urodzenia. Niedawno je odnaleźliśmy u mnie w sadzie, zakopane pod jabłonią. Mamy listę dzieci, którym Elizabeth i Jan pomogli.

– Pośród tych nazwisk znajdziecie i moją córkę. Dzięki nim przeżyła.

– Czy babcia mówiła coś więcej o tym, gdzie przebywają dzieci? – dopytywał Jonas.

– Nie zdążyła. Nagle ogłoszono kapitulację obozu. Wszystko działo się w wielkim pośpiechu. Chorych zostawiono w szpitalu. Naziści uciekali w popłochu. Nie wiedziałam, co mam robić. Wtedy pomógł mi jeden z niemieckich poruczników. Sama nie wiem dlaczego.

– Pośród nich także byli ludzie o wielkich sercach. Nie nam ich oceniać – powiedziała w zamyśleniu. Jonas odetchnął głębiej.

– Nocą zawiózł mnie daleko za obóz. Dał trochę pieniędzy i zostawił samą na pustej

drodze. Wtedy myślałam, że moje życie zaraz się skończy. Ale to był nowy początek. Nad ranem znalazł mnie w lesie pewien mężczyzna. Również dzięki niemu żyję. Był Niemcem, ale i człowiekiem o złotym sercu. Widział, że bardzo cierpię. O nic nie pytał. Zabrał mnie do domu, gdzie opiekował się chorą matką. Pomagałam mu w zamian za dach nad głową i jedzenie. Myślałam o Janie i Elizabeth. Miałam nadzieję, że przeżyli. Dzięki nim w obozie poznałam smak prawdziwej przyjaźni. Moja córka żyła i to było dla mnie najważniejsze – powiedziała Matylda radośnie i spojrzała w stronę półki, na której stało zdjęcie uśmiechniętej kobiety.

Rozdział III

*O przeszłości pełnej trudnych wyborów, dziwnych roszczeniach rozgniewanej matki,
wzruszającym liście
i ciągłych zrzędzeniach losu*

Historia niezwykłej kobiety

Za oknem słychać było szum wiatru. Zbliżał się wieczór. W pokoju panował półmrok. Na podłodze stała niewielka lampka. W jej świetle twarz pani Matyldy wyglądała na jeszcze bardziej spokojną. Wpatrywałam się w nią, chcąc dostrzec ślady doświadczeń, z jakimi przyszło się jej zmierzyć. Zmarszczki, plamy na policzkach, okalające czoło siwe włosy. I oczy. Tylko one są niezmiennie. Tak samo ciekawe świata i ludzi jak kilkadziesiąt lat temu.

Siedzieliśmy z Jonasem zasłuchani w niezwykłą historię. O życiu, przyjaźni, sile marzeń i przeznaczeniu, które upomina się o człowieka każdego dnia. Na chwilę staliśmy się częścią tej historii. Przenieśliśmy się w czasie do nieznanym nam miejsc, innego świata, znaleźliśmy się pośród zupełnie obcych ludzi. Każde kolejne słowo pani Matyldy było dla nas na wagę złota.

– Nazywał się Janis Beck. Był robotnikiem w fabryce maszyn. Zaopiekował się mną. Od tamtej pory byliśmy nierozłączni. Pomagałam mu w prowadzeniu domu i opiekowałam się jego schorowaną matką. Zakochaliśmy się w sobie. Trzy lata po wojnie wzięliśmy ślub. Zapytał, czy chciałabym mieć dziecko. Wtedy szczerze mu wyznałam, że już jedno mam. Poznał moją historię. Bardzo mi współczuł i obiecał, że kiedyś odnajdziemy moją córkę.

– Trafiła pani na bardzo dobrego człowieka – przyznałam zamyślona.

– Miała pani tak samo duże szczęście jak moja babcia. Gdy po wojnie wróciła do Berlina, poznała Jakoba Kleina, wyszła za niego za męża. Przy nim zaznała i spokoju, i miłości, której tak bardzo jej brakowało – tłumaczył Jonas.

– Wiele razy o niej myślałam. Nie było dnia, bym nie wspominała jej dobroci. Modliłam się do Boga, by jeszcze kiedykolwiek sprowadził nas na wspólną drogę. Wierzyłam mocno w to, że przeżyła obóz. I jej dziecko też.

– Wcześniej na to nie zwróciłem uwagi, ale babcia kilka razy wspominała kobietę, z którą zaprzyjaźniła się w szpitalu. Teraz wiem, że mówiła o pani. – Na słowa Jonasa pani Matylda jakby się ożywiła. Jej oczy nabrały blasku. Uśmiechnęła się.

– Pamiętała mnie... – powiedziała ściszym głosem. – Na szczęście Bóg wysłuchał moich modlitw i stało się to, czego tak wyczekiwałam.

– Spotkałyście się ponownie? – zapytałam ciekawa jej dalszych losów.

– Nie tak szybko, jak bym tego chciała. Skupiłam się na swoim życiu. Mijały lata, urodził nam się syn Stefan. Wciąż jednak myślałam o swojej córce. Szukałam jej

wszędzie. Mąż się zaczął na mnie denerwować, a zarazem martwić, bo to była moja obsesja. Wydawało mi się nieraz, że widzę ją na ulicy, że spogląda na mnie zza szyby. Wyobrażałam ją sobie.

– I miała pani pewność, że córka żyje. To był wystarczający powód, by cały czas jej szukać – przyznałam pełna podziwu dla pani Matyldy. Wyobrażałam sobie, jak trudno było jej przetrwać rozłąkę z własnym dzieckiem.

– Szukałam jej na wiele sposobów. Chociaż wtedy nie było jeszcze instytucji, do których można było się zgłosić po pomoc. Zwyczajnie przeglądałam gazety, kroniki, mając nadzieję, że trafię na chociaż najmniejszy jej ślad.

– Aż wreszcie wydarzyło się coś, co pomogło pani odnaleźć córkę? – zapytał Jonas.

– Ludzkie życie jest bardzo przewrotne... – odpowiedziała z nostalgią w głosie pani Matylda. – Potrafi zaskoczyć. Czasami wystarczy jedna chwila, by coś, co jest naszym największym utrapieniem, stało się powodem do radości.

– Spotkała pani moją babcię – stwierdził Jonas.

– Pamiętam doskonale tamten okres. Po wojnie mój mąż ciężko pracował w fabryce w Berlinie. Po jakimś czasie dostał awans, potem kolejny, aż został kierownikiem. Pewnego dnia poszliśmy na przyjęcie z okazji otwarcia nowej fabryki. Jej właścicielem był niejaki Klein.

– Mój przybrany dziadek? – dopytał Jonas.

– Gdy weszłam na przyjęcie, nogi się pode mną ugięły. Poznałam ją. Elizabeth. Była żoną Jakoba Kleina. Ona też mnie poznała. Stałyśmy naprzeciwko siebie. Wokół grała piękna muzyka. A my patrzyłyśmy na siebie tak samo jak za pierwszym razem w obozowym szpitalu. Oszołomione spotkaniem, a zarazem bardzo nim wystraszone.

Chciałam sobie to wyobrazić. Dwie kobiety, które przypadkowo spotykają się po latach. Mają wspólną tajemnicę, o której nikt nie wie. Ich udziałem jest zupełnie inne życie niż to, którego doświadczyły w obozie. Mają własne rodziny, są bezpieczne. Przychodzi im się ponownie zmierzyć ze wspomnieniami oraz podjąć decyzję, co należy dalej zrobić.

– Elizabeth dała mi znak, byśmy do siebie nie podchodziły. Posłuchałam jej – opowiadała dalej pani Matylda. – Przy pierwszej sposobności wzięła mnie na stronę i powiedziała, że musimy udawać, że się nie znamy. Umówiłyśmy się następnego dnia na spotkanie, o którym nikt nie mógł się dowiedzieć. Nawet nasi mężowie.

– Była ostrożna, bała się popełnić najmniejszy błąd – zauważyłam trzeźwo.

– Gdy wróciłam do domu, mąż zapytał, skąd znam żonę Kleina. Na szczęście przyjął tłumaczenie, że to była przypadkowa rozmowa. Potem zaczęłam się obawiać samej Elizabeth.

– Dlaczego? – dopytałam zdziwiona.

– Wystraszyłam się, że nie będzie chciała ze mną rozmawiać albo w ogóle nie przyjdzie. Myślałam się, była tak samo serdeczna jak kiedyś. Cieszyłyśmy się, że możemy ponownie się zobaczyć. To spotkanie było dla nas wielką nagrodą.

– Zaprosiła panią do swojego domu? – zaciekawił się Jonas.

– Skąd! To by oznaczało problemy – obruszyła się pani Matylda. – Spotkałyśmy się w siedzibie stowarzyszenia, w którym Elizabeth udzielała się społecznie. Tam

przychodziło mnóstwo ludzi. Wyglądałam na kolejną biedną matkę w potrzebie. Elizabeth od razu powiedziała, że przeszłość musi zostać zamknięta, bo wciąż niesie wielkie niebezpieczeństwo. To były bardzo niepewne czasy. Nie było wiadomo, kto jest kim i jakie to może stworzyć problemy.

– Ale pani chciała się czegoś dowiedzieć? – zapytałam nieśmiało.

– Powiedziałam jej od razu, że chcę odnaleźć swoją córkę. Nie była zdziwiona, wręcz przeciwnie. Przyznała, że przez te wszystkie lata myślała o mnie.

– A pani miała nadzieję, że Elizabeth wie, jak dalej potoczyło się życie dzieci, którym razem z Janem uratowali życie – stwierdził Jonas.

– Mówiła, że mimo wszystko ma wyrzuty sumienia. Owszem, uratowała wiele dzieci, ale dręczyły ją myśli, że nigdy nie poznają swojego prawdziwego pochodzenia. Powiedziała, że mi pomoże. Kazała czekać.

– Widzisz Jonas, twoja babcia myślała podobnie jak my. Mój dziadek też na pewno miał takie obawy. Boimy się tego, co wydarzy się po ujawnieniu treści dokumentów, a z drugiej strony dręczy nas myśl, że ktoś przez nasz dziwny lęk nigdy nie dowie się, kim tak naprawdę jest – powiedziałam to głośno i wreszcie dotarło do mnie ostatecznie, czego tak naprawdę się boję.

– Elizabeth też się bała. Dni mijały, a ja nie miałam od niej żadnych wieści. Przyszło mi na myśl, że nie chce mieć ze mną kontaktu. Po jakimś czasie odezwała się i stwierdziła, że moja córka też mnie szuka. To był dla mnie szok.

– Szukała pani? – zdziwiłam się.

– Tak, przez wiele lat. Dowiedziała się od swoich rodziców, że jest dzieckiem adoptowanym. Nie chcieli ukrywać prawdy. Zgłosiła się do polsko-niemieckiej fundacji „Zapomniane korzenie”. Zajmuje się pomocą tym, których podczas wojny rozdzielono z rodzinami. To był początek działalności takich instytucji. Było jeszcze coś, co znacznie ułatwiło zadanie. Moja córka od swoich adoptowanych rodziców dowiedziała się, jakie nosiła imię i nazwisko, zanim do nich trafiła.

– Po nitce do kłębka... – Nie mogłam uwierzyć w to, jak wiele musi czasami przejść człowiek, by dotrzeć do prawdy. Nawet tej o swoim prawdziwym pochodzeniu.

– Fundacja wszystkim się zajęła. Wciąż tak wyraźnie widzę dzień, kiedy przyjechała do nas pewna kobieta. Przedstawiła się jako prezes fundacji. Nie wiedziała, od czego zacząć. Ale serce matki jest czujne. Byłam pewna, że chodzi o moją córeczkę. Wreszcie padły słowa, że się odnalazła i ma się dobrze! Moje dziecko żyło! Nic więcej dla matki się nie liczy.

– A Elizabeth? Miała swój udział w waszym spotkaniu? – dopytywałam.

– Tak. Pomogła wszystko zorganizować. To był początek lat osiemdziesiątych. Wtedy razem z mężem mieszkaliśmy od kilku lat pod Szczecinem. Chciałam żyć w Polsce. Przejazd przez granicę był wielkim wyzwaniem. Nie to, co teraz. Bardzo pomogła fundacja, która nawiązała współpracę ze stowarzyszeniem, w którym działała Elizabeth. Wreszcie dostałam informację, że będę mogła się zobaczyć z moją córeczką.

– Aż trudno wyobrazić sobie, co wtedy musiała pani czuć – stwierdziłam zatroskana.

– To była dla mnie wielka radość. Do dziś pamiętam nasze spotkanie. Był początek

września i tak samo jak w dniu porodu w obozowym szpitalu, strasznie padał deszcz.

– Historia lubi się powtarzać... – powiedziałam zamyślona.

– Ludzkie losy są nie do opowiedzenia. Ja i moja córka jesteśmy tego przykładem. Elizabeth umówiła nas w parku. Przez pierwsze pół godziny żadna z nas nie powiedziała ani słowa. Były tylko łzy i trzymanie się za ręce. Dla mnie liczyło się tylko to, że moja córka żyje, że żyje dzięki Elizabeth. I dzięki Janowi. W naszym życiu zdarzył się cud – powiedziała to z taką radością, że wreszcie dostrzegłam, jak wielka rzecz wydarzyła się tamtej nocy w szpitalu, gdy Matylda oddała Elizabeth swoją córkę. To był prawdziwy cud. Cud miłości matki do dziecka i wielka nadzieja, że ono przeżyje.

– Jaka ona jest? Jaka jest pani córka? – zapytałam niezwykle ciekawa.

– Już wtedy była dojrzałą kobietą, miała własną rodzinę. Nazywa się Irma Krause. Mam dzięki niej dwie wnuczki, Ellen i Ester, dziś już są dorosłe, mają własne życie. Mówią do mnie „babciu”. – Uśmiechnęła się na ich wspomnienie

– Poznała pani ludzi, którzy przyjęli Irmę do siebie i wychowali? – zapytał Jonas.

– Tylko matkę... przyrodnią matkę. Helen Krause. To była dobra kobieta o wielkim sercu. Zmarła po trzech latach od naszego spotkania, a jej mąż odszedł dosłownie rok przed nią. Poprzez modlitwę staram się spłacić dług, jaki mam wobec nich. Dobrze wychowali moją córkę. Kochali ją całym sercem.

– Gdzie teraz jest pani córka? – zapytałam nieśmiało, bo najchętniej spotkałabym się z nią natychmiast.

– Mieszka w Niemczech, ma rodzinę, szczęśliwy dom. Nie chciała przeprowadzić się do Polski. Tam jest jej miejsce, tam się wychowała, więc mnie to nie dziwi. Mój mąż zmarł piętnaście lat temu. Po jego śmierci wolałam zostać tu. Wiadomo, starych drzew się nie przesadza. Mój syn jest właścicielem tego domu opieki. Mam tu spokój. Z córką widuję się raz w miesiącu, przyjeżdża do mnie. Mamy ze sobą wspaniałe relacje i nadrabiamy stracony czas. Muszę jej jeszcze tyle opowiedzieć i upewnić się, czy wybaczyła mi to, że ją oddałam – wyznała w zamyśleniu.

Chodząca afera

Jeżeli miałabym wskazać największego hipokrytę na świecie, to byłaby to niewątpliwie Joanna. Zabranie Rozalki bez zgody Adama do kawiarni nazwała drobnym epizodem, z powodu którego, oczywiście dla dobra dziecka, nie powinni się kłócić. Dodatkowo chciała sprzedać Adamowi bajeczkę, że mężczyzna, który jej wtedy towarzyszył, to dobry kolega z pracy. Po prostu się przyjaźnią.

Jakby tego było mało, znowu przyjechała do Adama z propozycją, by dla dobra Rozalki spróbowali odbudować swój związek. Tym razem byłam spokojna. Adam kategorycznie odmówił i postawił jej ultimatum: albo na spokojnie wezmą rozwód i podzielą się opieką nad córką, albo czeka ich sądowa batalia. Zasugerował też, że w przypadku wojny na jaw wyjdzie cała przeszłość Joanny i sąd zobaczy, jaką była matką. Przyznam szczerze, że pierwszy raz widziałam Adama tak nieprzejednanego. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie, ale też uświadomiło mi, że jeśli trzeba, to jest w stanie zrobić wszystko, by nasz związek przetrwał największe burze. To był dla mnie jasny sygnał, że

Adam nic już do niej nie czuje. Po tej rozmowie Joanna porzuciła pozory dobrej woli i pokazała prawdziwe intencje.

– Możemy iść do sądu, nie będziesz mnie tym straszyl.

Tamtego dnia przyjechała do starego domu. Siedzieliśmy z Adamem na werandzie. Od razu przeszła do ataku.

– Bardzo się cieszę, że wreszcie tak świetnie się dogadujemy – zakpił Adam.

– Znam cię zbyt dobrze. Możesz ukrywać, jaki jesteś naprawdę. Może i twoja narzeczona się na to nabiera, ale ja nie – rzuciła złowrogo. Chciała mi dopiec.

– O mnie nie musi się pani martwić. Nie krzywdzę ludzi – odpowiedziałam spokojnie.

– Moja córka nie będzie mieszkała w tej zapyziałej dziurze i chałupie! – krzyknęła.

– Ta zapyziałą dziurą, jak to pani mówi, i ta chałupa były domem dla pani córki wtedy, gdy ważniejsze były dla pani inne sprawy niż opieka nad dzieckiem – odpowiedziałam.

– Alicjo, spokojnie. – Adam chwycił mnie za rękę. – Rozmowa z nią to jak kopanie się z koniem. Nie wygrasz. Szanowna pani zawsze musi mieć rację.

– Jedynym moim problemem zawsze byłeś ty. Wszyscy mi odradzali wyjście za ciebie za męża. Mieli rację. Poraziła mnie twoja nieporadność. Nawet pieniędzy nie umiałeś zarobić. Wszystko było na mojej głowie! – Joanna zacietrzewiała się coraz bardziej.

– Uważaj, co mówisz! – zdenerwował się Adam. Mocniej ścisnęłam jego dłoń.

– Małżeństwo z tobą to była moja największa życiowa pomyłka! Dałam ci dziecko! A ty wolałeś te swoje głupie rzeźby! A teraz co? Narzeczona chce ci wlepić cudzego dzieciaka? – powiedziała z ironią i spojrzała na mnie nienawistnie.

– Wynoś się stąd i więcej nie wracaj! Jesteś chora! – krzyknął Adam.

Potem nie było wcale lepiej. Joanna nie odpuszczała. Na domiar złego postawiła ostre warunki rozvodu i opieki nad Rozalką. Uznała, że zostawi ją pod opieką Adama tylko i wyłącznie wtedy, gdy będzie mogła ją odwiedzać w każdej wolnej chwili, a do tego często zabierać do siebie. Także na noce, wspólne wyjazdy i wakacje. Zażyczyła sobie warszawskiego mieszkania, które kupili po ślubie. Adam był w stanie zgodzić się na wiele, ale nie na to, by Joanna tak często zabierała do siebie Rozalkę. Liczył na pomoc Maćka. Niestety ten ochłodził nieco jego zapał.

– Czyli ona może tego żądać? – pytał zdziwiony Adam.

– Nie możesz jej tego zabronić. Pamiętaj, że mimo wszystko ma taki sam zakres władzy rodzicielskiej jak ty – tłumaczył spokojnie Maciek.

– Co za system! Mamuśka zostawia swoje dziecko na kilka lat, potem wraca jak gdyby nigdy nic i okazuje się, że ma prawo robić, co chce!

– Nie, co chce, ale to, na co pozwala jej prawo. Przed sądem może okazać skruchę i poprosić o danie jej szansy. Z tego, co wiem, ma mieszkanie, pieniądze, więc łatwiej będzie jej udowodnić, że może zapewnić córce jak najlepsze warunki życia.

– To co? Mam jej oddać córkę i udawać, że nic się nie stało? – Adam był coraz bardziej zdenerwowany. Zbyt dużo kosztowała go ta sprawa.

– Adasiu, proszę, uspokój się. Trzeba się zastanowić nad najlepszym wyjściem. Nie

ma mowy, żebyś oddawał jej Rozalkę. Ale w zamian musisz przystać na jakieś jej warunki – mówiłam z nadzieją, że Maciek za chwilę podsunie dobre rozwiązanie.

– Czyli co mam zrobić?

– Na twoim miejscu przystałbym na jej warunki. Może nie na wszystkie. Musisz się z nią spotkać i ustalić plany dotyczące wychowywania Rozalki. Czyli na przykład, w jakie dni Joanna może do niej przyjechać w odwiedziny, a kiedy zabrać ją do siebie. Możesz zaproponować, że to będzie jeden weekend w miesiącu. Zastrzeżesz sobie, że musi cię powiadamiać o swoich planach, czyli gdzie będą przebywać i co będą robić.

– To pomoże? – zapytał zrezygnowany Adam.

– Na pewno pozwoli mieć nad nią pewną kontrolę. Jak się dogadacie, to rozwód dostaniecie na pierwszej rozprawie. Gotowy plan wychowawczy oznacza, że się zgadzacie co do opieki nad córką. Zazwyczaj sędziowie się przychylają do porozumienia rodziców.

– To plus. Czas. Nie trzeba będzie walczyć latami – podsumowałam myśl Maćka.

– I oszczędzę nerwów Rozalce. – Adam postanowił zawrzeć z Joanną ugodę.

Od Maćka wróciliśmy w nie do końca dobrych humorach. Adam dołożył drewna do kominka i otworzył butelkę czerwonego wina. Takie małe pocieszenie.

– Czasami to najlepszy sposób na smutki – stwierdził i podał mi kieliszek.

– Bardzo pozorny, smutki może i miną, ale problemy zostaną. Dlaczego nie może być tak, że człowiek ma po prostu święty spokój? – zapytałam i położyłam głowę na ramieniu Adama. Siedzieliśmy na kanapie przy kominku. Otaczał nas półmrok i cisza. Dzieci były pod opieką babci Jasi i pani Irenki. Razem piekli ciastka.

– Byłoby za prosto. Masz rację, jak nigdy wcześniej przydałby się nam święty spokój.

– Wiesz, zastanawia mnie coś – wtrąciłam niepewnie.

– Co takiego?

– Mam wrażenie, że Joanna czuje się bardzo skrzywdzona – wyznałam szczerze.

– Kochanie, chyba nie wierzysz w te wszystkie bzdury, które Joanna mówi o mnie i naszym małżeństwie? – zapytał. Delikatnie chwycił mnie za podbródek, bym spojrzała mu prosto w oczy. Dostrzegłam w nich zakłopotanie.

– Nie, nie chodzi o to. Ona zwyczajnie nie widzi w tym wszystkim swojej winy. Oskarża ciebie, mnie, cały świat. Była aż takim ideałem?

– Co jak co, ale do ideału było jej bardzo daleko – stwierdził z przekąsem Adam.

– Przepraszam, że o to zapytam. Nigdy o tym tak na poważnie nie rozmawialiśmy. Jakie było wasze małżeństwo? Nie obraż się, ale ona ciągle źle o tobie mówi.

– Kłamstwem byłoby twierdzenie, że nasze małżeństwo było przypadkiem. Poznaliśmy się na studiach. Najpierw była przyjaźń, potem zakochaliśmy się w sobie. Przynajmniej ja w niej. Wszystko rozwijało się w spokojnym tempie. Razem podjęliśmy decyzję o ślubie.

– Poznajesz kogoś, wydaje ci się, że znasz tę osobę, a potem... – nie dokończyłam.

– Potem przychodzi codzienność i można zapomnieć o tym, co najważniejsze. Pewnie jest w tym trochę mojej winy. Miałem wtedy złoty okres swojej, że tak powiem, kariery. Mnóstwo wystaw, ciągle wyjazdy, nagrody. Joanna nie mogła się wybić. To ją

zniechęcało. Niby mówiła, że nie przeszkadza jej mój sukces, ale teraz wiem, że czuła się odrzucona.

– Narodziny Rozalki wcale nie pomogły? – zapytałam ostrożnie.

– Cieszyła się, że mamy dziecko. Ale też widziałem, jak się poddaje. Owszem, szybko wróciła do pracy stewardesy. Pieniądze dawały jej satysfakcję. Jednak była przygnębiona, nie chciała nigdzie wychodzić. Nawet mówiła, że teraz chce się skupić na rodzinie.

– Aż do tamtego poranka... – stwierdziłam ze smutkiem.

– Jednym zdaniem przekreśliła naszą rodzinę. Zapisaną kartkę. Tyle nam zostawiła. Kilka słów prawdy

Czasu do myślenia o Ewie i jej zamiarach miałam aż nadto. To było całkiem w jej stylu – narobiła zamieszania i przepadła jak kamień w wodę. Wyczekiwałam jakiegoś pozwu, listu z sądu, stu pretensji, a tu nic! Cisza jak makiem zasiał. A ja? Chyba pierwszy raz, odkąd Ewa pojawiła się w moim życiu, zwyczajnie przestałam się o nią zamartwiać. Już nikt nie musiał ciągle mnie przed nią ostrzegać. Sama wreszcie przejrzałam na oczy i coraz mniej podobało mi się to, że Ewa jest dla mnie miła wyłącznie wtedy, gdy czegoś chce. Ja się na to nie piszę. Już nie.

A spadek po ojcu? Po etapie wyrzutów sumienia i przyznawania jej racji przyszedł etap buntu. Nie oddam jej nawet najmniejszej części mojego starego domu! Jest mój, tu się wychowałam i tu zamierzam spędzić szczęśliwą starość. A pieniądze? Jej wuj, matka i ona sama dostali od mojego ojca milion starych złotych. To wystarczyłoby na dwa spadki. Maciej obiecał mi pomoc, jeżeli szanowna siostrzyczka pójdzie do sądu. Tym razem znowu mnie zaskoczyła. Wieści od niej przyniósł sam pan Miecio, nasz kochany listonosz.

– Uszanowanie dla najpiękniejszej mieszkanki Pniewa! – powiedział tak głośno, że aż się przestraszyłam. Zajmowałam się wiosennymi porządkami na rabatce koło werandy. Byłam zaskoczona, że nie słyszałam odgłosów, jakie zazwyczaj wydawał stary rower listonosza.

– Dzień dobry, panie Mieciu. A co to, rower na nowy panu wymienili? – Sama byłam tym niezmiernie zdziwiona, bo co jak co, ale listonosz kochał swój rower nad życie.

– A gdzie tam nowy! Nigdy bym go nie zamienił na żadne tam nowe dziwadła. Chodzi jak w zegarku i do emerytury razem z nim doczekam. Tylko syn mi wszystkie części porządnie naoliwił. Śmiał się, że jak wracałem do domu, to już na krzyżówkach było mnie słychać! – mówił pan Miecio niezwykle radośnie. Życiowej werwy mógł mu każdy pozazdrościć.

– Syn miał rację, wcześniej już od furtki słyszałam pana rower. A teraz? Dziś mnie pan nieźle wystraszył.

– Przynajmniej ludzie przestaną gadać, że mi się rower rozleci ze starości. Ja tam nosa do ludzi i do sprzętów mam. Wiem, co dobre!

– Ma pan rację, panie Mieciu. Przesyłka do mnie jest? – zapytałam rozbawiona tym, z jaką dumą traktuje swój jednośląd.

– O! Bym zapomniał, po co tu przyjechałem! List przynoszę. Od Ewy. Twojej siostry.

– Od Ewy? – zapytałam zdziwiona. Odstawiłam pospiesznie szpadel. Poczułam, że kręci mi się w głowie. Czego może ode mnie chcieć? Znowu jakieś pretensje?

– Ewa Kawalec. Z tego, co wiem, to twoja siostra. O tu, w tym miejscu podpisz.

– Tak, to ona. No nic, za chwilę się przekonam, co u niej słychać.

– Jadę dalej. Jeszcze tylko do końca wsi objadę wszystkie domy i na dziś mam wolne. Moja mamusia powtarzała zawsze, że roboty się nie przerobi. A na stare lata potrzeba odpoczynku.

– Życzę miłego dnia, panie Mieciu. I niech rower służy panu jak najlepiej!

– Będzie dobrze! To sprawdzony sprzęt! Do widzenia! – odpowiedział wesoło i rażnym podskokiem wsiadł na rower. Minał szczyt starego domu i sprawnie zmieścił się w furtce. Jeszcze zdołał odwrócić się w moją stronę i pomachać ręką na pożegnanie.

Zdjęłam rękawice i poprawiłam rozwiane przez wiatr włosy. Kwiecień tego roku nie należał do najcieplejszych. Moje ciało przeszył dreszcz. Ale nie z powodu zimna. Z obawy, co zawiera list Ewy. Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała w swoim życiu, jest konflikt z siostrą, o której istnieniu dowiedziałam się tak niedawno. Bolała mnie sama myśl, że mogłabym ją stracić. Chociaż do siostrzanej miłości było nam daleko.

Usiadłam wygodnie w bujanym fotelu pośrodku werandy i przykryłam się grubym kocem. Przyjrzałam się uważnie kremowej kopercie, na której wyraźnie widniał adres mieszkania Ewy. Okolice Bielan, dokładniej Chomiczówka. A więc to tam teraz mieszka. Ostrożnie otworzyłam list, wzięłam głęboki oddech i spojrzałam na pierwsze zdanie.

Droga Alicjo!

Pewnie powinnam napisać „Droga Siostro”, ale nie czuję się uprawniona, by używać tak wielkich słów. Nie zdziwi mnie, jeżeli po przeczytaniu tego listu po prostu go wyrzucisz i już nigdy więcej nie będziesz chciała mnie widzieć na oczy. Masz prawo być na mnie zła. Jestem najgorszą siostrą na świecie, najgorszą, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. To znaczy mam, ale moja przeszłość nie może być wymówką dla tego, co robię teraz. Przepraszam za nasze ostatnie spotkanie na cmentarzu. To się w ogóle nie powinno wydarzyć.

Byłam wtedy bardzo rozgoryczona, zła i czułam, że moje życie to jedno wielkie kłamstwo. Mój atak był wynikiem mojej bezsilności. Nie kontrolowałam swoich uczuć. To, co kumulowało się we mnie od kilku miesięcy, nagle wybuchło ze zdwojoną siłą. W ramach zemsty chciałam Ci zabrać to, co masz najcenniejszego. Twój stary dom – miejsce, w którym spędziłaś najszcześniejsze lata swojego życia. Ja nie miałam takiego domu. Upomnienie się o spadek miało Cię ukarać. Za to, że miałaś udane dzieciństwo, a ja tego nie doświadczyłam.

Możesz być spokojna. Nie chcę odbierać ci starego domu. Nie będę się upominać

o żaden spadek. Wtedy, na cmentarzu, chciałam, by moje słowa mocno Cię zabolaty. Byś i Ty poczuła, jak to jest bać się o jutro. Szukać ucieczki przed problemami.

Taka właśnie jestem. Ciągłe się boję i ciągle uciekam. Gdy jestem bezsilna, wtedy atakuję. Przed światem mogę stwarzać pozory. Samej siebie nigdy nie oszukam. Mam w sobie przymus walki ze wszystkimi i ze wszystkim. Inaczej nie umiem. Matka mnie tego nauczyła. Przy niej nigdy nie czułam się bezpiecznie.

Pamiętam nasze ciągle przeprowadzki. Od mieszkania do mieszkania, którym bliżej było do ciemnej nory niż miejsca, gdzie można przebywać z dzieckiem. Było to wtedy dla mnie bardzo dziwne. Bałam się nowych domów, nowej szkoły, nowych kolegów. Ciągłe musiałam udawać kogoś, kim nie byłam. To tak, jakbyś codziennie zakładała inną maskę.

Przeważnie oszukiwałam. Wcisnęłam bajeczkę o bogatym tatusiu i mamusi, którzy świata poza mną nie widzą. Często wybierałam najładniejszy dom na przedmieściach i mówiłam w szkole, że tam właśnie mieszkam. Kradłam, by mieć na ciuchy i gadżety, dzięki którym byłam lubiana. Szybko nauczyłam się, że światem rządzi kasa. I postanowiłam zrobić wszystko, by ją mieć. Stąd mój związek z Markiem. Miał kasę, a to wtedy oznaczało, że mogę czuć się bezpieczna. Sama wiesz, że przekonałam się dość szybko, jak złudne były to myśli.

Bałam się matki. Była nieobliczalna. W ciągu godziny potrafiła wyzwać mnie od najgorszych, a zaraz po tym podchodziła, całowała i kazała siebie ukarać. Nie chciałam tego robić. Mimo wszystko była moją matką. Kocham ją i nienawidzę jednocześnie. Czasami mam ochotę wziąć nóż i... tchórzę. Po raz kolejny staję się małą dziewczynką, która patrzy na matkę i jest zupełnie bezbronna.

Przyznam Ci się do czegoś. Kiedy Cię poznałam, miałam tylko jedną myśl. W czym Ty, do cholery, byłaś lepsza, że nasz ojciec wybrał Ciebie, a nie mnie? Czym zasłużyłaś na jego miłość? I wiesz co? Jednocześnie Cię podziwiałam i nienawidziłam. Pomagałaś mi. A dla mnie przyjęcie pomocy to oznaka słabości.

Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Spotkanie Ciebie odmieniło moje życie. Nowe wciąż przed nami. Tego też się boję. Że zranię Cię lub że sama doświadczę uczuć, na które nie jestem przygotowana. Ja chyba nie umiem kochać. Jedyne moją córeczkę Sylwię. Tylko ona jest stałym punktem mojego życia. Ostatnio powiedziała mi, że w bajkach zawsze uciekają najwięksi tchórze. Nie chcę już być tchórzem. Dlatego proponuję spotkanie. Boję się go, ale też wierzę, że będzie nowym początkiem naszej relacji. Czekam na Twój telefon.

Ewa

Przeszłość ciągle powraca

– Mamo, czy jutro pójdziemy do cioci Basi, żeby kupić te nowe naklejki?
– Michałek siedział w foteliku na tylnym siedzeniu w samochodzie. Rozalka przysypiała. Zmęczeni ponadgodzinnymi szaleństwami na wyszkowskim basenie wracaliśmy do domu.

– Ciii, bo ją obudzisz. Ostatnio ciągle jest zdenerwowana. Dziś w nocy mało spała
– tłumaczyłam swojemu synkowi.

– Miała koszmary? – dopytywał.

– Pewnie tak. Za dużo bajek oglądacie przed snem. Dziś porozmawiam o tym z Adasiem. Zamiast tego będzie więcej czytania.

– Lubię książki. Babcia ostatnio znalazła takie stare. Moja pierwsza mama je czytała – powiedział niezwykle poważnie. Spojrzałam we wsteczne lustro i uśmiechnęłam się do niego. Uwielbiam te jego mądre opowieści. Zawsze mówi „pierwsza mama”, kiedy chce szczególnie podkreślić, że coś należało do niej lub dotyczyło jej życia.

– Może je jutro obłożymy? Lepiej, żeby się nie zniszczyły.

– Dobrze. A wiesz, co dostała Rozalka?

– Co?

– Babcia Jasia zrobiła dla niej opaskę na włosy. Z czerwonymi kwiatkami. Widziałaś?

– Jeszcze nie. Dziś byłam bardzo zapracowana. Ale za to cały weekend spędzę z wami, dobra?

– Hurra!

– Co tak krzyczysz? – zapytała sennie Rozalka.

Jeszcze raz spojrzałam we wsteczne lustro. W półmroku twarze dzieci wyglądały jak dwa największe cuda na świecie. Przy nich wszystko nabiera sensu. To dla nich staram się, ciężko pracuję, zabiegam o codzienne szczęście. Dzięki nim nauczyłam się, co to znaczy miłość bezgraniczna. Kiedyś o niej słyszałam, ale nigdy nie było mi dane poznać jej smaku. Powrót do Pniewa wszystko zmienił. Pamiętam każdą sekundę pierwszego spotkania z Michałkiem. Nie wiem, kto był bardziej zestresowany. Wystarczyło jedno spojrzenie w oczy, bym wiedziała, że ten chłopiec będzie dla mnie kimś bardzo ważnym. Wtedy jeszcze nie znałam jego tragicznej przeszłości. Nauczył mnie cieszenia się drobnymi sprawami i wiary w to, że każdy z nas zasługuje na miłość. Chwilę potem spotkałam Rozalkę. Nigdy w życiu nie widziałam tak samotnego dziecka. Owszem, miała wspierać opiekę ze strony Adasia i babci Zosi, ale tak mocno tęskniła za mamą. Do dziś nie mogę pojąć, jak Joanna mogła ją zostawić.

W domu czekał na nas podwieczorek. Adaś przygotował naleśniki z konfiturami, które przyniosła pani Irenka. Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić! Dzieci ze smakiem zjadały kolejne porcje, a ja postanowiłam wrócić do samochodu po stroje kąpielowe, które należało przeprać. Gdy podeszłam do bramy, omal nie zemdlałam z wrażenia. Na chodniku stał Paweł.

- Paweł? Co ty tu robisz? – zapytałam niezwykle zdziwiona.
- Przyjechałem bez zapowiedzi. Inaczej mogłabyś się nie zgodzić – odpowiedział.
- Ale po co? – Naprawdę zaczął mnie denerwować.
- Chciałem ci coś oddać.
- Co takiego?
- Pamiątki po twojej mamie.
- Skąd je masz?

Zdziwiłam się, że ma coś po moich rodzicach.

– Sprzedałem nasz... to znaczy mój dom. Robiłem porządki i je znalazłem – mówił tak, jakby nie chciał mnie wystraszyć.

- Sprzedałeś dom? – Akurat to najbardziej przykuło moją uwagę.
- Tak, człowiek sam źle się czuje w takim wielkim pustym domu. Za to twój jest piękny. I pełno w nim szczęśliwych ludzi – dodał.
- Dziękuję. Gdzie masz te pamiątki? – zapytałam zniecierpliwiona.
- Wszystko jest tu. – Wręczył mi szarą kopertę.
- Dobrze, że o nie zadbałeś. Są dla mnie bezcenne.
- Słuchaj... Chciałem cię zapytać o jedno – zaczął nieśmiało. – Długo się wahałem, ale muszę wreszcie się odważyć.

– Alicja! Gdzie jesteś? – Usłyszałam dochodzący z za domu głos Adama.

Miałam zamiar się nie odzywać. Nie chciałam, by zobaczył, że Paweł tu przyjechał. Niestety, ten plan się nie powiódł. Adam wyszedł z za domu i stanął jak wryty. Dawno nie widziałam go tak zaskoczonego. Nie odzywał się. Tylko stał i patrzył.

– To ja już pojedę – stwierdził Paweł i zaczął oddalać się w stronę zaparkowanego pod płotem sąsiadów samochodu.

- Dziękuję za pamiątki! – krzyknęłam za nim.
- Drobiazg. Do zobaczenia – odpowiedział i po chwili odjechał z piskiem opon.
- Czego tu szukał? – usłyszałam za sobą głos Adama. Odwróciłam się w jego stronę. Był wściekły. Nigdy nie umiał tego ukryć.
- Przywiózł mi pamiątki po rodzicach. Zawieruszyły się w jego domu.
- I aż tu je przywiózł? – zapytał. Nie odpowiedziałam. Nie chciałam kłótni.

W domu już do tego nie wracaliśmy. Adam siedział w kącie naburmuszony. Uznałam, że do rana mu przejdzie i nie ma co roztrząsać takiej błahej sprawy. Chyba uznał tak samo, bo wcześniej położył się spać.

Usiadłam w salonie, by przejrzeć pamiątki po mamie. Znalazłam kilka jej zdjęć i listy, które pisałam do niej z moich zagranicznych wyjazdów na praktyki studenckie. Ależ na nie zawsze czekała! Nagle dostrzegłam pośród nich małą karteczkę. Od razu poznałam pismo Pawła. Zawierała trzy proste zdania.

Przepraszam za przeszłość. Niczego w życiu tak nie żałuję, jak właśnie tego, że pozwoliłem ci odejść. Powiedz jedno słowo, a naprawię całe wyrządzone ci zło.

Co on sobie myśli?! Idiota, jakich mało! Wrzuciłam kartkę do kominka. Nie chciałam, by przez przypadek trafił na nią Adam. Słowa Pawła nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Etap życia z nim już dawno uznałam za zakończony.

Wysłałam na spacer, by trochę się przewietrzyć. Postanowiłam zajrzeć do babci Jasi. Nie widziałam jej od wczoraj. Znowu złapałam się na tym, że przez nadmiar obowiązków nie umiem jej dopilnować tak, jak tego wymaga.

Nie zastałam jej, co mnie wystraszyło. Gdzie o tak późnej porze mogła wyjść staruszka? Obeszłam dom, ale nigdzie jej nie było. Coś mi podpowiadało, by pójść za stodołę do jej sadu. W ciemnościach dostrzegłam siedzącą pod drzewem postać. To była babcia Jasia!

Zasnęła! Już się domyślałam, co mogło się wydarzyć. Pewnie dużo czasu spędziła w sadzie, spadł jej mocno poziom cukru, usiadła na ziemi i tak przysnęła! Podbiegłam do niej wystraszona.

– Już, już dobrze. Zaraz ci pomożemy – mówiłam, odgarniając włosy z jej twarzy.

– Adam! Adam! Proszę cię, przyjdź! – wołałam przerażona. Nikt mnie jednak nie słyszał.

– Michaś... – wyszeptała babcia Jasia.

– Tak, jeszcze chwila i zobaczysz Michałka. Proszę, nie zasypiaj. Zaraz wrócę.

Pobiegłam do starego domu, ile tylko miałam sił w nogach. Mój krzyk zbudził i Adama, i dzieci. Wyjaśniłam mu, co się stało. Już po chwili biegliśmy w stronę sadu. Kazał wezwać karetkę. Tak zrobiłam. Zorientowałam się, że za nami biegnie Michałek. Bardzo płakał i wołał babcię. Aż mi serce ścisnęło się z żalu. Zatrzymałam się i wzięłam go na ręce. Razem wróciliśmy do domu. Modliłam się, by babcia Jasia jeszcze od nas nie odchodziła. Nie tak, nie w takim momencie.

Karetką przyjechała błyskawicznie. Ratownicy podali babci Jasi zastrzyk i zdecydowali o pilnym transporcie do szpitala. Adaś postanowił jechać za nimi. Stałam na werandzie razem z dziećmi i starałam się jakoś je uspokoić. Strasznie płakały zdenerwowane tą sytuacją. Przysięgałam im, że babcia Jasia wyzdrowieje, a w myślach modliłam się, by tak się stało.

Rozdział IV

W którym staram się ponownie zaufać, staję się specjalistką od wszelkich problemów, wpadam w sidła własnego kłamstwa i dostaję poważne ostrzeżenie

Problemowy zawrót głowy

Babcia Jasia porządnie nas wszystkich wystraszyła, ale najgorzej jej chorobę przeżył Michałek. Tej nocy, gdy babcia trafiła do szpitala, zadał mi kilka trudnych pytań.

Adaś pojechał do szpitala za karetką. Było zbyt późno, by dzwonić do Basi lub pani Irenki i prosić o pomoc. Zresztą, dzieci tak się wystraszyły tą sytuacją, że nie miałam sumienia ich zostawiać. Rozalka w miarę szybko się uspokoila i zasnęła po kilku przeczytanych przeze mnie bajkach. Z Michałkiem nie poszło tak łatwo. Ciągłe podchodził do okna, by sprawdzić, czy przypadkiem Adaś nie wrócił ze szpitala i nie przywiózł ukochanej babci.

– Babcia Jasia niedługo umrze i zostaniemy sami? – zapytał nagle. Pobladłam.

– Nie myśl o tym, Michałku. Wiesz... teraz dołożymy wszelkich starań, by babcia wyzdrowiała i była z nami jeszcze przez bardzo długi czas – tłumaczyłam spokojnie, ważąc każde słowo.

– Ale kiedyś umrze? – dopytywał.

– Kiedyś na pewno. Wszyscy ludzie umierają. Zazwyczaj jak mają bardzo dużo lat.

– Babcia ma bardzo dużo lat – zauważył trzeźwo.

– Tak, ale dzięki lekarstwom jeszcze długo będzie zdrowa.

– Jak umrze, zostanę z tobą, prawda? – zapytał i odwrócił się w moją stronę.

– Ze mną, z wujkiem Adasiem, z Rozalką. Wszyscy tu będziemy razem z tobą.

– Dobrze, nie chcę zostawać sam. A babcię zawsze będę kochał, nawet jak już jej tu nie będzie – stwierdził, wpatrując się w okno.

– Jak się kogoś bardzo kocha, to ta osoba zawsze będzie z nami. W naszym sercu.

– A w niebie na babcię Jasię będą czekać mama, tata i dziadzius, prawda?

– Tak. Będą na nią czekać – odpowiedziałam przez łzy.

Długo jeszcze rozmawialiśmy. Zadzwoił Adaś, by przekazać wieści. Lekarze zajęli się babcią Jasią. Czula się już lepiej, ale konieczna była hospitalizacja. Michaś się nieco uspokoił. Zasnął mi na kolanach. Głaskałam go po głowie i zastanawiałam się, co też musi czuć za każdym razem, gdy życie babci Jasi wisi na włosku. Położyłam go spać obok Rozalki. Czekala mnie bezsenna noc. Wyjęłam z biurka swój pamiętnik i zaczęłam pisać.

Z każdym kolejnym dniem mojego życia coraz bardziej dostrzegam, jak ono jest kruche. Wystarczy jedna chwila, by odejść z tego świata. I nie wiem, co jest gorsze. Fakt, że nie mam na to wpływu, czy myśl, że jeśli kogoś z nas by zabrakło, byłby to ogromny cios dla tych, którzy pozostaną. Tylko jedno jest pewne. Nie możemy tracić ani sekundy

cennego czasu na błahostki i to wszystko, co w codzienności odrywa nas od spraw najważniejszych.

Przez kilka następnych dni babcia Jasia została jednak w szpitalu. Może nie było takiej konieczności, ale sama poprosiłam lekarzy, by zrobili jej szczegółowe badania. Ona też się chyba wystraszyła, bo ani słowem nie wspomniała, że na coś się nie zgadza. Grzecznie podporządkowała się zaleceniom lekarzy i miała nadzieję, że szybko jej się polepszy.

Ostatnie dni upłynęły pod znakiem wizyt w szpitalu, a potem opieki nad babcią Jasią, która jak tylko wróciła do domu, chciała się rzucić w wir pracy. Michałek jej tego surowo zakazał i uznał, że od teraz babcia trzy razy dziennie będzie musiała go informować o tym, co robiła i czy na pewno wzięła leki. Babcia Jasia na taką umowę się zgodziła. Ponadto miała co jakiś czas doglądać ziemnej piwnicy, w której siedzibę ma Gang Żółtej Strzały. W taki sposób Michałek postanowił znaleźć dla niej zajęcie.

Incydent ze szpitalem spowodował, że zupełnie rozpadł się mój harmonogram prac nad projektami. W jednym przypadku musiałam wręcz uprosić o kilka dodatkowych dni, a w drugim miałam nieco więcej problemów. Rzuciłam wszystko, by zdążyć na czas. W dodatku na głowę spadła mi masa dodatkowych spraw. A to wizyty w banku, a to w geodezji, a to w innych urzędach.

Harowałam całe dni, zarywałam noce i z każdą kolejną godziną zaczynałam przypominać stracha na wróble. Czułam się przemęczona. Nie miałam czasu porządnie się ubrać, umalować, zrobić czegoś ekstra tylko dla siebie. Do tego doszedł stres spowodowany pewną bardzo nieprzyjemną sytuacją.

Jeden z naszych klientów, biznesmen z podwarszawskiej Zielonki, uznał, że pewne elementy przygotowanego przeze mnie projektu są niezgodne z tym, na co się umówiliśmy. Dokonane ustalenia posprawdzałam ze sto razy i uznałam, że wszystko się zgadza, a klient po prostu nagle coś innego sobie wymyślił. Grzecznie go o tym poinformowałam. Niestety facet nie odpuszczał. Najpierw wydzwaniał i niezbyt uprzejmym tonem domagał się natychmiastowego naniesienia zmian na projekt. Był arogancki. Gdy przestałam odbierać jego telefony, przerzucił się na pisanie e-maili. Ich ton był na tyle roszczeniowy, że nie dało się tego czytać. Do tego naszpikowane były przekleństwami!

Nadszedł dzień, gdy miarka się przebrała. Razem z Dorotą i Frankiem mieliśmy wtedy nasze cotygodniowe zebranie, na którym omawialiśmy ważne sprawy i projekty. Nagle zadzwonił do mnie wykonawca projektu z informacją, że klient każe im się wynosić z terenu ogrodu, bo robią coś nie tak, jak trzeba, a on przecież za takie bzdury nie będzie płacił. No i się zaczęło.

Wcześniej o niczym Frankowi nie mówiłyśmy, by nie myślał, że nie umiemy sobie poradzić z takim problemem. Wściekł się niemiłosiernie i kazał mi się zbierać na plac budowy.

– Dzień dobry, Alicja Pniewska. Dostałam sygnał od wykonawców projektu, że jest jakiś problem, czy tak? – zapytałam uprzejmie szanownego pana klienta, który wściekły kręcił się po ogrodzie. Franek przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Wreszcie postanowiła pani ruszyć tyłek! – odpowiedział nerwowo.
– Rozpieprzyli mi cały teren, a teraz wmawiają, że tak miało być. Nie! Umowa była inna. Staw miał być kopany po lewej stronie, a nie po prawej – awanturował się.

– Proponuję, żeby się pan uspokoił. Sprawdziłam wszystko jeszcze raz. Zatwierdził pan projekt ze stawem po prawej stronie. Wszystko z panem konsultowałam. Teraz zmienia pan warunki – tłumaczyłam spokojnie.

– Co? Ja zmieniam?! To ty paniusiu się szarogęsisz i zmieniasz plany!
– wrzeszczał.

– Halo! Spokojnie. Trochę grzeczniej – wtrącił się Franek. – Każdy projekt jest konsultowany. Nie ma mowy o żadnej pomyłce ani podejmowaniu decyzji na własną rękę.

– Jasne! Ja kasę wykładam, a ona robi, co chce!

– Dosyć! Bardzo proszę, zamykamy projekt na tym etapie. Od teraz szuka pan innego wykonawcy i innego projektanta – stwierdził Franek. Patrzyłam na niego osłupiała.

– O nie, pajacyku! To ja płacę i wymagam! – Klient nie odpuszczał. – Oddawaj kasę za zmarnowany czas! – wrzasnął i rzucił się na Franka z pięściami.

– Uważaj! – krzyknęłam.

Franek jednym ruchem powalił faceta na ziemię. Prosto w błoto. Tamten wił się przez krótki czas, zanim udało mu się podnieść. Garnitur i koszulę miał całą w błocie.

– Jeszcze mi za to zapłacisz, palancie! – odgrażał się biznesmen.

– Radzę pilnować swojego nosa – odpowiedział Franek.

Facet splunął w jego kierunku i udał się prosto do swojego samochodu.

– A jak zgłosi to na policję? – zapytałam zatroskana.

– Nie przejmuj się, znam takich. Tylko w gębie są mocni. Przepraszam, że musiałaś się z nim tyle dni użerać. Powinienem lepiej dobierać klientów. Tacy jak ten nie są nam potrzebni.

– Daj spokój. Pozwoliłam sobie wejść na głowę i taki jest tego skutek.

– Chodź, w ramach rekompensaty za zszargane nerwy pojedziemy na dobry obiad.

Franek naprawdę mnie dziś zaskoczył. Przy nim poczułam się jakoś tak bardziej kobieco. Zawsze imponowali mi mężczyźni, którzy potrafią być stanowczy i opiekuńczy.

Podczas obiadu wpatrywałam się we Franka i próbowałam go rozgryźć. Dlaczego jest sam? Czy kogoś kiedyś naprawdę kochał? I jak by wyglądało moje życie, gdybym na studiach się w nim zakochała?

Co też ja mam za pomysły...

Jakbym spoglądała w lustro

W kominku buzował ogień. Zamknęłam oczy. Przypomniałam sobie wieczór z czasów dzieciństwa. Na zewnątrz była wichura i od kilku dni padał deszcz. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba był to wrzesień. Całe dni i wieczory spędzałam z dziadkiem. Pamiętam, że wtedy rodzice pojechali z babcią do lekarza, a ja zostałam pod jego opieką. Razem dokładaliśmy drewna do kaflowej kuchni. Lubiłam ogień. Nieraz

wyobrażałam sobie, że jest bramą do innego świata. Że za gorącymi płomieniami jest coś, o czym nikt nie wie.

– Ale dlaczego? – W tamtym czasie to było jedno z moich ulubionych pytań.

– Ogień daje nam ciepło, oświetla noc, ale też może wiele zniszczyć.

– Na przykład może spalić się czyjś dom? – pytałam zaciekawiona.

– Tak. Wczoraj czytaliśmy książkę o tym, jak Witusiowi spalił się dom.

– I był bardzo smutny. Bardzo płakał – powiedziałam z wielkim przejęciem.

– Zgadza się. Ale czego się dzięki temu nauczył? – Dziadek patrzył na mnie zmęczonym wzrokiem, a ja starałam się w jego oczach dojrzeć coś tajemniczego.

– Że nigdy nie można zostawiać na stole zapalanej świeczki.

– Właśnie, to była dla niego porządna nauuczka. Ty też nigdy w swoim życiu nie pozwól na to, by jeden ogień sparzył cię dwa razy – powiedział dziadek, jakby wspominał coś złego.

– Co to znaczy? – dopytywałam.

– Nigdy nie pozwól na to, by ktoś dwa razy cię skrzywdził.

– Bo na przykład drugi raz może mnie oszukać?

– Oszukać, zawieść, nie dotrzymać obietnicy. Tak jest z ogniem. Raz się sparzysz i już wiesz, że za drugim razem będzie podobnie. Z ludźmi jest tak samo.

– Dają nam nauuczki? – zapytałam beztróska. Dziadek się roześmiał i odgarnął dłonią włosy z mojego czoła. Lubiłam, gdy tak robił.

– Można tak powiedzieć. Po jednej nauuczce musimy już wiedzieć, że za drugim razem może być tak samo. Drugą szansę trzeba ludziom dawać, ale i pamiętać o tym, że czasami i za drugim razem mogą nas zawieść.

– W książkach to przeczytałeś? – zapytałam, a dziadek ponownie się roześmiał.

– W książkach też, ale i w swoim życiu miałem wiele takich sytuacji. Ciągłe się uczyłem, że nie zawsze obietnice idą w parze z tym, co ludzie robią. Czasami nas zawodzą.

Otworzyłam oczy i uśmiechnęłam się sama do siebie. Przez chwilę miałam wrażenie, jakbym przeniosła się w czasie, a dziadek siedział obok mnie. Poczulałam się bezpieczna. Jak nigdy wcześniej. Zapamiętałam słowa dziadka. Nie mogłam nigdy pozwolić na to, by jeden ogień sparzył mnie dwa razy. Teraz to stało się takie oczywiste.

Nie wiem, ile razy czytałam list od Ewy. Dokładnie analizowałam każde zdanie. Chciałam znaleźć jakiś klucz. Jakąś podpowiedź, jaka ona naprawdę jest. To ona była tym ogniem, który mnie sparzył więcej niż dwa razy. Wciąż mnie raniła, a ja mimo to chciałam dać jej kolejną szansę. Nie było to rozsądne, powinnam posłuchać słów dziadka. Ale taka już jestem, wciąż łamię zasady i dane sobie słowo. Wierzę w ludzi. W Ewę szczególnie.

Tydzień zajęło mi podjęcie decyzji, czy chcę się z nią skontaktować. Musiałam to spokojnie przemyśleć. Adam też mi nie doradzał. Zadzwoiłam do niej bardzo późnym wieczorem. Odebrała natychmiast. Po głosie poznałam, że mój telefon sprawił jej wiele radości. Przepraszała, dziękowała, obiecała naprawić nasze relacje. Zaprosiła na spotkanie. Umówiliśmy się na następny dzień.

Podróż samochodem do Warszawy była dobrym momentem na przemyślenie pewnych spraw. Nie miałam wobec Ewy wielkich nadziei. Życie już dawno mnie

nauczyło, że ludzie jedno mówią, a drugie robią. Rozczarowanie często dotrzymywało mi kroku.

Zaparkowałam pod schludnym blokiem z lat osiemdziesiątych. Spojrzałam w okna na kolejnych piętrach. Wypatrywałam Ewy. Nie dostrzegłam nikogo poza stojącą na balkonie staruszką, która mówiła coś do swojego kota. Jeszcze raz spojrzałam za zapisany w telefonie adres. A więc klatka trzecia. Poszłam w jej kierunku, dotarłam na trzecie piętro i stanęłam przed drzwiami Ewy i nacisnęłam dzwonek. Po chwili otworzyła.

– Cześć! Zapraszam – przywitała mnie radośnie. – Nie było żadnych problemów z trafieniem do mnie?

– Cześć, miło cię widzieć – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Wszystko w porządku, znam dobrze Bielany, bo kiedyś tu pracowałam w biurze projektowym.

– Czego się napijesz? – pytała radośnie, chociaż widziałam, że jest zdenerwowana.

Po krótkiej wymianie grzeczności zrobiło się nieswojo. Czulałam rosnące napięcie i niepokój. Zerkałyśmy na siebie, żadna nie chciała rozmawiać o czymś więcej niż pogoda, samopoczucie, nasze dzieci. Z boku wyglądało to na niewinne ploteczki znudzonych życiem przyjaciółek. Niestety, do przyjaźni było nam daleko.

– Sylwia jest w szkole. Mamy do niej blisko, dosłownie kilka kroków – mówiła Ewa.

– Ładnie się tu urządziłaś – pochwaliłam, rozglądając się po mieszkaniu.

– Na tyle było mnie stać. Niezbyt korzystnie sprzedałam mieszkanie w Pułtusk, które dostałam w spadku od wujka. Dołożyłam trochę oszczędności i mam. Nic wielkiego, dwa pokoje i kuchnia, ale dla mnie i Sylwii to już luksus – tłumaczyła spokojnie.

– No właśnie. Aby tylko mieć swój własny kąt – przyznałam jej rację.

– Słuchaj... – zaczęła drżącym głosem i usiadła obok mnie. – Bardzo cię przepraszam. Często robię coś, czego potem bardzo żałuję.

– Rozumiem. Ale ty musisz spróbować zrozumieć mnie. Nie może być tak, że pojawiaasz się i znikasz. Raz jesteś wobec mnie w porządku, innym razem zachowujesz się jak największy wróg. Nie jestem z kamienia – powiedziałam jednym tchem. Postanowiłam mówić wprost, co mi się nie podoba w naszej relacji.

– Wiem! – Chwyciła mnie za rękę. – Nie chcę cię krzywdzić. Nie chcę żadnego spadku ani pieniędzy. Byłam wtedy zła. Na siebie i na to, że miałam ciężkie życie. Ojciec mnie nie chciał. A matka? Jej też jakby w ogóle nie było – mówiła rozżalona.

– Ewa, wszystko rozumiem. Tylko pamiętaj, że to nie jest powód, by wyzywać się na innych. A właśnie to robisz. Jak jestem ci do czegoś potrzebna, to umiesz mnie szanować i doceniać. Ale jak tylko zrealizujesz swój plan, wtedy dla ciebie nie istnieję albo mnie atakujesz.

– Masz rację. Widzę, jaka jestem, i postanowiłam, że zrobię z tym porządek. Tydzień temu byłam na pierwszej wizycie u psychologa. Dużo rozmawiamy.

– I słusznie. Trzeba nad sobą pracować. Nikt z nas nie jest idealny, ale pamiętaj, że przeszłość nie może być żadną wymówką. To zwyczajnie nie fair.

– Dlatego przepraszam. Za wszystko. Nie doceniałam wcześniej tego, że mam siostrę. Zawsze byłam sama. Teraz mam szansę to zmienić.

Długo ze sobą rozmawiałyśmy, bo i dużo miałyśmy niewyjaśnionych spraw. Nie było łatwo. W każdej z nas siedzi wiele żalu i poczucie niezrozumienia. Należało to wszystko z siebie wyrzucić. Dzięki temu spotkaniu spojrzałam na wszystko z jej punktu widzenia i zrozumiałam jej obawy.

Wyszła na chwilę do sąsiedniego pokoju i wróciła ze zdjęciem. Od razu poznałam. Zdjęcie przedstawiało ją i Magdalenę. Matka z córką. Wspomniała, że zdjęcie jest z dnia, kiedy rozpoczęła rok szkolny jako pierwszoklasistka. Wtedy jeszcze Magdalena potrafiła „bywać” prawdziwą matką. Ale na krótko. Ewa wyznała, że kolejnego dnia Magdalena wyszła z domu i wróciła po tygodniu. Ona przez ten czas była pod opieką pani Danusi, u której wtedy mieszkały. Bardzo tęskniła za matką.

– Wczoraj zadzwoniła do mnie Ania Górka, moja przyjaciółka jeszcze z czasów licealnych – powiedziała ze smutkiem.

– Poznałam ją, kiedy pojechałam cię szukać w Giżycku.

– Wiem. To jest wspólna osoba. Nie ma łatwego życia. W dodatku mieszka po sąsiedzku z moją matką. To znaczy jej babcia mieszka, ale Ania często do niej przychodzi. Kiedy dzwoni, to już wiem, że z matką źle się dzieje. – Na te słowa posmutniała.

– A coś się dzieje? – zapytałam.

– Ania wczoraj powiedziała mi, że matka dwa dni temu trafiła do szpitala. Ktoś znalazł ją na ulicy i wezwał karetkę. Tym razem nie chodzi o ciągłe picie. Matka ma raka. To już ostatnie stadium. Zostało jej kilka tygodni, może miesięcy życia. Ona umiera – powiedziała drżącym głosem.

– Bardzo mi przykro. – Marne to było pocieszenie.

– Sama nie wiem, co czuję. Są czasami w naszym życiu ludzie, których się kocha, a zarazem nienawidzi. Tak jest z moją matką. Nienawidzę jej za to, że całe życie piła, że zniknęła z domu i była dla mnie niedobra. Ale jest moją matką.

– Wydaje mi się, że to normalne. Masz prawo tak się czuć. Taki jest obowiązek matki i ojca, że muszą zająć się dzieckiem, wychować je i kochać. Ze strony matki tego nie zaznałaś. O ojcu nawet nie wspomnę. Tu nie ma żadnej wymówki. Ale mama wzięła cię pod opiekę, a ty się na niej zawiodłaś. To rodzi wiele złych emocji – tłumaczyłam jej swój punkt widzenia.

– Co teraz? Ona nikogo poza mną nie ma. Muszę się nią zająć. Ale... – zawiesiła głos.

– Sama nie wiesz, czy chcesz to zrobić.

– Tak – przyznała zawstydzona. – Alicjo, pojedziesz ze mną do Giżycka do szpitala? Nie chcę tam jechać sama. Boję się – mówiła przerażona.

– Możesz na mnie liczyć – powiedziałam, bo nie było innej możliwości. Chciałam i musiałam jej pomóc.

– To będzie najtrudniejszy problem, z jakim przyjdzie mi się zmierzyć – przyznała.

Patrzyłam na nią i widziałam siebie sprzed dwóch lat, zanim jeszcze wróciłam do starego domu w Pniewie. Kochałam i nienawidziłam. Szczególnie Pawła. Wiedziałam doskonale, że mnie rani, ale bałam się odejść. Zdecydował za nas oboje. Inaczej wciąż bym tkwiła w tamtym chorym układzie. Było mi szkoda Ewy. Widziałam jej rozpacz i strach. Sama też się trochę bałam. A co, jeśli znowu jej pomogę, a ona potem zniknie?

Postanowiłam dać jej ostatnią szansę. Nalegała, byśmy założyły sprawę w sądzie, w ramach której ona zrzeknie się należnego spadku po ojcu i wykaże, że przekazana przez niego w przeszłości kwota miliona starych złotych była wystarczającym wsparciem. Przystałam na jej propozycję.

Decyzja na wagę złota

Pniewo, 20 sierpnia 1980 r.

Droga Elizabeth!

Jak Twoje zdrowie? Mam nadzieję, że bóle głowy, na które skarżyłaś się w ostatnim liście, już minęły. I powiedz, czy Twój wnuk Jonas ma się lepiej? Przykre to, gdy młody człowiek traci swoich rodziców. Bo przecież na śmierć najbliższych nie da się przygotować. Proszę Cię, przekaz Jonasowi, że serdecznie pozdrawia go Twój przyjaciel Jan.

Moja wnuczka Alicja też ma się dobrze, chociaż widzę, że sprawiam jej czasami przykrość. Może nie tyle przykrość, co wprowadzam do jej życia niepokój. Jak wiesz, ciągle mam koszmary. Śni mi się piekło obozu. Nie umiem sobie z tym poradzić. To już takie piętno do końca życia. Alicja często słyszy w nocy moje krzyki. Nad ranem przychodzi zmartwiona i dopytuje, jak mi pomóc. Aż mi się serce ścisza z żalu nad moją małą dziewczynką. Kocham ją nad życie. Ale nie umiem jej opowiedzieć o swojej przeszłości. Niby jak?

Dużo ostatnio myślałem nad tym, co zrobiliśmy. Zastanawiasz się czasami, kim są teraz tamci ludzie? Myślisz o nich? Czy nie nachodzi Cię czasami wątpliwość, czy aby na pewno mieliśmy prawo decydować za nich? Sam mam wiele wątpliwości. Nie ma dnia, żebym o nich nie myślał. A kiedy lista argumentów po stronie wniosku, że nie do końca zrobiliśmy dobrze, zaczyna niepokojąco się rozrastać, wtedy myślę o jednym: oni żyją. Nic więcej się nie może liczyć. Wtedy jestem spokojniejszy. A Ty? Zadajesz sobie takie pytania?

Pozdrawiam Cię serdecznie

Jan

Odłożyłam list na stół. Czytałam go już kolejny raz, ale wciąż miałam wrażenie, że poznaję na nowo swojego dziadka. Dziwne uczucie. Nie ma go ze mną już od tylu lat. Listy, które wymieniał z Elizabeth, są dla mnie kolejną szansą na poznanie, kim był, co

czuł, jak się zapatrywał na codzienność, co go martwiło, a co sprawiało mu radość. Pamiętam go jedynie z perspektywy małej dziewczynki. Podarowane mi przez Jonasa listy, które przechowywała jego babcia, są dla mnie bezcenne. Skserowałam każdy z nich kilka razy. Czytam je co jakiś czas. Ciągłe upatruję w nich szansy na otrzymanie odpowiedzi na setki pytań, które pojawiły się po odnalezieniu dokumentów tłumaczonych przez dziadka i Elizabeth w obozie zagłady.

Stoją za nimi ludzie. Ich życie. Nie czuję się dobrze z myślą, że to w moich rękach jest teraz ważna decyzja. Jaka? Czy mam ujawnić treść dokumentów? Długo się biłam z myślami. Spędziłam na rozmowach z Jonaszem mnóstwo godzin. Jednak decyzji jak nie było, tak nadal nie ma.

Spotkanie z panią Matyldą nieco mnie uspokoiło. Mogłam przekonać się, że dzięki Janowi i Elizabeth są na tym świecie ludzie, którzy dostali szansę na spokojne życie. I że w ogóle żyją. Sama pani Matylda przyznała, że wówczas nie mogła sobie wymarzyć lepszej przyszłości dla swojej córki. Jej pragnieniem było jedynie, by ją ocalić. Tęskniła za nią kilkadziesiąt lat, ale teraz wie, że to była decyzja najlepsza z możliwych.

Zadzwoiłam do fundacji „Zapomniane korzenie”. Niezwykle serdeczna kobieta wytłumaczyła mi, kto jest prezesem, na czym polega jej działalność i w czym mogą pomóc. Wszystko pasowało idealnie. Szukali zaginionych podczas wojny osób lub pomagali zgłaszającym się do nich ludziom szukać rodzin. Odbyłam też rozmowę telefoniczną z prezes fundacji, Sabiną Walczak. Od razu zaproponowała spotkanie, uznając, że o sprawach poważnych najlepiej rozmawiać w cztery oczy. Upowiedziałam, że przyjadę z Jonaszem.

Jechaliśmy na to spotkanie pełni nadziei, że pomoże nam podjąć dobre decyzje. Mieliśmy też plan. Postanowiliśmy przedstawić się jako osoby, które szukają rodziców swojej kuzynki, będącej jako dziecko więźniem obozu w Stutthofie. Biłam się z myślami, czy to nie jest przesada z naszej strony, ale nic innego do głowy mi nie przychodziło.

Pani prezes okazała się być dojrzałą kobietą, niezwykle energiczną, z poczuciem humoru i pełną poświęcenia dla spraw, którymi zajmowała się fundacja.

– To jest państwa bliska rodzina, tak? – zadawała rzeczowe pytania, robiła notatki.

– Można tak powiedzieć – odpowiadałam dosyć zdawkowo. Czułam się niezręcznie. Przecież kłamałam tej Bogu ducha winnej kobiecie!

– Wiemy tyle, że trafiła do Stutthofu, gdy miała niespełna trzy lata – kontynuował Jonas. – Po latach dowiedziała się o swoim pobycie w tym miejscu. Wcześniej trafiła na wychowanie do niemieckiej rodziny.

– Dlatego też chcieliśmy porozmawiać najpierw z panią Matyldą. Mój przyjaciel wpadł na jej trop dzięki wywiadowi w niemieckiej gazecie. Potem ją odszukaliśmy – tłumaczyłam, starając się zachować pozory prawdomówności.

– Opowiedziała nam swoją historię. Jesteśmy przekonani, że nasza kuzynka również musiała trafić z obozowego szpitala właśnie do niemieckiej rodziny – dodał Jonas.

– Tak było w tamtych czasach – przyznała gorzko kobieta. Siedziała przez chwilę zamyślona. – Niektórym udało się przeżyć, ale do dziś nie znają swojej tożsamości. Niektórzy zmarli i nigdy się o tym nie dowiedzieli.

– Czy da się ustalić i potwierdzić, że nasza kuzynka mogła tam być? – zapytałam z wielkim zainteresowaniem.

– Powiem tak. Wszystko zależy od tego, na ile państwa kuzynka będzie chciała nam pomóc. Czy jest w posiadaniu szczególnych informacji, zna osoby, które chciałyby zaangażować się w sprawę. My jako fundacja mamy dostęp do wielu dokumentów, nawet tych, które nie są dostępne w oficjalnym obiegu. Współpracujemy też z rządem naszym i niemieckim, a także z innymi fundacjami i stowarzyszeniami.

– Trzeba jednoznacznie zdecydować, co chcemy uzyskać i na ile możemy pomóc, tak? – zapytałam, od razu przyznając, że nie zabrzmiało to zbyt mądrze.

– Pani Alicjo. My, jako fundacja, musimy mieć pewność, że zgłaszające się do nas osoby mają dobre intencje. Mówią prawdę, chcą ustalić fakty, zwyczajnie im zależy. Mieliśmy już różne przypadki. Nie możemy marnować czasu.

– Niektórzy pewnie nie chcą wyjawić prawdziwego powodu swoich poszukiwań? – zapytał Jonas.

Chciał jak najwięcej dowiedzieć się o potencjalnej pomocy ze strony fundacji.

– Mieliśmy tu już poszukiwaczy ukrytych w czasach wojny skarbów, początkujących pisarzy, którzy tylko czekali na ciekawą historię, prywatnych detektywów i całe zastępy tych, którzy nie szanowali naszego czasu.

– Rozumiem – przyznałam. – A czy wiadomo coś o samym obozie Stutthof? Czy historia naszej kuzynki jest prawdopodobna, czy należałoby szukać w innym miejscu?

– No cóż... Mogę powiedzieć jedynie tyle, że był tam epizod wywożenia dzieci poza obóz. Dość dobrze zorganizowany jak na tamte warunki. Pamiętajcie państwo, że opuszczenie obozu graniczyło z cudem. Z tego, co wiem, duży udział w tej akcji miała żona komendanta, Elizabeth, ale potem ślad po niej zaginął.

– Elizabeth? – Jonas aż wzdrygnął się na słowa pani Sabiny. Spojrzałam na niego wymownie. Bałam się, że ujawni coś, co mogłoby zdemaskować cel naszej wizyty.

– Nie mogę nic więcej powiedzieć, to są poufne sprawy – spokojnie dodała kobieta.

– A czy ktoś pomagał żonie komendanta? – zapytałam mało ostrożnie.

– Pani Alicjo. Powiem wprost, bo jestem człowiekiem, który uwielbia klarowne sytuacje. Mam wrażenie, że nie do końca jest pani ze mną szczerą.

– Ja? – dopytałam głupio.

– Tak. Ogólnie, państwo nie jesteście szczerzy. Widać, że coś was interesuje, macie problem, ale nie chcecie o nim wprost opowiedzieć. My jako fundacja jesteśmy nastawieni na rzetelną współpracę. Jeżeli ktoś się na nią zgadza, musi ujawnić wszystkie informacje, które posiada, dokumenty, zapiski, wspomnienia. Inaczej się nie da.

– Na pewno musimy jeszcze raz przemyśleć nasz problem – przyznałam ze wstydem. Dawno nie czułam takiego zażenowania.

– Proszę to zrobić na spokojnie. Macie tu państwo moją wizytówkę. Jeżeli uznacie, że jesteście gotowi na współpracę, proszę się odezwać.

Wychodziłam stamtąd czerwona ze wstydu i złości. Głupio zrobiliśmy! Tak się właśnie kończą nieprzemyślane działania. Nie wiem, na co liczyliśmy! Bałam się, że po tak perfidnym kłamstwie, pani Walczak nie zechce nam pomóc.

– I co teraz? – zapytał Jonas, równie zdenerwowany.

- Wyszło fatalnie. Mam nadzieję, że da nam drugą szansę.
- Wydaje mi się, że musimy zaryzykować. Powiedzieć prawdę o dokumentach, o historii Jana i Elizabeth. Inaczej sprawa nie ruszy z miejsca.
- Masz rację. Poza tym, musimy zdać się na ich wiedzę i doświadczenie. Będą wiedzieli, co należy z tym dalej zrobić. My jedynie możemy pomagać – przyznałam.
- A pomoc będzie konieczna, to bardzo skomplikowana sprawa.

Jonas został w warszawskim hotelu, a ja wróciłam do starego domu. Przez całą drogę zastanawiałam się, co tu dalej zrobić. Jaką decyzję podjąć? Pomyślałam sobie, że zarówno mój dziadek kiedyś, jak i ja teraz, mamy te same wątpliwości. Czas mija, a sprawa dokumentów jak była tajemnicą, tak jest nią nadal. Ta myśl zmieniała wszystko! Postanowiłam więcej nie kryć się z prawdą o dokumentach znalezionych pod starą jabłonią. Chciałam, by cały świat wiedział o tym, co zrobił mój dziadek razem z Elizabeth. Im się zwyczajnie to należało. Dostyc tajemnic starego domu!

Z metalowej skrzynki wyjęłam bardzo dokładnie zabezpieczone dokumenty. Najpierw zrobiłam im zdjęcia, potem zeskanowałam. Wiedziałam, że zostaną poddane wnikliwej analizie, będą zbadane pod kątem wiarygodności i autentyczności. Istniało ryzyko, że nigdy ich nie odzyskam. Mogą przecież jako dowód historyczny zostać zarekwirowane przez właściwe instytucje. Powoli zaczęłam się z tym godzić. Wolałam wyjawić o nich prawdę, niż trzymać je w skrzynce i udawać, że takiej sprawy nie było.

Adam uważnie wysłuchał moich wątpliwości. Nawet je początkowo podzielał. Potem kazał mi zadać sobie pytanie, czy chciałabym znać swoje korzenie. Od razu odpowiedziałam twierdząco. Trzymałam się tej myśli, gdy ostatecznie podjęłam decyzję o przekazaniu dokumentów fundacji i o wyjawieniu prawdy o Janie i Elizabeth. Czekало mnie jedno chyba z trudniejszych zadań w życiu, ale czułam, że dam sobie z nim radę.

Jednym zdaniem odwołać przeszłość

Joanna uniosła się honorem. Tak stwierdził Adam. Sama widziałam prostsze wytłumaczenie jej decyzji o rozwodzie. Najwyraźniej uznała, że jej wszystkie podłe zamiary wyszły na jaw i nie ma co liczyć na łaskę Adama. Nie spełniła się jej nadzieja na danie sobie wielkiej szansy na odbudowę rodziny. Miała jeden cel – skłócić mnie i Adama oraz wprowadzić zamęt w nasze życie. Można powiedzieć, że przez krótki czas się jej udało. Na szczęście Adam szybko przejrzał na oczy i postawił sprawę na ostrzu noża. Albo się dogadują i wspólnie ustalają plan opieki nad Rozalką, albo czeka ich ostra walka w sądzie.

Tymczasem Joanna po cichu złożyła pozew o rozwód za porozumieniem stron. Adam dowiedział się o tym, kiedy listonosz przyniósł wezwanie na pierwszą rozprawę i dołączony do niego odpis pozwu. Jego żona znowu chciała być górą i bez narady zrobiła pierwszy krok. Coś mi w duszy podpowiadało, że łatwo nie będzie, bo stać ją na wiele perfidnych kłamstw.

W zasadzie nie wtrącałam się, kiedy Adam ustalał z Joanną plan wychowawczy dla Rozalki. Widziałam, że jest zadowolony z negocjacji. Wiedział doskonale, że sam też musi w wielu sprawach ustąpić. Chciał zaoszczędzić naszej rodzinie niepotrzebnych

nerwów. Widocznie Joanna myślała podobnie. Wyraziła zgodę, by Rozalka została z Adamem, w zamian chciała regularnie ją odwiedzać i zabierać do siebie.

Zaniepokoiła mnie tylko jedna kwestia. Zbyt ogólne rozpisanie planu. Adam uznał, że przecież na co dzień „jakoś się dogadają”. Nie przekonał mnie tym. Już się nauczyłam, że zawsze trzeba jasno określać wszystkie ustalenia, by potem nie było szansy na naginanie ich do własnego widzimisię.

– Ale co dokładnie oznacza stwierdzenie „kilka wyjazdów krótszych w ciągu roku”? – siedziałam nad spisaniem przez nich dokumentem i szukałam niejasności.

– Joanna będzie mogła na przykład jechać z Rozalką na ferie, powiedzmy na cztery, pięć dni. Rozalka jest na tyle duża, że sama będzie się upominać o wyjazdy z matką. Przecież jej nie zabronię. – Adam jakby nie rozumiał moich wątpliwości.

– Chodzi mi o to, że w tym stwierdzeniu jest szansa na nadużycie ze strony Joanny.

– Powiedzmy, że podzielał twoje zdanie i nie jestem do końca pewien. Ale wiesz, co ostatnio sobie uświadomiłem?

– Co? – zapytałam zaskoczona jego beztrojskim podejściem.

– Że Joannie bardzo szybko znudzi się bycie dobrą mamuszką. Przyjedzie kilka razy, potem weźmie Rozalkę do siebie, zobaczy, ile jest pracy przy dziecku, jakie ma humory, że ma gorsze dni. Posmakuje tego i szybko minie jej zapał. Zawsze taka była – stwierdził z powagą.

– Aha... Czyli uważasz, że to jest dobrze rozpisane? – Zdobyłam się jednak na to pytanie.

– Tak myślę. Zresztą, nawet gdyby plan był opracowany co do dnia i nawet co do godziny, to życie szybko go zweryfikuje. Raz ona nie będzie mogła czegoś zrobić w danym dniu, raz ja. Plany mają jedną wredną cechę. Często nie udaje się ich zrealizować.

– Będę trzymać kciuki, by jak najlepiej się to ułożyło – powiedziałam z uśmiechem.

Jednak do śmiechu wcale mi nie było. Czułam, że Adam popełnia poważny błąd. Nawet po cichu rozmawiałam o tym z Maćkiem (potem miałam okropne wyrzuty sumienia!). Podzielał moje zdanie i mówił, że przekonywał Adama do bardziej rozważnych działań. No ale jak się Adam uprze, to nie ma zmiłuj.

Rozprawę rozwodową wyznaczono na początek maja w pułuskim sądzie. Taki psikus od losu, bo jak się okazało, Adam i Joanna ślub brali właśnie w maju. Pocieszałam go, że to dobry znak. Takie zamknięcie pewnego etapu w życiu. Bardziej martwiłam się tym, czy Joanna w ogóle stawi się na rozprawę i czy do tego czasu nie wymyśli jakiejś głupoty. Zmienność poglądów to jej znak rozpoznawczy.

Tym razem się pomyliłam. Nie było zwrotów akcji, płaczu i prób szantażu. Rozprawa wypadła aż nadto dobrze. Pojechałam wspierać Adasia. Sam mnie o to poprosił. Był też z nami Maciek, czuwający nad tym, by Adam nie wpadł w nowe tarapaty. Na szczęście wszystko odbyło się nad wyraz poprawnie. Co nie oznacza, że żadna ze stron nie próbowała podkreślić, że to właśnie ona ma rację. Aż tak miło nie było. Joanna dobitnie chciała wykazać, że ich rodzina rozpadła się przez Adama, ale robiła to z prostej przyczyny. Chciała mu dopiec. Adam również nie był dłużny. Opowiedział ze szczegółami, jak to wszystko wyglądało. Sama dowiedziałam się kilku faktów, o których

Adaś nigdy mi nie wspominał. Raz, że nie pytałam, a dwa, wołałam nie grzebać w jego małżeństwie z Joanną, bo wiem, że takie rzeczy zwykle źle się kończą. Postanowiłam nie komentować całej sprawy.

Obydwoje wyrazili zgodę na rozwód, jednoznacznie oznajmiając, że ich małżeństwo jest fikcją od wielu lat, nic do siebie nie czują i nie mają zamiaru podtrzymywać tego związku. Ponownie potwierdzili swoją zgodę na wspólnie ułożony plan wychowawczy dla Rozalki. Joanna postanowiła zostać przy nazwisku Adama. Sędzia wszystko zaakceptował i dał im rozwód. Jednym zdaniem odwołał ich wspólną przeszłość. Tyle wystarczy. Można to nazwać nowym początkiem. Ale takim trochę gorzkim, bo jednak stoi za nim pewna porażka.

Adam został z Maćkiem i Joanną na korytarzu, by omówić jeszcze kilka szczegółów. Wszyscy byli w dobrym humorze. Kamień spadł mi z serca. Bałam się, że Adam będzie to mocno przeżywał. Widząc jego uśmiechniętą twarz, sama też nabrałam więcej optymizmu. Wreszcie mogliśmy stworzyć naszą własną rodzinę. Adam jest wolny. To przepustka do tego, byśmy zostali małżeństwem. Chociaż jeszcze na poważnie ten temat nie był poruszany. Jestem zdania, że nic nie można robić na siłę. To samo przyjdzie.

Wysłałam przed budynek pułtuskiego sądu, by odetchnąć świeżym majowym powietrzem. Tak mi się jakoś błogo zrobiło. Poczułam, że wszystko w moim życiu wraca na właściwe miejsce.

– Zadowolona? – Z zadumy wyrwał mnie kobiecy głos. Odwróciłam się. Na przedostatnim stopniu schodów stała Joanna i drwiąco się uśmiechała.

– Jak nigdy wcześniej – odparłam równie zawadiacko.

– Nie ciesz się za wcześnie. To dopiero początek. I ostrzegam, że jeżeli zrobisz przeciwko mojej córeczce chociaż jeden fałszywy ruch, to pożałujesz – zagroziła.

– Przypominam ci, że jak dotąd to ja byłam dla Rozalki jak matka i zajmowałam się nią w czasie, gdy ty latałaś za jakimś facetem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Uważaj, co mówisz! – warknęła i podeszła bliżej mnie.

– Na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Nie nastraszysz mnie. Znam takie jak ty. Jesteś słaba i dobrze o tym wiesz. Atakujesz innych, bo tylko to potrafisz – wytknęłam jej.

– I to lubię – przyznała szyderczo. – Nie myśl sobie, że teraz tak łatwo odpuszczę. Będę częstym gościem w tej twojej drewnianej chałupie. Zamierzam korzystać z prawa do odwiedzania mojej córeczki.

– Proszę bardzo, możesz nawet wpadać do nas na kawę – zaśmiałam się w głos.

– Bezcelna! Zobaczymy, kto się jeszcze będzie śmiał ostatni. Zrobię wszystko, żeby Adam cię zostawił. Jeszcze pożałujesz, że ze mną zadarłaś – straszyla mnie podniesionym głosem.

– Rób, co chcesz. Nie boję się ciebie. A o mnie i Adama nie musisz się martwić. Lepiej zajmij się sobą, bo jak dalej tak pójdzie, to raczej marnie skończysz – odparłam ze złością.

– Zobaczymy, kto wygra – odpowiedziała i rażnym krokiem ruszyła do samochodu.

Odetchnęłam głęboko. Serce biło mi jak oszalałe. Mogę przed nią udawać nawet

i herosa. Siebie nie oszukam. Jej słowa mocno mnie zabrały. Wiedziałam, że nie żartuje. Czułam potworny strach. To jeszcze nie koniec moich zmartwień. Adamowi nie powiedziałam ani słowa o swojej rozmowie z Joanną. Nie chciałam wyjść na tą, co zaraz po jego rozwodzie stwarza kolejne problemy. Postanowiłam być jednak czujna.

Rozdział V

Kilka sekund strachu – o prawdzie niosącej nadzieję, samotności zakochanej kobiety, mieszanych uczuciach wobec matki i pogubieniu się na drogach życia

Oszukać czas

Co ja mogę doradzić? Stary jestem, nie znam zasad tego świata – mówił zatroskany Henryk. Byłam u niego w schronie. Zaprosił mnie na pyszną jaśminową herbatę.

Od kilku dni widział, że sprawa dokumentów nie daje mi spokoju. W schronie nam obojgu jakoś lepiej się myślało. Odcięci od całego świata czuliśmy się częścią pewnej tajemnicy. Wyłożone gliną ściany były gwarancją, że wypowiedziane w tym miejscu słowa nigdy nie zostaną usłyszane przez kogoś postronnego.

– Ale byłeś z nimi, znałeś ich – upierałam się przy swoim.

– Wiesz dobrze, że nie zdradzili mi tajemnicy dokumentów. Wiedziałem tyle, co i ty przed ich odnalezieniem. A teraz? Nic im nie grozi. Dokumenty można ujawnić.

– Dużo o tym myślę i można powiedzieć, że podjęłam właśnie taką decyzję.

– Co może się zdarzyć? Ujawnią ich treść, spróbują ustalić, kto z listy wywiezionych z obozu dzieci jeszcze żyje. Na pewno jest kilka przypadków tych, którzy dowiedzieli się o swojej przeszłości i na własną rękę poszukują swoich korzeni – tłumaczył mądrze.

– Poza tym chcę, by ludzie dowiedzieli się o moim dziadku i o Elizabeth. Nie chodzi mi o podziw i oklaski, bo to byli bardzo skromni ludzie. Chcę tylko, by ich odwaga została doceniona przez kolejne pokolenia.

– Sami nie ujawnili tajemnicy i ja ich rozumiem. Na pewno bali się konsekwencji. Nie tyle dla siebie, co dla ludzi, którzy dzięki ich działaniom dostali nowe życie.

– Przecież łatwo by było do nich dotrzeć i zrobić coś, co mogłoby im zaszkodzić.

– Po wojnie ta sprawa była bardzo świeża. Władze obydwu państw zdecydowanie nie lubiły takich historii. Były po prostu niewygodne. Nikt nie potrzebował tego typu bohaterów.

– Pewnie musieliby się ze wszystkiego tłumaczyć, ujawnić listę wywiezionych osób.

– A różnie mogłoby się to skończyć – zauważył trzeźwo Henryk. – Nie chcieli zamieszania wokół siebie. Dobro uratowanych ludzi było dla nich najważniejsze.

– Myślisz, że teraz chcieliby ujawnienia tych dokumentów? – zapytałam wprost.

– Jestem o tym przekonany – stwierdził Henryk, a ja wreszcie poczułam spokój.

Ta rozmowa była mi bardzo potrzebna. Niestychana mądrość życiowa Henryka sprawia, że nawet największe problemy da się sprowadzić do konkretnych rozwiązań. Jeszcze tego samego wieczoru postanowiłam zadzwonić do szefowej fundacji. Strasznie

się bałam! Przecież ostatnim razem chciałam ją zwyczajnie oszukać. To nie było zbyt rozsądne. Wybrałam jej numer i modliłam się, by chciała ze mną rozmawiać. Odebrała, była konkretna i rzeczowa.

– Domyślam się, że chce pani przekazać mi coś bardzo ważnego? – zapytała wprost.

– Tak. To są informacje, ale też i bardzo ważne dokumenty – mówiłam zgodnie z prawdą. Nie chciałam ponownie się jej narazić.

– Proponuję spotkanie. Wiem, że pani pracuje zawodowo. Może byśmy się umówiły jutro, tak o osiemnastej? Fundacja oficjalnie działa do siedemnastej, ale zrobimy wyjątek.

– Bardzo dziękuję. Z przyjemnością się z panią spotkam. Do zobaczenia jutro.

– Do zobaczenia.

No i klamka zapadła. Odwrotu nie było. Cały wieczór krążyłam po domu bardzo zdenerwowana. Jeszcze raz zrobiłam zdjęcia dokumentów, bardzo dobrze je zabezpieczyłam i włożyłam do neseseru, by podczas podróży nic się im nie stało. Potem zadzwoniłam do Jonasa przekazać wieści o spotkaniu. Ucieszył się i jak najbardziej chciał iść razem ze mną. zaproponował, bym najpierw przyjechała do mieszkania, które dopiero co wynajął. Odkąd na jesieni otworzył niewielką filię swojej firmy w Warszawie, coraz częściej tu przebywał, by dopilnować wszystkiego na miejscu. Chciał jeszcze omówić naszą sprawę, a przy okazji pochwalić się swoim nowym lokum.

– No pięknie! Myślałam, że to jakieś tam małe mieszkanie, skromnie urządzone, a tu... Ile to ma metrów? – Od wejścia podziwiałam jego nowe mieszkanie.

– Coś ponad dziewięćdziesiąt – oznajmił zawstydzony.

– Mój stary dom ma trochę ponad sto. A tu? Coś pięknego, Jonas! Mieszkanie jest fantastyczne! – Cieszyłam się jego szczęściem.

– Na co mam wydawać? Dwie żony mnie zostawiły, dzieci nie mam, to sama wiesz... Jedyne przyjaciele i moje zachcianki – odpowiedział szczerze.

– W razie jakby mi się kiedyś znudziło projektowanie ogrodów, to zaklepuję u ciebie ciepłą posadkę. Co najmniej dyrektora! – zażartowałam.

– Masz ją jak w banku. A teraz lepiej powiedz, jak wybrniemy z naszych ostatnich kłamstw na spotkaniu z panią prezes?

– Nie wiem. Nie mam żadnego planu. Mam nadzieję, że nie będzie do tego wracała.

– Ale z nas przemytnicy!

– Kombinatorzy się mówi – poprawiłam go rozbawiona.

Potem nie było nam już do śmiechu. W drodze do fundacji zwyczajnie obleciał nas strach. Dwoje dorosłych ludzi, a zachowują się jak dzieci. I to żenujące kombinowanie...

Tym razem postawiliśmy na szczerłość, która zaprocentowała już na samym początku. Pani Sabina Walczak przyjęła nas bardzo serdecznie. Zażartowała jedynie, byśmy tym razem nie próbowali podnosić jej ciśnienia. Obiecaliśmy poprawę.

– Także zamieniam się w słuch. Jestem ciekawa państwa historii – stwierdziła poważnie, gdy tylko zasiedliśmy w sali konferencyjnej.

– Nie do końca jest nasza. Chociaż na pewno jesteśmy jej częścią. Chodzi o mojego dziadka Jana, który przebywał w obozie zagłady Stutthof.

– I o moją babcię, Elizabeth – dodał Jonas.

– Czyli jest szansa, że Elizabeth wspomniana przy okazji ratowania i wywożenia polskich dzieci z obozu może być pana babcią? – zapytała dociekliwie.

– To na pewno ona. Ale wszystko po kolei – zasugerowałam.

Opowiedziałam jej o wszystkim. O swoim powrocie do Pniewa i o spotkaniu Henryka, który był kluczem do całej zagadki. To właśnie on wspomniawszy pierwszy raz o tym, że mój dziadek razem z Elizabeth w tajemnicy tłumaczyli jakieś dokumenty. Nie wiedział dokładnie, czego dotyczyły, ale właśnie od dziadka dowiedział się, że to była sprawa życia i śmierci. Pierwszy raz widział je, gdy zarządzono ewakuację obozu i przemarsz więźniów nad Bałtyk. Wtedy Elizabeth dała Janowi tajne dokumenty opakowane szczelnie w szary papier i prosiła go, by zrobił wszystko, żeby ocalały wraz z nim. Henryk był świadkiem, że przez kilkanaście lat pobytu w Danii mój dziadek bardzo skrętnie ukrywał te dokumenty i strzegł ich jak oka w głowie. Potem wrócił do Polski. Henryk nie był pewien, czy dziadek zabrał te dokumenty ze sobą, ale miał przeczucie, że tak właśnie było.

– Niesamowita historia – wtrąciła pani prezes. – Pracuję w tym miejscu już ponad trzydzieści lat, ale wciąż zdarza się mi słyszeć absolutnie niesamowite, czasem przerażające historie. Mój Boże, ileż niektórzy ludzie musieli przejść w życiu.

– Tak, to niebywałe. Jesteśmy z Jonaszem tego samego zdania – przytaknęłam.

– Ale jak to się stało, że jesteście państwo w posiadaniu tych dokumentów? Bo domyślałam się, że jesteście, prawda? – zapytała zaciekawiona.

– Tak, mam je ze sobą – wskazałam na stojący obok mnie neseser. – O nich za chwilę. Jest jeszcze coś.

– Zamieniam się w słuch – stwierdziła niezwykle zaciekawiona.

Postanowiłam wyjawić prawdę o pamiętniku mojego dziadka. Opowiedziałam pani Sabinie, że dostałam go od Henryka. Mój dziadek zwrócił się do niego z prośbą, by kiedyś ten pamiętnik mi przekazał. Dziadek opisywał w nim codzienne obozowe piekło. Zapisywał imiona i nazwiska współwięźniów, spisywał ich relacje, a także pisał go jeszcze kilka tygodni po tym, jak wrócił do Polski. Zanotował, że dokumenty są bezpieczne na „polskiej ziemi pośród polskich drzew”. Gdy pierwszy raz to przeczytałam, myślałam, że nigdy ich nie odnajdę. Ale los znowu się do mnie uśmiechnął. To, co wydawało się niemożliwe, nagle zaczęło mieć sens i dawało iskierkę nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone.

– Wtedy w życiu Alicji pojawiłem się właśnie ja – wtrącił Jonas. – Moja babcia Elizabeth była niezwykłą kobietą. Moim przyjacielem. Dużo opowiadała o Janie i ich obozowej przyjaźni. W testamencie prosiła o spełnienie ostatniej woli. Zostawiła adres Jana, pod który wiele lat wysyłała listy.

– Odpisywał? – zapytała zaciekawiona pani Walczak.

– Tak. Listy są u mnie i co jakiś czas je czytam – wtrąciłam. – Najpierw Jonas napisał do mnie z wyjaśnieniem, kim jest i czego tak naprawdę ode mnie oczekuje.

– Nie chciałem Alicji wystraszyć. I nie miałem pewności, czy pod pniewskim adresem ktoś w ogóle mieszka – wyjaśnił Jonas.

– Pewnie pani bardzo się zdziwiła, otrzymując list od kogoś, kto zjawia się nagle

i jest wnukiem Elizabeth? – dociekała pani prezes.

– Przyznaję, miałam pewne obawy – potwierdziłam jej przypuszczenia. – Ale też poczułam wielką ulgę. Jonas w liście napisał, że jego babcia wspominała o tajnych dokumentach. Po jej śmierci Jonas razem ze mną chciał je odnaleźć.

– Wie pani, są w życiu sprawy, których nie można odkładać na później. Widziałem, ile ta sprawa znaczy dla mojej babci. Chociaż nigdy mi nie wyjawiała, czego te dokumenty dotyczą.

– Pierwszy raz w życiu słyszę coś takiego – przyznała pani Sabina. – Ale na myśl przychodzi mi tylko jedno pytanie. Jak? Jak państwo je znaleźliście?

– Duża w tym zasługa Henryka. Jonas dał mi do czytania listy, które mój dziadek pisał i wysyłał do Elizabeth. Przez lata je zbierała. Dzięki nim jeszcze lepiej poznałam dziadka, który zmarł, gdy byłam małą dziewczynką. Zostawił w listach jedną wskazówkę odnośnie miejsca, gdzie zostały schowane dokumenty. Niestety, tego nie zauważyłam.

– Z tego, co państwo mówicie, wynika, że pan Henryk jest niezwykle ciekawą osobą. Można powiedzieć, że to jeden z ostatnich świadków, którzy widzieli obóz i byli w nim. To temat na kolejną sprawę. Jako fundacja będziemy chcieli się tym zająć – stwierdziła pani Sabina.

– Henryk jest wspaniałym człowiekiem. Nie mogę niczego obiecać, bo on nie lubi obnosić się ze swoją przeszłością. Ale kto wie, może się zgodzi opowiedzieć o sobie – wyjaśniłam.

– Czyli to on odnalazł dokumenty? – dopytała pani prezes.

– Tak. Najpierw czytał listy. Już wtedy domyślał się, gdzie dziadek mógł ukryć coś tak cennego. Potem razem z moimi dziećmi kopał w sadzie doły, bo mieli razem wybudować schron, oczywiście dla zabawy. Tym sposobem natrafił na skrzynię, w której były dokumenty. Była zakopana pod najstarszą jabłonią w sadzie. Dziadek zawsze pod nią przesiadywał, a potem często o niej wspominał w listach do Elizabeth. Polską ziemią okazało się być Pniewo, a polskim drzewem stara jabłoń.

– Początkowo nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Dopiero Henryk wyjaśnił nam, czego mogą dotyczyć dokumenty – dodał Jonas.

– Jestem ich bardzo ciekawa – nie ukrywała pani Walczak.

– To podrobione akty urodzenia dzieci, które mój dziadek i Elizabeth wywieźli z obozu i oddali pod opiekę niemieckim rodzinom. Na pewno ktoś im pomógł – wyjaśnił Jonas.

– Maleńkie dzieci, maksymalnie trzyletnie – dodałam.

– Rozumiem, że przez długi czas biliście się państwo z myślami, co należy zrobić?

– Tak. Różne rzeczy przychodziły nam do głowy. Łącznie z tym, że możemy narobić sobie kłopotów albo zburzyć spokój osób, które pewnie do dziś nie są świadome swojego prawdziwego pochodzenia – mówiłam przejęta.

– Mogę państwu jedynie powiedzieć, że wy nie pierwsi i nie ostatni macie takie dylematy. Tym bardziej, że sprawa dotyczy zapewne dużej liczby osób, prawda? – dopytała.

– Tak, jest ich naprawdę wiele – przyznał Jonas. – Mieszkam na stałe w Berlinie. Pewnego dnia przez przypadek przeczytałem wywiad z panią Matyldą Beck. Od razu

wiedziałem, że wspomniana przez nią Elizabeth musi być moją babcią.

– Trochę poszperałam w sieci i odnalazłam panią Matyldę – podjęłam opowieść. – Opowiedziała nam swoją historię. Wszystko zaczęło układać się w logiczną całość. Historia jej córki pokazała nam, że pewnie jest jeszcze wiele osób, które szukają swojej rodziny. Zdecydowaliśmy się zgłosić do fundacji. Tylko że... – zawahałam się.

– Bała się pani, co będziemy chcieli zrobić z dokumentami? – dopytała pani prezes.

– Wstyd się przyznać, ale właśnie tak było.

– Teraz wszystko rozumiem – przyznała. – Niezbyt często podejmuje się w życiu aż tak trudne decyzje. Na podstawie swojego doświadczenia mogę powiedzieć, że to będzie jedna z najtrudniejszych spraw, z jaką nam, jako fundacji, przyjdzie się zmierzyć. Mogę państwa zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, by sprawa dokumentów nie zniszczyła nikomu życia.

– Ogromnie nam na tym zależy. To bardzo delikatna kwestia. Trzeba uszanować cudzą prywatność i za wszelką cenę nie wolno dopuścić, by zburzyć cudzy spokój – mówiłam zaniepokojona.

– Proszę się nie martwić, podejmiemy do sprawy profesjonalnie. Możecie nam państwo zaufać – zapewniła nas pani Walczak.

Chciała wysłuchać szczegółów naszej historii. Jonas opowiadał jej o Elizabeth i jej życiu od momentu, kiedy trafiła pod opiekę przykościelnego stowarzyszenia w Berlinie. Ja mówiłam dużo o dziadku, a także o jego niezwykłej przyjaźni z Henrykiem. Miałam przy sobie ich zdjęcie z czasów młodości, a także zdjęcie mojego dziadka i Elizabeth zrobione pośpiesznie w obozie. Jedno zdjęcie. To było świadectwo ich przyjaźni.

Ślady niepewności

Zrobiło mi się niezwykle przyjemnie. Poczułam rozpierające mnie od środka pragnienie. Wpółświadoma wzięłam głęboki oddech. Otworzyłam oczy. Pośród ciemnej nocy dostrzegłam twarz Adama. Objęłam ją dłońmi. Przywarł mocno do moich ust i całował, jakby świat miał się za chwilę skończyć. Odwzajemniłam jego pocałunki. Przez te wszystkie problemy nieco zapomnieliśmy o sobie. Wzajemna bliskość była nam bardzo potrzebna.

Wyszeptał moje imię i wyznanie, że jestem miłością jego życia. Całował moją szyję, obojczyk, aż zszedł do piersi, które traktował z niezwykłą delikatnością. Wydałam z siebie jęk rozkoszy. Jego język dotykał najczulszych miejsc na moim ciele. Pieścił mój brzuch, wewnętrzną stronę ud, aż dotarł do miejsca, które było drogą do największej rozkoszy.

Całowałam jego dłonie, szyję, tors, okolice brzucha i starałam się udowodnić mu, że jest całym moim światem. Przyglądałam się grymasom rozkoszy na jego twarzy i czułam, że mam nad nim władzę. Usiadłam na jego biodrach i każdym ruchem sprawiałam, że jego męskość domagała się mnie jeszcze bardziej.

Wziął mnie mocno i zdecydowanie. Jakby się bał, że w każdej chwili mogę się mu wymknąć z objęć. W jego oczach widziałam obłęd. Nasze ciała złapały wspólny rytm. Poruszaliśmy się w rytmie bicia naszych serc. Szczyt niesamowitej rozkoszy

osiągnęliśmy w tym samym czasie. Nasze krzyki przerwały nocną ciszę.

Opadliśmy na łóżko zmęczeni, ale i szczęśliwi do granic możliwości. Adam mocno przytulił mnie do siebie i całował kosmyki moich włosów. Potrzebowaliśmy chwili na cieszenie się myślą, że wciąż jesteśmy dla siebie najważniejsi. A o tym łatwo zapomnieć.

– Przepraszam za wczoraj – wyszeptał Adam. Miał na myśli naszą kolejną kłótnię. Znowu przez Joannę. Ona była jedynym powodem naszych nieporozumień.

– W porządku. Proszę cię tylko, żebyś spróbował czasami postawić się na moim miejscu. Mnie też bywa ciężko – odpowiedziałam spokojnie. Uniosłam głowę i oparłam się na przedramieniu, by móc spojrzeć mu prosto w oczy.

– Wiem. To przez te nerwy tak wybucham. Chociaż to nie może być wymówka. Kocham cię i nic ani nikt tego nie zmieni – tłumaczył się z miną winnego dziecka.

– Musimy spokojniej podchodzić do całej sytuacji. Na Joannę jesteśmy skazani. Jest mamą Rozalki i ma prawo tu przyjeżdżać.

– Nie ma prawa prowokować kłótni. Szczególnie z tobą – zauważył trzeźwo.

– Nie ma, ale pewnie i tak będzie próbowała. Ważna jest nasza reakcja.

– Porozmawiam z nią przy najbliższej okazji – zapewnił, wtulając się w moje włosy.

Joanna. Imię wypowiedziane przeze mnie już na sto różnych sposobów. Przy okazji padło tyle samo przekleństw. Jak ja jej nie cierpię! I mówię o tym wprost. Jest tak natrętna, że aż słabo się robi. Od razu poprosiłam Adama, żeby jej spotkania z Rozalką odbywały się wyłącznie w jego domu. Chciałam sobie oszczędzić jej widoku i złośliwych komentarzy. Joanna niby przyjeżdża do córki, ale każda jej wizyta wywołuje zgrzyty w całej rodzinie. Ostatnio nawet zaczęliśmy się przy niej kłócić. Mało tego, coraz częściej to właśnie ja wychodzę na osobę, która ma wieczne pretensje. Adam przy Joannie robi się strasznie nerwowy. Nie można nic powiedzieć, bo on zaraz się boi, że była żona wykorzystana to przeciwko nam.

Ostatnio z wielkim wstydem i żalem w sercu przyznałam sama przed sobą, że staję się coraz bardziej samotna. Adam oficjalnie jest ze mną, ale coraz częściej jakby nie brał mnie pod uwagę. Wydaje się, że rozumie mój punkt widzenia, ale wystarczy kolejny przyjazd Joanny, a wszystko rozpada się jak domek z kart.

To sprawia, że zaczęłam mieć poważne obawy co do naszej przyszłości. Nie byłam ich świadoma aż do ostatniej rozmowy. Padło pytanie. Niby oczywiste, ale otworzyło mi oczy.

– No to, moi kochani, powiecie nam, kiedy planujecie ślub? – zapytała Mikulska przy wspólnym obiedzie. Adam spojrzał na mnie. Czulałam, że oblewam się rumieńcem, a serce bije mi jak szalone. – Adaś już po rozwodzie. Wreszcie jest czas, kiedy możecie pomyśleć wyłącznie o sobie – nie odpuszczała.

– Mamo, w sumie to jeszcze o tym na poważnie nie rozmawialiśmy – odpowiedział Adam i coraz uważniej przyglądał się mojej zatroskanej minie.

– Młodzi niech sami decydują, my seniorzy nie powinniśmy się wtrącać – zareagowała babcia Jasia, widząc, że atmosfera się zagęszcza.

– Babcia ma rację. Najpierw musimy załatwić bieżące sprawy – podsumowałam.

Do końca obiadu panowała niezręczna cisza. Poza dziećmi już nikt więcej się nie

odezwał. Spoglądałam na Adama. Miał pochmurną minę. Ja z kolei czułam strach. Ślub? Teraz? W takim natłoku problemów? Niestety wiedziałam też, że raz rzucony temat szybko wróci. A ja właściwie nie chciałam nawet o tym rozmawiać. Ślub w naszej sytuacji wydawał się pomysłem równie nieosiągalnym, co lot na Marsa. Pojawienie się Joanny zmieniło wszystko. Nie dość, że przez nią utraciłam codzienny spokój, to jeszcze coraz częściej zastanawiałam się, czy Adam na pewno kocha mnie tak jak wcześniej.

– Co myślisz o pomysle mojej mamy? – zapytał jeszcze tego samego dnia wieczorem. Siedzieliśmy w kuchni. Każde zajmowało się swoimi sprawami.

– Jakim pomysle? – odpowiedziałam wyrwana z zamyślenia nad książką, którą akurat czytałam.

– No ze ślubem. Jestem wolny, możesz mnie brać! – roześmiał się w głos.

– Nie jestem pewna, czy to jest dobry pomysł – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Tym samym wsadziłam kij w mrowisko. Przeczuwałam zbliżającą się awanturę.

– Jak to? – Adam nie krył zaskoczenia.

– Zwyczajnie. Mamy na głowie mnóstwo problemów. Ja muszę się uporać z ogromem pracy we „Wrzosowisku”, załatwieniem sprawy odnalezionych dokumentów i pomocą Ewie oraz Henrykowi. Ty masz na głowie sprawy rodzinne.

– Myślisz, że za rok, dwa tych problemów będzie mniej? Nie, będą po prostu inne, kolejne – tłumaczył. Był coraz bardziej zdenerwowany.

– Wszystkim nam lepiej zrobi, jak ochłoniemy po ostatnich wydarzeniach – stwierdziłam.

– Jakoś mnie to nie przekonuje – odburknął. – Może ty zwyczajnie nie chcesz ślubu?

– No co ty mówisz... – Wzbierało we mnie dziwne poczucie winy.

– Jakbyś chciała, to nie byłoby takich czy innych wymówek – odpowiedział.

– Wiesz co... A ja, mimo pięknego pierścionka, który od ciebie dostałam, nie czuję się jak narzeczona – przyznałam.

– Co? – zapytał zaskoczony.

– Codziennie słyszę, że z czymś przesadzam albo to nie moja sprawa, albo jeszcze, że nie mam się wtrącać do twoich spraw rodzinnych. Chciałbyś być na moim miejscu?

– Nie rozumiem. Wiedziałaś, jaką mam sytuację rodzinną. Powrót Joanny był kwestią czasu. Teraz ci to przeszkadza?

– Nie! Po prostu czuję się jak kula u nogi. Już nie jesteś dla mnie taki jak kiedyś. I masz rację, są sprawy, których nigdy nie zaakceptuję.

– To znaczy?

– Nie pozwolę, by Joanna tak mnie traktowała. I tego samego wymagam od ciebie!

– To co mam zrobić? Porzucić córkę?! – podniósł głos.

– Wiesz co? Znowu odwracasz kota ogonem. Z tobą nie da się już rozmawiać!

– To nie rozmawiaj!

– Sam widzisz... Nie umiemy żyć jak kiedyś. Coś się zmieniło. Zaczekajmy z tym ślubem, bo ja nie czuję się na siłach.

– Aha, czyli odpuszczasz? – zapytał rozzłoszczony.

– Nie, zamierzam o nas walczyć. Ale ślub wezmę z tobą tylko wtedy, jak będę

pewna, że byle powód wszystkiego między nami nie popsuje. – Wreszcie to z siebie wyrzuciłam.

Zgoda na przemijanie

Spotkanie z Ewą było nowym początkiem. I dla mnie, i dla niej. Całą przeszłość zamknęłyśmy w słowie „przepraszam”. Nie może być tak, że to, co było, ciągle przesłania to, co jest ważne tu i teraz. Jest najgorszym więzieniem dla naszych marzeń, planów, radości. Wreszcie zrzuciłyśmy z siebie ciężar emocji, które nagromadziły się przez ostatnie miesiące. Żadna z nas nie może ponosić odpowiedzialności za wybory i czyny naszych rodziców. Jesteśmy przecież siostrami i to wyłącznie od nas zależy, jak ułożą się stosunki między nami.

Ewa potrzebuje mnie teraz jeszcze bardziej. Wieść o chorobie matki była dla niej nagła i przerażająca, tym bardziej że Ewa nie widziała jej już od kilku lat. Bała się spotkania. Bo nie dość, że trzeba było zmierzyć się z chorobą Magdaleny, to jeszcze stawić czoła nagromadzonej w sercu nienawiści za to, że przez nią życie Ewy było małym piekłem. Widziałam, jak bardzo się tego spotkania boi.

Do Giżycka pojechałyśmy razem. Całą drogę rozmawiałyśmy o tym, że są w naszym życiu osoby, które się kocha, a jednocześnie się ich nienawidzi. I człowiek ma żal sam do siebie, że targają nim tak skrajne uczucia. Obwinia się, oskarża o brak współczucia. Ale z tyłu głowy wciąż pojawia się myśl, że gdyby nie ta osoba, to nasze życie mogłoby być zdecydowanie lepsze. W moim przypadku taką osobą jest Paweł. Z perspektywy czasu widzę, że także mój ojciec, bo nie dość, że po latach dowiedziałam się o jego zdradzie, to jeszcze czuję się oszukana. W przypadku Ewy kimś takim jest jej matka. Sekret szczęścia polega na przebaczeniu i zapominaniu. Tak mówią. Znacznie trudniej jest z tym w praktyce.

Gdy stanęłyśmy na parkingu przed szpitalem, Ewę obleciał potworny strach. Patrzyła na budynek jak ktoś, kto za chwilę udaje się na egzekucję.

- Nie dam rady... – wyszeptała. Przygryzała nerwowo usta.
 - Idę z tobą. Jeżeli wydarzy się coś, czego nie będziesz chciała, wtedy zareaguję.
 - Ja się sama siebie boję. Tyle czasu jej nie widziałam... – mówiła rozżalona.
 - Będzie ciężko, ale to pierwszy krok do naprawienia różnych spraw
- tłumaczyłam.

Jeszcze kilka razy zatrzymywała się na wejściowych schodach. Mówiła coś o strachu przed matką. Zwyczajnie się jej bała. Chociaż wiedziała dobrze, że za chwilę zobaczy bardzo schorowaną kobietę, która zapewne nie będzie miała nawet siły mówić. Uświadomiłam sobie, jak bardzo głęboko siedzą w nas lęki z przeszłości. Ile musimy się namęczyć, by ciągle stawiać czoła sprawom, które oficjalnie wydarzyły się bardzo dawno temu, a jednak wciąż wracają i za nic w świecie nie możemy przed nimi uciec.

Drzwi do sali chorych były lekko uchylone. Ewa zatrzymała się na chwilę, by wziąć kilka głębszych oddechów. Dotknęłam jej pleców na znak, że może na mnie liczyć. Weszłyśmy do środka, stało tam pięć łóżek. Ewa spokojnie im się przyglądała, aż nagle jej wzrok zatrzymał się w prawym rogu sali. W oczach miała łzy. Spojrzała na mnie na

znak, że rozpoznała matkę.

Podeszłyśmy bliżej. Na ten widok nie dało się przygotować. Na środku łóżka, w białej pościeli, leżała Magdalena. A raczej jej cień. Nie przypominała siebie z okresu, gdy byłam u niej, szukając Ewy. Miała zamknięte oczy. Zapadnięte policzki kontrastowały z siniakami na jej czole. Usta także miała sine, rozcięte w dwóch miejscach. Nie słyszałam w ogóle jej oddechu. Przypominała puch na wietrze – lekki i ledwo dostrzegalny.

Spojrzałam na Ewę. Dawno nie widziałam naraz tylu emocji na jej twarzy. Ból mieszał się ze współczuciem, złością i niedowierzaniem. Patrzyła na matkę jak na kogoś obcego. Nagle Magdalena otworzyła oczy. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się raz we mnie, raz w Ewę. Po jej policzkach popłynęły łzy. Powoli uniosła chudą rękę w kierunku Ewy.

– Moja mała córeczka... – powiedziała zachrypniętym, ledwo słyszalnym głosem.

– Jestem... – odpowiedziała Ewa. Podeszła do matki bliżej i chwyciła jej dłoń. Płakała jak ktoś, kto właśnie utracił swoje szczęście.

– Wybacz mi... Tylko o to proszę... – matka mówiła coraz ciszej.

– Już dobrze, wszystko będzie dobrze – zapewniała ją Ewa.

Patrzyłam na nie z niedowierzaniem. Matka i córka. Kobiety naznaczone piętnem złego losu. Ale nadal tak sobie bliskie. Bo czy można przerwać nić łączącą matkę z jej dzieckiem?

Życie to pasmo trudnych wyborów. Przebaczenie jest jednym z nich. Teraz wiem, że nikt z nas nie ma prawa oceniać drugiego człowieka. Za każdym stoi inna historia, inna przeszłość, inne wybory. To one nas kształtują i wyznaczają drogę naszego życia. Mówi się, że żeby kogoś naprawdę poznać, należy włożyć jego buty. To prawda. Dopiero postawienie się na miejscu drugiej osoby pozwala chociaż odrobinę lepiej ją zrozumieć.

Magdalena. Kobieta zagadka. Ktoś mógłby ją nazwać pijaczką, która zostawiła swoje dziecko. Tak byłoby najłatwiej. Ale mnie od razu przypomina się jej przeszłość. W tak młodym wieku została sama. Może nie umiała o siebie walczyć? Przyjąć pomocy? Może się zwyczajnie poddała?

A konsekwencje jej postępowania spadły na Ewę. Potem wszystko potoczyło się jak śnieżna kula. Od pewnych decyzji nie było już odwrotu. Obie zostały ze wszystkim same. Czy zatem mogę je oceniać? NIE.

Wyszłam na korytarz. Potrzebowałam świeżego powietrza. Po chwili dołączyła do mnie Ewa. Powiedziała, że jej matka zasnęła. Postanowiłyśmy porozmawiać z lekarzem prowadzącym. Spodziewałyśmy się złych wieści.

– Pani Ewo, przypadek pani mamy jest jednym z tych, kiedy my jako lekarze zrobiliśmy dosłownie wszystko, co się dało zrobić, i nic już więcej zrobić nie możemy. Pani mama trafiła do nas równo cztery dni temu w bardzo ciężkim stanie.

– Na pewno nic się nie da już zrobić? – zapytała zrezygnowana Ewa.

– Pani mama ma raka płuc z przerzutami. Zrobiliśmy operację płuc. Można powiedzieć, że się powiodła. Jednak nowotwór w mózgu jest umieszczony w takim miejscu, że nie możemy się do niego dostać. Podjęliśmy decyzję, że nie będzie operacji. Nie ma takiej możliwości.

– Czyli umrze – stwierdziła moja siostra, po czym zaczęła płakać.

– Ciii, już dobrze, poradzimy sobie – pocieszałam ją. – Panie doktorze, co teraz można jeszcze zrobić? – zapytałam trzeźwo lekarza.

– Tak jak powiedziałem, stan pani Magdaleny jest terminalny. Trudno określić, ile jeszcze będzie żyła. Może tydzień, kilka tygodni, może kilka miesięcy. My jako szpital nic więcej zrobić nie możemy. W każdym innym miejscu powiedzą paniom to samo. Proponuję umieścić panią Magdalenę w hospicjum. Tam będzie miała właściwą opiekę.

– Hospicjum? – dopytała Ewa.

– W Giżycku mamy dobre hospicjum. Mogę dać paniom namiary – wyjaśniał lekarz.

– Tu? W Giżycku? Tak daleko? – dopytywała z niedowierzaniem Ewa.

Po konsultacji z lekarzem długo ze sobą rozmawiałyśmy. Ewa miała wątpliwości, czy powinna umieścić swoją matkę w hospicjum. Zawsze jej się wydawało, że to świadczy o braku zainteresowania ze strony rodziny. Wy tłumaczyłam jej, na czym polega opieka hospicyjna i jakie ma znaczenie w sytuacji, gdy ona sama nie może zająć się matką z przyczyn oczywistych. Nie ma właściwych warunków, musi zająć się Sylwią i nadal pracować. Przyznała mi rację. Nie chciała jedynie, by matka była tak daleko. Postanowiłyśmy podzwonić po warszawskich hospicjach. Jak na złość nigdzie nie było miejsca.

Wtedy mnie olśniło! Przecież w Pułtusku też jest hospicjum! Magdalena miałaby dobrą opiekę, a Ewa mogłaby ją odwiedzać w każdej wolnej chwili. Dzwoniłam do Pułtуска z bijącym sercem i nadzieją, że zdarzy się cud. No i się zdarzył! Mieli miejsce! Na dodatek oferowali pomoc, o jakiej mogłyśmy tylko marzyć. Ewa była wzruszona, że jest jeszcze na tym świecie mnóstwo osób, które chcą pomagać. Uspokoila się. Perspektywa towarzyszenia matce przy odchodzeniu z tego świata przerażała ją już nieco mniej.

Jedynym problemem było przewiezienie Magdaleny ze szpitala w Giżycku do hospicjum w Pułtusku. Konieczna była karetka z właściwym sprzętem medycznym, co było bardzo kosztowne.

Z pomocą przyszedł nam Jonas. Zadzwoił do mnie z informacją, że jest w Warszawie i chciałby się ze mną spotkać. Wyjaśniłam, że teraz to absolutnie niemożliwe, bo muszę pomóc Ewie. Gdy tylko dowiedział się, o co chodzi, od razu zaoferował pomoc. Jego przyjaciel był dyrektorem i właścicielem jednego z prywatnych szpitali w Warszawie. Za niewielką sumę zgodził się wynająć karetkę. Jonas uparł się, że pokryje wszystkie koszty. Chcąc nie chcąc, Ewa musiała na to przystać, bo taki wydatek był dla niej zbyt dużym obciążeniem. Obiecała, że postara się odpracować należną sumę. Jonas jednak nie chciał o tym słyszeć.

Wszystko zorganizowaliśmy w ciągu dwóch dni. Magdalena bezpiecznie dotarła do Pułtуска. Dyrektorka hospicjum uspokoiła Ewę, zapewniając, że jej matka będzie mieć najlepszą opiekę i wszyscy dołożą starań, by ostatnie dni jej życia były spokojne.

– Mogłam nie sprzedawać mieszkania po wujku. Teraz by się przydało – mówiła z wielkim żalem Ewa. Chodziłyśmy po pułtuskim rynku, by chwilę odpocząć od nadmiaru emocji.

– W zamian kupiłaś mieszkanie w Warszawie i to była dobra decyzja – uspokajałam ją. – Pamiętaj, że na mnie możesz zawsze liczyć. Co prawda wszyscy nie pomieścimy się w starym domu, ale babcia Jasia bardzo chętnie da ci pokój u siebie.

– Myślisz, że się zgodzi? – dopytywała z niedowierzaniem.

– Już się zgodziła. Rozmawiałam z nią. Chce ci pomóc.

– Tak się bałam, że sama będę musiała sobie z tym poradzić, a mam przy sobie tylu pomocnych ludzi – dziwiła się Ewa.

– Jeśli ktoś naprawdę potrzebuje pomocy, to zawsze ją otrzyma – wtrąciłam nauczona doświadczeniem.

– Będę przyjeżdżać na weekendy. Już w piątek. Jeśli się zgodzisz, zostawię Sylwię pod twoją opieką. Nie chcę, by widziała swoją babcię w takim stanie.

– Jasne! Sylwia będzie miała u mnie dobrze. Jak nie ja, to pani Mikulska lub babcia Jasia się nią zaopiekują. A Rozalka i Michałek ucieszą się, że mają taką wspaniałą kuzynkę.

– Czasami zapominam, że jesteśmy siostrami – przyznała Ewa zawstydzona. – Nigdy nie miałam kogoś bliskiego.

– Mnie też się czasami to zdarza. Ale teraz częściej się będziemy widywać.

– Może i w tygodniu uda mi się chociaż raz odwiedzić matkę.

– Masz już to załatwione. Jonas ma teraz dużo pracy w warszawskiej filii i dosyć często będzie w Polsce. Obiecał raz w tygodniu przyjechać z tobą do Pułtuska.

– Boże... Nie wiem, jak ja się odwdzięczę za to wszystko – stwierdziła wzruszona. Czasami można się pogubić

– Nocowałaś tu? – zapytałam z niedowierzaniem. Równo o siódmej stanęłam pod drzwiami warszawskiej filii „Wrzosowiska”. Ledwo widziałam na oczy, bo wstałam po czwartej. Musiałam przygotować dzieciom wyprawkę do szkoły i jeszcze dopiąć jeden projekt.

– Musiałam dłużej popracować. Nie opłacało mi się wracać do domu – odpowiedziała zaspana Dorota. Z rozmazanym makijażem wyglądała jak panda, a rozwichrzona burza włosów dodawała jej kilku lat.

– Powiem ci, że przeginasz – stwierdziłam lekko podenerwowana.

– Dlaczego? Wczoraj załatwiłam nowego klienta. Chce błyskawicznie wstępny zarys projektu. Daje w zamian ogromną kasę. Miałam odmówić? – pytała zdziwiona moim stwierdzeniem.

– Może powinnaś. Na pracy świat się nie kończy. A dziewczynki i Maciek? Co oni na to? Przecież ciągle nie ma cię w domu.

– No co? Maciek to dojrzały facet, a dziewczynki też już wcale takie małe nie są. Muszą sobie radzić. Nie mogę im ciągle matkować.

– Wydaje mi się, że zbyt mocno nastawiłaś się na te projekty – stwierdziłam, chociaż bałam się jej reakcji. Zazwyczaj na takie uwagi reagowała nerwowo.

– Nie chcę zawieść Franka. Dał nam wielki kredyt zaufania. Dzięki niemu mamy świetne perspektywy na przyszłość – upierała się.

– Obyś nie przypłaciła tego zdrowiem.

Sama już dawno mocno zaczęłam odczuwać nadmiar pracy. Codzienne zawroty głowy i mdłości były już stałym punktem mojego życia. Do tego doszła bezsenność, którą oczywiście wywołał bardzo nieregularny tryb życia. Dorota jakby w ogóle mnie nie rozumiała. Chciała robić więcej i szybciej, a ja zwyczajnie nie miałam na to siły.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Było to ze trzy dni po tym, jak przyłapałam Dorotę na nocowaniu we „Wrzosowisku”. Wbiegłam szybko do sklepu, by kupić dla Michałka nową bluzę. Obiecałam mu ją już dawno, a tak jakoś wyszło, że ciągle o tym zapomniałam. W sklepie zrobiło mi się słabo. Nagle poczułam mocny ból głowy. W uszach zaczęło mi potwornie szumieć. Świat wirował mi przed oczami. Uczepiłam się wieszaka z ubraniami. Torebka wypadła mi z ręki. W gardle czułam potworny ścisk, brakowało mi tchu.

– Proszę pani, dobrze się pani czuje? – usłyszałam nad sobą kobiecy głos.

– Nie wiem... – odpowiedziałam ledwo słyszalnym głosem.

– Wezwę karetkę, dobrze? – dopytywała kobieta.

– Nie, nie trzeba. Muszę usiąść.

– Ostrożnie, zaprowadzę panią do krzesła – uspokajała mnie kobieta. Pozbierała moje rzeczy, wzięła pod rękę i zaprowadziła w miejsce, gdzie mogłam usiąść i złapać oddech.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – powtarzałam jak w transie.

– Przyniosę pani wody.

Powoli odzyskiwałam równowagę. Szklanka zimnej wody bardzo mi pomogła. Zawroty głowy minęły i mogłam z łatwością oddychać. Przyszedł zakłopotany kierownik sklepu i proponował zawiezenie mnie do szpitala. Odmówiłam. Podziękowałam serdecznie za okazaną pomoc i wyszłam ze sklepu. Orzeźwiło mnie wieczorne powietrze. Wsiadłam do samochodu i nagle poczułam strach.

A jeśli to coś poważnego? Tylu ludzi choruje na różne paskudztwa, więc i mnie mogło się to przydarzyć. Zaczęłam panikować. Wykręciłam numer do prywatnej przychodni, w której przez lata się leczyłam. Jeszcze za czasów małżeństwa z Pawłem. Wciąż miałam tam wykupiony abonament. Na szczęście jeden z lekarzy zgodził się mnie przyjąć. Od razu pojechałam pod dobrze sobie znany adres. Nie musiałam długo czekać. Lekarz od razu zlecił szczegółowe badania krwi i nakazał, żeby wyniki były jak najszybciej. Pielęgniarka pobrała mi krew i powiedziała, że jeśli zaczekam godzinę, to będę mogła wyniki od razu omówić z lekarzem. Ucieszona szybkim załatwieniem badań wyszłam na korytarz i usiadłam w wygodnym fotelu. Spojrzałam na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. To był mój były mąż.

– Paweł? – Omal się z nim nie zderzyłam, wstaliśmy bowiem w tym samym momencie.

– Alicja? Przyszłaś na badania? – Był równie zdziwiony jak ja.

– Profilaktycznie. Trochę gorzej się czuję i postanowiłam sprawdzić, czy wszystko w porządku. Znasz mnie, lubię wiedzieć, jak się sprawy mają – powiedziałam zawstydzona.

– Masz czas? Zapraszam na kawę. Obok jest miła kafejka.

– To znaczy... – zawahałam się przez moment. – Tak, mam – przyznałam niechętnie.

Poszliśmy do kawiarni. Paweł od razu zaczął wypytywać, czy wszystko u mnie w porządku. Dostrzegłam, że naprawdę się o mnie martwi. I tak jakoś miło mi się zrobiło.

– Ja tu często przychodzę, przynajmniej raz na dwa tygodnie. Jestem pod stałą opieką lekarzy. Wiesz, u mnie żarty już dawno się skończyły – mówił z radosnym uśmiechem.

– Pewnie, lepiej mieć wszystko pod kontrolą. Ja tak jakoś dziś gorzej się poczułam. Za dużo ostatnio pracuję, to i jestem przemęczona. Muszę zwolnić – przyznałam.

– Poza tym wszystko w porządku? – dopytywał.

– Tak jakby – odpowiedziałam od niechcienia.

– To znaczy? Coś złego się dzieje?

– Kumulacja problemów. Różnych – wyznałam szczerze i od razu tego pożałowałam.

– Alicja, jeśli dzieje się coś złego, to mów. – Paweł chwycił mnie nagle za dłoń.

– Wiesz, że zawsze ci pomogę – zadeklarował.

Cofnęłam dłoń. Poczulałam się niezręcznie.

– Dam sobie radę – odburknęłam nerwowo.

– Kartkę ode mnie znalazłaś? – zapytał z ciekawością.

– Tak. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, po co to wszystko robisz. Nasza przeszłość jest już zamknięta. Mam swoją rodzinę i nie chcę, byś się do niej wtrącał.

– Gdybym miał szansę... – zaczął mówić stanowczo.

– Już ją miałaś. Teraz nic nas nie łączy – stwierdziłam.

Podziękowałam za kawę i wyszłam. Zdenerwowana poszłam do samochodu. Wyniki postanowiłam odebrać następnego dnia, a do domu wracałam wściekła.

Ostatnio wszystko wymyka mi się spod kontroli. Za dużo pracy, za dużo problemów. I jeszcze Paweł. Co on sobie myśli? Szkoda, że wcześniej taki nie był. To zaoszczędziłoby nerwów nam obojgu. Ale wtedy nie byłoby starego domu, Adama, dzieci. Dobrze, że z Pawłem wyszło, jak wyszło. Zmiany są potrzebne.

Kolejny dzień nie był lepszy. Znowu musiałam o siódmej stawić się w Warszawie. Dorota zażyczyła sobie tego, bo miałyśmy jakieś opóźnienie. Zamiast serdecznego powitania, była awantura na sto fajerek. W nawale obowiązków i kłopotów nie dotrzymałam terminu jednego projektu. Po prostu zapomniałam! Termin minął dwa dni temu. Zupełnie wypadło mi to z głowy. Dorota poinformowała mnie, że klient zadzwonił do niej jeszcze przed szóstą. Straszyl sądem, roszczeniem odszkodowania i tym, że teraz nas tak załatwi, że w branży na wiele lat będziemy spalone. Dorota wpadła w furję. Nigdy takiej jej nie widziałam. Wrzeszczała, że klient ma do nas olbrzymie pretensje, chce się wycofać i trzeba mu będzie zapłacić za stracony czas. Powiedziała, że jeszcze nigdy się tak na mnie nie zawiodła i nazwała mnie rozkapryszoną dziewczuchą.

– Dość! Mam dość! – krzyknęłam, by przebić się przez jej podniesiony głos.

– Ciągle mnie oskarżasz! Pomyślałaś, że ja może nie chcę tyle pracować?

– A co?! Wszystko się samo zrobi? Kolejni klienci czekają! Sama mam zapieprzać dzień i noc?

– To nie bierz tylu projektów! Ostatnio zrobiłaś się strasznie pazerna na pieniądze!
– oskarżyłam ją.

– Ja? Pazerna? Włożyłam w ten biznes kupę forsy i chcę ją odzyskać!
Jej odpowiedź była dla mnie jak policzek.

– A więc tak? O to ci chodzi? Ja nie chciałam twoich pieniędzy – mówiłam zirytowana.

– Moje pieniądze, to i mam prawo wymagać, by inwestycja na siebie pracowała!

– Nie zapominaj, kto jest szefem we „Wrzosowisku”. Nie zgadzam się na kolejnych klientów. Nie dajemy rady. Nie chcę skończyć z jakąś chorobą!

– Wypominasz mi, że mnie do siebie przyjęłaś? – spytała zdziwiona Dorota.

– Opatuj się! Chcę ci tylko otworzyć oczy na to, co robisz! Pracujesz do upadłego!

– Ktoś musi! Bo ty masz sto wymówek! Radzę ci kończyć projekt. A ja idę do tego gościa błagać go, by dał nam jeszcze kilka dni. Nie mam zamiaru z twojego powodu wyładować w sądzie! – odpowiedziała.

Energicznym ruchem zabrała torebkę i wyszła, trzaskając drzwiami. A ja po prostu się rozryczałam. Z żalu i bezsilności.

Ponad godzinę zajęło mi uspokojenie się. Adam do mnie wydzwaniał, ale nie miałam siły na żadną rozmowę. Zasłoniłam rolety i wzięłam się za projekt, chociaż i tak wiedziałam, że nie dam rady. Nie w takim stresie i nie w tak krótkim czasie. Żałowałam wypowiedzianych słów, miałam jednak nadzieję, że otworzą Dorocie oczy.

Siedziałam prawie do dwudziestej. Wściekła na siebie i na współpracowniczkę. Zadzwoiła kilka minut przed moim wyjściem. Płakała.

– Dorota, powiedz powoli, co się stało? – próbowałam ją uspokoić i czegoś się dowiedzieć.

– Zosia... miała wypadek... na basenie... – mówiła przez łzy.

– I co? Gdzie teraz jest?

– Nie wiem. Dzwonił Maciek. Właśnie zabrali ją do szpitala. Nie oddychała przez długi czas. Myślisz, że ona mogłaby... – przerwała, zanosząc się płaczem.

– Nawet tak nie myśl! Zabraniam ci! Słyszysz?

– Tak. Przyjedziesz?

– Powiedz tylko gdzie!

Do szpitala przy Niekłańskiej jechałam jak pirat drogowy. Chciałam jak najprędzej usłyszeć, że Zosia jest cała i zdrowa. Szybko odnalazłam salę, pod którą stała Dorota wsparta na ramieniu Maćka. Była spokojniejsza, bo podali jej leki na uspokojenie. Maciek opowiedział, że Zosia była na zajęciach na basenie i prawdopodobnie zasłabła w wodzie. Minęło trochę czasu, zanim ratownik ją zauważył. Mózg przez długi czas był bez tlenu. Na razie lekarze są ostrożni co do rokowań. Wprowadzili ją w stan śpiączki i chcą wykonać szczegółowe badania.

Słuchałam jego słów i nie mogłam uwierzyć, że w jednej chwili może runąć komuś cały świat. Dorota jakby nie do końca była świadoma, co tak naprawdę się stało i jakie mogą być tego konsekwencje. Jak w transie przeproszała mnie za dzisiejszą kłótnię. Prosiła, bym przejęła jej sprawy i razem z Frankiem ratowała nasze „Wrzosowisko”.

Rozdział VI

O pierwszych próbach odnalezienia zapomnianych korzeni, trudnej sztuce godzenia się z losem i samotności w związku, która odbiera resztki nadziei

Konfrontacja z przeszłością

Postawienie na prawdę było najlepszym wyjściem. Sabina Walczak, prezes fundacji „Zapomniane korzenie”, potraktowała nas bardzo poważnie. Na kolejnym naszym spotkaniu wsłuchiwała się w każde słowo opowiedanej przez nas historii. Staraliśmy się nie pominąć żadnego szczegółu dotyczącego wielkiej przyjaźni Jana i Elizabeth. Każdy przecież mógł być kluczowy w naszej sprawie. Liczyły się nawet drobnostki. Mijały godziny, a my wciąż odkrywaliśmy kolejne karty tajemniczych dokumentów.

– Tyle lat tu pracuję i nie ma tygodnia, by nie przyszedł do nas ktoś z jakąś wyjątkową historią. Ale państwa jest szczególna – przyznała pani Sabina. – Bo dotyczy bardzo wielu osób. Zazwyczaj mamy pojedyncze przypadki. Ktoś szuka na przykład zaginionej podczas wojny siostry, brata, czasami rodziców. Ktoś inny po latach dowiaduje się, że jako dziecko został oddany na wychowanie. Zazwyczaj z powodu biedy lub po to, by został ocalony. Takiej sprawy, gdzie utajona przeszłość dotyczy dużej grupy osób, jeszcze nie mieliśmy.

– Czyli fundacja nie będzie mogła pomóc? – zapytałam wystraszona.

– Wręcz przeciwnie.

– Całe szczęście, bo stwierdziliśmy z Alicją i Henrykiem, że najwyższy czas ujawnić tajemnicę dokumentów. Sami jednak nie do końca wiemy, jak należy to zrobić – przyznał Jonas.

– Tym bardziej że obawiamy się konsekwencji. Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby po latach zjawić się w moim domu i powiedzieć, że jestem zupełnie kimś innym. Mam inne pochodzenie i innych rodziców.

– Pani Alicjo, doskonale rozumiem pani obawy. Chcę panią zapewnić, że za naszą fundacją stoi wieloletnie doświadczenie i można powiedzieć, że prawie dziewięćdziesiąt procent podejmowanych przez nas spraw kończy się sukcesem.

– To dużo – przytaknęła Jonas.

– Od razu uspokajam, że wszystkie nierozwiązane sprawy to wynik albo braku dowodów, albo wycofania się z procedury osób, które się do nas zgłosiły. W państwa przypadku dowody są bardzo mocne i wyczerpują zbiór osób, które będziemy poszukiwać.

Nie było to łatwe. Pokazać dokumenty, dla których mój dziadek i Elizabeth narażali swoje życie. Tak pieczołowicie chowałam je przed całym światem. Chciałam chronić bliskie mi osoby, ale i ludzi, których nazwiska widniały na liście sfałszowanych aktów urodzenia.

– To dokumenty unikatowe na skalę światową – stwierdziła pani prezes. – Czegoś takiego nigdy nie widziałam. Teraz jeszcze lepiej rozumiem państwa obawy i opory przed ujawnieniem ich treści. Są to bardzo szczegółowe, dokładnie naniesione opisy.

– Może to zabrzmieć źle lub wyjdę na osobę zupełnie nieodpowiedzialną, ale muszę to powiedzieć – stwierdziłam, wpatrując się w wiszący na ścianie wielki zegar, którego wskazówki pędziły jak oszalałe. Wydawało mi się, że życie mocno przyspieszyło.

– Tak?

– Nie mam pojęcia, co się z nimi stanie, ale ostatnią rzeczą, której bym chciała, jest to, żeby ktoś nam je zabrał, a potem stwierdził, że nie będzie nas informował o kolejnych etapach sprawy.

– Spokojnie, pani Alicjo. Na takie przypadki są właściwe procedury. Nie ma możliwości, by nagle państwa odsunąć od sprawy, w dodatku będziecie jej kuratorami, czyli osobami, które sprawują pieczę nad jej właściwym przebiegiem. Nie wspominając o tym, że udostępnienie czy przekazanie tego typu dokumentów wiąże się zazwyczaj z tym, że właściwe instytucje chcą uhonorować osoby, które dla dobra prawdy historycznej decydują się wspomóc zarówno państwo, jak i poszczególne osoby w odszukaniu bliskich.

– Nie, absolutnie nam na żadnych zaszczytach nie zależy. Wręcz przeciwnie, wolelibyśmy, by ta sprawa nie dotyczyła nas personalnie. Chcemy jedynie brać w niej czynny udział, bo to dla nas bardzo ważne – tłumaczyłam.

– Dla naszych dziadków było ważne, więc dla nas tym bardziej – dodał Jonas.

Pani Sabina wyjaśniła nam dokładnie, na czym polega procedura ewentualnego przekazania dokumentów. Przede wszystkim zaznaczyła, że dość często ludzie zobowiązują się, że samodzielnie zadbają o różne dokumenty. Nie chcą ich przekazać. Czasami ta opieka jest właściwa, a czasami kończy się bardzo źle. Było wiele przypadków, kiedy z błahych powodów dokumenty podobnej wagi zagubiły się, zostały częściowo lub całkowicie zniszczone, spłonęły w pożarze lub ktoś je zwyczajnie zgubił. Przekazanie dokumentów do fundacji, a dalej do właściwych instytucji, wiąże się z tym, że przede wszystkim zostają one właściwie zakonserwowane, tak by upływ czasu nie działał na nie niekorzystnie. Podpisywana jest umowa przekazania dokumentów, która ich właścicielom daje prawo wglądu w ich stan, podjętą procedurę działań (w przypadku, gdy taka zaistnieje), a także wprowadza możliwość odmowy upublicznienia dokumentów, gdy zachodzi ryzyko działania na niekorzyść ich właścicieli lub osób, których dotyczą. Wszystkim zajmują się na każdym etapie wykwalifikowani specjaliści.

– Jakie wstępne kroki pani proponuje? – zapytałam, obawiając się, czy przypadek naszych dokumentów nie jest bardziej skomplikowany niż dotychczasowa praktyka fundacji.

– Nie ukrywam, że po pierwszym spotkaniu z państwem wszystkiemu się dokładnie przyjrzałam. Opisana przez państwa sytuacja pozwoliła mi na wyciągnięcie pewnych wniosków co do możliwego czasu wydarzeń. Zleciłam zespołowi opracowanie wstępnych informacji – przyznała, a ja poczułam się jak najgorsza oszustka, bo nie dość, że ostatnio zwyczajnie byliśmy wobec niej mało szczerzy, to jeszcze zabraliśmy pani Walczak cenny czas. Zachowaliśmy się wtedy okropnie!

– I co? Udało się państwu dotrzeć do jakichś informacji? – zapytał Jonas, bo ja nie byłam w stanie tego zrobić.

– Cyklicznie, w różnych dokumentach lub spisanych wspomnieniach, pojawia się wzmianka, że procederem wywożenia dzieci poza obóz pod sfałszowanym aktem urodzenia zajmowała się żona jednego z komendantów. Pomagał jej ktoś ze szpitala.

– To pasuje. Elizabeth i Jan – podsumowałam.

– Tak – przyznała pani Walczak. – Dzieci miały być wywożone z obozu pociągiem towarowym. Była tam stała linia, która kursowała do Rzeszy. Dzieci docierały pociągiem do pewnego składu pod Berlinem.

– Pewnie tam ktoś je odbierał – zauważyłam trzeźwo.

– Albo była to grupa ludzi – dodał Jonas.

– Często jest mowa o księdzu z katolickiej parafii. Jak już nam wiadomo, wtedy takie parafie musiały funkcjonować w konspiracji. Zarówno ksiądz, jak i jego współtowarzysze oraz wierni mogli się zdecydować na taki krok, by ratować te dzieci.

– To brzmi sensownie... – stwierdził Jonas.

– Co ma pan na myśli? – dopytała pani Walczak.

– Kilka lat po wojnie, gdy sytuacja się uspokoiła, moja babcia Elizabeth wróciła z małym dzieckiem, w przyszłości moim ojcem, do Berlina. Tam znalazła schronienie i pomoc w pewnej katolickiej parafii – wyjaśnił, starając się przypomnieć sobie konkretne fakty i daty.

– No właśnie! Mogła tam się udać właśnie dlatego, że ten ksiądz i sama parafia wcale nie były jej obce – stwierdziłam rozemocjonowana swoim odkryciem. – Może nie znali się osobiście, ale wiedzieli, jaki był ich udział w wywożeniu dzieci z obozu zagłady Stutthof.

– To bardzo prawdopodobne – skomentowała pani Sabina.

– A to pozwala sądzić, że potem, mając listę wywiezionych z obozu dzieci, jako parafia mogli mieć dostęp do informacji, co się dalej z nimi dzieje – wysuwałam coraz to śmielsze wnioski. – Coś na zasadzie organizacji kontaktów z wiernymi, doroczne spotkania, różnie mogli to organizować.

– Niesamowite... Teraz wszystko zaczyna układać się w logiczną całość – stwierdził podekscytowany Jonas. – Mogli działać w bardzo przemyślany sposób.

– To, co państwo mi opowiedzieliście, i informacje, które udało nam się do tej pory zebrać, w wielu punktach się pokrywają. A to już bardzo dużo i na pewno dołożymy wszelkich starań, by wszystko potwierdzić – zapewniła pani Walczak.

– Zaczynam wierzyć, że uda nam się wyjaśnić sprawę dokumentów – mówiłam z taką radością, jakby właśnie zaczynał się najwspanialszy etap mojego życia.

– A ja dotrzymam danego babci słowa – stwierdził Jonas.

– Nie wiem, czy to nie będzie dla państwa zbyt wiele radości, jak na pierwszy raz, ale jest jeszcze coś ważnego – powiedziała tajemniczo pani Walczak.

– Co? – zapytałam bezpośrednio.

– Jako fundacja mamy pod opieką kilka osób, które po latach zgłosiły się w celu poszukiwania prawdy o swoim pochodzeniu lub dowiedziały się o nim przez przypadek.

– Czy ich przeszłość ma związek z obozem Stutthof?

– Stuprocentowej pewności nie mamy, ale wszystkie znane nam przypadki mają jeden bardzo ważny wspólny etap. Każda z tych osób miała jakiś związek z tym księdzem i parafią w Berlinie. Myślę, że jest to klucz do całej sprawy – przyznała.

– Co teraz powinniśmy zrobić? – zapytał Jonas.

– Proponuję, byście państwo przekazali nam posiadane dokumenty, bo mają ogromną wartość historyczną. Taką nadamy im rangę. I oczywiście klauzulę poufności. Jako fundacja zobowiązujemy się do ich zabezpieczenia.

– Rozumiem, że podpiszemy w tym celu stosowną umowę? – dopytałam.

– Tak, zaraz państwu ją pokażę – wyjaśniła pani Walczak.

– Od razu będziecie państwo coś z nimi robić? – zaciekawił się Jonas.

– Na pewno pierwszy etap będzie polegał na tym, że porównamy dokumenty ze swoją bazą i sprawdzimy, ile osób jak dotąd zostało odnalezionych, ile nie żyje, a ile wciąż nie wie o swoim pochodzeniu. Teraz międzynarodowe systemy pozwalają łatwo identyfikować ludzi. A będzie to tym prostsze, że są tu podane niemieckie nazwiska dzieci. Może nie wszystkie zostały zmienione przez rodziny, które się nimi zaopiekowały.

– To pozwoli dotrzeć do tych osób, które nie dość, że już prawdopodobnie wiedzą o swoich prawdziwych korzeniach, to może jeszcze zechcą z nami współpracować.

– Jonas był pełen entuzjazmu.

– Na to liczę – przyznałam, ale miałam mieszane uczucia. Z jednej strony bałam się, co dalej będzie z dokumentami, a z drugiej czułam ulgę, zrzucając z siebie ciężar ich tajemnicy.

To spotkanie było kamieniem milowym w sprawie dokumentów, które dotyczyły kilkuset osób. Kiedyś to dziadek i Elizabeth wzięli za nie odpowiedzialność, teraz to my musieliśmy stawić temu czoła.

Podpisaliśmy umowę o współpracy z fundacją. Wyszliśmy stamtąd szczęśliwi, że etap podejmowania trudnej decyzji mamy już za sobą.

Pogodzenie się z losem

Trochę się ostatnio pozmieniało. Dokładnie od dnia, kiedy Magdalenę przewieziono do hospicjum w Pułtusk. Każdy z nas nabrał dystansu do świata, do siebie, do innych ludzi. Tak to już jest, gdy nagle zderzamy się z sytuacją, która jeszcze do niedawna była tylko pewnym wyobrażeniem. Nie dotyczyła nas bezpośrednio, ale skoro Ewa była w to zaangażowana, to my również nie mogliśmy pozostać obojętni.

Ewa przypominała trochę zamknięte w klatce zwierzę. Nowa sytuacja przerażała ją, by po chwili mobilizować do świetnej organizacji pracy, czasu, opieki nad Sylwią. Podziwiam ją, że potrafi tak funkcjonować. Ja w sytuacjach stresowych zaczynam się gubić. Ona wręcz przeciwnie.

Pierwszy tydzień zaplanowała co do sekundy. Zgodnie z naszą umową miała przyjeżdżać w piątki i nocować u babci Jasi. Dostała też ogromną pomoc od Jonasa. Odkąd otworzył filię swojej firmy w Warszawie, coraz częściej przebywał w swoim wynajętym mieszkaniu. Bardzo chciał czuć się potrzebny, więc zaproponował, że w każdą środę po południu przywiezie Ewę do Pułtuska.

Pierwszy raz do hospicjum poszliśmy razem. Ewa bała się spotkania z matką. Jak dotąd hospicjum kojarzyło się jej z miejscem, gdzie na każdym kroku czyha śmierć. Co tu dużo mówić, myślałam podobnie. Chyba każdy człowiek woli trzymać się z dala od takich miejsc. Idąc korytarzem, minęliśmy kilka osób. Niektórzy się do nas uśmiechali i zamienili z nami kilka serdecznych słów. Gdy weszliśmy do sali, w której leżała Magdalena, przeżyliśmy szok. Nie było jej tam. Ewa wpadła w panikę. Niepotrzebnie. Pielęgniarka powiedziała, że matka Ewy jest w ogrodzie.

Siedziała na wózku pod rozłożystym dębem. Miała zamknięte oczy. Dostrzegłam na jej twarzy spokój. Może nawet delikatny uśmiech. Po chwili jakby się ocknęła z letargu. Jej oczy zrobiły się radosne. Wpatrywała się w Ewę jak w swój największy skarb.

– Czekałam na ciebie – powiedziała cichym głosem. Miała trudności z mówieniem. Ciężko oddychała i co jakiś czas miała ataki kaszlu.

– Jak się czujesz? – Ewa wciąż nie umiała swobodnie z nią rozmawiać. Starannie dobierała słowa. Jednego zawsze unikała. „Mama”, tego powiedzieć nie potrafiła.

– Ciężka noc za mną. Męczy mnie ten kaszel – mówiła z trudem Magdalena. Co jakiś czas zerkała na mnie. Wiedziała przecież, kim jestem.

Czułam się niezręcznie i postanowiłam, że zostawię je same. Mało wspólnego czasu im zostało, o czym obie wiedziały. Każda minuta była na wagę złota. Na wyjaśnienie przeszłości. Od dawna widziałam, że Ewa pogodziła się z losem. Czuje, że ma coraz mniej czasu.

Zmieniała się też relacja między nami. Zbliżyliśmy się do siebie. Ewa wreszcie zobaczyła we mnie kogoś, kto ma dobre zamiary i chce jej pomóc. Ja przestałam się bać, że kolejny raz po otrzymaniu wsparcia zwyczajnie mnie porzuci. Przecież dotąd właśnie tak było. Jej pierwszy przyjazd do Pniewa na weekend był dla nas szansą na długie rozmowy. W piątkowy wieczór, gdy dzieci zasnęły, a Adam zajął się rzeźbieniem, poszłam do domu babci Jasi, gdzie Ewa dostała do dyspozycji uroczy pokój. Rozmawiałyśmy do późna. Takie oderwanie od codzienności było mi potrzebne. Potrzebowałam też kogoś, kto chociaż trochę by mnie rozumiał.

– Zmęczona? – Ewa od razu dostrzegła moją nie najlepszą kondycję.

– Czasami mam dość – przyznałam szczerze. – Najbardziej tej sytuacji z Joanną. Przez nią coraz gorzej dogaduję się z Adamem. Można powiedzieć, że codziennie się kłócimy.

– No, a ona ma z tego radość. Znam takie. Bardzo wyrachowane osoby. Żyją tym, że mogą innym dopiec – zauważyła.

– Zgadza się. Jestem chyba na przegranej pozycji. Cokolwiek bym zrobiła, cokolwiek powiedziała, ona zawsze przedstawia to jako moją próbę skłócenia jej z Adamem.

– Tak jest najprościej. A Adam? Jak na to reaguje?

– Hmm... Można powiedzieć, że nijak. W sumie to jestem trochę zawiedziona. Kiedyś o mnie walczył, a teraz? – Głos mi się załamał. Poczułam znowu wielki żal. Coraz częściej dostrzegałam, że jestem odstawiana na boczny tor.

– Wiem coś o tym. Przerabiałam to. Nie ma nic gorszego od samotności w związku.

Zaparzyłam gorącej herbaty. Babcia Jasia specjalnie dla nas upiekła pyszny biszkopt z jabłkami. Sama poszła wcześniej spać, zmęczona opieką nad dziećmi. Zamknęłyśmy się w pokoju. Zapaliłam kilka świec. Otuliłyśmy się ciepłymi kocami. Zrobiło się tak przyjemnie, a ja poczułam błogi spokój.

– Z Markiem zaczęliście się dogadywać? – zapytałam zmartwiona.

– Chyba można tak powiedzieć. Zapłaciłam mu sporo pieniędzy. Prawie wszystkie oszczędności, które miałam w spadku po wujku. Pewnie nie tak to sobie wyobrażał. Wujek był dla mnie dobry, chyba go zawiodłam swoim brakiem dbałości o majątek. Ale nie miałam wyjścia.

– Marek odpuścił?

– Tak. Chciałby jedynie od czasu do czasu spotykać się z Sylwią. Kocha ją.

– Na pewno. Sylwia wie, że to nie jest jej tata? – dopytywałam.

– Rozmawiałyśmy o tym. Chodzę z nią do psychologa. Ona nic z tego nie rozumie.

– To jeszcze małe dziecko.

– Wyrzuciłam jej wielką krzywdę. Tęskni za Markiem.

– A on wywiązuje się z terminów spotkań?

– Coraz rzadziej. Czuję, że niedługo się od nas zupełnie odetnie. To dobrze i niedobrze.

Ewa opowiedziała mi o tym, jak i kiedy poznała Marka. Wtedy był dla niej wybawieniem. Mogła się wyrwać od uzależnionej matki i zacząć nowe życie. Sielanka szybko zamieniła się w piekło, a Ewa pojęła, że odejście od Marka będzie miało wiele konsekwencji. Była jeszcze Sylwia. I tajemnica Ewy. Tylko ona wiedziała, kto naprawdę jest ojcem jej córki.

– Mogłabym cię o coś zapytać?

– Pytaj śmiało – odpowiedziała. Chyba przeczuwała, co chodzi mi po głowie.

– Jeżeli nie chcesz, nie odpowiadaj – zastrzegłam. – Ale czy możesz powiedzieć, kto jest ojcem Sylwii i jak to się stało, że nie mogliście być razem?

– Mogę ci wszystko powiedzieć. Tylko że po usłyszeniu tej historii możesz stwierdzić, że jestem bardzo złym człowiekiem – przyznała.

– Nie chcę cię oceniać.

– Byłam wtedy na życiowym zakręcie. Szczerze mówiąc, nie miałam siły dalej żyć. Matka nie dawała sobie pomóc. Zaciągała kolejne długi. Nagle zaczęli się zgłaszać do mnie jacyś ludzie z pretensjami i żądaniami zwrotu jakichś pieniędzy. Bałam się ich.

– To musiało być strasznie trudne.

– Było. Pracowałam wtedy w restauracji. Po kilkanaście godzin dziennie. A i tak ciągle brakowało nam kasy. Wtedy poznałam Kamila.

– Ojca Sylwii?

– Tak. Przyszedł pewnego dnia na obiad. Zapytał, czemu jestem taka smutna. Nie mogłam uwierzyć, że jakiś obcy człowiek się mną przejmuje.

– Zakochałaś się w nim?

– To uczucie było jak burza – przyznała. – Nikt nigdy nie dał mi w tak krótkim czasie tak wielkiej miłości. Kochałam go ponad swoje życie.

– Co było dalej? – dopytywałam.

– Na pewno nie sielankowo. Kamil też nie miał łatwo. Właśnie zmarła mu matka i pod jego opieką został brat chory na stwardnienie rozsiane.

– To okropne – przyznałam poruszona.

– Kamil ledwo wiązał koniec z końcem. Wtedy dowiedziałam się, że jestem z nim w ciąży. Tego samego dnia poznałam Marka. Wcale nie przez przypadek. Kamil pracował u niego jako ochroniarz. Podjechałam z nim do domu Marka, który akurat pilnie go wezwał. Wtedy pierwszy raz go zobaczyłam. Od razu wpadłam mu w oko – przyznała zasmucona.

– Wybrałaś Marka?

– Był spełnieniem marzeń o mężczyźnie, który kocha i daje poczucie bezpieczeństwa. Wiedziałam, że przy nim mogę się wyrwać z sideł matki i życia, które było jak wielka zadra. Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że z Markiem też czeka mnie piekło. Taka karma.

– A Kamil?

– Zerwałam z nim. Bardzo to przeżył. Nie powiedziałam mu o ciąży. Wybrałam wygodne życie przy Marku. Tak było łatwiej. Kamil gdzieś wyjechał. Nigdy go już więcej nie zobaczyłam.

– A Marek się szybko zmienił? – dopytywałam.

– Na początku było jak w bajce. Na wieść o ciąży rozpieszczał mnie do granic możliwości. Nie podejrzewał, że to może być dziecko innego mężczyzny. Ale bajkowe życie szybko zmieniło się w koszmar. Zaraz po urodzeniu Sylwii dowiedziałam się, że Marek prowadzi nielegalne interesy, a do tego ma na boku kochankę. Wyrzuciłam mu wszystko prosto w twarz, a on zagroził, że jeżeli tylko spróbuję od niego odejść, mogę pożegnać się z Sylwią. Przysiągł, że mi ją odbierze. Dlatego zostałam przy nim.

– Byłaś w potrzasku.

– Na własne życzenie. Popadłam w depresję. Marek kazał mi chodzić do psychiatry. Nie z troski o moje zdrowie. Szukał dowodów, że jestem niezrównoważona psychicznie.

– Ten detektyw, który cię wtedy szukał, mówił tak samo – przypomniało mi się.

– Taki był ich plan. Zamknąć mnie w jakimś zakładzie i odebrać mi Sylwię. Szukałam ratunku, ale każde wyjście wydawało się być kolejną pułapką.

– Na twoim miejscu chyba bym umarła ze strachu – przyznałam.

– Czasami myślałam, że jeszcze trochę i nie dam rady. Myślałam o najgorszym. Przy życiu trzymała mnie Sylwia. Zaczęłam też nagrywać różne rozmowy Marka. Szukałam sposobów, żeby wyrwać się z tej matni.

– Domyślałam się, że niektóre były drastyczne.

– Tak, dzięki temu miałam na niego niejednego haka.

– A jak się dowiedział, że Sylwia nie jest jego córką? – To mnie ciekawiło najbardziej.

– Gdy Sylwia miała pięć lat, bardzo ciężko chorowała. Niby seria zwykłych przeziębień, ale coś było nie tak. Wystraszyłam się.

– To coś poważnego?

– Zrobili jej serię badań, podejrzewano białaczkę.

– To straszne! – stwierdziłam ze zgrozą.
– Zaczęto szukać ewentualnego dawcy szpiku. Zawsze zaczyna się od najbliższej rodziny. Wtedy wyszło na jaw, że Marek nie jest ojcem Sylwii – wyznała ze smutkiem.
– No tak. To są zawsze niezbite dowody. A Sylwia? Wyzdrowiała?
– Tak, na szczęście to nie była białaczka tylko bardzo silna infekcja organizmu.
– Chociaż tyle – skomentowałam. – A Marek? Co zrobił?
– Wściekł się i powiedział, że mnie zabije za to oszustwo. Musiałam uciekać. Nie myślałam rozsądnie, liczyło się wyłącznie dobro Sylwii.
– Ktoś ci pomagał?
– Nie. Ukrywałam się po znajomych albo w wynajmowanych pokojach. Tak jak wtedy, gdy znalazłaś mnie w mieszkaniu na Pradze.
– Pamiętam. Już wtedy przed nim uciekałaś.
– Opuścił dopiero, gdy go zaszantażowałam. Miałam nagrane rozmowy i zrobione skany dokumentów, które potwierdzały, że prowadzi szemrane interesy. To właśnie wtedy szukał mnie w Pniewie. Gdyby nie ty i twoja rodzina, pewnie by mnie zabił. W końcu się dogadaliśmy. W zamian za spokój mój i Sylwii zapłaciłam mu pieniądze, których się domagał.

– Smutna historia. – Było mi jej naprawdę żal. – A Kamil? Widziałaś się z nim po tym wszystkim? Powiesz mu, że ma córkę?

– Nie.

– Będiesz go szukała?

– Nie, nie będę mu drugi raz rozpieprzać życia. Inni ludzie tylko przeze mnie cierpią – przyznała gorzko.

Trudno było uwierzyć, że życie może być tak pogmatwane... Bardzo Ewie współczułam. Zupełnie się pogubiła. Może właśnie Kamil byłby tym człowiekiem, przy którym mogłaby zaznać szczęścia? Czemu tak łatwo z niego zrezygnowała? Jasne, szukała wygodnego życia. Ale żeby poświęcić prawdziwe uczucie? Jakoś nie mogłam sobie tego wyobrazić.

Na dwoje babka wróżyła

– Jest pod najlepszą opieką. Trzeba być dobrej myśli – stwierdziłam, opierając się o ścianę szpitalnego korytarza. Od wypadku Zosi zaglądam tu chociaż raz na dwa dni.

– Tak... Oddałabym wszystko, żeby Zosia wyzdrowiała – powtarzała wciąż Dorota, w ogóle nie zwracając uwagi na szpitalne życie. Jakby była w innym świecie.

– Maciej mówił, że z mózgiem małej wszystko w porządku. Najgorsze obawy na szczęście się nie potwierdziły.

– Ale płuca... Z tym jest źle – mówiła, a w jej oczach pojawiły się łzy. – To za karę. Byłam złą matką. Tylko praca i praca, zapomniałam o dzieciach. – Rozplakała się.

– Nie wolno ci tak myśleć. – Mocno ją do siebie przytuliłam.

Przez jej ramię spojrzałam na salę, w której leżała Zosia. Podłączona do mnóstwa dziwnych rurek i całej tej aparatury wyglądała tak niewinnie. Trudno było pogodzić się z tym, że to maleństwo musi tak cierpieć. A razem z Zosią cała jej rodzina.

Dorota obwiniła siebie dosłownie o wszystko. Błagała lekarzy, by ratowali jej córkę. Początkowo rokowania były bardzo złe. Podejrzewano częściowe niedotlenienie mózgu, co mogło być tragiczne w skutkach. Na szczęście te podejrzewania się nie potwierdziły. Ale niepokojące było coś innego. Zosia miała uszkodzoną część prawego płuca i dwa krwiaki w drugim. Poważna sprawa. Bo nie dość, że miała nagłe napady ostrego kaszlu, to jeszcze każdy oddech wiązał się z wielkim bólem. Biedactwo moje kochane. Gdybym tylko mogła, całe jej cierpienie wzięłabym na siebie.

– Podwiozę cię do „Wrzosowiska”, a potem załatwię kilka spraw w mieście.

– Z zadumy wyrwał mnie głos Franka, który rano przywiózł mnie do szpitala. Tak się umówiliśmy. Tej nocy spałam w naszym warszawskim biurze, bo obiecałam Dorocie, że będę z nią rano, kiedy lekarz będzie przekazywał najnowsze wieści o zdrowiu Zosi.

– Dobrze. Pamiętaj, że o piętnastej mamy spotkanie z tym klientem z polecenia twojego znajomego – zauważyłam trzeźwo.

– Już to załatwiłem. Na razie odpuszczamy – stwierdził Franek. Dotknął mojego ramienia, jakby chciał mnie uspokoić.

– Jak to? – zapytałam zdziwiona. Jeszcze wczoraj mieliśmy inne plany.

– Nie mogę pozwolić na to, żebyś tak się przepracowywała. Pogadałem z nim i przełożyliśmy termin oddania projektu. Tak będzie lepiej.

– Nie będziesz miał przez to problemów? – zaniepokoiłam się.

– Daj spokój. To tylko projekt. Zapraszam na poranną kawę.

Dorota skupiła się na rodzinie. Wszystkie prace we „Wrzosowisku” spadły na mnie. Nie, nie miałam zamiaru się uskarżać. Przeciwnie, postanowiłam zrobić absolutnie wszystko, by nasz biznes ani trochę nie ucierpiał. Trzeba to było porządnie zaplanować.

Musiałam przeorganizować dosłownie całe życie. Gdyby nie pomoc babci Jasi, Adasia, Basi i pani Irenki, nic by się nie udało. A tak... Jakoś to wszystko ze sobą godzę. Co nie oznacza, że jest idealnie. Dziś na przykład nocowałam we „Wrzosowisku”, bo oprócz tego, że obiecałam Dorocie pójść z nią jak najwcześniej do szpitala, to do trzeciej nad ranem siedziałam nad projektem. Skończyłam! Czyli jeden mały sukces na koncie już mam. Franek bardzo mnie wspiera. To znacznie więcej niż zwykłe wsparcie partnera w biznesie. Zdecydowanie można mówić o przyjacielskiej pomocy. Nie dość, że negocjuje z klientami w sprawie przełożenia terminów, to jeszcze pomaga przy projektach. Wczoraj siedział ze mną do późnej nocy. Śmiał się, że jako stateczny kawaler może sobie na coś takiego pozwolić.

Ale życie rodzinne zupełnie mi się posypało. Adam próbuje rozwiewać moje obawy, ale też coraz częściej dostrzega, że jego była żona tak szybko nie odpuści.

Na własną rękę zaczął szukać informacji o Joannie. Odświeżył kontakty z dawnymi znajomymi. Trochę mnie to zdziwiło, ale i dało nadzieję, że Adam wziął sobie do serca to, że Joanna może zniszczyć nasz związek i naszą rodzinę. Jak widzę, Adam bardzo się tego obawia i na pewno tego nie chce. Ale to wszystko nie jest takie proste...

Zauważyłam, że Joanna buntuje przeciwko mnie Rozalkę i wykorzystuje ją do realizacji swoich celów. Najwyraźniej prorocтва Doroty zaczęły się spełniać.

Ostatnio zabrała ją do siebie na weekend. Nic nie zapowiadało kolejnej awantury. Mała wróciła w niedzielę wieczorem. Zasiadliśmy do kolacji. Dzieci stęskniły się za sobą,

więc i radośnie opowiadały, co każde z nich robiło przez ostatnie dwa dni. Ale jak to dzieci. Zaczęły się kłócić. Nie lubię takich momentów, bo zawsze trzeba jakoś zareagować, a zazwyczaj wychodzi mi to dosyć kiepsko.

– Mamo! Powiedz jej coś! Zabrała mój kubek! – złościł się Michałek.

– No już, spokojnie. Rozalko, zobacz, twój kubek tu się zawieruszył. Najładniejszy, bo ma piękne czerwone kropki – tłumaczyłam.

– Nie oddam! – zaprotestowała.

– Mamo! No proszę cię! – upierał się Michałek.

– Rozalko, proszę oddaj kubek – wtrącił się Adam.

– Nie!

– Kochanie, Michałek jest smutny. Nie będziemy robić mu przykrości, dobrze? – powiedziałam.

– Nie jesteś moją mamą i nie będziesz mną rządzić! – krzyknęła Rozalka. Szurnęła talerzem i uciekła do swojego pokoju. Zatkano mnie. Czułam, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Adam patrzył na mnie przeproszająco.

– Pójdę z nią porozmawiać – stwierdził ponuro.

Skończyło się tak jak zawsze. Na porządnej awanturze. Adam znowu zarzucił mi, że na siłę dopatruję się jakiegoś podstępu Joanny. Mówił, że Rozalka to jeszcze małe dziecko i może jej się zdarzyć takie zachowanie. Jasne, zgadzam się z nim, ale wiem też, że gdyby Joanna jej nie buntowała, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

Poszłam na spacer. Zadzwoiłam do Doroty. Musiałam z kimś porozmawiać. Mimo że miała własne problemy, spokojnie mnie wysłuchała.

– Adam jest w potrzasku, co go oczywiście nie usprawiedliwia, nie ma prawa zrzucić całej winy na ciebie. Masz rację, jasno stawiaj sprawę – tłumaczyła zbulwersowana.

– Mam wrażenie, że Adam to właśnie mnie traktuje jak intruza – skarżyłam się.

– Bo mu na to pozwalasz.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Inna na twoim miejscu tupnęłaby nogą i pogoniła to całe towarzystwo. Zjawia się jakaś baba i nagle zaczyna panoszyć się w twoim życiu – argumentowała Dorota.

– Ma prawo przyjeżdżać do córki – zauważyłam trzeźwo.

– Do córki tak. Nic poza tym. Adam powinien postawić wyraźną granicę.

– To co mam zrobić?

– Moim zdaniem powinnaś się postawić. Chowanie głowy w piasek nic nie da. Zgadzasz się na jej intrygi.

– No tak, ale Adam się wścieknie i znowu będą awantury – stwierdziłam smutno.

– To niech się wyprowadzi do mamusi i znajdzie jakiś sposób na byłą żonę. Jesteś dla niego za dobra. Zmieni się, jak poczuje, że traci grunt pod nogami.

Doradziła, jak umiała. Zawsze lubiła drastyczne rozwiązania, co nie do końca jej samej wychodziło na dobre. Nie chciałam stawiać Adamowi ultimatum. Albo ja, albo Joanna. To by było strasznie żałosne. Aż tak nisko jeszcze nie upadłam.

Po drodze zaszłam do Basieńki. Nie chciałam wracać do domu. Po rozmowie

z Dorotą byłam na tyle wzburzona, że na pewno doszłoby do kolejnej kłótni z Adamem. Liczyłam na spokój i chwilę rozmowy. Wystarczyło jedno jej współczujące spojrzenie, żebym się rozplakała. Musiało minąć trochę czasu, zanim się uspokoiliam.

– Dziwne to wszystko. Dorosły facet, a tego nie widzi – oceniła Adama.

– No. To jest najgorsze – mówiłam, pociągając nosem.

– Kurczę, nawet nie widzi, co dla niego robisz. Powiem ci, że nie każda kobieta mogłaby to wszystko akceptować.

– Kocham go, to i akceptuję.

– Nie wiem, co ci doradzić – przyznała szczerze.

– Dorota mówi, żeby postawić sprawę na ostrzu noża i kazać mu wybierać.

– Nie, takie coś tylko niepotrzebnie zaostrzy konflikt.

– Też tak myślę. Znasz Adama. On jest bardzo honorowy.

– I strasznie uparty. Jak coś sobie postanowi, to koniec – zauważyła Basieńka.

– I co teraz?

– Ja bym spróbowała przeczekać. I zobaczyć, jak sytuacja dalej się rozwinie.

– Chyba nie mam wyjścia.

Wracałam od niej nieco pocieszona. Opanowałam nerwy, chociaż wiem, że Dorota najchętniej rzuciłaby się na Adama z nożem. Basieńka sugerowała pokojowe rozwiązania. A to jest trudne, gdy prawie każdy dzień to ten z rodzaju „cichych dni”.

Gdy wróciłam, Adama nie było. Pewnie jak zwykle zamknął się w pracowni i tam leczył swoje zszargane nerwy. Nie umiałam w ten sposób. W stresie praca szła mi kiepsko. Wyjęłam zatem swój pamiętnik i zaczęłam pisać.

Myślałam, że najgorsze w życiu to być samotną. Nie, najgorsze to mieć wokół siebie mnóstwo ludzi i czuć się samotną mimo wszystko. Mam rodzinę, mam związek, a jestem tak cholernie samotna. Dziś to do mnie dotarło. A jak wiadomo, samotność w związku popycha w kierunku niewłaściwych osób. Pogubiłam się. Chciałam kochać i być kochana. Wyszło jakoś tak na opak. Czuję, że życie wymyka mi się z rąk. Mało kto mnie rozumie. Chcę dla wszystkich jak najlepiej, ale ciągle uderzam głową w mur. Znowu nie umiem się zbuntować i powiedzieć wprost, że nie jestem szczęśliwa. Boję się konsekwencji. Przecież mogą być różne. Nie myślę o nich, by nie wywołać wilka z lasu. Czekam na jakiś cud.

Zamknęłam pamiętnik. W tej samej chwili zadzwonił Franek. Sam jego głos sprawił, że poczułam spokój. Opowiadał, jak świetnie radzi sobie z negocjowaniem terminów. Od słowa do słowa przeszliśmy do rozmów o czasach studenckich. Cały czas śmiał się, że gdyby nie jego nieśmiałość, może wyrwałby najfajniejszą dziewczynę na roku, czyli mnie. Tak jakoś miło mi się zrobiło. Przyjemnie polechtał moją próżność. Był moim przyjacielem, a jednak podczas rozmowy z nim przeszła mi przez głowę mało rozsądna myśl. Czy moje życie u boku Franka mogłoby być lepsze? Jak by się potoczyło, gdyby na studiach zrobił ten pierwszy krok? Jedna myśl, a zasiała w sercu niepewność.

Rozdział VII

Pewna jest tylko zmiana – o spowiedzi chorej kobiety, buntowaniu córki przez matkę, tajemniczym księdzu z przeszłości i szalonej nocy na huśtawkach

Wyznanie win

Naprawdę to zrobiłaś? – dopytywałam ogromnie zdziwiona.

– Przecież obiecałam. Chcę, żebyś tam jutro ze mną była – nalegała.

– Ale już? Tak szybko wszystko będzie załatwione? Myślałam, że takie sprawy trwają latami.

– Dlatego poradziłam się prawnika.

– I co?

– Powiedział, jakie są najszybsze możliwości. Potwierdziłam sądownie, że jestem córką Piotra Pniewskiego. Nawet nazwisko mogłam zmienić – mówiła spokojnie.

– I zrobiłaś to? – zapytałam zaciekawiona.

– No gdzie! Jeszcze do końca nie oszalałam! – zaśmiała się. – Jestem Ewą Kawalec i niech tak zostanie. Poza tym, nie wiem jak się dalej potoczą sprawy z Markiem. Cofnięcie uznania ojcostwa jest podobno bardzo skomplikowane. Jeżeli Marek pójdzie do sądu i wygra sprawę, wtedy chcę, by Sylwia nosiła moje nazwisko.

– No tak, tu się pojawiają kolejne komplikacje – przyznałam.

– Wiesz, może głupio to zabrzmie, ale Marek był dla Sylwii bardzo dobrym ojcem. Nie sądzę, by chciał cokolwiek przeciwko niej zrobić.

– Może faktycznie zostawi wszystko, jak jest.

– Alimentów od niego nie chcę. I tak mu sporo w życiu namieszałam – stwierdziła z wielkim smutkiem w głosie.

– Ale co? O spadek też założyłaś sprawę w sądzie? – dopytywałam, nie rozumiejąc jej planu. – Będą rozprawy i te dziwne procedury?

– No nie. Można to załatwić u notariusza. Jestem umówiona jutro na piętnastą. W Pułtusku. Przyjeżdżam do Magdaleny, to i przy okazji notariusza załatwię – poinformowała. Kolejny raz dotarło do mnie, że Ewa nie jest w stanie mówić do Magdaleny „mamo”.

– I na czym to polega?

– Składam przed notariuszem oświadczenie, że zrzekam się przysługującego mi po ojcu spadku. Na tę sytuację jest przygotowany akt notarialny. Podpiszę go i sprawa z głowy. A ciebie podałam jako świadka. No bo przecież się zgodzisz, prawda?

– Naprawdę tego chcesz? – dopytałam. Po raz kolejny dopadły mnie wyrzuty sumienia.

– Nie zaczynaj znowu! – zagroziła ze śmiechem.

Jak powiedziała, tak i zrobiła. W piątek urwała się wcześniej z pracy

i pojechałyśmy do Pułtusza do notariusza. Wszystko trwało nie dłużej niż pół godziny. Trzy kartki papieru zapisane prawniczym językiem załatwiły całą sprawę. Ewa zrzekła się praw do spadku. Decyzja nieodwoławna. Dziwne to było uczucie. Stać tam i słuchać, jak ktoś z czegoś rezygnuje.

– To wszystko mamy z głowy – przyznała radośnie Ewa tuż po wyjściu od notariusza.

– Nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję to chyba niepasujące do tej sytuacji słowo.

– Speszyłam się na samą myśl, że jeszcze niedawno darłyśmy koty.

– Każda z nas ma to, na co zasłużyła. Poza tym, przepraszam, że to powiem, ale to żadna atrakcja dostać majątek po ojcu, którego się nawet nigdy nie widziało – przyznała gorzko.

– Co mam odpowiedzieć?

– Nie mów nic! Masz problem z głowy. Ja też. Chodźmy lepiej na dobrą kawę.

– Potem zostaniesz na kilka godzin u swojej mamy?

– Tak. Ale jest jeszcze coś. Ostatnio prosiła, żebyś do niej przyszła. Chce porozmawiać. – Słowa Ewy mnie zaniepokoiły.

– Porozmawiać? Ale o czym?

– Nie wiem. Zgódź się, to chyba dla niej ważne.

Zgodziłam się. Bardziej pod wpływem chwili niż z rozsądku. Miałam mnóstwo wątpliwości. Stojąc na korytarzu hospicjum, doszłam do wniosku, że popełniam błąd. Wcale nie chciałam rozmawiać z Magdaleną. Mimo ciężkiej choroby wciąż widziałam ją wyłącznie przez pryzmat cierpienia, jakie wyrządziła mojej rodzinie. Nie umiałam inaczej. Nigdy z Ewą o tym nie rozmawiałyśmy. To był temat tabu. Zresztą, jak jeszcze kilka innych.

Poprosiłam jedynie, by Ewa zaczekała na korytarzu. Bałam się swojej reakcji na to, co mogłam usłyszeć. Wolałam odbyć tę rozmowę bez świadków.

Magdalena czekała na mnie w swoim pokoju. Siedziała na wózku inwalidzkim, nogi miała przykryte kocem. Wyglądała nieco lepiej. Nawet przez chwilę pomyślałam, że może jednak wyzdrowieje. Patrzyła na mnie zrozpaczonym wzrokiem. Takim, który świadczy o tym, że człowiek czuje się winny.

– A jednak przyszłaś – powiedziała dosyć serdecznie, co nie umknęło mojej uwadze.

– Chciała pani ze mną rozmawiać...

– Tak. Usiądź, proszę – wskazała wychudzoną ręką stojące nieopodal niej krzesło.

Przez dłuższą chwilę panowała bardzo niezręczna cisza. Żadna z nas nie odważyła się powiedzieć słowa. Magdalena schyliła głowę, wpatrując się w swoje dłonie. Uważnie ją obserwowałam. Przypomniałam sobie o zdjęciu, które dostałam kiedyś od byłej gosposi księdza Jankowskiego, pani Reginy Sokolik. Przedstawiało Magdalenę z małą Ewą. Na tym zdjęciu Magdalena była niezwykle piękną kobietą. Ale czas nie był dla niej łaskawy. W ogóle nie przypomina siebie sprzed lat.

– Ewunia mówiła, że bardzo ją wspierasz – powiedziała wreszcie.

– Miło to słyszeć. Lubię Ewę. Chcę dla niej jak najlepiej. W końcu to moja siostra.

– Tak, twoja siostra – przyznała. Znowu zapadła cisza. Cała ta sytuacja zaczęła mi

ciężyc. Chciałam jak najszybciej stąd uciec.

– Chce pani rozmawiać o Ewie? – zapytałam, starając się powstrzymać złość.

– Nie. Chciałam cię przeprosić – wyznała.

– Przeprosić?

– Tak. Chociaż mnie i tak nic już nie uratuje. Wierzę w Boga. Wiem, że tacy jak ja mają wyznaczone miejsce w piekle – stwierdziła. Po jej policzkach popłynęło kilka łez.

– Niech pani tak nie mówi.

– Tyle zła w życiu wyrządziłam. Innym i swojej córce. Tobie też. – Spojrzała na mnie.

– Nie mnie to oceniać – powiedziałam, chcąc zbagatelizować jej słowa.

– Twój ojciec był dla mnie dobry. Wykorzystałam go. Wiedziałam, że ma żonę i dziecko – przyznała szczerze. – Bawiłam się nim.

– No cóż... Sporo pani namieszała, ale ojciec też nie był święty. Czasami sobie myślę, że byliście sobie warci – przyznałam gorzko.

– Nie myśl tak o nim. Wcale nie był złym człowiekiem – przekonywała.

– Może i nie, ale dokonywał bardzo złych wyborów.

– Czy mi wybaczysz? – zapytała wreszcie.

– Wie pani... Ja nawet nie czuję się uprawniona, żeby pani wybaczać. Byłam wtedy małą dziewczynką. Nie rozumiałam, o co chodzi. Choć owszem, przez romans ojca z panią życie mojej rodziny się zmieniło. Musieliśmy wyjechać z Pniewa. Tego żałuję najbardziej.

– Ale wybac mi, proszę – nalegała.

– Jest jedna osoba, na której wybaczeniu powinno pani zależeć. Jest nią Ewa. Przepraszam panią, bardzo się spieszę do moich dzieci – powiedziałam. Wstałam szybko z krzesła i chciałam się z nią pożegnać.

– Zaczekaj chwilę – zawołała, gdy podeszłam do drzwi. – Mam jedną prośbę.

– Tak?

– Mnie już za chwilę nie będzie. Umrę. Nawet się z tym pogodziłam – przyznała ze spokojem. – Ale Ewunia zostanie na tym świecie sama. Ma tylko Sylwię. Proszę, zaopiekuj się nimi. Bądź zawsze blisko. One ciebie potrzebują. Proszę, zgódź się.

– To jest dla mnie oczywiste. Są moją rodziną, a rodziny się nie zostawia. Niech pani będzie spokojna. Ewa może na mnie liczyć – odpowiedziałam i wyszłam.

Nie dokazuj, miła, nie dokazuj

– Jeszcze trochę i będą wakacje! A ty chodzisz do szkoły? – dopytywał Michałek.

– Chodzę. Mama mnie codziennie odprowadza. Ale sama też mogę iść, bo się niczego nie boję – pochwaliła się Sylwia.

– Czy to prawda, że w Warszawie nie można nigdzie iść bez mamy? Nawet do sklepu? – dopytywała Rozalka.

– Prawda. Bo jest dużo ludzi i można się zgubić. W metrze jest ich czasami tak dużo, że nie można wsiąść do wagonu i trzeba czekać na kolejny pociąg – tłumaczyła Sylwia.

– Ej! To może się umówimy tak, że my przyjmujemy cię do Gangu Złotej Strzały, a ty nas zaprosisz do siebie i razem z moją i twoją mamą pojedziemy metrem? – Michałek od razu wpadł na kolejny pomysł urozmaicenia swoich codziennych zajęć.

– Dobrze, umowa stoi.

– Mama Alicja mówiła ostatnio, że ty jesteś moją siostrą cioteczną – stwierdził Michałek.

– I moją trochę też – dodała Rozalka.

– Moja też tak mówiła. Bo nasze mamy są siostrami – tłumaczyła Sylwia.

– Tylko nie wiedziały o tym przez wiele lat. Ale to dobrze, że wreszcie się dowiedziały. Mama będzie mniej smutna. Ma siostrę, która zawsze jej pomoże – zauważył błyskotliwie Michałek.

Stałam oparta o futrynę drzwi i przysłuchiwałam się ich rozmowie. To było pierwsze spotkanie Sylwii z Rozalką i Michałkiem. Trochę się niepokoiłam o ich reakcję na wieść, że mają jeszcze siostrę cioteczną. Jak zwykle moje zmartwienia były niepotrzebne. Długo rozmawiałam z Michałkiem i Rozalką o tym, dlaczego w naszym życiu pojawiła się nagle Ewa, kim dokładnie jest i jak to się stało, że poznałyśmy się dopiero kilka miesięcy temu. Jak to dzieci, przyjęły wszystko do wiadomości i nie zadawały zbędnych pytań. Raczej skupiły się na tym, że mają kuzynkę i będą się z nią bawić.

Piątkowy wieczór był niezwykle radosny. Dzieci dokazywały na każdym kroku, a my bardzo staraliśmy się, by wspólnie spędzony czas był dla nas szansą na budowanie więzi. Ewa przyjechała z Sylwią do Pniewa autobusem, co nie przeszkodziło jej w przywiezieniu dla dzieci kilku drobiazgów. Michałek tak się cieszył z nowych kart do gry, że nazwał Ewę najwspanialszą ciocią na świecie. Ależ jej się miło zrobiło!

Jako gospodyni domu przygotowałam kolację. Babcia Jasia upiekła pyszną szarlotkę, Adaś przyniósł od Mikulskiej konfitury. Zapowiadał się naprawdę udany wieczór. Adaś pod stołem głąskał moją dłoń i co jakiś czas zerkał na mnie z taką czułością, że cieplej mi się zrobiło na sercu.

W sobotę Michałek i Sylwia musieli pożegnać się z Rozalką, bo przyjechała po nią Joanna. To miał być ich pierwszy wspólny weekend. Adam bardzo się denerwował, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem. Rozalka za to cieszyła się na spotkanie z mamą i obiecała wrócić w niedzielny wieczór. Na szczęście mieliśmy do załatwienia tyle spraw, że nie było czasu na zbyteczne rozmyślania nad całą sytuacją. Adam pojechał do Warszawy na jedne z ostatnich zajęć ze studentami. Ewa całe dwa dni spędziła u matki, a ja musiałam nadgonić zaległe projekty. Przez okno zerkałam na dzieci, które w ramach działalności Gangu Złotej Strzały zrobiły sobie zawody sportowe. Zeszła się chyba połowa urwisów z okolicy.

W niedzielę wszyscy czekaliśmy na Rozalkę. Mikulska nawet specjalnie dla niej przygotowała naleśniki ze szpinakiem i serem, bo jej wnuczka je uwielbia. Nic nie zapowiadało, że wieczór wcale tak miło się nie skończy. Zbliżała się osiemnasta. Adam nerwowo wyglądał przez okno i nasłuchiwał, czy pod nasz dom nie podjeżdża Joanna. Nagle zadzwonił jego telefon. Skoczył do niego jak oparzony.

– Gdzie jesteście? – zapytał zdenerwowany. – Jak to? Chyba sobie żartujesz? Nie

tak się przecież umawialiśmy! – mówił coraz głośniej, a do mnie dotarło, co się dzieje i że na pewno jest to kolejna próba Joanny, by pokazać, że to ona ma przewagę. – Za dwa tygodnie znowu będziesz chciała ją zatrzymać dłużej.

– Powiedz, że Rozalka idzie jutro na ósmą do szkoły – wtrąciłam szeptem.

– A co ze szkołą? Lekcje ma jutro równo od ósmej – tłumaczył Joannie, ale wyraz jego twarzy wskazywał, że ta rozmowa nie należy do najłatwiejszych. – Chcesz ją budzić tak wcześnie? W szkole będzie zmęczona. To jest jeszcze małe dziecko, musi mieć zachowany rytm dnia. Nie wyśpi się i będzie miała w szkole zły humor. Przesadzasz i decydujesz beze mnie. Okay, tylko ten jedyny raz. Mam nadzieję, że nie nawalisz i Rozalka jutro stawi się w szkole.

Jeszcze chwilę z nią rozmawiał, a potem się rozłączył i zaklął pod nosem. Czekałam, aż coś powie, ale on milczał. Poszedł do sypialni i zamknął się tam na dwie godziny. Michałek dopytywał, dlaczego Rozalka nie wróciła. Stwierdził nawet, że to wszystko wina jej mamy, bo przez nią Rozalka ma same kłopoty. Trudno było się z tym nie zgodzić.

Poniedziałkowy poranek nie należał do najbardziej udanych. Adam gorzej się czuł i postanowił dłużej zostać w łóżku. Michałek był smutny, więc sama odprowadziłam go do szkoły. Na miejscu dowiedziałam się, że Rozalka na lekcje nie dotarła. Nie było wyjścia, Adam musiał się o tym dowiedzieć. Wściekł się jak nigdy. Miotał się po całym domu, klął i odgrażał się, co robi Joannie, jak ją dorwie. Dzwonił do niej kilkadziesiąt razy. Nie odbierała. Wpadł na pomysł, by zadzwonić na policję i zgłosić porwanie dziecka, ale zaniechał tego.

Joanna przyjechała z Rozalką około dwunastej, nie robiąc sobie zupełnie żadnych wyrzutów z powodu niedotrzymania umowy.

– Zgłupiałaś? Tak chcesz się opiekować dzieckiem? – wrzeszczał na nią Adam.

– Nie awanturuj się – powiedziała z ironicznym uśmiechem. Była bojowo nastawiona. Rozalka stała za nią z tyłu. Jakby się chowała. Miała wystraszoną minę.

– Co z ciebie za matka? Miałaś przywieźć Rozalkę do szkoły!

– Jaka szkoła? Niedługo koniec roku. Czego ona się jeszcze może nauczyć? Trzeba jej świat pokazywać, a nie trzymać na wsi i przeżywać szkołę. Tu się życia nie nauczy.

– Nie ty o tym decydujesz – odpowiedział Adam.

– Przypomnę ci tylko, że mamy równe prawa do opieki. Chcę mieć wpływ na jej wychowanie i edukację. W tej dziurze życia raczej nie pozna.

– No niestety, jesteś ostatnią osobą, z której można by brać przykład – wytknął jej Adam.

Sprzeczką trwała jeszcze długo. Pod koniec Rozalka rozplakała się i Adam musiał ją uspokajać. Zrobił jej ulubioną herbatę i długo trzymał w ramionach. Dopytywała o Michałka, bo bardzo się za nim stęskniła. Opowiedziała, że razem z mamą były w muzeum, gdzie dzieci mogły robić doświadczenia. Wspomniała o tajemniczym wujku, na co Adam jeszcze bardziej się zezłościł. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał dla córki, było to, by przebywała w towarzystwie kochanków Joanny. Słuchał uważnie kolejnych słów dziecka. Niektóre szczególnie go zaskoczyły.

– Mama czasami jest dziwna. Wtedy jej trochę nie lubię – stwierdziła Rozalka.

– Tak? A co się stało? – dopytywał Adam zaniepokojony tym, co usłyszał.

– Mama powiedziała, że jesteś złym człowiekiem – poinformowała, a Adam aż zrobił się purpurowy na twarzy. Spojrzał na mnie wymownie, jak ktoś, kogo oskarża się o zbrodnię.

– Tak mówiła? – dopytałam, nie wierząc do końca, że Joanna byłaby do tego zdolna.

– Tak. I że przez ciebie musiała wyjechać za granicę i nas zostawić. Nie lubię jej, jak tak mówi. Ty wcale nie jesteś zły – stwierdziła Rozalka.

– Rozalko, dziecko moje kochane... – zaczął Adam głosem pełnym niepokoju.

– Jesteś moim kochanym serduszkim, nigdy bym cię nie skrzywdził. Zapamiętaj to na zawsze.

Nic dwa razy się nie zdarza

Jedno spotkanie. Tyle wystarczy, by zmienić podejście do różnych spraw i wydarzeń. To, co jeszcze do niedawna wydawało się być tylko mrzonką, nagle zaczyna nabierać realnych kształtów. Tak było na kolejnym spotkaniu z Sabiną Walczak, panią prezes fundacji „Zapomniane korzenie”. Nie dość, że sprawa tajemniczych dokumentów nabrała tempa, to jeszcze otworzyła drzwi do poznania niezwykle ludzi.

Ale po kolei.

Henryk ucieszył się jak dziecko na wieść, że fundacja zajmie się dokumentami i spróbuje nawiązać kontakt z tymi, którzy zdążyli się już dowiedzieć, kim dokładnie są i jakie jest ich pochodzenie.

– Wyobraź sobie, że po latach dowiadujesz się, że masz innych rodziców. Co byś wtedy zrobiła? – dopytywał. Siedzieliśmy w jego schronie, który był jak powiernik największych tajemnic przeszłości.

– Na pewno dochodziłabym, dlaczego wychowali mnie inni ludzie. Może by mi zależało na poznaniu prawdziwych rodziców. Chociaż zapewne byłaby to bardzo trudna sytuacja – mówiłam, próbując zarazem wyobrazić sobie taką możliwość.

– Dokumenty są szansą na poznanie prawdy. Z tego, co mówisz, wynika, że jest coraz więcej dowodów na działalność Jana i Elizabeth. To dobrze. Im więcej dowodów, tym większe szanse na odnalezienie tych ludzi – przyznał Henryk.

– Dziwne to uczucie. Jakby się grzebało w czyimś życiu – stwierdziłam. – Chociaż historia córki pani Matyldy pokazała mi, że można, a nawet trzeba dać każdemu szansę, by mógł znaleźć odpowiedzi na pytanie, kim tak naprawdę jest.

– W tej fundacji na pewno znajdują się na takich sprawach. Trzeba im zaufać.

Od dawna nie widziałam Henryka tak podekscytowanego. Wiedziałam, co mu chodzi po głowie. Na pewno chciał, żeby dziadek i Elizabeth zostali docenieni za to, co zrobili dla innych.

Wieczorem dostałam telefon od pani Walczak. Nie chciała zdradzić szczegółów. Powiedziała tylko, że ma dobre wieści i prosi o spotkanie. Nalegała, żeby przyjechał z nami Henryk. Nie chciał nawet o tym słyszeć i poprosił, aby oficjalnie nigdzie w tej sprawie nie występował. Obawiał się zbyt dużego zamieszania wokół siebie.

Uszanowałam jego decyzję.

Na spotkanie umówiliśmy się w sobotni poranek. Jonas dopiero w piątek miał przylecieć do Polski. Bardzo mu zależało, żebyśmy do fundacji pojechali razem. Nie ustawał w dalszych poszukiwaniach śladów prowadzących do katolickiej parafii, której ówczesny proboszcz miał wielkie znaczenie w akcji ratowania dzieci z obozu. Na razie dowiedział się tylko, że od kilkunastu lat jest tam nowy gospodarz.

– Przepadł jak kamień w wodę – powiedział zamiast przywitania, gdy go odbierałam z lotniska. – A ten nowy ksiądz, David Jauch, nic nie chce powiedzieć.

– Jakkolwiek by patrzeć, jesteś dla nich kimś zupełnie obcym i wypytujesz o bardzo delikatne sprawy z przeszłości. Nie ufają ci. Może i słusznie. Inaczej każdy ciekawski mógłby bez trudu dotrzeć do utajnionych informacji. Pamiętasz, co mówiła pani Sabina?

– O ciekawskich poszukiwaczach skarbów? – zaśmiał się głośno.

– Wiesz, to jest interesujący temat na newsa do gazety.

– Chyba mi nie powiesz, że wyglądam na dziennikarza? – zapytał zdziwiony.

– Raczej jak agent wywiadu – odpowiedziałam zaczepnie.

Całą drogę z lotniska do fundacji Jonas opowiadał o swoich interesach w Polsce, które idą znacznie lepiej, niż zakładał pierwotny plan. Nawet żartował, że jak tak dalej pójdzie, to na stałe przeniesie się do Warszawy, bo nie dość, że czuje się tu dobrze, to jeszcze na wyciągnięcie ręki ma nas. A jak sam przyznał, jesteśmy dla niego jak rodzina. Zrobiło mi się ciepło na sercu. Zaledwie kilka miesięcy temu nie wiedzieliśmy w ogóle o swoim istnieniu, a teraz jest między nami taka więź, jaka łączy kochające się rodzeństwo. Życzę Jonasowi jak najlepiej, bo to dobry człowiek, a jemu też w życiu lekko nie było. Zdradził mi w sekrecie, że myśli nawet o poznaniu interesującej kobiety, w której mógłby się zakochać.

Sobota była dobrym dniem na spotkanie z panią Walczak. W fundacji prawie nikogo nie było, więc spokojnie mogliśmy omówić bieżące ustalenia. Czekwała na nas zaskakująca wiadomość. Właściwie to na taką właśnie my czekaliśmy.

– Jeszcze raz chciałabym państwu bardzo podziękować za przekazanie dokumentów. Moje przypuszczenia się potwierdziły – przyznała pani Sabina.

– Coś nie tak? – zapytałam z niepokojem.

– Nie, wręcz przeciwnie. Okazuje się, że te dokumenty mają przełomowe znaczenie w przypadku wielu spraw prowadzonych przez fundację, mają też ogromne znaczenie dla instytucji, z którymi ściśle współpracujemy. Mam tu na myśli organy państwowe i wszystkie placówki, które zajmują się dokumentacją wydarzeń z drugiej wojny światowej.

– To znaczy? – Jonas tak samo jak ja nie do końca rozumiał słowa pani Walczak.

– Dzięki nim będziemy mogli doprowadzić do końca kilka nierozwiązanych spraw.

– Czyli to dobre wiadomości? – dociekałam.

– Jak najlepsze! Tym bardziej jestem państwu wdzięczna, że nam zaufaliście. Na bieżąco będę państwa informować o toczących się sprawach.

– A nasza sprawa? Czy wiadomo coś więcej? – Byłam tego niezwykle ciekawa.

– Tak, kluczową postacią, oczywiście poza pana babcią i pani dziadkiem, jest ksiądz katolickiej parafii działającej w konspiracji w Berlinie podczas wojny. Mowa tu

dokładnie o latach od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Te ramy czasowe mamy potwierdzone.

– Skoro wzmianki o nim pojawiają się w różnych miejscach, to musiał mieć swój udział w organizacji wywożenia dzieci z obozu – spostrzegłam.

– Jest jeszcze coś – powiedziała tajemniczo pani Walczak.

– Tak? – Czułam, że to będzie przełomowa informacja.

– Ten ksiądz nadal żyje. Nazywa się Peter Braun. Mieszka w małym miasteczku przy granicy z Polską. Ma już swoje lata i przebywa w specjalnym domu seniora dla księży.

– Żyje? – dopytałam, nie do końca dając wiarę w słowa pani Sabiny.

– Tak, czasami jeszcze działa społecznie. Udzielił też kilku wywiadów. Jeden z dziennikarzy zapytał go nawet, czy miał swój udział w ratowaniu ludzi podczas wojny.

– I co odpowiedział? – zaciekał się Jonas.

– Nic, stwierdził, że to już przeszłość, a pewnym ludziom i zdarzeniom powinno się pozwolić odejść w zapomnienie.

– Chce zapewnić ochronę ocalonym – stwierdziłam po chwili namysłu.

– Można tak przypuszczać – potwierdziła pani Walczak. – Domyślam się, że to właśnie on organizował ten etap, kiedy dzieci wywiezione z obozu docierały w pociągu towarowym do składu pod Berlinem. Ciekawi mnie bardzo, jak się poznali z Elizabeth. Jak w ogóle wpadli na pomysł tej akcji.

– Może nam to powie? – odezwał się Jonas. – Chociaż pewnych rzeczy można się domyślać. Teraz wiemy o obozach więcej niż jeszcze kilkanaście lat temu.

– Wiemy zdecydowanie więcej – przyznała pani Sabina. – Los dzieci był od razu przesądzony. Zazwyczaj były oddzielane od matek zaraz po dotarciu do obozu. Czasem zostawały przy matkach, które codziennie szły do katorżniczej pracy, i musiały siebie nawzajem pilnować. Stanowiły też często obiekt eksperymentów medycznych.

– To musiało być straszne. Świadomość, że zabierają twoje dziecko i już go nie zobaczysz. Matki na pewno przeczuwały śmierć swoich dzieci. – Zamyśliłam się nad ich losem.

– Ze wspomnień osób, które przeżyły, można wyczytać, że matkom tłumaczono cynicznie, że dzieci jadą do sanatorium. W rzeczywistości szły na pewną śmierć. Szczególnie te małe, ponieważ z punktu widzenia nazistów nie miały żadnej wartości. Nie nadawały się do pracy. Wiem, brzmi to okrutnie. Ale taka wtedy była codzienność.

– To są sprawy nie do pojęcia – skomentowałam.

– Teraz powiem państwu, jakie decyzje podjęliśmy w sprawie dokumentów i ogólnie w sprawie Jana i Elizabeth. Jest na tyle ważna, że do jej prowadzenia powołaliśmy specjalny zespół. Już podjęto działania w celu zweryfikowania listy osób, których akty urodzenia zostały podrobione. Mamy pierwsze wyniki etapu wstępnego. Okazuje się, że w wielu przypadkach akt urodzenia był wystawiany bezpośrednio na nazwisko rodziny, która zobowiązała się przyjąć dane dziecko. Czyli można przypuszczać, że te rodziny na nie czekały i od razu dawały im swoje nazwisko i wymyślone imię.

– W sumie rozsądna decyzja. Bo jak potem wyjaśnić, że dziecko ma inne dane niż

rodzice – stwierdziłam.

– Tak, dzięki temu udało nam się ustalić, że część osób z tej listy już niestety nie żyje. Niektórzy wciąż nie wiedzą o swoim pochodzeniu, ale są i tacy, którzy się o tym dowiedzieli i na własną rękę szukali informacji na różne sposoby.

– Czyli jest szansa, że będzie można ich odszukać i porozmawiać? – zapytałam pełna nadziei na pozytywną odpowiedź.

– Tu państwa zaskoczę. Pod opieką fundacji są trzy osoby z tej listy. Poza oczywiście córką pani Matyldy. Od kilku lat im pomagamy. Dzięki państwu na pewno będziemy mogli udzielić im więcej informacji. Pomogą nam podrobione akty urodzenia.

– Boże... To się dzieje naprawdę – powiedziałam wzruszona.

– Dwie z tych osób mieszkają w Polsce. Jeżeli państwo chcecie, my, jako fundacja, możemy zorganizować wasze spotkanie. Na pewno będą szczęśliwi, że mogą porozmawiać z wnukami tych, którzy uratowali im życie.

– Słyszysz Jonas?! – wykrzyknęłam, nie wierząc własnym uszom. – Oni żyją, mieszkają gdzieś w Polsce. – Jonas nic nie odpowiedział. Był tak wzruszony, że żadne słowo nie mogło mu przejść przez gardło.

– Myślę, że to wspaniały dowód, że pani dziadek i pana babcia, narażając swoje życie, zrobili dla innych coś niesamowitego. Dzięki nim ci ludzie żyją i mogą się cieszyć każdym dniem.

– Koniecznie, koniecznie chcemy ich poznać – mówiłam radośnie przez łzy.

– Fundacja zorganizuje również państwu wyjazd do księdza Brauna. Najpierw nawiążemy z nim kontakt. Jesteśmy dobrej myśli, wierzymy, że się zgodzi. Drugi raz taka szansa się nie zdarzy. Po kilkudziesięciu latach będzie mógł porozmawiać z wnukami Elizabeth i Jana.

– Nic dwa razy się przecież nie zdarza, trzeba wykorzystać tę szansę – potwierdziłam nasze zamiary.

Tęsknota za czułością

Spojrzałam w lustro. Staralam się opisać w myślach odbicie kobiety, która na mnie spoglądała. Była przecież mną. Ale zupełnie inną niż ta Alicja, która na co dzień żyje i pracuje w swoim starym domu. Czemu była inna? Jakby bardziej pewna siebie, zalotna, kusząca.

Włosy spięte w delikatny kok odkryły jej szczupłe ramiona, musnięte pierwszymi promieniami czerwcowego słońca. Kilka pasemek opadało na jej czoło i policzki, dzięki czemu rysy twarzy nabrały pewnej drapieżności. Zawstydziała się na chwilę. Dawno tak o sobie nie myślała. Szafirowy naszyjnik opadał wzdłuż jej dekoltu aż do linii biustu, który wyraźnie odznaczał się pod czarną aksamitną sukienką. Idealnie ją dobrała. Jest tak samo tajemnicza i kusząca jak ona. Dawno się tak nie czuła. Zapomniała o tym, że może być aż tak kobieca. Dotknęła rękami swojej delikatnej talii. Chyba znowu schudła. To przez te nieustanne problemy. Dziś nie ma zamiaru o nich myśleć. To będzie wieczór, który przeżyje tak, jakby jutro miał się skończyć świat.

Tak, to właśnie ja dziś tak pięknie wyglądam. Zrobiłam to dla siebie. No dobra,

może nie do końca. To wszystko wina Doroty. W sumie to jej dziękuję, że mnie do tego zmusiła. Bankiet dla ludzi z branży. Oficjalny, mnóstwo sztywniaków, przemowy i toasty. Mam nadzieję, że jedzenie okaże się znośne. Za to towarzystwo będę na pewno mieć wyborne. Franek Bojarski, kumpel ze studiów, wspaniały partner w interesach i facet, który sprawia, że każda kobieta czuje się przy nim doceniona.

Spryskałam się jeszcze ulubionymi perfumami i założyłam srebrną bransoletkę wysadzaną topazami. Moją ukochaną, pamiątkę po mamie. Włożyłam na nogi czarne, cholernie wysokie szpilki i miałam nadzieję, że jakimś cudem cały wieczór w nich wytrzymam. No dobra, na wszelki wypadek wzięłam także wygodniejsze buty. Co jak co, ale wstydu Frankowi przynieść nie mogę.

– Na długo się wybierasz? – zapytał Adam. Od ponad godziny krążył po domu i nerwowo spoglądał na moje przygotowania do wyjścia.

– Nie wiem. Pierwszy raz idę na taką imprezę. Dam znać, jak się skończy – odpowiedziałam nieco rozbawiona jego poirytowaniem. Był zazdrosny. Jak nic!

– Domu na noc nie zamykać? – dopytywał.

– Zamknij, wezmę zapasowe klucze. O dziewiętnastej Basia przyprowadzi dzieci. Proszę, odgrzej im zupę. Jest w lodówce.

– Jakies inne życzenia? – zapytał ironicznie, a mnie jego postawa zaczęła drażnić.

– Nie musisz na mnie naskakiwać za każdym razem, kiedy robię coś bez twojej zgody.

– Wolałbym, żebyś zajęła się dziećmi i rodziną, a nie biegała po jakichś bankietach – przyznał nieco zbity z tropu.

– To moja praca. Z tym się nie dyskutuje. Zresztą, taki wieczór wolny od wszelkich problemów bardzo dobrze mi robi.

– Wiele problemów człowiek sam sobie wymyśla – wytknął mi.

– Jak już do tego tak stanowczo zmierzasz, to powiem ci, że ja mam tylko jeden problem. Nazywa się Joanna – wypomniałam mu w złości.

Nie słuchałam, co dalej mówił. Jeszcze raz spojrzałam w lustro, by pociągnąć usta karminową szminką i przegarnąć ostatni raz włosy nad czołem. Zarzuciłam na ramiona delikatny jedwabny szal, który tylko dodał mi elegancji. Czułam się naprawdę piękna. Jak ktoś, kto od nowa odkrył, że samego siebie można polubić.

Po kilku minutach siedziałam już w samochodzie i skręcałam na krzyżówkach w kierunku Wyszkowa. Na szczęście o tej porze nie ma już korków i bez problemów powinnam dotrzeć do Warszawy. Spojrzałam we wsteczne lustro i uśmiechnęłam się do siebie. Czułam, że to będzie udany wieczór. Podkręciłam głośniej muzykę i obiecałam sobie, że ani razu nie pomyślę o Adamie i sprawach rodzinnych.

Zaparkowałam pod Marriottem, w którym odbywał się bankiet. Weszłam do środka i przedzierając się przez tłum, chciałam dotrzeć do głównego korytarza. Rozejrzałam się wokół, szukając wzrokiem swojego partnera na ten wieczór.

– Pięknie pani dziś wygląda – usłyszałam za sobą męski głos i aż wzdrygnęłam się z powodu nutki strachu, który poczułam na myśl, że to ktoś obcy. Stał za mną mężczyzna w czarnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i z serdecznym uśmiechem na twarzy.

– Franek! Ależ mnie wystraszyłeś!

– Myślałaś pewnie, że chce cię poderwać jakiś przystojniak? A tu skucha, to tylko ja!

– Ty się nie śmieję ze mnie, tylko lepiej powiedz, czy dobrze się ubrałam. Nigdy nie byłam na takiej imprezie, więc wiesz, może być wpadka ubraniowa – zaśmiałam się.

– Niech się pani obróci i zaprezentuje – zaproponował, zerkając na moją sukienkę.

– Franek!

– Nie marudź, pokaż się z każdej strony, to powiem, jak wyszło – nalegał, śmiejąc się.

– No dobrze... – Podniosłam lekko rękę i obróciłam się wokół własnej osi

– Chyba mamy problem – stwierdził poważnie.

– Wiedziałaś! Co? Pewnie sukienka zła? – dopytałam, wątpiąc w swoją kreację.

– Nie. Po prostu wyglądasz tak obłądnie, że będę musiał chodzić za tobą krok w krok, bo inaczej rozkochasz w sobie wszystkich facetów – komplementował.

– Taa, jasne. Ja? Matka Polka z tysiącem problemów na głowie? Szkoda gadać.

– Gadać to ty dziś powinnaś. Musimy przekonać do współpracy dwie grube ryby z naszej branży. Ale z twoim wyglądem nie będzie to trudne – powiedział zadziornie.

– Dam z siebie wszystko! – Wzięłam go pod rękę i ruszyłam pewnym krokiem, zdecydowana nie tylko zdobywać nowych klientów, ale i świetnie się bawić.

Wieczór spędzony w towarzystwie ludzi, którzy tak samo jak ja kochają ogrody i ich projektowanie, był cudowny. Przy Franku czułam się bardzo pewna siebie. Nie dość, że mówił o mnie jak o najlepszej specjalistce w branży, to jeszcze chętnie opowiadał barwne anegdoty ze studenckich czasów. Nawet żartował, że gdyby kiedyś był śmielszy, to zostałby moim mężem. Gdybym go nie znała, te żarty pewnie by mnie oburzyły, ale Frankowi wszystko można wybaczyć.

A poza tym nie odstępował mnie na krok. Co jakiś czas szeptał mi do ucha, że idzie nam świetnie i mamy w garści kilku nowych klientów. Opowiadaliśmy o naszej współpracy, o „Wrzosowisku” i tym, że wspólna pasja potrafi łączyć na lata.

Z bankietu wyszliśmy w świetnych humorach. Jedynym minusem były moje obolałe nogi. Nie wiem, jak ja wytrzymałam w tych szpilkach. Zdjęłam je jeszcze w drodze na parking.

– Chcesz się skaleczyć? – upominał mnie Franek. – W razie czego proponuję noszenie na rękach.

– Jasne, a potem byś wypominał, że za dużo ważę.

– Gdzie tam. No może kilka kilogramów... – drażnił się ze mną.

– Ej, ej, kolego, bo jak się wścieknę, to mnie popamiętasz – odgrażałam się w żartach.

– Wiesz co? Niedaleko jest park. Chodź, trochę się przejdziemy – zaproponował.

– Dobrze, może jeszcze wytrzymam w tych butach. – Ponownie włożyłam szpilki.

Spacer był dobrym pomysłem. Nagle nocna miejska cisza wydała się być abstrakcją w porównaniu z gwarem bankietu. Powietrze pachniało przyjemnie, zupełnie jak nie w mieście. Gdy byliśmy już w parku, znowu zdjęłam buty, mając nadzieję, że moje stopy jakoś to wytrzymają.

– O! Huśtawki! Chodź! Od wieków nie byłam na huśtawce! – krzyknął Franek

i pociągnął mnie za rękę. Jego pomysł wydał mi się dziecinny.

– Jesteś niemożliwy – stwierdziłam, siadając na drewnianej huśtawce przymocowanej do rusztowania mocnymi linkami. Franek usiadł na sąsiedniej.

– Kto by pomyślał, że dziś będziemy tak się bawić – zaśmiał się serdecznie. W rozświetlonym przez parkowe latarnie mroku jego twarz wydawała się jeszcze bardziej przyjazna.

– Przyznam ci się do czegoś – powiedziałam już poważniej.

– No? Nie mów tylko, że się nudziłaś na bankiecie.

– Skąd! Nastawiłam się na sztywne rozmowy. A tu? Miłe zaskoczenie.

– Możemy chodzić częściej. Kolejny już za tydzień – kusił mnie wizją następnego wyjścia.

– Tak? Co ja bym w domu powiedziała? Adam już dzisiaj był zły. Chyba dotarliśmy do etapu, kiedy codzienne przepychanki stały się rutyną – stwierdziłam gorzko.

– Problemy?

– I to dużo. Wiesz... Czasami mam tego wszystkiego dosyć. Mam wrażenie, że im bardziej się staram, tym sama więcej tracę.

– Czujesz się samotna? – zapytał wprost. Spojrzałam mu prosto w oczy wystraszona jego celnym spostrzeżeniem. Jego słowa zaboląły. Rozgryzł mnie.

– Wiem, że nie powinnam. Mam dzieci, partnera, rodzinę. Ktoś mógłby powiedzieć, że wymyślam sobie problemy. Ale ja naprawdę czuję, że się trochę pogubiłam – przyznałam.

– Po prostu nie czujesz się doceniana. Starasz się, a i tak każdy ma do ciebie pretensje. Trudno sobie poradzić w takiej sytuacji. Wybacz, że to powiem, ale od jakiegoś czasu widzę, że coś cię gryzie. Chodzi o Adama?

– O niego też. Ale bardziej o jego byłą żonę, Joannę. Zatrzuwa nam życie, a Adam jakby tego nie widział. Ona rozwala nam rodzinę, a on nic. Czeka. Sama nie wiem na co.

– Może nie chce tego widzieć? – Pytania Franka były celne jak strzała wypuszczona z łuku.

– Może... Przepraszam, nie wiem, czemu ci to wszystko mówię – zawstydziłam się swoją szczerością.

– Czasami warto z kimś pogadać. Może specjalistą od spraw sercowych i rodzinnych nie jestem, ale znam się na ludziach. Ty, Alicjo, zasługujesz na to, co najlepsze. Nigdy o tym nie zapominaj. Ty jesteś tu najważniejsza. To twoje życie.

– Masz rację... Świętą rację... – przyznałam, patrząc mu prosto w oczy. Jeden wieczór spędzony z nim wystarczył, żebym znowu czuła się piękna i ważna.

Długo jeszcze rozmawialiśmy. O nas, o pracy, o tym, jak wyglądało nasze życie po studiach. Opowiedziałam mu o życiu z Pawłem, o wyrwaniu się z tej klatki i o powrocie do Pniewa. On mówił o swoim życiu w Stanach i pechu do kobiet, które zazwyczaj traktują go nie jak kandydata na dobrego partnera czy męża, a raczej jak solidny bankomat. Mówił nawet, że raz już stał prawie na ślubnym kobiercu, ale narzeczonej się odwiedziało. Po tygodniu okazało się, że od dawna miała na boku nową miłość i zupełnie inne plany. Taka ironia losu.

Długo chodziliśmy po parku, zjedliśmy hot doga kupionego w ulicznej budce. Gwiazdziste niebo dawało nam schronienie, a uliczne latarnie oświetlały drogę.

Przy Franku czułam się sobą. Nie musiałam udawać silnej. Otwarcie mówiłam o tym, co mnie cieszy, a co smuci. Słuchał, nie oceniał, czasami przedstawiał swój punkt widzenia. Mądry z niego facet. Taki życiowy.

Dobiegała północ. Franek nalegał, żebym u niego przenocowała. Wykręciłam się zazdrością Adama, który zapewne za taki numer zrobiły mi niezłą awanturę. Spojrzałam na telefon. Miałam od niego kilka nieodebranych połączeń. Nie chciałam ani do niego dzwonić, ani wracać do domu. Chyba pierwszy raz, odkąd sprowadziłam się do Pniewa. Postanowiłam spędzić noc w siedzibie „Wrzosowiska”. Wiedziałam, że takim zachowaniem sprawię Adamowi przykrość. Nie wstydziałam się tego. Chciałam, aby choć trochę poczuł się tak jak ja – odrzucony.

Zasnęłam z uśmiechem na twarzy i myślą, że czeka mnie w życiu jeszcze wiele dobrego.

Rozdział VIII

Życie błędami usłane – o ukrywaniu porażek, kuszeniu złego ojca, wielkim niebezpieczeństwie i miejscu, gdzie spotykali się ludzie szukający ratunku

Granica wytrzymałości

Kolejny tydzień podobny do poprzedniego. W środę Jonas przywoził Ewę do Pułtusza, po drodze zajeżdżał do Pniewa, by na kilka godzin zostawić pod naszą opieką Sylwię.

Ewa nadal upierała się, żeby jej córka nie widziała babci w tak ciężkim stanie. W piątek było podobnie. Ewa z Sylwią przyjeżdżały do Pniewa autobusem lub ponownie przywoził je Jonas. Przy okazji każdą wolną chwilę spędzał z Henrykiem. Miał też na głowie Michałka, który uparł się, by Jonas zbudował dla niego pomieszczenie przy budynku gospodarczym, gdzie będzie mógł trzymać swoje zabawki i nowy rower.

Jonas sprawił mu go z okazji zbliżającego się końca roku szkolnego. Nie pomyślał tylko o jednym. Jeśli w domu jest dwójka dzieci (a w naszym przypadku bywa, że i trójka), to każde z nich trzeba obdarować. Dziewczyny się obraziły i Jonas przez kilka dni miał zakaz wstępu do siedziby Gangu Złotej Strzały, która mieści się w ziemnej piwnicy w sadzie.

Gdy Ewa przyjeżdża do nas na weekend, każdy wieczór kończy się bardzo długimi rozmowami aż do późnej nocy. Jest to nasz rytuał, który ma wiele plusów. Przede wszystkim wreszcie obdarzyłyśmy siebie prawdziwym zaufaniem. Nie ma już między nami muru wątpliwości i strachu. W jego miejsce pojawiła się otwartość i chęć szczerych rozmów.

– Myślałam, że będzie to łatwiejsze – stwierdziła smutno Ewa, okrywając ramiona ciepłym kocem. Siedziałyśmy na drewnianej werandzie. Zbliżała się północ.

– Co? Sprawa z mamą? – dopytałam, nie rozumiejąc, co miała na myśli.

– Tak. Wiesz, ja nawet nie umiem jej tak nazywać. Zawsze mówiłam do niej po imieniu. Zresztą sama mi kazała tak mówić, gdy miałam naście lat. Mówiła wtedy, że za młodo została matką i teraz ludzie jej to wytykają. Więc zawsze zwracałam się do niej po imieniu.

– Skoro tak chciała, to tym bardziej nie musisz teraz niczego zmieniać – zauważyłam. Zwróciłam uwagę również na to, że większość zmartwień Ewy jest skutkiem wyborów Magdaleny.

– Niby tak, ale wiesz. Mam dziwne wyrzuty sumienia.

– Kto ich nie ma – stwierdziłam gorzko. – Nie jest ci obojętna, a to coś znaczy.

– Dziś powiedziała, że jest ze mnie dumna. Szkoda, że nigdy tego nie okazała.

– Podobno w obliczu śmierci najbardziej żałuje się niewykorzystanych szans i niewypowiedzianych słów. Pewnie coś w tym jest.

– Gdyby nie wasza pomoc, nie wiem, jak bym sobie poradziła – mówiła to z taką pewnością, że ciepłej mi się na sercu zrobiło.

– Rodzina jest po to, by pomagać.

– Jonas też jest wspaniałym człowiekiem. Żaden facet nigdy nie był dla mnie aż tak dobry. No może poza Kamilem, ale wiadomo, że to już przeszłość.

– Domyślam się, że podczas wspólnej podróży zabawia cię opowieściami o swojej pracy? Nie wiem, jak on to robi, ale ma w sobie mnóstwo optymizmu.

– Przy nim czuję się bezpiecznie... – przyznała Ewa i pochyliła głowę, pewnie żebym nie zauważyła rumieńca na jej twarzy.

Od jakiegoś czasu to dostrzegam. Ewa jest pod ogromnym wrażeniem Jonasa. Bardzo zaimponował jej dojrzałością, spokojem i opieką, którą otacza ją i Sylwię. Nawet raz zapytała, co sędzę o związku młodej kobiety ze sporo starszym mężczyzną. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że nie metryka się liczy, a to, co człowiek ma w głowie i w sercu.

Jonas też nic nie musi mówić. Widzę przecież, z jakim uczuciem patrzy na Ewę i jak troskliwie opiekuje się Sylwią. Te dwie kobiety zaczęły być dla niego bardzo ważne i stały się powodem jego coraz dłuższych wizyt w Polsce. A ja? Czekam na rozwój wydarzeń i bardzo mocno trzymam za nich kciuki.

W sobotę pojechałam razem z Ewą do Pułtuska. Miała cały dzień spędzić z matką, a ja chciałam odwiedzić targ staroci i odpocząć od sobotniej gorączki w domu. Poszłam nawet na przystań. Już w pierwszej alejce napotkałam znajomą Cygankę. Wywróżyła mi kiedyś miłość i szczęście, jej przepowiednia spełniła się co do słowa.

– Cyganka prawdę ci powie, drogie dziecko – powiedziała na mój widok i dała znać, żebym obok usiadła. Wystraszyłam się. Miałam przeczucie, że tym razem wróżba nie będzie pomyślna.

– Nie, dziękuję. Ogólnie w to nie wierzę, ale obawiam się, że raz wypowiedziane słowa mogą się spełnić.

– Tak, drogie dziecko. Wróżby nie cofniesz. Co Cyganka z twojej dłoni wyczyta, to ci się spełni. Odwagi potrzeba.

– Tym razem dziękuję. Ale wie pani co? Tamta wróżba się spełniła – powiedziałam z wielką radością. Jej twarz nagle rozpromieniała.

– Wiem, drogie dziecko, wiem. Cyganka zawsze prawdę ci powie.

– Dziękuję. I przepraszam. Muszę już iść.

– Zaczekaj... – Chwyła moją dłoń. – Będzie dobrze, tylko słuchaj głosu serca. Ono zawsze dobrze podpowiada. I strzeż się złych ludzi – powiedziała serdecznym głosem.

Co Cyganka miała na myśli? Kogo mam się strzec? Joanny? To już dawno wiem. Kogoś innego? Nikt konkretny nie przychodził mi do głowy.

Zadzwoiła do mnie Ewa. Była roztrzęsiona, gdyż stan Magdaleny się pogorszył. Musiała szybko wykupić leki niedostępne w hospicjum. Podjechałam po nią i zawiozłam do apteki. Niecierpliwiła się, bo w środku była spora kolejka. Opowiedziała, że rano rozmawiała z lekarzem. Nie miał dla niej dobrych wieści. Płuca Magdaleny pracują coraz gorzej, ma problemy z oddychaniem i każdy wdech sprawia jej wielki ból. Podają jej silne

leki przeciwbólowe. Jeden nie jest opłacany przez hospicjum, dlatego Ewa musiała podjąć decyzję, czy sama go kupi. Do tego doszły jeszcze trzy inne. Były nadzieją na to, że uda się ulżyć Magdalenie w cierpieniu.

– Odmowa przyjęcia płatności – oznajmiła chłodnym głosem aptekarka.

– Proszę jeszcze raz spróbować – poprosiła Ewa, nerwowo przegarniając włosy.

– Przykro mi, kwota debetu na pani karcie została przekroczona i nie można dokonać transakcji. Może pani zapłacić gotówką – tłumaczyła kobieta w białym kitlu.

– Tak, tak... Oczywiście... – mówiła Ewa jak w transie, nerwowo przeglądając kolejne przegródki w portfelu.

– Ja zapłacę, a ty na spokojnie znajdziesz pieniądze – wtrąciłam, widząc, co się dzieje.

– Dobrze, dziękuję – odpowiedziała zawstydzona Ewa.

Gdy wyszłyśmy z apteki, od razu się rozplakała. Podprowadziłam ją do ławki.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? Masz problemy finansowe? – zapytałam.

– Bo to nie jest powód do dumy – odpowiedziała, zalewając się łzami.

– No już, spokojnie. Znajdziemy jakieś rozwiązanie – pocieszałam ją.

– Ciekawe jakie? Kasa mi się właśnie kończy. Po kupnie mieszkania w Warszawie i zapłaceniu Markowi pokaznej sumy zostało mi niewiele oszczędności. Myślałam, że wyjdę na prostą, ale przydarzyła się sytuacja z Magdaleną. Mimo wielkiej pomocy i waszej, i hospicjum, to wszystko bardzo dużo kosztuje – mówiła zatroskana.

– Tym bardziej powinnaś mi powiedzieć. Pracujesz gdzieś? Nigdy mi o tym za wiele nie mówiłaś. Tylko, że to coś związane z finansami.

– Jestem asystentką księgowej. Ale co ja tam zarabiam? Jakies grosze. Szukałam lepszej pracy, ale po technikum ekonomicznym nie mam co oczekiwać cudów.

– Słuchaj, a może chciałabyś pomagać w administracji we „Wrzosowisku”? My z Dorotą nie radzimy sobie z tym, twoja pomoc byłaby cenna i miałabyś z tego pieniądze.

– Nie ma mowy. Od ciebie już więcej pomocy nie przyjmę. I tak zwałam ci się na głowę – mówiła zdenerwowana.

– Nie przesadzaj. Pomagam ci, bo jesteś dla mnie ważna. Obie jesteście. Ty i Sylwia. No już, nie płacz, na pewno znajdziemy dobre rozwiązanie.

– Muszę coś wymyślić, bo za chwilę w ogóle nie będę miała pieniędzy – stwierdziła rozżalona.

– Pieniądze się znajdują. Wczorom wspólnie coś wymyślimy. Możesz być spokojna.

Na pokuszenie

Kaskady kwiatów sprawiały, że dziedziniec pułtuskiego zamku przypominał dzieciom miejsce wyjęte wprost z bajki, którą wczoraj czytaliśmy przed snem. Trzy wielkie armaty były dla nich niebywałą atrakcją. Michałek uznał, że to świetne miejsce do zabaw i razem ze swoim Gangiem Złotej Strzały chętnie by tu zrobił inscenizację bitwy, którą stoczono na statku kapitana Haka. Rozalkę bardziej interesował sam zamek. Uznała, że to idealne miejsce dla dziewczynek, które na chwilę chciałyby poczuć się jak

prawdziwe księżniczki. Po przepysznym obiedzie w zamkowej restauracji poszliśmy na spacer wzdłuż przystani, gdzie czekały na nas śnieżnobiałe łabędzie. Mocne promienie słońca odbijały się w tafli Narwi, która o tej porze roku wyglądała przepięknie. Pływające przy brzegu łabędzie dodawały jej jeszcze większego uroku. Krajobraz był lekiem na zszargane ostatnimi wydarzeniami nerwy.

Ostatnie dwa dni nie należały do najłatwiejszych. Rozalka wróciła od Joanny jakby odmieniona. Nie chciała jeść, była nadpobudliwa i na długie godziny zamykała się w swoim pokoju. Adam bardzo się tym przejął. Mikulska płakała z żalu nad wnuczką.

Początkowo trzymałam się na uboczu, bo zdawałam sobie doskonale sprawę, że Joanna nastawia Rozalkę przeciwko mnie. Ale gdy zostałyśmy w domu same, postanowiłam z nią porozmawiać.

– O czym teraz czytasz? – zapytałam, zaglądając do jej pokoju przez lekko uchylone drzwi. Leżała wśród poduszek z kwaśną miną i obracała w dłoniach książkę.

– O myszce – odpowiedziała smutnym głosem.

– Brzmi ciekawie. Opowiesz, o czym jest ta bajka? – dopytywałam.

Usiadłam na brzegu łóżka. Dotknęłam jej dłoni. Oderwała wzrok od książki i uważnie zaczęła mi się przyglądać.

– Myszka zgubiła się w lesie i nikt nie umiał jej znaleźć – opowiadała.

– To okropne. Kiedyś też się zgubiłam w lesie. Miałam wtedy tyle lat, co ty teraz.

– I co zrobiłaś? – Moja historia wyraźnie ją zainteresowała. Usiadła po turecku i leniwie odgarnęła włosy. Była taka śliczna. A zarazem taka smutna.

– Miałam wtedy dużo szczęścia. Mój tata łowił ryby w pobliskim stawie. Usłyszał wołanie w lesie i zaczął iść w kierunku głosu.

– To byłaś ty?

– Tak. Znalazł mnie szybko i zabrał do domu. Bardzo się wtedy bałam. Tata mnie uratował. A ja już nigdy sama do lasu nie poszłam.

– Twój tata cię kochał?

– Bardzo. Każdy tata bardzo mocno kocha swoją córeczkę.

– Mój też mnie kocha? – zapytała nagle. To dało mi do myślenia.

– Skarbie, oczywiście, że tata bardzo cię kocha. Jesteś dla niego najważniejsza na świecie. Przecież sam ci to ciągle powtarza.

– Mamusia mówi, że tata jest złym człowiekiem – stwierdziła, a mnie aż ciarki przeszły po plecach.

– Co jeszcze mówi?

– Że jakby tata chciał, to mama byłaby ze mną całe dni. Tata nie chce i przez to mama musi mieszkać w innym miejscu. I przez niego nas zostawiła.

– Rozalko, jak myślisz, tata chciałby cię skrzywdzić? – zapytałam, uznając, że jeżeli sama odpowie sobie na trudne pytania, będzie to o wiele lepsze niż sto moich tłumaczeń.

– Nie. Dla mnie jest dobry. Ja nie chcę zostawiać taty. Chcę tu mieszkać. Ale mama... Ona tego nie rozumie. I za to się na mnie gniewa.

– To dlatego jesteś taka smutna od przyjazdu od mamy?

– Nie chcę smucić tatusia, ale on chyba też się zaczyna na mnie gniewać.

– Posłuchaj, zrobimy tak. Jak tata wróci, o wszystkim razem porozmawiamy i na pewno razem znajdziemy sposób, żebyś się nie smuciła, dobrze?

– Tak.

Miałam chęć zadzwonić do tej wstrętnej baby i powiedzieć jej, że nigdy nie spotkałam matki, która traktuje dziecko jak kartę przetargową. Nie mogłam patrzeć, jak Rozalka przez nią tak bardzo cierpi. Po naszej rozmowie zasnęła, a ja opowiedziałam o wszystkim Adasiowi. Gotów był jechać natychmiast do Warszawy, żeby dorwać Joannę i powiedzieć jej, co o tym wszystkim myśli. Na szczęście wybiłam mu z głowy ten pomysł.

Rozmowa z Rozalką nie należała do najłatwiejszych. Uzmysłowiłam sobie, jak Joanna namieszała jej w głowie. Przez nią mała nie czuje się bezpiecznie i nie wie, komu ma zaufać, czy mamie, czy tacie. Nie pierwszy raz wyznała mi, że chciałaby kochać i ją, i Adasia, ale nie wie, jak ma to zrobić. Adaś nieraz tłumaczył jej, dlaczego nie jest z jej mamą. Szczerze, ale nie atakując przy tym Joanny, bo nie chciał dyskredytować mamy w oczach dziecka. Kiedyś wprost zapytał Rozalkę, gdzie chce mieszkać i jak często chce się widywać się z nim i z mamą. Rozalka uznała wtedy, że nie chce się stąd wyprowadzać. Kocha mamę i cieszy się z jej powrotu, bo bardzo za nią tęskniła. Dodała, że nie lubi wujka, który spotyka się z jej mamą. Adam z trudem to przemilczał. Był gotów od razu dzwonić do Joanny, ale uznał, że lepiej porozmawia z nią sam na sam.

Okazja szybko się nadarzyła, bo była żona jeszcze tego samego wieczoru przyjechała bez zapowiedzi. Omal nie zemdlałam, gdy zobaczyłam ją stojącą na werandzie. Zawołałam Adasia, przeczuwając, że nie będzie chciał wpuścić jej do środka.

– Co tu robisz? – zapytał oschle.

– Przyjechałam zobaczyć się z Rozalką. Tęsknię za nią – odparła pewna siebie.

– Masz wyznaczone dni na wizyty. Także przykro mi, musisz poczekać do czwartku.

– Chyba nie sądzisz, że będę się trzymała lipnych ustaleń? – zapytała z ironią.

– Chcę się natychmiast zobaczyć z córką. Inaczej wzywam policję – zagroziła.

– Wzywaj. Nic z tego nie będzie. Umowa jest umową. Sąd to potwierdził. Poza tym mam zamiar ją zmienić. Nie masz prawa ciągle nas nachodzić i w dodatku mącić Rozalce w głowie. Wstydź się! Tak manipulować własnym dzieckiem! – podniósł głos.

– Mama? Mama przyjechała! – zawołała Rozalka, która nagle pojawiła się w oknie.

– Kochanie, chodź do mamusi – powiedziała Joanna.

– Nic z tego. Rozalko, mama przyjedzie po ciebie w czwartek, bo tak się ze mną umówiła – wyjaśnił córce.

– Albo dajesz mi zobaczyć się z córką, albo wzywam policję! I tak ci ją odbiorę!

– Joanna była wściekła. Rozalka zaczęła płakać. Michałek też, bo usłyszał wreszcie tę kłótnię.

– Mamo! Nie zabieraj mnie! – wołała do niej Rozalka.

– Wynoś się stąd! – Adam chwycił Joannę za ramię i sprowadził z werandy.

– Jeszcze tego pożałujesz! I przeklniesz ten dzień.

Joanna rzuciła w jego stronę kilka kolejnych wyzwisk i poszła do samochodu. Jednak nie odjechała. Po kwadransie przyjechał pod nasz dom radiowóz policyjny. Do

Adama dotarło, że żarty z Joanną się skończyły i właśnie wytoczyła najcięższe działa. Jakiś czas stała z policjantami przy drodze i coś im tłumaczyła. Potem usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Jeden z policjantów zapytał o Adama i wytłumaczył, że na dyżurce dostali zgłoszenie od Joanny Mikulskiej, która twierdzi, że były mąż utrudnia jej kontakty z córką. Adam przedstawił zatem orzeczenie sądu w sprawie opieki nad Rozalką oraz harmonogram spotkań. Policjanci uznali, że ma rację. Pouczyli Joannę i spisali notatkę ze zdarzenia.

Nie wiem, jak ona może tak postępować! Czy nie rozumie, jak bardzo krzywdzi swoją córkę?

Postrach nocy

Dorota siedziała z pochyloną głową. Ciężko oddychała, co jakiś czas pokaszując. Szukałam w niej chociaż odrobiny tej radości życia, którą miała jeszcze parę dni temu. Wypadek Zosi ją przytłoczył. Dotąd silna, radząca sobie z każdym problemem, musiała się zderzyć z cierpieniem własnego dziecka. Przez chwilę nawet wyobraziłam sobie, że jestem w jej sytuacji. Szybko przegoniłam czarne myśli, bojąc się, że mogę nimi przywołać złe zdarzenia. Ale wiem, co czuje Dorota. Sama od niedawna jestem przecież matką.

Przypomniałam sobie, jak moja mama często mówiła mi, że człowiek, dopóki nie ma dzieci, wydaje się sobie mocny i silny. Wystarczy jednak najmniejsza krzywda dziecka, by zamienił się w kłębek nerwów. To słaby punkt. Miłość dziecka i miłość do dziecka to zarazem największe szczęście i największa słabość.

Tak było z Dorotą. W jednej chwili gdzieś przepadła zawsze uśmiechnięta kobieta. Zmęczona, niewyspana, dzień i noc czuwała przy swoim dziecku.

Lekarze dawali Zosi duże szanse. Potrzebny był czas. Co prawda, krwihak w płucach nie zmniejszył się nawet o milimetr, ale jej ogólny stan był nieco lepszy. Wyprowadzono ją ze śpiączki. Dorota mówiła, że gdy tylko Zosia otworzyła oczy, zaczęła strasznie płakać. Bała się nowego miejsca, obcych ludzi wokół i nie rozumiała, co się wydarzyło.

– Co mówił lekarz? – zapytałam ostrożnie, widząc zbliżającego się z bardzo posępną miną Maćka. Przy Dorocie udawał twardego. Na osobności pozwalał sobie na okazywanie strachu, bólu, zwątpienia.

– A, jesteś tu. Miałem cię szukać – powiedział powoli. Miał bardzo zmęczone oczy. Nie spał od dwóch dni, bo cały czas czuwał przy łóżku Zosi.

– Są dobre wieści? – ponowiłam pytanie.

– Ciągle mówią to samo. Potrzeba czasu. Zosia wyzdrowieje, to na pewno.

– Tej myśli trzeba się trzymać.

– Dają sobie jeszcze trzy dni. Jeżeli do tego czasu krwihak nie zmniejszy się o połowę, a w opłucnej wciąż będzie woda, będą musieli wykonać Zosi zabieg. Nie wiem dokładnie jaki, ale mówili coś o punkcji. Boże... – Aż się wzdrygnął na samą myśl.

– Trzy dni? Będę się modlić o cud, obiecuję – zarzekłam się, zarazem wątpiąc w swoje umiejętności w tym zakresie, bo nigdy nie byłam dobra w sprawach związanych z duchowością.

– Mam do ciebie wielką prośbę.

– Tak?

– Mogłabyś pobyć trochę z Zuzią? Wiesz... My z Dorotą zmieniamy się przy łóżku Zosi... A ona... trochę została z tym sama... – powiedział ze łzami w oczach. O ja głupia! Że też wcześniej o tym nie pomyślałam!

– Boże! Maciek! Jasne, przepraszam, sama powinnam to zaproponować. Może wezmę ją do siebie? U nas będzie jej z dziećmi raźniej – proponowałam.

– Nie, już z nią o tym rozmawiałem. Woli zostać w domu. Jest pod czułą opieką mojej mamy i siostry. Tylko tak pomyślałem, że może byś ją odwiedziła... – zawahał się.

– Mogę dziś? Zaraz? Natychmiast? – Gotowa byłam jechać do Zuzi od razu.

– Bardzo się ucieszy. Dziękuję.

Maciek miał rację. Zuzia na mnie czekała. Ba! Nawet miała przygotowany dla mnie prezent! Jej babcia, a mama Maćka, zdradziła mi, że już dawno go przygotowała. Była to urocza pacynka zrobiona z kawałków różnych materiałów. Podobne czekały na Zosię, były równo poustawiane na jej łóżku. Aż mnie coś w gardle ścisnęło na ten widok. Jak bardzo musiała tęsknić za siostrą! I jak mocno musiała się o nią bać!

– Ciociu, myślisz, że Zosia będzie tak samo zdrowa jak kiedyś? – zapytała wreszcie.

– Na pewno, kochanie. Zdarzył się wypadek, Zosia trafiła do szpitala, ale tam ma bardzo dobrą opiekę. Trzeba być cierpliwym. Ona wie, że bardzo mocno ją kochasz.

– Mama wczoraj płakała – wtrąciła dziewczynka. Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby zdradziła mi największy rodzinny sekret.

– Bo martwi się i jest zmęczona. To przejdzie. Jeszcze kilka dni i znowu będzie u was tak samo wesoło jak kiedyś – zapewniałam ją i błagałam w myślach, by moje słowa jak najszybciej się spełniły.

Ciągle trzymała mnie za rękę i powtarzała, że jak tylko Zosia wyzdrowieje, to zapewne będą już wakacje i we dwie przyjadą do mnie na tydzień. Przy okazji wypytywała o Michałka i Rozalkę i przyznała się, że ostatnio miała na lekcjach opisać swoją rodzinę i właśnie nas wszystkich do niej zaliczyła. Moja kochana dziewczynka.

Od Zuzi wyszłam około dwudziestej. Zaczynało się ściemniać. Wzięłam kilka głębszych oddechów. Zmęczenie dawało o sobie znać. Cholera! Przecież jeszcze muszę podjechać do biura po projekt, który miał być gotowy do końca tygodnia. Nie było wyjścia.

Nigdzie nie mogłam znaleźć miejsca do zaparkowania. Tak to bywa wieczorem w centrum Warszawy. Krążyłam po ulicach dobre pół godziny. Wreszcie jedno się trafiło! Na samym końcu Poznańskiej. Chciałam szybko załatwić sprawę i wracać do swoich dzieci i Adasia. Pospiesznie wysiadłam z samochodu. Zamyślona skręciłam w boczną uliczkę. Nagle poczułam mocne szarpnięcie za ramię. Odwróciłam się. Stał przede mną rosły mężczyzna. Jednym ruchem wyciągnął nóż. Przed oczami zobaczyłam całe swoje życie.

– Oddawaj pieniądze, suko! – wrzasnął. Twarz miał zasłoniętą wielkim kapturem, jego głos był przerażający.

– Oddam wszystko. Błagam, nie rób nic głupiego – próbowałam go uspokoić.

– Zamknij ryj! Dawaj torebkę! – Coraz bardziej się denerwował.

– Masz! Tu jest portfel! I telefon. Nic więcej nie mam! – Zabrał mi torebkę i zaczął ją nerwowo przeglądać.

– Co to, kurwa, jest!?! Gdzie kasa?! – Zbliżył się do mnie o dwa kroki.

– To wszystko, co mam. Błagam, nie rób nic złego! Mam małe dzieci, czekają na mnie w domu.

– Zamknij mordę! – wrzasnął znowu. Podeszedł do mnie, chwycił za ramiona, potrząsnął, wyzywając od najgorszych, a na koniec uderzył mnie mocno w twarz.

Upadłam na chodnik. Skulona wyczekiwałam ostatniego ciosu. Zamiast niego z oddali dochodził jedynie hałas nocnego życia stolicy. Podniosłam głowę. Mężczyzny już nie było. Zaczęłam przeraźliwie płakać. Z przerażenia, bólu, niemocy. Rozejrzałam się wokół siebie. Zabrał mi torebkę i telefon. Dotknęłam tylnej kieszeni spodni. Był w niej drugi. Służbowy.

Drżącymi dłońmi próbowałam go odblokować. Nadaremnie. Poczułam w ustach metaliczny smak krwi. Jeszcze raz rozejrzałam się po ulicy. Nikogo nie było. Wstałam obolała, podeszłam do latarni i wybrałam numer Adama. Nie odbierał. Spróbowałam jeszcze kilka razy. Nic z tego.

– Niech to wszystko szlag! – krzyknęłam.

Chciałam stąd jak najszybciej uciec. Nie miałam wyjścia. Wybrałam numer, który już dawno powinnam skasować, ale tego nie zrobiłam. Zmieniłam tylko przypisaną do niego nazwę.

– Paweł? Możesz mi pomóc? – zaszlochałam do słuchawki.

– Gdzie jesteś? – zapytał bez zbędnych dociekań. Wyjaśniłam mu, co się stało. Kazał mi jak najszybciej iść w kierunku Marszałkowskiej i tam czekać. Przyjechał bardzo szybko.

Potem zrobiło się trudniej. Gdy się dowiedział, co mi się przytrafiło, chciał wzywać policję, a mnie zawieźć do szpitala. Za nic nie chciałam się na to zgodzić. Poprosiłam jedynie, by mnie stąd zabrał. Zawiózł mnie do swojego mieszkania w jednym z wieżowców w samym centrum. Całą drogę nie odezwałam się do niego ani słowem. Nie chciałam okazywać swojej słabości. Paweł nie zmuszał mnie do rozmowy. Tylko raz wziął mnie za rękę, ale widząc moje zdziwienie, szybko się z tego wycofał.

W mieszkaniu dokładnie obejrzał moje obrażenia. Miałam rozciętą wargę, krew na twarzy, szyi i ubraniu. Wyglądałam koszmarnie. Zaproponował prysznic, dał na przebranie swoje dresy i podkoszulek. Zaraz po zamknięciu drzwi od łazienki porządnie się rozpłakałam. Stojąc pod strumieniem ciepłej wody, odtwarzałam sekunda po sekundzie sceny, które przed chwilą się rozegrały. Zaczęło docierać do mnie, co mi groziło. I zaczęłam się panicznie bać. Nie, nie o siebie. Tylko o dzieci i Adasia. A gdyby coś mi się stało? Jak by sobie poradzili? A Michałek? Babcia Jasia?

Zakręciło mi się w głowie. Gorąca woda jeszcze spotęgowała to uczucie. Paweł zaczął dobijać się do drzwi, zaniepokojony ciszą. Uspokołam go, że wszystko w porządku i zaraz wychodzę. Wytarłam się, a włosy zawinęłam w ręcznik. Ubranie Pawła było sporo za duże, ale pozwoliło na chwilę zapomnieć o niemiłych wydarzeniach. Spojrzałam w lustro. Na mojej twarzy pojawił się wielki siniak ciągnący się od oka aż do

skroni. Zakłęłam w myślach.

– Wszystko w porządku? – zapytał Paweł, gdy tylko uchyliłam drzwi łazienki.

– Tak... – odpowiedziałam zdawkowo, próbując hamować łzy. Słabo mi to wyszło.

– No już. Już jest dobrze. – Paweł przygarnął mnie do siebie, a ja z całych sił wtuliłam się w niego i przeraźliwie płakałam.

Zaprowadził mnie do sypialni. Dał bluzę, bym nie zmarzła. Pomógł uporządkować włosy. Przyniósł jakąś maść. Podobno na zmniejszenie siniaków i opuchlizny. Pomógł zrobić okład. Widząc moje zdenerwowanie, postanowił zostawić mnie na kilka minut, bym mogła zadzwonić do Adama i opowiedzieć, co się stało i gdzie jestem. Jak na złość Adam nie odbierał.

Wrócił Paweł. Z pyszną kolacją. Nie mogłam jednak zjeść ani kęsa. Ukryłam głowę w dłoniach i siedziałam tak dłuższą chwilę.

– Co tam robiłaś? O tej porze? – zapytał wreszcie Paweł.

– Chciałam wrócić do biura. Po projekt – powiedziałam z trudem.

– Po projekt... – powtórzył bez sensu.

– Tyle problemów i jeszcze to. W sumie... Może to by rozwiązało niektóre – stwierdziłam przez łzy.

– Co ty wygadujesz?! – oburzył się Paweł i siłą przyciągnął do siebie moje ręce.

– Nie mów tak, słyszysz? Masz dziecko, dom, faceta. Masz rodzinę, dla której jesteś wszystkim.

– Tak?! I gdzie ten facet teraz jest? Nawet nie odbiera telefonu! – mówiłam rozżalona. – Tyle mam z tego życia! Właśnie tyle! Jaka wartość człowieka, takie jego życie!

– Przestań! Słyszysz? – Objął dłońmi moją twarz i wpatrywał się w nią. – Nie możesz tak mówić. Jesteś niezwykła. Słyszysz? – zapytał jeszcze raz i delikatnie pocałował mnie w usta. Nie protestowałam. – Jesteś wspaniałą kobietą. Tak?

– Tak... – wyszeptalam i mocno się do niego przytuliłam.

Czułam we włosach jego oddech. Rytm bicia jego serca był dla mnie ukojeniem. Po chwili zasnęłam. W objęciach byłego męża, w jego mieszkaniu, w jego łóżku. Nie zdawałam sobie sprawy, że to początek moich nowych problemów.

Rano przeprosiłam Pawła za wszelkie trudności i obiecałam, że to był ostatni raz, kiedy tak z butami wlażłam w jego życie. Dawno nie czułam się tak skrępowana. Z otchłani pamięci powracały obrazy z poprzedniego wieczoru. Przytulanie, pocałunek, bliskość.

Poprosiłam, by mnie podwiózł do miejsca, gdzie zostawiłam samochód. Na szczęście, widząc moje skrępowanie, nie prawił mi morałów ani nie zarzucił zbędnymi radami. Zwyczajnie zrobił to, o co go poprosiłam. Powiedziałam zdawkowe „dziękuję” i „cześć”. Uciekłam do samochodu i od razu pojechałam do domu. Usiadłam w swoim fotelu i jeszcze raz na spokojnie wszystko przemyślałam. Spędzenie nocy u Pawła nie było rozsądną decyzją, chociaż usprawiedliwiałam się, że nie miałam innego wyjścia.

Powrót do domu nie był sielankowy. Adam zdenerwował się, widząc siniaki na mojej twarzy. Zapytał, gdzie byłam. Opowiedziałam szczerze. Przejął się. Chciał wzywać policję, ale się nie zgodziłam. Dopytywał, czy nie powinniśmy jechać do lekarza, ale nie

chciałam. Przepraszał, że nie odbierał telefonu wtedy, gdy najbardziej go potrzebowałam. Ale nie krył też złości na fakt, że to Paweł był tym, który uratował mnie z opresji. Nie umknęło jego uwadze, że zadzwoniłam akurat do byłego męża. Widziałam w jego oczach strach, niepokój i złość. Wiedziałam, że ta sprawa długo będzie między nami siać nieporozumienie. Czułam, że moja rodzina powoli się rozpada...

Dowód waszej odwagi

Na efekt działań fundacji „Zapomniane korzenie” nie trzeba było długo czekać. Po kilku dniach zadzwoniła pani Sabina Walczak z informacją, że fundacja skontaktowała się z księdzem Braunem, który chce się z nami spotkać. Możemy przy okazji jechać do Berlina i odwiedzić parafię, w której ksiądz pracował, a swego czasu udzielała się w niej również Elizabeth. Co prawda Jonas był już w tym miejscu kilka razy, ale nigdy niczego nie udało mu się dowiedzieć. Każdy twierdził, że niczego nie pamięta.

Tym razem miało być inaczej, chciał z nami porozmawiać aktualny proboszcz. Miała nam towarzyszyć pani Walczak. Zdecydowaliśmy się na podróż samochodem, uznając, że dzięki temu szybciej dotrzemy do wszystkich interesujących nas miejsc.

Całą drogę opowiadaliśmy o życiu Jana i Elizabeth. Pani Sabina była niezwykle ciekawa, jacy byli i czy chętnie wracali do swojej przeszłości. Mówiłam o dziadku, o jego ukochanym sadzie, naszych rozmowach o życiu i że obozowe piekło śniło mu się prawie każdej nocy. Jonas natomiast opowiadał o swojej babci.

Elizabeth bardzo się wstydziła, że była żoną komendanta obozu, przez całe życie to ukrywała, po śmierci drugiego męża poświęciła się pomocy innym ludziom.

– Myślę, że dodatkowym problemem w ich życiu było to, że nie mieli zbyt wielu możliwości, by mówić o tym, co przeżyli. Przecież przez kilkadziesiąt lat tamte tragiczne wydarzenia trwały przede wszystkim we wspomnieniach ludzi, którym udało się przeżyć. W naszej fundacji są przypadki osób, które nawet czuły się winne, że oni żyją, a tak wielu ich współtowarzyszy zginęło – tłumaczyła pani Walczak.

– Straszne doświadczenia. Mój dziadek często powtarzał, że nie wraca do przeszłości, bo za bardzo go to boli.

– A babcia znów ciągle tłumaczyła mi, że są sprawy, które nigdy nie zostaną wyjaśnione i być może tak będzie lepiej dla wielu ludzi – dodał Jonas.

– Może miała na myśli sprawę dokumentów? – dopytała pani Sabina.

– Nie, akurat na wyjaśnieniu tego bardzo jej zależało. Można powiedzieć, że ich odnalezienie to był jej testament. Takie zadanie dla mnie. Gdyby nie Alicja, poniósłbym klęskę.

– Mój udział nie jest tak istotny. Cała w tym zasługa Henryka. Domyślał się wszystkiego już wtedy, gdy czytał listy Jana do Elizabeth. Potem wpadł na trop skrzyni z dokumentami.

– Całe szczęście! Tak bardzo chciałabym go poznać – powiedziała pani Walczak.

Podróż do Berlina minęła nam nad wyraz szybko. Zaparkowaliśmy nieopodal parafii, która miała tak wielkie znaczenie dla Elizabeth. Jonas mocno przeżywał naszą wizytę. To był dla niego powrót do miejsca, w którym jego babcia przeżyła kilka ważnych

lat swojego życia.

Czekał na nas ksiądz David. Poczęstował nas obiadem i zaszczycił przesympatyczną rozmową. Czułam, że sporo się od niego dowiemy.

– Czyli zamierzacie państwo odwiedzić dziś w domu seniora księdza Petera Brauna?

– Tak, zgodził się z nami spotkać i opowiedzieć o Elizabeth, a także porozmawiać o sprawie pewnych ważnych dla nas dokumentów – przyznałam z nieukrywaną radością.

– Pani Elizabeth udzielała się w parafialnym stowarzyszeniu. Wiadomo, jestem tu proboszczem dopiero od czterech lat, ale już dobrze poznałem historię tego miejsca. I język polski dobrze znam, bo moja mama jest Polką.

– A co może nam ksiądz powiedzieć o księdzu Braunie? – zapytałam.

– Jest bardzo zasłużony dla naszej parafii. Przez ponad trzydzieści lat był tu proboszczem. Był zawsze dobrym gospodarzem, inaczej parafia nie przetrwałaby wojny. A tak i mury kościoła dobrze się zachowały, i wierni mieli tu dobrą opiekę.

– Ale podczas wojny konieczna była całkowita konspiracja? – dopytywała pani Walczak.

– Nie było innej możliwości. Z różnych powodów. Kluczowe było samo wyznanie. Przed wojną ksiądz Braun bardzo dobrze znał mieszkańców tej dzielnicy Berlina, bo jako wieloletni proboszcz doprowadził do założenia dwóch ochronek dla dzieci, a także organizował pomoc dla ludzi w potrzebie. Okazał się również człowiekiem niezwykle przedsiębiorczym.

– Musiał być tu wtedy bardzo potrzebny – zauważył trafnie Jonas.

– Jako proboszcz parafii Świętej Magdaleny cieszył się wielkim szacunkiem. W prowadzonej ochronce wyznaczył na kierownika pana Fischera, by pomagał zbierać od ludzi pieniądze na organizację pomocy. Bardzo różnej pomocy. Ale było jeszcze coś – powiedział tajemniczo ksiądz.

– Ratowanie dzieci – weszłam mu w słowo.

– Ksiądz Braun był znany ze swojej wielkoduszności. Z jego inicjatywy, oczywiście w całkowitej konspiracji, powstał komitet zajmujący się ratowaniem dzieci. W tym również polskich dzieci z obozu zagłady Stutthof. Pomagał mu we wszystkim pan Fischer, to on przywoził dzieci ze składu towarowego pod Berlinem. Jego syn jest obecnym kierownikiem naszego stowarzyszenia. Możecie państwo z nim porozmawiać – zachęcał ksiądz David.

– To naprawdę niesamowita historia – stwierdziła pani Walczak.

Ksiądz David mówił jeszcze dużo o samej działalności stowarzyszenia również w czasach, kiedy pracowała tam Elizabeth. Przyniósł nam do wglądu odpowiednie księgi. Nawet trafiliśmy na jej kilka zdjęć. Były też księgi pamiątkowe, a w nich wpisy byłych podopiecznych, którzy z całego serca dziękowali Elizabeth za to, że tak wspaniale się nimi opiekowała i zawsze służyła pomocą. Jonasa bardzo poruszyły te notatki.

Chyba po raz kolejny dotarło do niego, jak wspaniałą osobą była jego babcia i co miała na myśli, powtarzając, odkąd został bez rodziców, że zawsze musi szukać pomocy pośród ludzi. To było niezapomniane spotkanie, pełne wielkich emocji dla nas wszystkich. Ksiądz David oferował wszelką pomoc na przyszłość.

Tego dnia czekała nas jeszcze jedna wizyta.

Do polskiej granicy dotarliśmy w miarę szybko. Miasteczko schowane za lasem tak naprawdę składało się z kilku ulic równoległych do głównej drogi, niewielkiego ratusza, dwóch kościołów, szkoły i dużego budynku, który okazał się domem seniora dla księży. Tu mieszkał ksiądz Braun.

Wyczekiwał nas od rana. Z opowieści pani Walczak wynikało, że jest to schorowany człowiek, w bardzo podeszłym wieku. Tymczasem zaskoczył nas. Owszem, był to leciwy staruszek, ale tak pogodny, z tak serdecznym uśmiechem i optymistycznym nastawieniem do życia, że od razu mu tego pozazdrościliśmy. Zaprosił nas do niewielkiego ogrodu. Wspierał się na lasce, dużo mówił, co rusz rzucając jakiś żart.

– Wiecie, na starość to już człowiek chce mieć tylko święty spokój – mówił dosyć dobrą polszczyzną. – Nic więcej się nie liczy.

– Ale tu ksiądz ma chyba bardzo dobrze? – zapytałam z grzeczności.

– Raj na ziemi. Nigdy w życiu takich wygod nie miałem. A powiem wam, że człowiekowi wcale tak wiele nie trzeba. Byłoby miał gdzie spać i co zjeść.

– Tym bardziej wie to ktoś, kto przeżył wojnę i zaznał biedy – wtrąciła pani Sabina. Uważnie przyglądała się radosnemu staruszkowi.

– Niesamowite, że mimo tylu tak dramatycznych przejść człowiek jest w stanie zachować tak wielką radość życia. Naprawdę księdza podziwiam – przyznałam szczerze.

– Dziecko drogie, im więcej nieszczęść, tym bardziej się ceni życie – odpowiedział z uśmiechem, chociaż do śmiechu wcale nam wszystkim nie było. – To pan jest wnukiem Elizabeth? – zapytał.

– Tak, nazywam się Jonas Klein – przedstawił się mój przyjaciel.

– Klein. Znane nazwisko. Jakob Klein był bardzo dobrym człowiekiem. Wdał się pan w dziadka jak nic! – stwierdził ksiądz.

– To był mój przyszywany dziadek... – próbował wyjaśnić Jonas.

– Wiem, dobrze znam historię życia Elizabeth. Wiem, kto był jej pierwszym mężem.

– A ja dziadka Jakoba tak naprawdę nigdy nie poznałem. Urodziłem się długo po jego śmierci – przyznał Jonas.

– Elizabeth ciągle miała pod górkę, jak już się jej trochę zaczęło układać, to nagle Jakob zmarł. Została sama z dwójką małych dzieci. Było jej ciężko – wspominał ksiądz Braun.

Nagle przeprosił nas na chwilę i po niemiecku przywołał jednego z pielęgniarzy. Coś mu długo i dokładnie tłumaczył. Po chwili pielęgniarz wrócił z drewnianą, ręcznie rzeźbioną skrzynką i podał ją księdzu Braunowi. Ten bardzo ostrożnie ją otworzył, wyjął ze środka kilka dokumentów, nieco podniszczone kartki oraz zdjęcia.

– Zobaczcie... – podsunął nam jedną z pożółkłych fotografii. – Ten tu w miarę jeszcze przystojny pan to ja – stwierdził z radością. – A ta piękna dama obok mnie to Elizabeth. Zdjęcia pochodzą z czasów, gdy poznała Jakoba. Zobaczcie, jaka była wtedy szczęśliwa.

– Wtedy wreszcie uśmiechnęło się do niej szczęście – skomentował Jonas.

– Piękna to była kobieta – dodała pani Walczak.

– W parafii prowadzonej przez księdza znalazła spokój. Można powiedzieć, że tam był jej drugi dom. Tego najbardziej potrzebowała, prawda? – zwróciłam się do księdza Brauna.

– Wtedy wszyscy chcieli jedynie spokoju i życia bez strachu o najsłabszych – przyznał staruszek.

– Mówi ksiądz o dzieciach? – zapytałam ostrożnie, nie chciałam być zbyt dociekliwa, żeby nie sprawić mu przykrości.

– Elizabeth kochała dzieci. Swojego syna nad życie, chociaż długo musiała walczyć, by przynajmniej on miał szczęśliwe dzieciństwo. W naszym stowarzyszeniu, a może właściwiej by było powiedzieć, że to była ochronka, mieliśmy pod opieką bardzo dużo dzieci. Elizabeth poświęcała im każdą chwilę. To była jej misja – przyznał ksiądz ze wzruszeniem.

– Proszę księdza, zapewne ksiądz domyśla się, w jakim celu chcieliśmy się dziś spotkać. Jestem wnuczką Jana Pniewskiego, który razem z Elizabeth przebywał w obozie zagłady Stutthof. Wspólnie ratowali dzieci, podrabiali ich akty urodzenia i wywozili pociągiem towarowym poza obóz, do składu pod Berlinem – mówiłam, ważąc każde słowo. – Mamy pewność, że tak było, ponieważ jesteśmy w posiadaniu listy i dokumentów dzieci, które zostały ocalone. Mój dziadek zakopał te dokumenty w swoim sadzie, a my je znaleźliśmy. Wiemy, że ksiądz odegrał znaczącą rolę w tej brawurowej akcji. Czy możemy dowiedzieć się o jej szczegółach? – zapytałam.

– Jeszcze wczoraj myślałem, że do końca moich dni nikt nigdy nie zada mi takiego pytania. Ale skoro tak się sprawy mają i państwo tu jesteście, to opowiem wam o ludziach, którzy dla innych zrobili coś zupełnie wyjątkowego. Bo to była naprawdę wielka sprawa... – oznajmił poważnie i spojrzał w niebo.

Rozdział IX

*W którym ostatecznie poznaję tajemnicę Jana i Elizabeth,
podpatruję zakochanych,
walczę z niesprawiedliwością losu i panicznie boję się o swoje dzieci*

Pociąg do nowego życia

Historia księdza Petera Brauna była kluczem do rozwiązania tajemnicy dokumentów. Poszczególne elementy tej układanki wreszcie zaczynały do siebie pasować. Zasłyszane dotąd informacje od różnych osób prowadziły do wątku wywożenia dzieci z obozu. Zawsze powtarzało się jedno pytanie: jak udało im się tego dokonać?

Świetnie zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że wyłącznie od księdza zależy, czy poznamy ten etap niezwyklej historii, czy jednak zostanie nam pocieszenie się tym, co już mamy. A ksiądz Peter bardzo starannie ważył każde słowo. Dopytywał nas o Jana i Elizabeth, jakby chciał się upewnić, czy na pewno jesteśmy tymi, za których się podajemy. Rozumiałam go. W końcu znał sekret dotyczący ludzi, których życie mogło się diametralnie zmienić z dnia na dzień przez nieuważne działania i decyzje. Nie chciał tego. Ja też nie. Ale widziałam w nim tęsknotę za tym, by wreszcie zrzucić z siebie brzemień tajemnicy sprzed lat.

W ogrodzie spędziliśmy kilka godzin. Ksiądz opowiadał o swoim życiu w czasie wojny i wspominał sytuacje, kiedy omal nie stracił życia. Dużo mówił o Elizabeth. O jej zagubieniu po wojnie, nieustannych próbach zrozumienia postępowania pierwszego męża oraz wielkiej samotności w czasach, gdy została sama z dzieckiem. Jonas uważnie tego słuchał i starał się zapamiętać każdy szczegół z życia swojej babci. Pani Sabina, podobnie jak ja, liczyła na to, że ksiądz wreszcie powie, co tak naprawdę działo się w obozowym szpitalu i w jaki sposób dzieci docierały do niemieckich rodzin.

Gdy na zewnątrz zrobiło się nieco chłodniej, ksiądz zaprosił nas do swojego pokoju i poprosił pielęgniarkę, by przez najbliższy czas nikt nam nie przeszkadzał. Zależało mu na dyskrecji. Gdy zostaliśmy sami, wyjął z szuflady tajemniczy pakunek. Położył go na stole i wziął głęboki oddech.

– To była akcja zaplanowana w najmniejszych szczegółach – zaczął mówić spokojnym głosem, chociaż widać było, że cała sytuacja bardzo wiele go kosztuje.

– Nie daje mi spokoju myśl, w jaki sposób udało się księdzu nawiązać kontakt z Elizabeth. Znaliście się wcześniej? – zapytałam ciekawa początku ich znajomości.

– Nie, Elizabeth poznałem tak naprawdę kilka lat po wojnie. Gdy trafiła do naszego stowarzyszenia razem ze swoim synem.

– Niesamowite. To jak nawiązaliście kontakt? – chciał wiedzieć Jonas.

– Duża w tym zasługa pana Antona Fischera – przyznał nasz gospodarz.

– Pracował w parafii w czasie, gdy ksiądz był proboszczem? – zapytałam, pamiętając, co mówił nam o nim ksiądz David.

– To chyba za dużo powiedziane. Po prostu pomagał. Pracę u nas dostał dopiero po wojnie. Ale należał do naszej wspólnoty. Był wtedy pracownikiem kolejowego składu pod Berlinem. Tam nawiązał kontakt z kimś, kto zajmował się zaopatrzeniem obozu Stutthof.

– Henryk coś o tym wspominał – wtrąciłam. – Mówił, że był ktoś taki. Człowiek, który zajmował się zaopatrzeniem. To z nim Elizabeth musiała ustalać szczegóły całej akcji.

– A on nawiązał kontakt z Fischerem, który mógł liczyć na pomoc księdza i całej parafii – podjął Jonas.

– Tak było. Fischer przyszedł do mnie i powiedział, że musimy pomóc w ratowaniu dzieci z obozu Stutthof.

– A ksiądz się zgodził – stwierdziła pani Walczak.

– Nie było innej możliwości. Taka moja posługa w życiu. Nieść pomoc innym.

– Ale oczywiście zdawał sobie ksiądz sprawę z konsekwencji. – Nie mogłam wyjść z podziwu, że komuś tak bezgranicznie zaufał.

– Co innego mogłem zrobić? Wokół szalała wojna. Nikt nie miał pewności, czy dożyje następnego dnia. Czym zatem miałem się martwić? – Ta refleksja księdza Petera uzmysłowiła mi, że ekstremalny strach zubożętnia człowieka. Sprawia, że godzi się z nieuchronnością losu.

– A poza tym chodziło przecież o dzieci – dodał Jonas.

Ksiądz Peter opowiedział nam w szczegółach o początku tej historii. O tym, że musiał wtajemniczyć w całą akcję wiele postronnych osób. Oznaczało to ryzyko ujawnienia prawdy i tym samym pewnej śmierci. Taka działalność była jawną formą wystąpienia przeciwko władzy.

– W mojej parafii było wtedy bardzo wiele rodzin, które starały się o dzieci. Czasami od wielu lat. Bezskutecznie. Jedna z sióstr zakonnych prowadziła nawet modlitwy w tej intencji z pewną grupą rodziców. Wiele rodzin chciało zaadoptować dziecko.

– I to była szansa dla dzieci z obozu – stwierdziłam z wielkim wzruszeniem.

– Tak. Długo rozmawialiśmy o możliwości ocalenia dzieci. Parafianie wyrazili zgodę i chcieli pomóc. Bardzo się zaangażowali w całą sprawę.

Ksiądz Braun opowiedział nam, jak w praktyce wyglądała realizacja całego planu. Na miejscu czekały na dzieci rodziny, gotowe, by je adoptować. Fischer był osobą, która łączyła obie strony akcji. To on przekazał księdzu list od Elizabeth.

– Mam ten list wciąż u siebie – przyznał ksiądz, a my aż zamarliśmy z wrażenia.

– Potem go wam pokażę. I zapewne oddam, bo co na stare lata mam z nim zrobić?

– Jako fundacja właściwie się wszystkim zajmujemy – zapewniła pani Walczak.

– W odpowiedzi na ten list podałem Elizabeth wszystkie dane konkretnych rodzin, tak by na ich podstawie można było sfałszować akty urodzenia. Miał być pewnym zabezpieczeniem dzieci, gdy trafiłyby już do składu pod Berlinem. Niemieckim obywatelom nic nie groziło. W przypadku dzieci sprawa wydawała się jeszcze prostsza – przyznał ksiądz Peter.

– To dlatego dziadek fałszował ich dokumenty – stwierdziłam.

– Pamiętam pierwszy transport. Był rok czterdziesty czwarty, bardzo upalne lato. Do składu kolejowego miał wkrótce przyjechać pociąg towarowy... Dzieci z transportu miał odebrać pan Fischer. Nie chciałem się zgodzić, by pojechał tam sam. To zwiększało ryzyko, ale nie mogłem zostawić go samego.

– Tu musiało być dla was bardzo trudne – zauważyłam trzeźwo, próbując sobie wyobrazić chociaż namiastkę tego, co mógł wtedy czuć i ksiądz Peter i pan Fischer.

– Za pierwszym razem przeżyłem szok. Była ciemna noc, pociąg nadszedł z nienacką. Drzwi wagonu otworzyły się, a tam leżały dzieci. Myślałem, że są martwe. Że nie przeżyły drogi. Leżały pomiędzy stertą różnych skrzynek. Na szczęście okazało się, że w obozie podano im lek na sen. Tak, by nikt ich nie usłyszał podczas transportu.

– Ile ich było? – zapytała pani Sabina, robiąc przy okazji wnikliwe notatki.

– Troje. Dwóch chłopców i dziewczynka. W wieku około trzech lat. Zapakowaliśmy je do samochodu i udaliśmy się na plebanię. W razie kontroli drogowej mieliśmy mówić, że to dzieci z niemieckich rodzin, które wieziemy do szpitala na leczenie. Wtedy panował wśród dzieci koklusz i takie wyjaśnienie nie wzbudziłoby podejrzeń.

– A co się działo z dziećmi, gdy już dotarliście do parafii? – dopytywałam.

– Na miejscu badał je lekarz. Prawie zawsze dzieci były chore i niedożywione. Później trafiały do wybranych rodzin. To był moment, kiedy można było stwierdzić, że są już bezpieczne. Mieliśmy we właściwych instytucjach swoich ludzi, którzy pomagali załatwić właściwe papiery – tłumaczył ksiądz Braun, coraz bardziej zmęczony naszym spotkaniem i ogromem emocji, jakie mu towarzyszyły. – Na tym nasza rola się kończyła. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że nie stanie się im krzywda. Każdego dnia się za nie modłę. Czuję się odpowiedzialny za ich życie. Prowadziłem szczegółową dokumentację miejsc, gdzie oddaliśmy dzieci. Z niektórymi miałem kontakt. Inne rodziny postanowiły się od nas odciąć. Nie chciały, by dziecko kiedykolwiek dowiedziało się o tym, że jest adoptowane.

– A czy... – odezwała się pani Sabina, ale ksiądz podniósł rękę na znak, że jeszcze nie skończył i chce coś powiedzieć.

– Oddam wam swoje zapiski. Porównacie je z listą aktów urodzenia, które tłumaczyli Jan i Elizabeth. Myślę, że tu wszystko powinno się zgadzać. Nigdy nic z tymi zapiskami nie zrobiłem. No bo jak teraz, po tylu latach, można zapukać do drzwi obcego człowieka i powiedzieć mu, że jest kimś innym, niż myślał? – stwierdził zasmucony.

– Razem z Alicją mieliśmy podobny dylemat, gdy stanęliśmy przed decyzją zgłoszenia się do fundacji i ujawnienia dokumentów – przyznał Jonas.

– Jak często odbywały się transporty dzieci? – chciałam poznać szczegóły akcji.

– Bardzo różnie, czasami raz na dwa, trzy dni. Niekiedy raz na tydzień. To pan Fischer dostawał informacje, kiedy będzie transport. Nigdy się na nim nie zawiodłem. Zmarł dwadzieścia lat temu. Jego syn czasami mnie odwiedza.

– Ile dzieci było w jednym transporcie? – zapytał Jonas.

– Czasami dwoje, czasami pięcioro. Strach towarzyszył nam zawsze. Pewnego razu zostaliśmy zatrzymani w drodze do parafii. Dzieci spały na tylnym siedzeniu. Żołnierze byli pewni, że za bajką o przewożeniu dzieci na leczenie coś się kryje. Chcieli ogromnej

sumy w zamian za milczenie. Zawsze w wozie mieliśmy złoto i biżuterię, żeby mieć czym zapłacić. Wtedy udało nam się uniknąć śmierci. Mieliśmy szczęście. A naprawdę niewiele brakowało... – wyszeptał ksiądz Braun.

– Ta jedna chwila mogła na wszystkim zaważyć. Uratować komuś życie to sprawa najwyższej wagi – przyznałam wzruszona.

Ksiądz Peter jeszcze długo opowiadał o wielu sytuacjach, gdy wydawało mu się, że cała akcja legnie w gruzach. Nie z powodu złej organizacji, ale przez wzgląd na różnych ludzi, którzy coraz baczniej zaczęli się przyglądać jego poczynaniom. Mówił o strachu o Jana i Elizabeth. To na nich ciążyła największa odpowiedzialność. Jeden błąd z ich strony mógł zaważyć na życiu wielu ludzi.

Przekazał nam listę dzieci, które trafiły do jego parafii, a potem do rodzin adopcyjnych. Chciał, żebyśmy porównali ją z listą podrobionych aktów urodzenia, którą spisali Jan i Elizabeth. Zgodził się oddać ją fundacji. Prosił o ostrożność w działaniach. Mówił, że po latach kilka osób wróciło do niego, by się dowiedzieć, kim dokładnie są i jak zostały uratowane. Przyznał, że z niektórymi z tych osób ma serdeczne relacje. Obiecał, że porozmawia z nimi i poprosi, by jak najszybciej skontaktowali się z fundacją. Bardzo nam zależało, by ich poznać, a zarazem dowiedzieć się, jak wyglądało ich życie po uratowaniu z obozu.

Zdążyć z pomocą

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – oburzył się Jonas.

– Co by to zmieniło? Byłaś wtedy w Berlinie. Dorota z Maćkiem mają na głowie wypadek Zosi. O Ewie nawet nie pomyślałam. Padło na Pawła. Właściwie wtedy przyjąłabym pomoc od samego diabła. – Na wspomnienie napadu ciarki przeszły mi po plecach.

– No tak... Uznałaś, że do Adama nie ma co dzwonić, bo i tak jest daleko, tak?

– No, to byłoby pocieszające. Po prostu nie odbierał. Wcześniej się pokłóciliśmy i wiesz... – poczułam się głupio.

– Zrobił ci na złość. Cholera! Alicja! Co się z wami dzieje? – zapytał Jonas, wstając energicznie od stołu. – Gdy was poznałem... tacy byliście w sobie zakochani! Zazdrościłem wam. A teraz? Jedna kobieta ma wszystko popsuć? – Nie dowierzał, że tak nagle się wszystko zmieniło.

– Widocznie jest skuteczna – stwierdziłam.

– Może nie powinienem tego mówić, ale wiesz co?

– Co?

– Adam mnie strasznie wkurza! Ogarnęłaś wszystkie problemy waszej rodziny, a on co? Żona wróciła i nagle wszystko przestaje być ważne? – bulwersował się.

– Była żona – poprawiłam go.

– Była i nie była. Jakoś nie potrafi się od niej odciąć – zauważył trafnie.

Trudno było z tym dyskutować. Jonas, jak mało kto, potrafi celnie ocenić sytuację. Zna życie i wie, że czasami jeden dzień może zmienić je na zawsze.

I z pewnością zauroczył się Ewą. Wypytywał o nią, gdy tylko przekroczyłam próg

jego mieszkania. Jeśli facet zaczyna być wobec kobiety troskliwy i opiekuńczy, to może oznaczać tylko jedno. Ewa stała się dla niego bardzo ważna. Nie bez powodu zaangażował się w pomoc przy organizacji jej dojazdów do pułtuskiego hospicjum.

Postanowiłam pomóc Ewie i opowiedziałam Jonasowi o jej trudnej sytuacji finansowej. Jego reakcja była dokładnie taka, jakiej się spodziewałam. Od razu zaproponował zatrudnienie Ewy w filii swojej firmy. Mogła pracować jako pomoc księgowej. Jest po technikum ekonomicznym, zatem ma fach w ręku. Zostało tylko przekonanie Ewy do tego pomysłu. Jonas poprosił, żebyśmy razem do niej pojechali. Potrzebował wsparcia. Znał ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest uparta i dumna i że tak łatwo pomocy nie przyjmie.

Ewa przywitała nas bardzo speszona obecnością Jonasa. Nerwowo rozglądała się po mieszkaniu, by się upewnić, że panuje w nim jaki taki porządek. Tłumaczyła się, że miała ciężki dzień w pracy. Sylwia poszła na wieczorne zajęcia plastyczne, a ona postanowiła się zdrzemnąć. Nie wyglądała zbyt dobrze. Zaczerwienione oczy świadczyły o tym, że płakała. Domyślałam się, że sytuacja z Magdaleną całkowicie ją przerasta.

Jonas robił wszystko, by Ewa nie uznała naszej wizyty za próbę wtrącania się w jej życie. Na szczęście nie miała mi za złe, że powiedziałam Jonasowi o jej problemach. Raczej potraktowała to jako próbę znalezienia wyjścia z trudnej sytuacji.

– Szukam pracowników do oddziału swojej firmy w Warszawie – tłumaczył Jonas.

– Znamy się już na tyle dobrze, żebym mógł dostrzec twój potencjał. Znasz się na rzeczy.

– Dziękuję, to miłe. – Ewa czuła się nieco zawstydzona.

– Oferuję pracę, dobre wynagrodzenie i szkolenia. Musisz się rozwijać. Jesteś młoda, przed tobą mnóstwo szans. Ponadto ta praca pozwoli ci na jej pogodzenie z opieką nad Sylwią i twoją mamą. Wiele rzeczy będziesz mogła wykonać zdalnie, z domu – zachęcał.

– Nie musisz mnie przekonywać – stwierdziła Ewa, posyłając mi ukradkiem pełne wdzięczności spojrzenie. – Mam dość obecnej pracy. Wczoraj szefowa dołożyła mi kolejne zadania. Tego nie da rady zrobić jedna osoba. Jestem strasznie zmęczona – westchnęła zaniepokojona swoją szczerością. Pierwszy raz oficjalnie przyznała się do swoich słabości.

– Obiecuję, że będę dobrym szefem i jak będziesz miała czegoś serdecznie dosyć, to możesz śmiało o tym mówić – zażartował Jonas.

– Jak coś przeszkobie, będzie miał ze mną do czynienia – wtrąciłam, grożąc Jonasowi.

– No! A wiadomo, że Alicji lepiej nie podpaść! – przyznał rozbawiony.

– Od kiedy mogłabym zacząć? – zapytała Ewa onieśmielona i sytuacją, i okazją, która może być przepustką do lepszego życia.

– Teraz, jutro, kiedy chcesz – zapewniał Jonas. Widziałam radość w jego oczach. Domyślałam się, że w zatrudnieniu Ewy widzi szansę na bliższe wzajemne poznanie.

– Jutro poinformuję o wszystkim szefową i złożę wypowiedzenie. Macie rację, czas na zmiany. Nie wiem, jak się wam odwdzięczę – przyznała Ewa wzruszona.

Patrzyłam na nich i wyobrażałam sobie, że mogliby stanowić wspaniałą parę. Ewa potrzebuje mężczyzny, który byłby dla niej oparciem. I ojcem dla Sylwii. A on sam też

czuje się samotny i coraz częściej o tym mówi. Rozumiem go. Przed przyjazdem do Pniewa byłam tak samotna, że czasami szłam do centrum handlowego tylko po to, by być wśród ludzi. Tego nie da się opisać. Poczucia, że nie ma się blisko kogoś dla siebie ważnego.

Ewa powoli zrzuca z siebie pancerz zimnej i niedostępnej kobiety. Do tej pory był jej sposobem na radzenie sobie z życiem i ludźmi. Łatwiej było innych atakować i traktować źle, niż odkrywać przed nimi prawdziwe uczucia. Dużo zmieniła choroba Magdaleny. Ewa jakby nabrała dystansu do przeszłości i zrozumiała, że ciągle przeżywanie tego, co już minęło, na dłuższą metę nie ma sensu. Bo człowiek zapomina o tym, by żyć tu i teraz. Widzę zachodzące w niej zmiany.

Następnego dnia przyjechała do nas z Sylwią. Dzieci spędziły razem popołudnie i wieczór, bawiąc się u Basi. Adam zawiózł Ewę do hospicjum, a ja szybko kończyłam ważne zlecenie. Czekałam na jej powrót. Przyzwyczaiłam się już do jej przyjazdów i naszych rozmów, które na dobre wpisały się w harmonogram tygodnia.

– Wiesz, co się dziś stało? – zapytała, trzymając w dłoniach kubek gorącej herbaty. Siedziałam w jej pokoju w domu babci Jasi. To był nasz piątkowy rytuał.

– Co? – dopytałam, widząc, że chce mi powiedzieć coś ważnego.

– Pierwszy raz powiedziałam dziś do niej „mamo”. Nie robiłam tego od kilku lat – przyznała nieco zawstydzona. – Kiedyś myślałam, że ona na to nie zasługuje.

– Co się teraz zmieniło?

– Zaczęłam na nią patrzeć jakoś tak inaczej. Na przykład dziś wspominałyśmy wspólnie spędzone święta. Myślałam wtedy, że ona znowu się upije i Wigilię spędzę na oglądaniu durnych filmów. Ale wtedy mnie zaskoczyła. Była trzeźwa. Kupiła w sklepie pierogi, barszcz czerwony i kapustę z grzybami. Razem przygotowałyśmy wieczerzę wigilijną. Było normalnie. Wtedy czułam, że mam mamę.

– Chciała dać ci wtedy namiastkę świąt i prawdziwej rodziny.

– Nawet dostałam od niej prezent. Piękny czerwony szalik. Mam go do dzisiaj. Sama go zrobiła na drutach. Wtedy tylko to się liczyło – opowiadała rozmarzonym głosem.

– A jak dziś zareagowała na to, że zaczęłaś się do niej zwracać „mamo”?

– Powiedziała, że to było jej ostatnie marzenie. By przed śmiercią usłyszeć, że tak do niej mówię – wyznała, a po jej policzkach spłynęło kilka łez.

Wzruszyłam się.

– To dla niej znak, że zaczynasz jej wybaczać.

– Właśnie... zaczynam. Ale czy kiedyś zupełnie wybaczę? Bardzo bym chciała, ale siedzi we mnie taki straszny żal za wszystko. No i czasu mamy coraz mniej. Ona też to czuje.

– Nie chcę się wymądrzać, ale to jest właśnie czas, który wam obu jest bardzo potrzebny. Nie zmarnujcie go. Pamiętaj, by dać szansę sobie i jej. Zostaną ci tylko wspomnienia. Zrób wszystko, by były jak najlepsze.

– Tak. Dlatego jutro zawiozę do niej... to znaczy, do mojej mamy... – poprawiła się. – Chcę, by zobaczyła się z Sylwią. To w końcu jej wnuczka.

– Mądra decyzja – przyznałam.

- Tylko tyle mogę dla niej zrobić.
 - Aż tyle. Będzie czuła, że mimo wszystko z nią jesteście i ją kochacie. To cenny dar. Łatwiej jest pogodzić się z wyrokami losu, kiedy ma się wokół kochających ludzi.
 - Każdy na to zasługuje. A mama jest dobrym człowiekiem – przyznała Ewa.
- Wątpliwe intencje matki

Dobrze znam Joannę i paskudny styl, w jakim z nami pogrywa. Z łatwością potrafię przewidzieć jej działania. Jak już nie może nic zdziałać siłą, wtedy próbuje po dobroci. Adam oczywiście się na to nabiera, kilka dni jest dobrze, a potem od nowa zaczyna się całe przedstawienie. Joanna odstawia jakiś numer, a Adam obiecuje sobie i wszystkim, że ostatni raz się dał nabrać.

Właśnie jesteśmy na etapie wątpliwej dobroci. Joanna weszła w rolę kochającej mamusi i skutecznie tym przekonała Adama, by pozwolił jej zabrać Rozalkę na weekend do siebie. Zgodził się, a ja milczałam. To ostatnio moja jedyna rola w tym dziwnym układzie.

Odkąd Adam dowiedział się, że spędziłam noc w mieszkaniu Pawła, traktuje mnie dosyć dziwnie. Niby złość mu przeszła, ani razu nie wrócił do tego tematu, niby wszystko jest w porządku. Adam unika rozmów i zachowuje się, jakby nie zrobiło na nim wrażenia to, że zostałam napadnięta.

- Moja mamusia powtarzała zawsze, że nigdy nie powinno się podejmować żadnej decyzji ani w ogromnym szczęściu, ani w złości, bo człowiek ma wtedy klapki na oczach – mówiła babcia Jasia, obierając truskawki z szypulek. Siedziałam na ławce przed jej domem zrezygnowana po kolejnej utarczce z Adamem.

- Czyli co? Jest jakieś inne wyjście? Bo spokoju w tej sytuacji nie umiem zachować – stwierdziłam z miną kogoś, kto właśnie szykuje się na wojnę. Babcia Jasia się roześmiała i pogroziła mi palcem.

- Tak to sobie tylko zaszkodzisz – powiedziała poważnie jako osoba, która już niejedno w życiu przeszła i może doradzać innym.

- Co mam zrobić? Bo Dorota każe walczyć i stawiać duże wymagania. Basia radzi, by czekać i nic nie robić, a sytuacja sama się rozwiąże.

- Sama to się zmieni pora roku. Obie głupoty mówią.

- To poradź mi coś lepszego.

- Jak żył mój mąż i mieliśmy czasami gorsze dni, to wiesz, co wtedy robiłam?

- Co?

- Zajmowałam się wyłącznie sobą – stwierdziła z szelmowskim uśmiechem.

- Sobą? – dopytałam, nie rozumiejąc jej.

- Tak. Ty za dużo się wszystkim przejmujesz. Adam ma humory i wychodzi bez słowa z domu? To i ty tak zrób. Może się chłop wreszcie nauczyć doceniać twoją obecność.

- No ale to takie robienie na złość.

- Raczej pokazanie, że jak się chłop nie uspokoi, to mu cały dom na głowę spadnie. Adam swoje robi, a ty obiadki, dbanie o dzieci, sprzątanie. Zostaw to na dwa dni, zajmij się sobą, a zobaczy, że żarty się skończyły.

– Może i masz rację. Taka się kura domowa zrobiłam. Wszystko podstawiam mu pod nos.

– Sama widzisz. A to błąd, moja kochana, duży błąd. Bo jak ktoś się do dobrego przyzwyczai, to potem tego nie docenia – mówiła to z taką pewnością, że od razu przyznałam jej rację.

– Jesteś cudowna! – stwierdziłam, całując ją w policzek wysmarowany sokiem z truskawek. W tej swojej chustce wyglądała jak dziewczynka po całodziennych harcach.

– Swoje w życiu przeżyłam i wiem, że czasami potrzebna jest mała dawka egoizmu, inaczej wszyscy wejdą ci na głowę. – Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Moja kochana!

Już pierwszego wieczoru oznajmiłam Adamowi, że jadę do Wyszkowa załatwić kilka ważnych spraw, a dzieci zostawiam pod jego opieką. To samo robiłam przez kolejne dni. Przed weekendem zapytał nagle, co sędzę o tym, że Joanna chce na dwa dni zabrać do siebie Rozalkę. Zdziwił się, gdy oznajmiłam mu, że moje zdanie zna, sam musi podjąć decyzję i pogodzić się z jej konsekwencjami. Pierwszy raz widziałam u niego taką minę!

Potem wydarzyło się coś, co pokazało mi, że Adam zwyczajnie nie radzi sobie z sytuacją. Joanna w piątek zabrała Rozalkę do siebie. Adam dał się przekonać, że tym razem obejdzie się bez niepotrzebnych komplikacji. Rozalka też się cieszyła na wyjazd i nic nie zapowiadało problemów.

Sobota minęła nam pod znakiem pracy. Adam zamknął się w pracowni, a ja nadrabiałam swoje zaległości. Dzieci pod okiem Henryka budowały w sadzie szałas i miały zamiar zrobić sobie piknik.

Wieczorem Adam zaczął się niepokoić. Próbował dodzwonić się do Joanny. Bezskutecznie. Uspokajałam go, że może po prostu nie słyszy telefonu. Niestety, tego wieczoru Joanna w ogóle się nie odezwała. Adam był wściekły. Oczywiście chciał do niej jechać. Wybiłam mu ten pomysł z głowy. Byłam pewna, że nic złego się nie stało i to tylko kolejna złośliwość jego byłej.

Niedzielnny poranek był zapowiedzią złych zdarzeń. Wczesnym rankiem obudził nas telefon. Nieznany numer.

– Słucham. – Adam odebrał, myśląc, że to jeden z tych klientów, którzy dzwonią, nie patrząc na porę. – Tak, to ja. A pani kim jest? – zapytał.

Widziałam jego niepokój i byłam pewna, że dzieje się coś złego.

– Jak to? Ale gdzie jest teraz moja córka? Nic jej nie jest? Boże... Jak to całą noc? A gdzie jest jej matka? Tak, już jadę. Proszę ją zabrać do siebie i pod żadnym pozorem nie oddawać Joannie. Do zobaczenia!

– Co się stało?

– Jedziemy do Warszawy. Joanna na całą noc zostawiła Rozalkę samą w mieszkaniu.

– Co? – Byłam zszokowana tymi wieściami.

Jadąc do Warszawy, złamaliśmy chyba wszystkie możliwe przepisy. Adam był potwornie zdenerwowany. Nawet nie chciałam myśleć o tym, co będzie, jak spotkamy tam Joannę. Swoją drogą, gdzie ona mogła się podziać? Czy mogła tak po prostu zostawić dziecko bez opieki? Wszystko jednak na to wskazywało.

Rozalka czekała na nas u sąsiadki Joanny. Pani Róża dobrze się nią zaopiekowała. Rozalka płakała, że mama zostawiła ją na noc i gdzieś poszła. Nie mogliśmy jej uspokoić przez ponad pół godziny. Nic więcej nie udało się z niej wyciągnąć. Tylko tyle, że Joanna dała jej kolację, włączyła bajki i kazała zostać w domu. Sama wyszła z jakimś panem.

Adam chciał dzwonić na policję i zgłosić, że matka naraziła zdrowie i życie dziecka. Odradziłam mu ten pomysł. Nie chciałam robić wielkiej afery. Poza tym miałam nadzieję, że Joanna gdzieś się na dobre ulotniła i jest szansa, że więcej o córkę się już nie upomni.

Niestety, nie miałam racji. Wpadliśmy na nią, wychodząc z mieszkania pani Róży.

– A ty co tu robisz? – zapytała zdziwiona, widząc Adama. Stał przy niej jakiś facet, który wyglądał na nieźle wstawionego.

– Pożałujesz! Jesteś kompletnie nieodpowiedzialna – wycedził Adam.

– Straszyc mnie nie będziesz. Miałam wypadek i nie mogłam wrócić. – Oczywiście kłamała w żywe oczy.

– Właśnie! Ty się tu nie rzucaj! – wybełkotał stojący obok Joanny typ.

– Bo co? – Adam podszedł do niego i chwycił za poły marynarki.

– Adam! Przestań! Nie warto! – Złapałam go za rękę. Rozalka się rozplakała.

– Nie puszczę ci tego płazem – ostrzegł Adam, ale Joanna nie przejęła się jego słowami.

– Rób, co chcesz! Jestem jej matką i nic na to nie poradzisz! – krzyknęła za nami.

– Takiej mamusi to ona nie potrzebuje! – odpowiedział Adam.

Niezgoda na smutną codzienność

– Tak ma wyglądać twoja pomoc?! – denerwował się Adam, nie zważając, że dzieci w sąsiednim pokoju wszystko słyszą.

– Czego ode mnie oczekujesz? Przecież moje zdanie w ogóle się dla ciebie nie liczy! – odpowiedziałam równie głośno, widząc, że koniec naszej kłótni jest daleki.

– A skąd wiesz?

– Bo zawsze wychodzę na tę najgorszą! Najpierw załatw swoje relacje z byłą żoną, a potem dopiero oczekuj ode mnie, żebym była na każde twoje zawołanie. Nie zgadzam się na to, co jest teraz! I nigdy się nie zgodzę!

– Muszę iść z tym do sądu. Nie będzie tak nami rządziła – zarzekał się Adam, chodząc nerwowo po kuchni i salonie. Bardzo mu współczułam, ale postanowiłam jasno określić warunki naszej rodzinnej relacji.

– Na to wygląda. Ja już swoje zrobiłam, więcej nie pomogę. Jak nie chcesz, by Joanna zabrała ci Rozalkę albo naraziła ją na niebezpieczeństwo, to musisz podjąć konkretne działania. A wiesz dobrze, do czego ona jest zdolna!

– Prędeż bym ją... – Adam nie dokończył, bo nagle zaskrzypiały drzwi. Dzieci podśluchiwały i już wiedziałam, że na pewno będą się martwić.

Przeprowadziliśmy z nimi poważną rozmowę. Chociaż trudno to nazwać rozmową. Raczej słuchały i co jakiś czas zerkały na siebie. Jakoś to nie wzbudziło mojego niepokoju. Umówiliśmy się, że zaraz po szkole pójdą do cioci Basi na obiad. Adam tego

dnia jechał do Wyszkowa wstawiać okna w nowo powstałym sklepie, a ja postanowiłam pomóc Dorocie w małych porządkach w jej mieszkaniu.

Najpierw jednak pojechałam do szpitala, by odwiedzić Zosię. Czują się już zdecydowanie lepiej i nawet zapytała, czy mogę kupić jej coś słodkiego. Tego zrobić nie mogłam, ale obiecałam, że jak wyjdzie ze szpitala, to specjalnie dla niej razem z Dorotą upieczemy ogromny tort. Z wielką ulgą patrzyłam na jej radosną twarz. Dorota powiedziała, że krwihak powoli zanika i zabieg nie będzie potrzebny. Ogólne wyniki Zosi są w normie i można już spokojnie mówić, że wyszła z tego obronną ręką.

– Przepraszam Aluś – wyznała Dorota na szpitalnym korytarzu.

– Ale za co? – zdziwiłam się.

– Za swoją głupotę. Za to, że pracowałam ponad siły i jeszcze ciebie do tego zmuszałam. Teraz widzę, ile to wszystko warte. Tylko zdrowie i rodzina się liczą. Nic więcej.

– Kochana moja, no chodź... – Przytuliłam ją mocno do siebie. – Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło. Musimy sobie na spokojnie przemyśleć, na czym nam zależy i jak mamy organizować pracę, by nie była ciągle na pierwszym miejscu.

– Nie chcę już tak żyć. Teraz liczą się dziewczynki i Maciek. I tobie muszę wreszcie zacząć pomagać, bo masz swoje problemy, a ja tylko jeszcze ci dokładałam.

– Ja mam tylko jeden problem i jest nią ta wiedźma Joanna. Ale na nią też znajdę sposób.

Spędziłam miłe popołudnie z Dorotą, pomagając jej przy sprzątanii mieszkania. Wracając do domu, zadzwoniłam do Basi upewnić się, czy moje maluchy mają się dobrze, no i czy za bardzo nie rozrabiały. Zdziwiłam się, bo Basia powiedziała, że dzieci przyszły do niej tylko na chwilę. Podobno umówiły się na wycieczkę z babcią Jasią. Coś mi się w tej historii nie podobało. Przecież babcia Jasia nigdy na własną rękę nie zmieniała naszych ustaleń, zwłaszcza tych, które dotyczyły opieki nad dziećmi.

Postanowiłam nie panikować, ale wracałam do domu najszybciej, jak się dało. Nie chciałam dzwonić do Adama, by sobie nie pomyślał, że znowu panikuję. Kiedy dotarłam na miejsce, nikogo nie zastałam. Dom był zamknięty na cztery spusty.

Poszłam do babci Jasi i przeżyłam szok.

– Gdzie dzieci? – zapytałam, wpadając prosto do jej sypialni. Drzemała przykryta kocem.

– Alicja? Dzieci są u Basi. Tak przecież mówiłaś rano. Że taki jest plan na ten dzień – odpowiedziała zdziwiona moim nagłym wtargnięciem.

– Boże... – wydusiłam z siebie.

Wybiegłam na schodki i nerwowo wybrałam numer Adama. On też nic nie wiedział. Właśnie wracał z Wyszkowa. Ponownie zadzwoniłam do Basi, która już nawet zaczęła szukać dzieci u sąsiadów. Zdenerwowana otworzyłam dom i weszłam do środka. Dzieci nie było. Na stole leżała karta. Wzięłam ją w drżące dłonie i zaczęłam czytać.

Mamo Alicjo, tato Adasiu. Jest nam bardzo smutno, że ciągle się kłócicie. Idziemy do schronu dziadka Henia, bo chcemy z nim zamieszkać. Dziadek nie robi awantur. Jest spokojny i nie krzyczy. Wy się zmieniliście. Kochamy was, ale nie chcemy, żebyście cały czas się kłócili.

U dziadka Henia będzie cisza. Nie martwcie się o nas. Damy sobie radę.

Bardzo Was kochamy, Rozalka i Michałek

– Gdzie dzieci? – W drzwiach z wystraszoną miną stanął Adam.

– Patrz... – powiedziałam przez łzy i podałam mu kartkę.

– O Boże!

– Co teraz? Jak ich znajdziemy? Nie wierzę, by same dotarły do Henryka. Chyba że się gdzieś spotkali. Na przykład przy cmentarzu.

– No raczej nie. Spójrz tylko... – Adam spojrzał w kierunku budynku gospodarczego, gdzie Henryk ma swoje cztery kąty. W oknach zauważyłam światło. Dosłownie w trzech susach byliśmy przy drzwiach Henryka. Otworzył nam zboląły. Nie wyglądał najlepiej.

– Są tu dzieci?

– Nie. A dlaczego pytasz?

– Boże... Uciekły z domu. Do ciebie. Zostawiły kartkę. Napisały, że mają dosyć naszych kłótni i chcą zamieszkać z tobą w schronie.

– Nigdzie ich nie spotkałem. Przyszedłem jakieś pięć minut temu.

– A po drodze? Nigdzie ich nie widziałeś? – dopytywał Adam.

– Nie! Nigdzie! – Henryk coraz bardziej się denerwował.

– Idziemy ich szukać. Przecież muszą gdzieś być! – zarządził Adam.

Modliłam się w duchu, żeby nasze dzieci wróciły do domu całe i zdrowe.

Postawiliśmy na nogi całą rodzinę i najbliższych sąsiadów. Nie zadawali zbędnych pytań, tylko od razu przyłączyli się do pomocy. Nie mieliśmy żadnego planu poza tym, że chodzimy od domu do domu i wypyujemy wszystkich, czy nie widzieli Rozalki i Michałka.

Zadania nie ułatwiała zbliżająca się noc. Do tego zaczął padać deszcz i przyszło nagłe ochłodzenie. Byłam przerażona myślą, że dzieci są tam gdzieś same, a ja nie mogę im pomóc. I jeszcze to poczucie winy, że to wszystko z naszego powodu. Ależ byliśmy głupi! Samolubni! Zapomnieliśmy o dzieciach! A przecież to one są najważniejsze!

Mijały kolejne godziny, a my nie natrafiliśmy wciąż na ich ślad.

Adaś zadzwonił w końcu na policję. Po chwili przyjechało kilka radiowozów. Wezwali na pomoc pniowską straż pożarną, która w jednej chwili była gotowa do akcji poszukiwawczej w lesie. Wszystko wskazywało, że dzieci tam właśnie są. Dwa wozy strażackie stanęły na obrzeżach lasu. Jeden ze strażaków przez megafon zwracał się do dzieci. Powtarzał, że mają zostać na swoim miejscu, bo strażacy już po nich idą. Jeszcze trochę i będą bezpieczne.

Stałam pomiędzy radiowozami, przemoczona do suchej nitki i z przysięgą na ustach, że jeśli Bóg pozwoli, by moje dzieci wróciły do domu całe i zdrowe, to na głowie stanę, by w naszej rodzinie wreszcie był spokój. Policja i strażacy wkroczyli do lasu, szli kolumną i przeczesywali z latarkami kolejne partie drzew. Cały czas strażak mówił do

dzieci. Miałam nadzieję, że nas słyszą i wiedzą, że ich szukamy. Chciałam, by ten koszmar jak najszybciej się skończył.

Jeden z pniewskich strażaków uspokajał mnie, że dzieci na pewno gdzieś się schroniły i czekają na pomoc. Bardzo chciałam wierzyć w jego słowa. Zadawałam mu sto kolejnych pytań, a on cierpliwie odpowiadał. Cieszyłam się, że przy mnie był. Adam wraz ze strażakami i policją ruszył do lasu na poszukiwania.

Po chwili usłyszałam krzyki i wołanie. Nogi się pode mną ugięły na myśl, że stało się coś złego. Nagle w światłach reflektorów wozu strażackiego dostrzegłam Adama, który niósł na rękach Rozalkę. Za nim szedł strażak i tulił do siebie Michałka.

– Jesteście! – krzyknęłam i zaczęłam biec w ich kierunku.

– Mama! – zawołał Michałek.

– Już kochanie, wszystko będzie dobrze, przysięgam ci. – Wzięłam go na ręce i mocno przycisnęłam do piersi. Był tak zimny! I mokry.

– Kochanie... ciii... Już jesteście bezpieczni. Zaraz zabierzemy was do domu – zapewniał Adam, nie mogąc powstrzymać łez radości.

– My nie chcieliśmy... – zaczął Michałek. – To był mój pomysł. Dziadek Henio by nam pomógł. Tylko nie mogłem go znaleźć... – tłumaczył, zanosząc się płaczem.

– Tak, wiem, kochanie. Wszystko wiem. To moja wina. I wujka Adasia. Przysięgamy i tobie, i Rozalce, że już się nie będziemy kłócić.

– Obiecujecie? – zapytała Rozalka, trzęsąc się z zimna.

– Tak. Ani jednej kłótni więcej już nie będzie

– I mama Rozalki nie zabierze jej do siebie? – upewnił się Michałek.

– Nie. Wszyscy zostajemy w starym domu – obiecałam moim skarbow.

– A wy nam obiecacie, że już nigdy sami nie będziecie wychodzić z domu, dobrze? – prosił Adam.

Widziałam jego szczęście. I spokój, którego mu od dawna brakowało.

– Tak! – odpowiedziały jednocześnie nasze dzieci.

– O mało nie umarłam ze strachu. Tak się o was martwiłam! – powiedziałam i mocno przytuliłam Michałka.

Podziękowaliśmy strażakom i policji za skuteczną akcję. Do domu pojechał z nami aspirant z pułtuskiej komendy, by spisać zeznania i przebieg zajścia. Adam się nim zajął, a ja przygotowałam dla dzieci gorącą kąpiel. Bałam się, że będą chore.

Potem opiekę nad nimi przejął Adaś, a ja poświęciłam pół godziny na rozmowę z policjantem.

Wszystko poszło sprawnie i jeszcze raz dziękując za okazaną pomoc, odprowadziłam go do drzwi. Zaniósłam dzieci do łóżek i tam długo rozmawialiśmy o tym, jak chcemy, by wyglądał nasz każdy kolejny dzień.

Michałek nie chciał, żebyśmy się kłócili, i prosił, żeby Adam nie pozwolił Joannie straszyć Rozalki.

Rozalka chciała, żeby tata z mamą zaczęli się wreszcie dogadywać, bo kocha ich obydwój.

Ja chciałam jedynie, by moja rodzina była szczęśliwa. Adam cały czas trzymał mnie za rękę i powtarzał, że od teraz w naszym domu będzie zgoda. Wierzyłam w każde jego

słowo.

Rozdział X

*O przepychankach dawnych małżonków, pożegnaniu z matką,
jedwabnych rękawiczkach
i spełnieniu dziecięcych marzeń*

Złego diabli nie biorą

Brakowało mi tego – wyszeptałam wtulona w Adama, wciąż oddychając ciężko po chwilach miłosego uniesienia. Jego bliskość była tym, za czym tęskniłam najbardziej.

– Kocham cię... – odpowiedział na moje westchnienie. Przyłożyłam ucho do jego klatki piersiowej, by słyszeć bicie serca. Było zapewnieniem, że mnie kocha.

– Obiecuj, że już nigdy nie będziemy się tak kłócić. Obiecujesz, prawda?

– Podniosłam się na przedramieniu, by móc spojrzeć mu w oczy.

– Nigdy więcej. Przepraszam. Byłam taki głupi – przyznał z nieukrywanym żalem.

– Nie głupi, tylko trochę się pogubiłeś. A raczej chciałeś wszystko ze sobą pogodzić. Jak już wiesz, tak po prostu się nie da. Trzeba wybierać.

– Już wybrałem. Ciebie. I nasze dzieci. Wy jesteście dla mnie najważniejsi

– powiedział i zaczął gwałtownie całować moją szyję i piersi.

W naszym domu zapanował spokój i cisza, której tak wszyscy potrzebowaliśmy.

Oboje z Adasiem ograniczyliśmy pracę do minimum, by każdy wieczór móc spędzać z dziećmi.

Dwa dni temu było zakończenie roku szkolnego. Zależy nam, żeby wakacje były naprawdę udane. Planujemy wyjazd w góry. Namawiam Ewę, żeby zdecydowała się jechać razem z nami. Oderwie się od problemów i nabierze dystansu wobec zdarzeń z ostatnich tygodni.

A Joanna? Joanna nadal nie odpuszcza. Niestety dowiedziała się o niefortunnej ucieczce dzieci. Chociaż ucieczka to za duże słowo. Zwyczajnie chciały iść do dziadka Henia i tym samym jasno dać nam do zrozumienia, że mają dosyć takiego domu, w którym słyhać jedynie kłótnie. Mieliśmy szczęście, że to się tylko tak skończyło.

Joanna uznała to za przykład karygodnego niedopilnowania dzieci i narażania ich na utratę zdrowia lub życia. Od razu zapowiedziała, że zamierza złożyć do sądu stosowne pismo informujące o tym zaniedbaniu, a także wystąpić z wnioskiem o odebranie Adamowi prawa opieki nad Rozalką.

Adam wpadł w popłoch. Od razu zaalarmowałam Maćka, który rzucił wszystko i przyjechał do nas.

– Niedobrze się stało – stwierdził zdenerwowany Maciek. – Daliście jej broń do ręki. Wiadomo, że przed sądem można to przedstawić znacznie gorzej, niż było w rzeczywistości

– To oznacza, że jesteśmy z miejsca przegrani? – zapytał Adam, a ja bałam się, że Maciek niestety potwierdzi jego przypuszczenia.

– Nie, tylko to jest niewygodna sytuacja. Wychodzi na to, że macie remis. Raz ona zawiodła, raz ty. Rozumiesz?

– Cholera jasna! – Adam nie krył swojego oburzenia. Takie zaniedbanie Joanna mogła skutecznie wykorzystać przeciwko nam.

– Domyślam się, że Joanna poleci z tym do sądu i złoży wniosek o odebranie ci praw rodzicielskich. Ewentualnie ich ograniczenie. Na pewno czekała na dogodną okazję, no i się taka szybko trafiła. Każdy na jej miejscu skorzystałby, chcąc wykazać nieporadność drugiej strony.

– Co można zrobić? – zapytałam.

– Proponuję jak najszybciej złożyć wniosek, by sąd doprecyzował opiekę nad Rozalką. Należy w nim wyjaśnić, że matka nagminnie narusza warunki wspólnie przygotowanego planu wychowawczego, a ponadto dopuszcza do sytuacji stresowych dla dziecka. I tu dać przykład, że zostawiła Rozalkę samą na noc.

– A ona powie, że przez nas dzieci uciekły – podkreślił Adam.

– A ty uzasadnisz, że dzieci miały dosyć nerwowej sytuacji w domu, bo ciągle was nachodziła i jeszcze straszyla tym, co planuje zrobić.

– To nie będzie przesada z naszej strony? Takie wyolbrzymianie? – zapytałam.

– Jak się chce swoje wywalczyć, to czasami trzeba pokazać sytuację we właściwym świetle – odparł Maciek, a ja zrozumiałam, że mam nie zadawać więcej niewygodnych pytań. – Poza tym nachodzenie kogoś w jego domu jest formą naprzykrzania się – dodał.

Następnego dnia wniosek o ponowne rozpatrzenie i ustalenie kontaktów rodzicielskich z Rozalką, a także podtrzymanie decyzji o tym, by wyłączną opiekę nad nią sprawował Adam, był gotowy. Został wysłany pocztą i teraz należało cierpliwie czekać na rozwój wydarzeń. A przy okazji pamiętać, żeby nie dać Joannie żadnej szansy, by się mogła do czegoś przyczepić.

Dni mijały, a my czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Pewnego poranka zawitał do nas pan Miecio, który stwierdził, że coraz częściej myśli o pójściu na emeryturę, bo i lata ma swoje, i upały mu przeszkadzają. Akurat on był ostatnią osobą, której można było źle życzyć. Całe szczęście, że to był jeden z tych jego niby śmiesznych żartów. Nam było mniej do śmiechu, bo pan Miecio przyniósł list, odpowiedź Joanny na wniosek Adama.

Ponownie nas zaskoczyła. Z jej pisma wynikało, że Adam zawsze był i wciąż jest nieodpowiedzialnym człowiekiem, który doprowadził do rozbicia rodziny. Wraz ze swoją partnerką (czyli mną!) źle opiekuje się Rozalką, która przez ciągły stres postanowiła uciec z domu, co omal nie skończyło się jej (uwaga!) śmiercią! Do tego Adam ponoć jest osobą, która zawsze miała problem z alkoholem i przez to bardzo często wpada w gniew i wyżywa się na rodzinie. Ponadto żyje w nieformalnym związku, który źle się odbija na Rozalce. Ojciec daje zły przykład coraz starszej córce i tym samym może doprowadzić do jej demoralizacji. Joanna, jako dobra i przykładowa matka, wnioskuje o zmianę zakresu opieki nad Rozalką.

– Nie daruję jej tego! – Adam wpadł w furję.

– Spokojnie. Pamiętaj, o czym mówił Maciek. Nie możemy jej dać żadnych argumentów, które będzie mogła wykorzystać przeciwko nam.

– Już to robi! Ja piję?! Znęcam się nad rodziną?! No nie! To jest zwykłe

pomówienie. Oszczerstwo bez żadnych dowodów! Co za baba!

– Wypisywać to ona może sobie, co tylko chce. Sąd nie wierzy w takie pisemka, a na pewno nie od razu. Wszystko dokładnie sprawdzi. Nie masz nic do ukrycia.

– Co za idiotka! Ciągle jej mało!

– Trochę sami jesteście sobie winni. Na zbyt wiele jej pozwalaliśmy.

Żarty się skończyły. Sądowa machina ruszyła. Całkiem skutecznie, bo po kilku dniach Adam dowiedział się, że policja rozpytuje o niego sąsiadów, nauczycieli ze szkoły, a także jego klientów. Pytają między innymi o to, jakim jest sąsiadem, jak się prowadzi, co robi, gdzie pracuje, gdzie i z kim mieszka, jakie ma relacje z córką. Maciek wyjaśnił nam, że to typowy wywiad środowiskowy i taka jest procedura. Adama w żaden sposób to nie uspokoiło. Ale zacisnął zęby i postanowił poczekać do rozprawy.

Działania sądu i policji wzbudziły wielkie poruszenie wśród sąsiadów. Każdy chciał wiedzieć, o co chodzi, co Adam zrobił i czy to prawda, że przez to pójdzie siedzieć. Co za plotki! Nie można było nosa wychylić poza dom, bo natychmiast jakaś niby przyjazna sąsiadka zadawała sto pytań.

– Zaraz zwariuję! – stwierdziłam, wracając do domu z porannych zakupów. – Stoję spokojnie, rozmawiam z Basią, a tam przychodzi stara Galterowa i pyta mnie, czy to prawda, że będziesz musiał zapłacić Joannie jakąś wysoką karę.

– Jeśli o mnie chodzi, to niech ludzie gadają, co tam sobie chcą. Są i tacy, co pomogą, nie zadają pytań, a już na pewno dobrze życzą. Z nimi trzeba trzymać.

– Oby to wszystko jak najszybciej się skończyło.

– Czekamy na termin rozprawy. Wygra ona albo my. Wiem tylko, że nie odpuszczę. Pozostaje tylko wspomnienie

Spokój. To klucz do szczęścia w życiu. Teraz wiem, jak bardzo mi go brakowało przez ostatnie tygodnie. Ucierpiała na tym moja rodzina, praca, przyjaciele, moje życie. Tak sobie myślę, że człowiek czasami robi dosłownie wszystko wbrew własnej woli. Bo tak trzeba. Bo tak wypada. Bo inni tego oczekują. A tak naprawdę powinno się wałnąć ręką w stół i jasno powiedzieć, czego się chce lub czego się nie chce. Inaczej człowiek zaczyna być samotny. Bo nawet jak się spełni wszystkie oczekiwania ludzi wokół, to pozostaje własna samotność. Nie powinniśmy się godzić na to, że na koniec i tak zostajemy sami ze swoimi myślami i poczuciem, że daliśmy z siebie wszystko, a w zamian nie mamy nic. No może poza zwykłą satysfakcją, że ktoś dzięki nam ma łatwiej. Nikt nie jest jednak tak samotny, jak człowiek zakochany bez wzajemności. Myślałam, że znalazłam się w takiej sytuacji. Że Adam już mnie nie kocha lub może nigdy nie kochał tak naprawdę. Ostatnie wydarzenia z dziećmi dużo zmieniły. Jest między nami jak dawniej, czuję jego bliskość, namiętność, wsparcie. Jestem szczęśliwa.

Zamknęłam swój pamiętnik. Zawsze przy pisaniu towarzyszy mi uczucie spełnienia. Każde przelane na papier słowo jest jak zrobione zdjęcie. Zatrzymuje czas. Lata przeminą, ludzie się zmieniają, a ten pamiętnik pozostanie. Pamiętnik ze starego domu. Tak go nazywam.

Zegar leniwie odmierzał kolejne minuty. Nim się spostrzegłam, dochodziła północ. Coraz częściej mi się to zdarza. Gdy wszyscy śpią, ja piszę. To moja forma terapii. Nagle zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu zobaczyłam numer Ewy. Dzwoni o tej porze?

– Cześć siostrzyczko! Stęskniłaś się już za mną? – powiedziałam z żartem.

– Alicja... moja mama... – próbowała z siebie wydusić jakieś słowa.

– Co się dzieje? – Poczulałam nagły niepokój.

– Dzwonili z hospicjum. Moja mama jest w ciężkim stanie. Lekarz... on mówił, że mama może nie przeżyć tej nocy... rozumiesz... ona umiera... już teraz... – mówiła, zanosząc się od płaczu.

– Chcesz być przy niej? – zapytałam, bojąc się jednocześnie jej reakcji.

– Tak.

– Najlepiej będzie, jak zadzwonię do Jonasa i poproszę, by jak najszybciej cię przywiózł do Pułtuska. Na pewno się zgodzi.

– Możesz to dla mnie zrobić?

– Tak, już do niego dzwonię. Zaczekaj, zaraz dam ci odpowiedź.

Jonasowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, jak mógłby pomóc. Jeszcze nie spał, zajmował się raportami firmy. Jak tylko usłyszał, że Ewa potrzebuje pomocy, gotów był do działania. Przekazałam siostrze, że będzie u niej za pół godziny. Miała obudzić Sylwię i przywieźć ją do nas. Chciałam zaoszczędzić małej niepotrzebnego stresu.

Obudziłam Adama, by powiedzieć, co się dzieje i że zapewne pojedę z Ewą i Jonasem do hospicjum. Potrzebowała wsparcia, a ja nie mogłabym jej zostawić w tak trudnej chwili. Chciał jechać ze mną, ale wolałam, żeby został z dziećmi. Nie powinny wiedzieć, że dzieje się coś złego.

Przed drugą na podwórko zajechali Jonas z Ewą i Sylwią. Mała zasnęła na tylnym siedzeniu. Widać było, że Ewa przez całą drogę płakała. Jonas wziął Sylwię na ręce i zaniósł do pokoju, w którym spali Rozalka z Michałkiem. Chciałam, by moja siostrzenica obudziła się wśród swoich przyjaciół. Spała słodko, nie wiedząc, że jej mama przeżywa teraz ciężkie chwile. Adam postanowił spać na materacu w pokoju dzieci. Tak na wszelki wypadek, gdyby któreś z nich nagle się obudziło. Byłam o nich spokojna. Bardziej martwiłam się, jak Ewa zniesie czekające ją trudne chwile.

W hospicjum byliśmy przed trzecią. Na parkingu Jonas przekazał mi dyskretnie, że Ewa obwinia siebie, że nie poświęciła matce wystarczającej ilości czasu. Przejął się jej słowami. Nie był z nią w tak bliskich relacjach, by cokolwiek doradzać. Wolał trzymać się z boku i w razie potrzeby służyć pomocą.

Dyżurujący lekarz zaprosił Ewę na rozmowę. Poszłam tam razem z nią, bo ze zdenerwowania ledwo trzymała się na nogach, a spodziewałam się, że czekające ją wieści nie będą pomyślne.

– Pani Ewo, stan pani mamy jest bardzo ciężki. Wiadomo, że nie mogę, a nawet nie umiem jasno określić, kiedy pani Magdalena odejdzie, ale na podstawie doświadczenia przypuszczam, że to kwestia kilku godzin – stwierdził poważnie lekarz.

– Już nic nie da się więcej zrobić? – zapytała Ewa, mając jeszcze iskierkę nadziei.

– Nic. Jedynie modlić się o dobrą śmierć. Jest tu z nami ksiądz, więc jeżeli chciałyby pani...

– Nie, dziękuję. Na modlitwy już za późno – stwierdziła gniewnie Ewa. – Chcę się zobaczyć z mamą.

– Dobrze, tylko od razu mówię, że pani Magdalena nie do końca rozumie, co się wokół niej dzieje. Może zwyczajnie pani nie poznać.

– Nie poznać... – powtórzyła roztrzęsiona Ewa. Chwyliła mnie za rękę. Czułam, że cała drży. Nie była przygotowana na ten moment.

– Ewunia, chodź. Twoja mama czeka – powiedziałam cicho.

– Moja mama... – przytaknęła.

Pośrodku pokoju stało łóżko, a przy nim lampa, która delikatnie rozświetlała półmrok. Można było jednak dostrzec, jak strasznie choroba wyniszczyła ciało Magdaleny. Bardzo schudła, odkąd widziałam ją ostatni raz. Była tak drobna, że można było pomyśleć, że na łóżku leży dziecko. Oczy miała zamknięte. Ciężko i chrapliwie oddychała.

Ewa zawahała się chwilę. Stała w drzwiach i z dystansu obserwowała matkę. Na jej twarzy dostrzegłam chyba wszystkie emocje, jakie mogą towarzyszyć człowiekowi w takiej chwili. Dała mi znać, że chce zostać sama. Rozumiałam. Po prostu chciała się z nią pożegnać. Jak córka z matką.

– Biedna z niej dziewczyna. Ciągle coś złego się u niej dzieje – stwierdził Jonas, gdy tylko usiadłam obok niego na krześle.

– Co poradzić? To są sprawy z przeszłości, nie da się wszystkiego naprawić w ostatnich godzinach życia.

– Myślisz, że mam szansę u Ewy? – zapytał wprost, a ja aż zaniemówiłam. Co jak co, ale Jonas nie był nigdy wylewny, tym bardziej nie umiał mówić wprost o swoich uczuciach.

– Wiesz... na to pytanie nie umiem odpowiedzieć, ale coś ci powiem.

– Co takiego?

– Ewa potrzebuje być kochana. Nie było jej w życiu łatwo. Wychowała się bez ojca, sam wiesz, jaka była jej matka, do facetów też nie miała szczęścia. Jak na trzydzieści parę lat życia to jednak sporo zmartwień. Dam ci radę. Po prostu przy niej bądź i zaopiekuj się nią.

– To wystarczy? – zapytał zaskoczony moją odpowiedzią.

– A to mało? Większość kobiet tego właśnie oczekuje. Codziennosc. To ona się liczy. Wyjazdy, wspaniałe randki, kwiaty... to taki miły etap, ale o szczęściu w związku decyduje zupełnie coś innego. Właśnie codzienne życie. Wiem, co mówię. Sama miałam wszystko, ale na co dzień byłam samotna.

– Postaram się przy niej być.

– Obecność drugiego człowieka jest bezcenna. Pamiętaj o tym.

Jonas nic nie odpowiedział. Długo siedzieliśmy w ciszy. Zapewne analizował w myślach moje słowa i zastanawiał się, co mógłby dla Ewy zrobić. A czy ona odwzajemni jego uczucie? Tego nie wiem, ale znam ją na tyle dobrze, by mieć pewność, że chce być po prostu kochana.

Położyłam głowę na ramieniu Jonasa i zasnęłam. Miałam piękny sen. Widziałam łąkę pełną cudownych kwiatów, nad którymi wznosiły się motyle. Był piękny słoneczny

dzień. W oddali widziałam na moście moją rodzinę.

Ze snu wyrwał mnie spokojny głos Jonasa. Gdy uniosłam głowę, zobaczyłam Ewę, która stała roztrzęsiona na środku korytarza... Zerwałam się na równe nogi i do niej podbiegłam. Spojrzała na mnie oczami pełnymi bólu, buntu i rozpacz. Nie musiała nic mówić. Już wiedziałam. Magdalena umarła.

Kolejne dwa dni były bardzo trudne. Nie miałam pojęcia, ile spraw trzeba załatwić w tak krótkim czasie. Ewa nie miała ani chwili na smutek. Jeździliśmy od urzędu do urzędu, trzeba było wybrać trumnę, ubrania, zająć się organizacją pogrzebu. Ewa postanowiła pochować Magdalенę w Giżycku. W tym samym grobie, w którym dawno temu zostali pochowani jej rodzice. Ewa wybrała pogrzeb kościelny, chociaż ksiądz do końca nie był przekonany, czy może go udzielić osobie, która przez tyle lat nie była w kościele. Jednak się zgodził. Można powiedzieć, że organizacja pogrzebu przebiegła bez żadnych problemów.

We wszystkim pomagał nam Jonas. Wziął na siebie załatwienie transportu, a także zamówił w lokalnej restauracji mały poczęstunek dla uczestników pogrzebu. Było ciepłe czerwcowe południe, gdy kondukt żałobny ruszył spod kościoła na cmentarz. Towarzyszył mi Adam, Jonas i babcia Jasia. Za rękę prowadziłam Sylwię. Ewa chciała, żeby uczestniczyła w pogrzebie babci. Rozejrzałam się wokół. Mijały nas samochody, w powietrzu słychać było śpiew ptaków, dzieci bawiły się na pobliskim placu zabaw. Tak to jest, mimo rozpacz życie toczy się dalej. Nie wstrzymuje biegu ani na sekundę. To kolejny paradoks ludzkiego losu.

Poza nami była jeszcze garstka nieznanych mi osób. Może jakaś dalsza rodzina lub grono znajomych. Ewa też ich nie знаła. W czasie pogrzebu miała wzrok wbity w ziemię. Płakała. Nie wiem, czy bardziej nad tym, że Magdalena odeszła, czy jednak z powodu tego, że nie dane im było wyjaśnić spraw z przeszłości. Po skromnym poczęstunku jeszcze raz pojechaliśmy na cmentarz. Ewa chciała zmówić modlitwę i upewnić się, czy właściwie uprzątnięto grób. Przez całą powrotną drogę nie odezwała się ani słowem. Sylwia była nieco wystraszona sytuacją, ale babcia Jasia starała się ją zabawić opowiadaniem bajek.

Gdy wróciliśmy do domu, Ewa zasnęła na kilka godzin. Sen był dla niej najlepszym lekarstwem na smutek i zmęczenie. Dopiero wieczorem mogliśmy znaleźć chwilę dla siebie.

– Będzie ciężko, ale z czasem człowiek uczy się żyć z tęsknotą – powiedziałam, chcąc ją pocieszyć, ale wyszło to dosyć drętwo.

– Wtedy w hospicjum, na kilka godzin przed śmiercią, powiedziałam mamie, że ją kocham i że jej wybaczam. Chciałam, żeby odeszła w spokoju – wyszeptala przez łzy.

– Na pewno pragnęła to usłyszeć. Dobrze zrobiłaś.

– I wiesz co? Sama też mi powiedziała, że mnie kocha. Na chwilę otworzyła oczy i to powiedziała. Myślisz, że miała świadomość, że to właśnie ja jestem obok niej?

– Na pewno. Przecież nawet lekarz mówił, że były momenty, gdy odzyskiwała świadomość.

– Ważne, że nie odeszła w samotności – przyznała Ewa stanowczo. – Dziś na pogrzebie o czymś pomyślałam i podjęłam pewną decyzję – stwierdziła, ocierając

z policzka łzy.

– Jaką?

– Muszę odnaleźć Kamila, ojca Sylwii.

– Żeby ją poznać? – zapytałam ostrożnie.

– To też. Ale tak sobie pomyślałam, że przecież w każdej chwili coś może mi się złego stać i Sylwia zostanie sama. A ma przecież ojca. W razie czego on się musi nią zająć – wyznała.

– Głupoty mówisz. Nic złego się przecież nie stanie. Ale co do Kamila masz rację, Sylwia ma prawo znać ojca.

– Dawno powinnam to zrobić. Nie liczę na nic z jego strony. Już go nie Kocham i na pewno nie stworzymy związku. Chcę jedynie, by Sylwia miała z nim kontakt.

– Jak chcesz go odnaleźć?

– Chyba zacznę od wypymania znajomych. Kiedyś słyszałam, że wrócił zza granicy.

– To dobry pomysł. Pomogę ci. Czuję, że odnalezienie Kamila wcale nie będzie takie trudne.

Próba odtworzenia zapomnianych dni

– Jest bardzo sympatyczną osobą, zawsze świetnie przygotowana, jasno stawia sprawę, niczego nie próbuje załatwić okrężną drogą. Prawdziwa profesjonalistka. Myślę, że warto, żebyś poznała panią Sabinę – mówiłam w taki sposób, żeby zachęcić Henryka do podjęcia decyzji.

– A co jej powiem? Nic nowego. Są sprawy, o których mówić nie chcę. Święty spokój. Tylko tyle mi potrzeba – odparł spokojnie, ale na jego twarzy można było dostrzec skrajne emocje. Złość, a zarazem ulgę.

– Jak chcesz. Nie będę cię do niczego zmuszać.

– Lepiej powiedz, jak ten ksiądz wspominał Jana i Elizabeth.

– Gdy się go słuchało, do głowy przychodziła taka myśl, że kiedyś było jednak trochę inaczej. Jakby ludzie mogli sobie bardziej nawzajem ufać. Nawet powierzyć komuś własne życie. Teraz pójdziesz do sklepu, a tam tylko myślą, jak by cię tu oszukać. – Moje porównanie widocznie go rozbawiło, bo opuścił głowę i delikatnie się uśmiechnął.

– Chyba nic się nie zmieniło. Ani na lepsze, ani na gorsze – odpowiedział już poważnie. – Wszystko zależy od ludzi. Kto się z kim w życiu spotka. Kiedyś nie było wcale lepiej, a już na pewno nie podczas wojny. Po prostu trzeba było trafić na dobrego człowieka. Elizabeth, Jan i ksiądz Braun poznali się we właściwym czasie. A nawet nie do końca poznali, bo tak naprawdę twój dziadek i Elizabeth uwierzyli w dobre intencje pośrednika całej akcji. Jak on się nazywał?

– Anton Fischer.

– To wymagało odwagi. Jeden błąd oznaczał koniec życia.

– Wiesz... pani Sabina mówi, że dotrze do osób, które dowiedziały się o swoim pochodzeniu. Chciałabym się z nimi spotkać. Myślisz, że to dobry pomysł?

– Żeby ich poznać? Czy jest jeszcze inny powód?

– Chciałabym też przekonać się, że decyzje podjęte przez dziadka i Elizabeth były

słuszne.

– A masz co do tego wątpliwości? – zapytał zdziwiony.

– Wątpliwości może nie. Ale tak sobie myślę, co ja bym zrobiła na miejscu tych ludzi, gdyby po latach ktoś mi powiedział, że jestem zupełnie kimś innym. I że cudem ocalałam. Chcę poznać ich historie. Może je spiszę. To chyba zwykła ciekawość.

Siedzieliśmy nad brzegiem Narwi. Fale delikatnie rozbijały się o brzeg, który o tej porze roku porastają kwiaty. Ciepłe promienie słońca ogrzewały nas. Powietrze nasycone wonią letniego poranka było jak balsam dla niespokojnych myśli. Zwykły spacer nad rzekę, a miałam wrażenie, że to magiczna chwila.

Henryk odpuścił. Nie wiem, czy to jest pogodzenie się z życiem, czy może niechęć do tego, by jeszcze cokolwiek zmieniać. Kiedyś ciągle miał swoje zdanie, usilnie protestował, jeżeli ktoś robił coś wbrew jego woli. A teraz? Nie reaguje. Chociaż to nie znaczy, że na wszystko się zgadza. Wciąż robi swoje, ale bez zbędnych dyskusji.

Wczoraj mnie zaskoczył. Przyszedł do starego domu po zapadnięciu nocy. Dzieci dawno spały, a Adam odpoczywał po ciężkim dniu. Usiadłam na mojej ukochanej werandzie i próbowałam na spokojnie podsumować wszystko to, co wydarzyło się w ostatnich dniach. Wybryki Joanny, ucieczka dzieci, śmierć Magdaleny. Dużo tego, jak na tak krótki czas. Popełnione błędy nazywa się doświadczeniem. To taka szkoła, w której lekcje bardzo dużo kosztują. Henryk dobrze o tym wie. Popełnił wiele błędów, musiał dokonać niesłychanie trudnych wyborów. Jest jeszcze coś. Wybaczenie sobie. To jest najtrudniejsze.

– Śpisz? – zapytał cicho, widząc, że zamknęłam oczy. Skrzypiące pod jego stopami deski przypomniały mi, jak w dzieciństwie chowałam się za wielką drewnianą skrzynią, która stała na werandzie i zza niej nasłuchiwałam odgłosu kroków dziadka. Nie po to, by go nastraszyć. Chciałam obserwować, jak zapala duńską fajkę i wypuszcza z niej kłęby dymu.

– Nie. Odpoczywam. Wreszcie chwila spokoju – przyznałam z wielką ulgą.

– Będzie dziś piękna noc. I deszcz meteorytów – powiedział to tak spokojnie, że aż spojrzałam na niego z zaciekawieniem. Chyba chciał mi coś przekazać. Usiadł na sąsiednim fotelu i wziął kilka głębokich oddechów.

– To może posiedzimy tu razem i obejrzymy ten cud natury? – zaproponowałam ucieszona perspektywą tak miłego spędzenia czasu.

– Możemy – odpowiedział szeptem. Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odezwało. On wpatrzony w niebo, ja wpatrzona w jego twarz.

– Coś się stało?

– Wiesz... Ten deszcz meteorytów... to dla mnie ważna sprawa – wyznał z wielkim trudem. Oddychał ciężko. Dłonią uporczywie pocierał podłokietnik.

– Wtedy... w obozie... na kilka dni przed śmiercią Małgosi... wspólnie go oglądaliśmy.

– Henryku... – wyszeptalam, chcąc wyrazić współczucie.

– To była taka chwila szczęścia – przerwał mi. – Bardzo ciepła noc. Taka jak dziś. I niebo czyste. Ani jednej chmurki. Wyszliśmy przed obozowe baraki. Wpatrzeni w niebo, trzymaliśmy się za ręce. Obok nas inni ludzie.

– Piękne wspomnienie z tego okropnego miejsca... – powiedziałam cicho.

– Wtedy, przez tych kilka chwil, czuliśmy się wolni. Jak te spadające meteory. Pomyślałem sobie, że jeżeli Bóg istnieje, to nas wyciągnie z tego miejsca. Teraz wiem, że stawianie takich warunków nie było rozsądne. To ludzie zgotowali nam tamto piekło.

– Małgosia była wtedy z tobą szczęśliwa?

– Bardzo. Mówiła że to najpiękniejsza noc w jej życiu. Wiesz... ona bardzo chciała żyć... Ciągle opowiadała mi, jak to będzie, jeśli przeżyjemy obóz. Marzył jej się mały dom pod lasem, dwójka dzieci i konie. Tak, marzyła o koniach. Mówiła, że są symbolem wolności.

– Piękne marzenia. I takie zwyczajne. Dom, rodzina.

– Mówiłem jej wtedy, że wszystko się spełni. Nawet przysięgałem. I co z tego zostało? Nie mogę się pogodzić z tym, że ona tak młodo odeszła.

– Przykro mi. – Dotknęłam jego dłoni. – Mam świadomość, że jest ci ciężko. Jestem tu, możesz na mnie liczyć. Wiesz o tym, prawda?

– Tak. Teraz to ty jesteś moją rodziną. Małgosi dawno nie ma, a ja siedzę i jak dawniej oglądam deszcz meteorów. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, co?

– Nie ma i pewnie nie będzie – przyznałam ze smutkiem.

– Po co mi przyszło tak długo żyć?

– Nie mów tak. Jesteś tu, bo bardzo cię wszyscy potrzebujemy.

– Mam do ciebie wielką prośbę – powiedział i wyjął z kieszeni małe zawiniątko.

W mroku dostrzegłam, że jest to jakiś przedmiot opakowany w szary papier. Henryk delikatnie go odwinął i moim oczom ukazały się piękne, jedwabne rękawiczki. Śnieżnobiałe.

– Należały do Małgosi? – Tym pytaniem uprzedziłam jego wyjaśnienia.

– Tak. Często w nich chodziła. Jeszcze przed wojną. Była niesamowicie piękną kobietą. W swoich strojach wyglądała jak z innego świata. Wszyscy mówili mi, że nie mogłem sobie znaleźć piękniejszej narzeczonej. Mieli rację.

– Na zdjęciach wygląda cudownie. Musiałeś być z niej dumny, prawda?

– Bardzo. Miała w sobie wiele elegancji. Pamiętam, jak raz byłem w Krakowie i tam w rynku kupiłem piękny materiał w kwiaty. Na sukienkę. I właśnie te rękawiczki.

– Wspaniały prezent.

– Tak. W Pniewie mieszkała wtedy krawcowa, która potrafiła uszyć dosłownie wszystko. Znała Małgosię, to i wiedziała mniej więcej, jaka sukienka jest potrzebna. Uszyła ją dla niej w tajemnicy. Białą sukienkę w niebieskie kwiaty.

– Musiała ślicznie w niej wyglądać – stwierdziłam zamyślona. Próbowałam sobie wyobrazić Małgorzatę w tej sukience i jedwabnych rękawiczkach.

– Śmiała się, że wreszcie zrobiłem coś romantycznego – odpowiedział wesoło.

– To wspaniały gest! Adam czegoś takiego chyba nie robi – zażartowałam.

– Nie wiem, jak to się stało, że miała je przy sobie podczas łapanek. Razem z nami dotarły do obozu. Tylko to mi po niej zostało. Zaopiekujesz się nimi? Nie chcę, by coś złego się z nimi stało lub by leżały zapomniane w kącie.

– To będzie dla mnie wielki zaszczyt – stwierdziłam wzruszona.

Długo jeszcze ze sobą rozmawialiśmy zapatrzeni w deszcz meteorów. O Małgosi, o życiu w obozie i tym, że nawet w tym piekle było miejsce na miłość.

Myślałam nad tym, że my, współcześni, nie doceniamy tego, co jest naszym udziałem. Chociażby tego, że jesteśmy wolni. Możemy żyć, kochać, zakładać rodziny. Zbyt łatwo o tym zapominamy. W tamtym miejscu, w obozie, nie było mowy o marnowaniu czasu. Liczyło się każde spojrzenie, dotyk, czułe słowo. I myśl, że w każdej chwili to wszystko może się skończyć.

Następnego dnia spotkałam się z Sabiną Walczak. Pokazałam jej pamiętnik dziadka. Bardzo długo w milczeniu się mu przyglądała. Czytała uważnie strona po stronie. Jakby się bała, że może coś przegapić.

– Nie myślała pani o tym, by wydać pamiętnik dziadka? – zapytała zniechęcona.

Spojrzałam na nią, nie do końca rozumiejąc.

– Wie pani. Jako wspomnienia. Pamiętnik z obozu. Świadectwo życia pani dziadka i jego, chyba mogę użyć tego słowa, przyjaciół.

– Hmm... Zaskoczyła mnie pani. Może i myślałam, ale chyba nigdy na poważnie.

– Od razu mówię, że jako fundacja możemy przeznaczyć fundusze na wydanie pamiętnika. To jest w pewnym sensie dowód historyczny. Wydajemy takie publikacje.

– Dziękuję. To naprawdę miłe, że pani o tym pomyślała.

– Ale? – zapytała, widząc moje wahanie.

– Wie pani... To był prywatny pamiętnik mojego dziadka. Coś bardzo intymnego. Bardzo osobiste myśli, wyznania.

– To rozumiałe, że ma pani takie wątpliwości – przyznała, a ja poczułam ulgę.

– Nie wiem, czy dziadek by tego chciał. Zawsze bardzo pilnował swojej prywatności i nie lubił, jak ktoś dopytywał o jego przeszłość.

– Rozumiem. Proszę sobie to na spokojnie przemyśleć.

Dowiedziałam się, że już sprawdzono ponad połowę osób z listy dziadka i Elizabeth. Prawie wszystkie z nich funkcjonowały pod tym nazwiskiem, które nadano im w podrobionych aktach urodzenia. Wszystko, co mówił ksiądz Braun, okazało się być prawdą. Pani Walczak postanowiła spisać jego wspomnienia. Byłam jednak przekonana, że jej zamiary nie do końca się powiodą. Znam dobrze takich ludzi jak ksiądz. Nie afiszują się ze swoją przeszłością.

Znaczna liczba osób z tej listy niestety już nie żyje. Niektóre z pozostałych dowiedziały się o prawdziwym pochodzeniu i przez lata szukały swoich rodzin. Jeszcze inne je odnalazły. Fundacja zrobi wszystko, by im pomóc. Z częścią kontakt ma już od lat, przy okazji rozwiązywania innych spraw. Najpierw skontaktuje się z tymi, którzy wiedzą o swoim pochodzeniu. A co do reszty potrzebne są bardzo ostrożne działania, praca zespołu historyków i wielu innych osób, które pomogą im odnaleźć się w tak trudnej sytuacji.

Wyprawa do tajemniczego miejsca

Przed chwilą zadzwonił Franek z informacją, że będzie u mnie za pół godziny. Nie podpisałam jakiegoś ważnego dokumentu, a że nie chciał mi zawracać głowy przyjazdem do Warszawy, postanowił sam się pofatygować.

Zerwałam się na równe nogi jak ktoś przyłapano na gorącym uczynku. Rozejrzałam

się po domu. Jaki bałagan! Dzieci przed wyjściem do Basi zrobiły tu niezłe pobożowisko. Adam też wcale nie lepszy. Nawet narzędzia w kuchni zostawił. Co za rodzina!

W takich momentach naprawdę staję się perfekcyjną panią domu. Dziesięć minut zajęło ogarnięcie sytuacji. Co się dało, wcisnęłam do szafy, drugie tyle pod łóżko. Jedno zerknięcie w lustro ujawniło prawdę o moim mało atrakcyjnym wyglądzie. Na szybko założyłam coś bardziej przyjaznego dla oka i splotłam włosy w cienki warkocz, uznając przy okazji, że muszę wreszcie podciąć włosy, bo wyglądają coraz gorzej.

Usłyszałam pukanie do drzwi. No nie! Miałam jeszcze stół uprzątnąć. Mój przyjaciel się jednak pospieszył. I z pół godziny zrobiło się dwadzieścia minut.

– Ale niespodzianka! – przywitałam go radośnie na werandzie. – Zapraszam. I od razu przepraszam za bałagan. Przy dwójce dzieci całkowity porządek jest mało realny. Perfekcji w sprzątaniu też nigdy nie osiągnę.

– Cześć, Alicjo. Wreszcie mam okazję zobaczyć ten słynny stary dom – odpowiedział z uśmiechem i wszedł do środka.

– Dla mnie to cały świat. Niestety, niektórzy nazywają go starą chałupą.

– Bo się nie znają na tym, co dobre. Pięknie tu masz. I to podwórko. I sad. Pomyśleć, że masz to na co dzień.

– Pamiętasz, jak na studiach pojechaliliśmy w góry i mówiłeś ciągle, że jak kiedyś się wreszcie dorobisz, to u podnóża Tatr wybudujesz drewniany dom? – Przypomniały mi się studenckie czasy.

– Tylko że do tego domu miały być jeszcze w komplecie żona i dzieci, a tu ani widu, ani słyhu – dodał pogodnie.

– Wszystko jeszcze przed tobą. Czego się napijesz?

– Kawę poproszę. Krótko dziś spałem, bo ten projekt trzeba oddać najpóźniej jutro.

– Przepraszam za brak podpisu. W ogóle o tym zapomniałam. Tyle się ostatnio dzieje. Wiem, to żadna wymówka.

– W porządku. Zgrany z nas zespół, to i poradzimy sobie. Jak Dorota? Zosia ma się lepiej?

– Tak. Za kilka dni wyjdzie ze szpitala. Czeka ją jeszcze rehabilitacja. Dobrze, że są wakacje, oboje będą mogli poświęcić jej dużo czasu.

– A u ciebie jak? Trochę się uspokoiło? – zapytał ostrożnie. Dostrzegłam w jego oczach wielką troskę.

– Sytuacja się uspokoiła. Będzie dobrze. Musi być. Czarnowidztwo to niezbyt dobre podejście, ale czasami nie umiem z nim walczyć – odpowiedziałam mało entuzjastycznie.

– Wiesz, że w każdej chwili możesz na mnie liczyć?

– Franek, wiem... Zawsze byłeś jednym z moich najlepszych przyjaciół i nigdy mnie nie zawiodłeś. Jesteś na mojej liście tych, którzy pomogą w każdej beznadziejnej sytuacji – roześmiałam się.

– Szkoda, że zawsze łądowałem wyłącznie w kategorii przyjaciela – odpowiedział już nieco poważniej. Zapadła niezręczna cisza. Obydwoje wpatrywaliśmy się w swoje kubki z kawą. Wiedziałam doskonale, co chciał mi powiedzieć, ale postanowiłam, że nie będę w ogóle podejmować tego tematu.

Ten dzień był szczególnie z jeszcze jednego powodu. Michałek i Rozalka postanowili wykorzystać troskę Henryka. Tak się przejął ich ucieczką, że całe dnie miał oboje na oku i spełniał wszystkie ich zachcianki. Michałek nie mógłby przepuścić takiej okazji! No i stało się. Namówił wreszcie Henryka, by pokazał im swój schron.

Czekała nas zatem wyprawa do tajemniczego miejsca. Tak to nazwał Michałek. Ze dwie godziny kompletował rzeczy, które miały mu się przydać w lesie. Do plecaka spakował latarkę, sznurek, lusterko, mnóstwo innych rzeczy i trzy kanapki. Tak na wszelki wypadek, gdyby coś złego się wydarzyło. Mój kochany synek. Z takim przejęciem szykował się na wyprawę, że omal nie zapomniał o najważniejszym. O aparacie. Zamierzał zrobić kilka zdjęć.

Zaparkowaliśmy samochód pod cmentarzem. Przy głównej bramie czekał na nas Henryk, który przed wizytą dzieci postanowił przygotować dla nich kilka niespodzianek.

– Czy tam jest bardzo ciemno? – dopytywał się Michałek.

– Nic nie powiem. Sam się przekonasz – odpowiedział mój przyjaciel. Był bardzo szczęśliwy, że jego schron budzi w dzieciach tak wielkie emocje.

– Nie zawali się nam na głowę? – zamartwiała się Rozalka.

– Przysięgam, że nie. To porządna konstrukcja. Przecież to mój dom, tyle lat już w nim mieszkam.

– I nie boisz się? – drążył temat Michałek.

– Nie mam czego. Znam las lepiej niż własną kieszeń.

– Nigdy się tu nie zgubisz? – Rozalka starała się zrozumieć ukochanego dziadka.

– Znam każde drzewo w tym lesie.

– Daleko jeszcze? – niecierpliwił się Michałek.

– Nie ma tak łatwo. Chcieliście prawdziwej wyprawy, to nie narzekajcie, że czeka nas długa droga – stwierdziłam z uśmiechem.

Szliśmy przez las gęsiego. Na samym początku Henryk, za nim Michałek i Rozalka. Ja na końcu, bo Michałek stwierdził, że ktoś musi zabezpieczać tyły. Naprawdę czułam się jak na jakiejś ważnej wyprawie. Dzieci dręczyły Henryka kolejnymi pytaniami. Nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie wejdą do schronu.

Nastąpiło to dosyć szybko, chociaż wydawało się, że droga była daleka. Naszym oczom ukazało się niewielkie wzniesienie, na którym leżała sterta gałęzi. Henryk kilkoma ruchami odrzucił je i odgarnął mech. Zdecydowanie podniósł górny wąż, który prowadził prosto do jego królestwa.

– O rany! Chcę iść pierwszy! – przepychał się Michałek.

– Zrobimy inaczej. Jako pierwszy idę ja, bo jestem szefem wyprawy i muszę dbać o wasze bezpieczeństwo. Michałku, daj mi rękę, a drugą podaj Rozalce. Mama będzie szła za wami.

– Tam dalej pali się światelko – spostrzegła Rozalka.

– Tak, pali się, rzeczywiście. Ale uwaga, teraz ostrożnie schodzimy po tych wyrobionych w ziemi schodach.

– Idziemy! – zarządził Michałek.

Na dół prowadziły strome schody, utwardzone drewnem i kamieniami. Gdy stanęliśmy pośrodku korytarza prowadzącego do trzech pomieszczeń, dzieci, zamiast

rozbiec się na wszystkie strony, stały jak urzeczone. Weszły powoli do pomieszczenia, które wyglądało na centrum tego niezwykłego miejsca. Z zachwytem w oczach uważnie przyglądały się półkom z książkami, drewnianym krzesłom i szafkom oraz wiszącym przy suficie kępom suszonych ziół.

– Ojej! Jest tu superasnie! – odezwał się wreszcie Michałek i podbiegł do ustawionej na stole lampy, która została zrobiona z korzenia drzewa.

– Rozalko, podoba ci się tu? – zapytałam moją małą dziewczynkę. Była tak zauroczona tym miejscem, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

– Ślicznie, jak w bajce – odpowiedziała wreszcie i usiadła ostrożnie na łóżku.

– Dziadziusiu! A czy będę mógł dziś u ciebie nocować? – Michałek przeszedł do realizacji kolejnego punktu planu.

– Michasiu, ale jaka była umowa? – przypomniałam mu.

– Że dziś zwiedzamy, a nocowanie będzie innym razem – wyrecytował zadowolony.

– To co, kochani? Co dziadek ma dla was przygotować? – Henryk wydawał się zachwycony wizytą dzieciaków. Na pewno chciał, by zapamiętały ją na zawsze.

– Ja chcę herbatki! – zażyczył sobie Michałek. Rozalka wciąż siedziała onieśmielona.

– Mam i herbatkę, i soczek, a nawet pyszne ciastka.

Nie trzeba było długo czekać. Po półgodzinie dzieci dokazywały jak szalone. Dokładnie obejrzały każdy zakamarek schronu i dopytywały się o wszystkie elementy jego wyposażenia. Michałek robił zdjęcia, a Rozalka stwierdziła, że opisze schron w swoim pamiętniku, by jej dzieci mogły w przyszłości się o nim dowiedzieć.

Moje kochane skarby...

Spędziliśmy tam kilka fantastycznych godzin. Dzieci dawno nie miały takiej frajdy. Michałek wtulał się w Henryka i ciągle powtarzał, że jest jego ukochanym dziadkiem.

Rozalka nabrała śmiałości i z wielką uwagą przypatrywała się wszystkiemu i starała się zapamiętać każdy element tego pięknego wnętrza. Chyba właśnie tak sobie wyobrażała magiczne miejsce.

A ja? Ja byłam szczęśliwa, że wielkie marzenie dzieci się spełniło i wreszcie mogły zobaczyć schron.

Rozdział XI

Przeciwko samotności – o żalu z powodu niewykorzystanych szans, pamiętniku pisanym sercem, negocjowaniu uczuć i niszczących skutkach konfliktu

Poczucie straty

Perspektywa straty ukochanej osoby uświadamia nam, jak bardzo jest ona dla nas ważna. Niestety, niektórzy nie mają szansy, żeby się na to przygotować. Bez ostrzeżenia tracą kogoś, kto był dla nich całym światem. Strata pozostaje w człowieku, tylko ból coraz bardziej się zaciera.

Podobno człowiek tyle razy umiera, ile razy traci swoich bliskich. Śmierć jest straszna, ale nie dla tych, którzy odchodzą, a dla tych, którzy zostają. To oni muszą zmierzyć się ze smutkiem, samotnością, a czasami poczuciem winy. W głowie kłębią się rozmaite myśli, sami sobie stawiamy mnóstwo zarzutów. Za mało kochaliśmy, zbyt długo odkładaliśmy na później ważne sprawy, nie wyciągnęliśmy pomocnej dłoni. Ta lista osobistych win może rosnąć w nieskończoność.

Myślałam, że Ewa szybko dojdzie do siebie po pogrzebie matki. Tak się nie stało. Owszem, przez kilka pierwszych dni udawała twardą, nie chciała pomocy, wróciła do pracy i zajmowała się Sylwią. Nawet ją podziwiałam za taki hart ducha. Jak wiadomo, pozory mogą zmylić każdego. Ewa musiała stawić czoła temu, co było ukryte w jej sercu i myślach.

Od rana nie mogłam się do niej dodzwonić. Tłumaczyłam sobie, że jest zajęta. Jeszcze bardziej zaniepokoił mnie telefon od Jonasa, który pytał, czy nie wiem, co się dzieje z Ewą, bo tego dnia nie pojawiła się w pracy. Wzięła urlop na żądanie. Zapaliła mi się czerwona lampka. Przeczuałam, że z Ewą jest niedobrze. Jonas zaproponował, że pojedzie do jej mieszkania i sprawdzi, co się dzieje.

– I co? Wszystko u niej w porządku? Jest tam? – dopytywałam się zaniepokojona. Minęły dwie godziny od naszej ostatniej rozmowy.

– Jest u siebie. Sylwia też. Tylko Ewa... Ona chyba... – Jonas mówił jakoś pokrętnie.

– Co ona?

– Chyba się załamała. Siedzi i płacze. Ciągłe powtarza, że to przez nią. Że zostawiła matkę i dlatego ona nie umiała sobie poradzić z życiem.

– Obwinia siebie – podsumowałam.

– Bardzo.

– Może przyjadę do was?

– Nie. Mam inny pomysł. Jeśli się zgodzisz oczywiście. Ewa chce przyjechać do ciebie z Sylwią na kilka dni. Są wakacje. Niech odpoczną.

– Przecież sama ją na to namawiałam. Przyjeżdżajcie jak najszybciej.

Przyjechali koło południa. Ewa wyglądała na bardzo przygnębioną, a Sylwia

wpatrywała się w matkę niespokojnie.

Jonas otoczył je czułą opieką, Ewa wcale nie protestowała. Dało się zauważyć, że zachowanie Jonasa, jego wsparcie i bliskość bardzo dużo dla niej znaczą. A Jonas, człowiek z sercem na dłoni, zabiegał o Ewę, jak tylko potrafił.

Zamieszkały w domu babci Jasi. Ewa miała się niczym nie martwić, tylko skupić na Sylwii i na sobie. Resztą zajęłam się ja. Bardzo się starałam, by każdego dnia było wiele powodów do radości i byśmy spędzały wspólnie jak najwięcej czasu. Sylwia szybko odnalazła się w nowej sytuacji. Michałek i Rozalka zadbali o to, by czuła się przy nich jak najlepiej. Wszystkim dzieciakom z Gangu Złotej Strzały tłumaczyli, że to ich nowa siostra i od teraz ona też jest jednym z szefów.

Z Ewą nie poszło tak łatwo. Wstawała koło południa, a potem snuła się po domu albo po ogrodzie. Czasami towarzyszył jej Jonas. Widziałam, jak spacerują w sadzie i rozmawiają, niekiedy trzymając się za ręce. Miałam nadzieję, że uczucie Jonasa sprawi, że Ewa zrozumie, jak wiele dobrych chwil może ją jeszcze czekać w życiu.

Staram się przypominać jej o tym w każdej naszej rozmowie.

– Wiesz... Kiedyś nawet chciałam, żeby moja mama umarła – wyznała pewnego wieczoru, gdy siedziałyśmy na werandzie.

– Miałaś dość, prawda? – Widziałam, że ma w sobie wielkie poczucie winy.

– Wstydziałam się jej, miałam za złe, że przez nią moje życie tak wygląda. Mogłam ją zwyczajnie zostawić i jechać w świat układać wszystko po swojemu. Nie potrafiłam. Coś mi kazało z nią zostać.

– Ewa, jesteś dobrym człowiekiem i nie umiałabyś jej zostawić. To rozumiałe.

– Co z tego? Zając się nią też nie umiałam. Może gdybym jej nie odpychała od siebie, to wszystko skończyłoby się inaczej. Jeszcze by żyła.

– Pewnie to zabrzmiało banalnie, ale wiesz dobrze, że nie możemy brać odpowiedzialności za cudze życie. Tym bardziej, jeśli ten ktoś tego nie chce.

– Niby masz rację, ale boję się, że to poczucie winy nigdy mnie nie opuści.

– Trzeba to przeżyć. Emocje są potrzebne. Należy je okazywać i trzeba o nich mówić.

– Dobrze, że was mam – wyznała i chwyciła moją dłoń. – Mieć siostrę to jednak wielki skarb. Może tak właśnie miało być. Na koniec zostałyśmy same.

– Same może nie. Przecież mamy jeszcze dzieci. Jesteśmy rodziną i to się już nigdy nie zmieni. Dobrze, że tak się stało. Ja swojemu ojcu... przepraszam... naszemu ojcu już dawno wybaczyłam – stwierdziłam ze spokojem.

Ewa potwierdziła, że chce odszukać Kamila. Wciąż rozmyślała o tym, że gdyby coś jej się stało w przyszłości, to Sylwia musi mieć wsparcie w swoim ojcu. Uznała, że to bardzo niesprawiedliwe, jeśli matka ukrywa przed dzieckiem, kto jest jego prawdziwym ojcem, i nie robi nic, by ten ojciec mógł je poznać. Poza tym Kamil nawet nie wie, że ma córkę.

Zaczęłyśmy od czegoś najprostszego, czyli przejrzenia mediów społecznościowych oraz wpisania nazwiska Kamila w przeglądarki internetowe. Liczyłyśmy na proste rozwiązanie sprawy. Nic jednak nie znalazłyśmy. Ani śladu. Jakby człowieka w ogóle nie było.

Ewa zaczęła się zamartwiać, że może stało mu się coś złego. Przecież różne rzeczy mogły się zdarzyć. Zadzwoiła też do Anny Górskiej, swojej przyjaciółki z Giżycka, ale ta nie miała o Kamilu żadnych wieści.

Nie było wyjścia. Ewa postanowiła jechać do Giżycka. Do domu, w którym mieszkał Kamil w czasach, gdy się poznali. Marne były szanse, że go tam zastaniemy, ale zawsze mógł się znaleźć ktoś, kto powie nam, gdzie go szukać albo co się z nim dzieje.

Przez całą drogę Ewa robiła sobie wyrzuty. Ostatnie wydarzenia związane ze śmiercią Magdaleny uświadomiły jej, że każda wyrządzona innemu człowiekowi krzywda wraca do nas po jakimś czasie ze zdwojoną siłą. Nie dość, że kilka lat temu rozkochała w sobie Kamila i porzuciła go bez słowa wyjaśnienia, to w dodatku nie powiedziała mu, że zostanie ojcem. Nie chciałam jej oceniać, ale trudno znaleźć wytłumaczenie dla takiego postępowania.

Zajechałyśmy do położonej na peryferiach dzielnicy, Wzdłuż zwirowej drogi stały tam parterowe domy. Można by powiedzieć, że identyczne. Zapewne relikw z czasów osiedli fabrycznych. Do domu pod numerem trzydziestym piątym prowadziła zardzewiała furtka. Na małej działce po lewej stronie rosły tuje, a po prawej wznosiła się ściana sąsiedniego domu obrośnięta bluszczem. Ewa zawahała się chwilę, aż wreszcie stanęła przed drzwiami i zapukała. Byłam tuż za nią. Liczyłam na to, że jakimś cudem zastaniemy Kamila i wszystko ułoży się jak w filmie z happy endem.

Tak się nie stało. Ewa zapukała jeszcze kilka razy. Nikt nie otwierał. Zajrzałam przez okno. Poza niedbale ustawionymi meblami nic nie dostrzegłam. W środku nie było nikogo. Rzeczy wewnątrz były porozrzucane tak, jakby ktoś uciekał w popłochu. Kto zostawia swój dom w takim stanie? To nie był dobry znak. Wszystko wskazywało na to, że Kamil od długiego czasu już tu nie mieszka.

– Panie kogoś szukacie? – usłyszałyśmy cichy głos, dochodzący zza szpaleru tui.

– Kamila – odpowiedziała Ewa.

– Dawno nikt o niego nie pytał. – Starsza kobieta zbliżyła się do płotu i uważnie zaczęła się nam przyglądać. – Wyjechał stąd po śmierci brata.

– Wie pani, gdzie teraz jest? – zapytałam, widząc, że Ewa zaczyna się denerwować.

– Nie, nie mówił, dokąd jedzie. Szkoda chłopaka. Ciężkie życie miał, a po śmierci brata to już całkiem się załamał. Sam już na tym świecie został.

– A może zna pani kogoś, kto mógłby podpowiedzieć nam, gdzie możemy go szukać?

– Czy ja wiem? Raczej nie. Kamil nie miał tu znajomych. Chyba dziewczynę miał, ale z tego, co wiem, to go zostawiła – odpowiedziała, a Ewa pobladła.

– No nic. Bardzo pani dziękujemy. – Stwierdziłam, że nasze starania pójdą chyba na marne.

– A przepraszam... Skąd panie znacie Kamila? – dopytywała się ciekawska sąsiadka.

– Moja siostra go zna. Jeszcze z czasów, kiedy byli nastolatkami. Jeszcze raz dziękuję.

Ewa wsiadła do samochodu i się rozplakała. Chyba inaczej wyobrażała sobie podróż do Giżycka. Może liczyła na to, że Kamil będzie tu na nią czekał. Słowa sąsiadki

jeszcze bardziej utwierdziły ją w przekonaniu, że bardzo go skrzywdziła i teraz błąka się sam po tym świecie. Tyle razy przeklinała matkę za złe wybory, a sama postąpiła identycznie. Odebrała Sylwii możliwość poznania ojca, a Kamilowi namiastkę rodziny.

Pojechałyśmy na cmentarz. Ewa chciała pomodlić się nad grobem matki. Zaskoczyło ją, że ktoś przyniósł świeże kwiaty i zapalił znicze. Ucieszyła się, że ktoś pamięta o Magdalenie i nosi ją w sercu. To dodało jej otuchy. Obiecała sobie, że weźmie się w garść.

– Gdy byłam młodsza, to wydawało mi się, że w życiu wszystko jest takie oczywiste, proste i możliwe do zaplanowania – powiedziała nagle. – Nie rozumiałam ludzi i ich niepewności, dziwnych wyborów, błędów. Zawsze powtarzałam, że sama bym nigdy tego nie zrobiła.

– Wraz z wiekiem zmienia się pogląd na pewne sprawy, prawda?

– Bardzo się zmienia.

– Nie ma co rozpamiętywać przeszłości. Sama już to przerabiałam. I uwierz mi, że to nie daje człowiekowi nic poza narastającą zgryzotą. Zapomina się wtedy o tym, że życie szybko płynie dalej i trzeba się nim cieszyć.

– Chyba właśnie jestem teraz na takim etapie – przyznała. Spojrzałam na nią. Jej wychudzona twarz była bardzo zmęczona.

– Wrócimy do domu, odpoczniemy i skupimy się na tym, co dla nas najważniejsze. Potem znowu zaczniemy szukać Kamila – obiecałam jej, widząc, jak bardzo cierpi.

– Może i on kiedyś mi wybaczy. I Sylwia. Będę musiała powiedzieć, kto jest jej tatą i dlaczego to przed nią zataiłam – przyznała zasmucona.

– Przyjdzie na to czas. Czasami trzeba poczekać na lepszy moment – pocieszałam ją.

Ocalić od zapomnienia

Można przymknąć oczy na rzeczywistość, ale nie na wspomnienia. Siedzą w nas głęboko i upominają się o uwagę często w najmniej oczekiwanym momencie. Przychodzą nagle, wkradają się do naszych myśli. Przynoszą radość, wdzięczność, szczęście, ale i tęsknotę, ból, rozgoryczenie. Czasami uświadamiają, jak bardzo zrujnowaliśmy dane nam szanse. Bo to chyba boli najbardziej – niewykorzystane szanse, niewypowiedziane słowa i utracony czas, który mogliśmy spędzić z tymi, których kochamy.

Zwykle miejsca, zwykli ludzie potrafią nieść ze sobą niezwykle wspomnienia. Dzięki nim każdy z nas wie, jak wiele w życiu już przeszedł i jakie emocje temu towarzyszyły. Wspomnienia są naszym bagażem na całe życie. Ale czasami trzeba się z nimi rozprawić.

Najbardziej boli, gdy udajemy się w te same miejsca, ale nie ma tam już tych samych ludzi. Dziś poszłam do sadu. W lecie wygląda przecudnie. Dziadek przesiadywał w nim całymi godzinami. Szczególnie pod swoją ukochaną jabłonią. Z drewnianych skrzyń zrobił sobie stolik i dwa siedziska. Lubiał mieć towarzystwo. Czasami przechadzał się powoli alejkami i doglądał swoich drzew. Miał do nich wielki sentyment. Zawsze powtarzał, że są świadkami naszego życia. Trochę niezauważone, są dla nas czymś

oczywistym. A tak się składa, że zazwyczaj to człowiek przemija, a one zostają.

Dziadek miał szacunek do wspomnień. Wszystkich. Mówił o nich dosyć często. O tych dobrych, ale i tych, które najchętniej wymazałby z pamięci. Pogodził się z nimi.

– Kiedyś byłeś tak samo mały jak ja? – To pytanie często pojawiała się w naszych rozmowach. Gdy byłam dzieckiem, nie mogłam uwierzyć, że dziadek, którego tak kochałam i darzyłam podziwem, kiedyś też był małym chłopcem.

– Tak, byłem mały, tak samo jak ty miałem kiedyś pięć lat.

– Chodziłeś wtedy do przedszkola? – dopytywałam.

– Nie, wtedy w Pniewie nie było przedszkola. Dopiero potem, gdy już byłem starszy, poszedłem do szkoły – odpowiedział spokojnie, odgarniając mi włosy z czoła.

– Bawiłeś się w domu?

– W domu, ale też i na podwórku. Miałem mnóstwo kolegów. Razem z innymi dziećmi chodziliśmy na naszą górkę, którą nazywaliśmy Górą Smoka.

– Dlaczego?

– Rodzice mówili nam, że za tą górką mieszka smok i tam już chodzić nie można, bo smok nas zje. Ale wiesz... To nie była prawda. Rodzice to wymyślili, bo się o nas martwili.

– A ty bałeś się smoka?

– Teraz wiem, że żaden smok tam nie mieszka. Ale jako dziecko święcie w to wierzyłem.

– I ciągle to pamiętasz? – pytałam zdziwiona. Wtedy wydawało mi się, że dziadek ma chyba ze sto lat i że nigdy nie był młody.

– To są wspomnienia. Coś bardzo ważnego w naszym życiu.

– Hmm... Szkoda, że ja nie mam wspomnień – odparłam ze smutkiem.

– Masz! Gdzie ostatnio byłaś na urodzinach?

– U Bożenki! Był wielki tort, śpiewaliśmy sto lat, a potem długo bawiliśmy się w berka! Było ekstra! Jej tata zrobił nam specjalny namiot!

– To są właśnie wspomnienia. Być może te urodziny zapamiętasz na całe życie.

– Fajnie! Ale złe rzeczy też się pamięta, prawda?

– Też. Ale to dobrze, bo wtedy człowiek jeszcze bardziej docenia dobre wspomnienia.

– Dziadku! Będę mieć dużo wspomnień!

Myślę, że dotrzymałam danego słowa. Mam dużo wspomnień, tych złych i tych dobrych. Nie zamieniłabym ich na inne. Tylko nasza przyszłość nie została jeszcze spisana, możemy się starać ją zmienić, poprawić, ułożyć najlepiej, jak się da.

Długo myślałam, co mogłabym zrobić z pamiętnikiem dziadka. Spisane w nim wspomnienia są świadectwem jego życia oraz życia jego towarzyszy obozowej niedoli. Wszyscy mieli nadzieję na powrót do domu. Wierzyli, że wrócą. Dziadek opisywał obozową codzienność, bo tak zapewne było mu łatwiej ją przetrwać.

A teraz? Pamiętnik leży skrzętnie schowany. Czasami go czytam. Tak jak dziś.

Człowiek ciągle na coś czeka. Tak samo jest tu. Ciągle na coś czekamy. Na kolejny dzień, na dobre słowo i wieść, że ten koszmar za chwilę się skończy. Czekamy na powrót do domu, na uścisk ramion ojca i matki, na zwykłą codzienność, którą można się będzie

cieszyć ponad wszystko. Tak, człowiek ciągle na coś czeka. To trudne zajęcie. Łatwiej czekać na coś oczywistego. Gorzej, jeśli za czekaniem stoi wielka niepewność. Tak czy inaczej, czekanie to czas, kiedy można zrozumieć wiele rzeczy. Ja zrozumiałem. Jeżeli uda mi się wyjść z tego piekła, nie zmarnuję ani minuty swojego życia.

Nie zmarnował. Żył pełnią życia. Takim go zapamiętałam. Każdy dzień był dla niego wyzwaniem. Żył dla wspomnień. Teraz doskonale rozumiem, co miał na myśli, mówiąc, że są one naszym drogowskazem. W przeciwieństwie do ludzi zostają na zawsze.

Po kilku dniach podjęłam ostateczną decyzję. Wydam pamiętnik dziadka. Nie chcę, by jego wspomnienia przepadły. Może będą dla kogoś podpowiedzią, by kochać życie takim, jakim ono jest? Nie czekać, nie rozmyślać, za dużo nie planować. To jest dobry przepis. Żyć tu i teraz. Bez zbędnych oczekiwań. Cieszyć się każdym spotkaniem, rozmową, każdą szansą daną nam przez los.

– Zdecydowałam się wydać pamiętnik mojego dziadka – powiedziałam, gdy tylko pani Sabina odebrała połączenie.

– Całe szczęście! Bardzo się cieszę. Widziałam, że ma pani wiele wątpliwości, ale miałam nadzieję, że jednak się pani zdecyduje.

– Chyba nie mam nic do stracenia. Chcę ocalić wspomnienia dziadka. Niech wszyscy się dowiedzą, czym było obozowe piekło.

– To słuszna decyzja. Mało jest bezpośrednich relacji z obozów. Każda jest na wagę złota. To bezcenne świadectwo.

– Od czego zaczniemy? – Chciałam od razu przejść do działania. Klamka zapadła. Jedna z najważniejszych decyzji w moim życiu została podjęta i nie chciałam dłużej czekać.

– Proponuję oczywiście spotkanie. Mam też dobrą wiadomość.

– Jaką?

– Byłam dziś w odwiedzinach u pani Matyldy. Prosiła, by panią bardzo serdecznie pozdrowić.

– Dziękuję. Jak ona się miewa? Przez nadmiar różnych spraw nawet nie znalazłam czasu, by ją ponownie odwiedzić – tłumaczyłam się, czułam wstyd z powodu tego zaniedbania.

– Ma się bardzo dobrze. Wspominała panią i mówiła, że codziennie modli się za panią i pani rodzinę. Jest bardzo szczęśliwa, że mogłyście się poznać.

– To miłe. Nawet bardzo.

– Mam dla pani jeszcze jedną niespodziankę. Do Polski przyjeżdża lada dzień córka pani Matyldy. Mama opowiedziała jej o waszym spotkaniu i ponownie o tym, w jaki sposób została ocalona. Córka bardzo chce panią poznać. Mam nadzieję, że się pani zgodzi?

– Oczywiście! To dla mnie bardzo ważne. Jestem ciekawa, kim ona jest i co sądzi o tym, że ktoś za nią zdecydował o jej losie.

– Na pewno będzie dużo czasu na rozmowy. Mam jeszcze jedną dobrą wiadomość. Nasza fundacja co roku organizuje zjazd osób, które są pod naszą opieką. Spotykamy się, rozmawiamy, zazwyczaj jest małe przyjęcie. W tym roku będą również zaproszone osoby,

które Jan i Elizabeth ocalili. Te osoby trafiły pod opiekę naszej fundacji, bo chciały poznać swoje korzenie.

– Naprawdę? Będę mogła ich poznać? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– Jeżeli tylko pani przyjedzie. Może pan Henryk również da się namówić na to spotkanie?

– Porozmawiam z nim. Bardzo pani dziękuję za propozycję, to dla mnie bardzo ważne. Na kiedy dokładnie jest to zaplanowane?

– Jeszcze dopracowujemy szczegóły. Mogę zapewnić, że to będzie dla pani niezapomniane przeżycie – obiecała. A ja jej wierzyłam.

Jeszcze jedna szansa

– Wiesz ciociu, najlepiej jednak być w domku – przyznała Zosia na mój widok, gdy odwiedziłam ją tego samego dnia, kiedy wyszła ze szpitala. W swoim łóżku, wśród ulubionych zabawek i pod opieką rodziców i w towarzystwie siostry wyglądała na naprawdę szczęśliwą.

– Kochanie, teraz już możesz cieszyć się, że jesteś w domu. Na pewno już masz kilka pomysłów dotyczących wakacji, prawda?

– Mama mówi, że najważniejsze są teraz ćwiczenia. Taki bardzo miły pan, który ma na imię Kacper, pokaże mi, jak mam ćwiczyć, by szybko wyzdrowieć. A poza tym chcę dużo malować – przyznała z uśmiechem. Spojrzałam na Dorotę, która wzruszona powrotem córki do domu, nic nie mówiła. Jedynie bezustannie się w nią wpatrywała.

– Powiedz jeszcze cioci, jakie masz plany przy najbliższej wizycie u fryzjera – zasugerował tajemniczo Maciej i z dumą spoglądał na córkę.

– O! Ciociu! Właśnie! To jest bardzo ważne. Bo tam w szpitalu było bardzo dużo dzieci. Takich wiesz, okropnie chorych. Dużo bardziej niż ja. Jedna pani powiedziała, że jak chce się im pomóc, to można ściąć włosy i oddać je, by z nich zrobili peruki. Właśnie dla tych dzieci – mówiła rozemocjonowana.

– I ty chcesz swoje włosy ściąć i oddać, tak?

– Tak! Po co mi takie długie? Tym dzieciom bardziej się przydadzą – stwierdziła z niezwykle poważną miną. W jej oczach można było dojrzeć ogromne przejęcie.

– Masz, Zosiu, bardzo dobre serduszko, wiesz? Zrobisz naprawdę bardzo dobry uczynek – pochwaliłam jej plan.

– Ja też o tym pomyślę – przyznała z powagą Zuzia.

Gdy dziewczynki zasnęły, mieliśmy z Dorotą i Maćkiem czas dla siebie. Pierwszy raz od dawna widziałam u nich tak wielki spokój. Maciek wrócił do kancelarii, a Dorota postanowiła zająć się domem i dziećmi. Ostatnie wydarzenia kosztowały ją bardzo dużo nerwów.

– Pewnie jesteś na mnie wściekła? – zapytała, gdy przekazała wieść, że przez najbliższy miesiąc ma zamiar skupić się wyłącznie na rehabilitacji Zosi.

– Dorotko, dobrze wiesz, że tak samo jak ty martwiłam się o Zosię. Nikt inny nie zajmie się nią lepiej. – Świetnie rozumiałam jej decyzję.

– Jakieś drobne zlecenia mogę po nocach robić, ale dużego projektu na razie nie

dam rady udźwignąć.

- Nie przejmuj się, na razie z Frankiem dajemy sobie świetnie radę.
- Szkoda chłopaka, ciągle ma pod górkę – powiedziała zatroskana.
- Dlaczego tak sądzisz? – zapytałam, nie rozumiejąc, co ma na myśli.
- A to nic ci nie powiedział? – Dorota wyglądała na bardzo zdziwioną.
- Nie... A co się stało?
- Tydzień temu zmarł jego ojciec. Dlatego tak nagle wyjechał do Stanów.
- Nie wiedziałam. Nigdy nie mówił o rodzicach, to i ja też nie dopytywałam.
- Jego ojciec chorował. Od kilku lat przebywał w ośrodku opieki w Kalifornii.
- Szkoda, że nic nie powiedział – przyznałam bardzo zaskoczona jego milczeniem.

Rzeczywiście Franek od kilku dni jakby przepadł. Nie odzywał się. Nawet telefon wyłączył. Próbowалаm dodzwonić się do niego przez dwa dni, ale wciąż był niedostępny. Było mi przykro, że sam musiał się zmierzyć ze śmiercią swojego taty. Franek już na studiach taki był. Zawsze udawał twardziela, chociaż to niezwykle wrażliwy człowiek.

Czasami żałuję, że Adam nie ma takiej wrażliwości. Sprawa nocnego napadu na mnie przeszła właściwie bez echa. Tłumaczyłam sobie, że to przez te wszystkie problemy, które teraz na niego spadły. Jednak było mi zwyczajnie przykro. Może myślał, że cała ta sytuacja nie wyglądała w rzeczywistości tak groźnie? Wiadomo, wściekł się na mnie, że tamtą noc spędziłam u Pawła. Starał się jednak tego nie okazywać.

Co innego Paweł. Wydzwaniał ciągle z pytaniami, jak się czuję i czy mógłby w czymś pomóc. Nalegał na spotkanie, na które nie chciałam się zgodzić. Wiedziałam, że każdy kolejny kontakt z nim tylko pogorszy moje relacje z Adamem.

Tego dnia zamknęłam się w warszawskiej siedzibie „Wrzosowiska”, by szybko skończyć coś pilnego. Zbliżała się noc, a końca pracy nie było widać. Nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Od razu pomyślałam, że Dorota postanowiła zrobić mi niespodziankę i przysłała pomoc.

– Przecież mówiłam, że jakoś sobie... – urwałam w pół zdania, bo w drzwiach stał Paweł. Kogo jak kogo, ale jego w ogóle się nie spodziewałam. – Paweł?

- Cześć, Alicjo. Jesteś sama? – zapytał.
- Nooo... tak, pracuję tu od południa. Coś się stało?
- Chciałem zapytać, jak się czujesz. Wczoraj nie odbierałaś ode mnie telefonów.
- A wiesz... Mam tyle na głowie. Wejź, proszę – zaprosiłam go do środka.

Czułam się dosyć niezręcznie. Nie do końca rozumiałam cel jego wizyty. Jakoś nie chciało mi się wierzyć w troskę o moje samopoczucie. Paweł zachowywał się dziwnie. Zaczęłam się go trochę obawiać.

– Ostatnio, jak u mnie byłaś... twoja bliskość... – zaczął mówić spokojnie.

– To nie powinno się było w ogóle wydarzyć – ucięłam jednym zdaniem. – Byłam wtedy wzburzona, wystraszona napadem. Po prostu nie byłam sobą.

– Byłaś, właśnie byłaś sobą. Zawsze udawałaś twardą, ale dobrze obydwójce wiemy, że bardzo potrzebujesz kogoś, kto by cię wspierał.

– Paweł... Proszę cię, przestań mówić takie rzeczy.

– Alicjo, zapytam wprost. – Podszedł bliżej i złapał mnie za ramiona. – Czy możemy wymazać przeszłość, dać sobie szansę i jeszcze raz spróbować? – zapytał

pewnym głosem.

– Boże... Paweł... – Odsunęłam się od niego pospiesznie i stanęłam za biurkiem.
– Co ty robisz? Jakie dawanie sobie szansy? Jesteśmy po rozwodzie, ja mam dziecko, narzeczonego, za chwilę stworzymy razem rodzinę. Jaka szansa? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– A jesteś z nim szczęśliwa? – zapytał wprost.

A mnie jego pytanie nieco wytrąciło z równowagi. Można powiedzieć, że zabolęło. Wiedział o moich problemach z Adamem i nacisnął na mój czuły punkt.

– Takie jest właśnie życie, Paweł. Nie zawsze jest różowo. Ale jak się dwoje ludzi stara jednocześnie, to prędzej czy później sobie poradzą. Tylko skąd miałbyś to wiedzieć.

– Spieprzyłem nasze małżeństwo. Ale zmieniłem się. Nie widzisz tego? Jestem już innym człowiekiem – zapewniał.

– Może i tak. Nie wiem, nie chcę w to wnikać. Czasami coś się dzieje za późno. Tak jest w naszym przypadku. Jest za późno na dawanie sobie szansy – próbowałam mu wytłumaczyć.

– Zaopiekuję się tobą i Michałkiem. Będzie naszym synem – przekonywał.

– Nie... Paweł, wyjdź... Proszę cię wyjdź – nalegałam.

– Wyjdę. Ale o jednym jestem święcie przekonany. Nie będziesz z Adamem szczęśliwa. On cię nie szanuje. Jesteś mu zwyczajnie potrzebna, bo facet ma niezły bałagan w życiu. I wie, że ty ten bałagan będziesz chciała za wszelką cenę jakoś uprzątnąć.

– Jesteś bezczelny!

– Mówię prawdę. I znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że marnujesz swoje życie.

– Wyjdź! – powiedziałam stanowczo.

Zostawił mnie samą, trzasnąwszy drzwiami. Wyszłam na balkon i długo obserwowałam nocne życie Warszawy. Słowa Pawła mocno mnie zabolęły. Trafił w mój czuły punkt. Nie byłam pewna, czy Adam naprawdę mnie potrzebuje. A czy mnie kocha? Rozum podpowiadał jedno, a serce drugie.

Szukanie winnego

Adam zdażył się już przyzwyczaić, że Joanna jest zdolna w jednej chwili wymyślić nową aferę. Zdenerwował się jednak, kiedy dostał kolejne pismo z sądu. Joanna do wszystkich wcześniejszych pomówień dołożyła jeszcze i to, że w czasach ich małżeństwa miewał ataki furii, a nawet raz ją uderzył.

Wobec takich oskarżeń trudno pozostać obojętnym. Jestem z Adamem długo i dobrze wiem, że nie jest zdolny do takich zachowań, a ostatnią rzeczą, którą mógłby zrobić, jest uderzenie kobiety. Owszem, tak jak i wszystkim, czasami puszczają mu nerwy. Ale nie zachowuje się w ten sposób.

Czekaliśmy cierpliwie na termin rozprawy, którą wyznaczono na początku lipca. Spodziewaliśmy się, że nie będzie łatwo, bo Joanna postanowiła odebrać Adamowi Rozalkę. Maciek tłumaczył mu, że takie przypadki się zdarzają, ale sąd musiałby mieć ku temu mocne podstawy.

– Pamiętaj, że każde oskarżenie musi być poparte dowodem. Jeżeli Joanna twierdzi, że się nad nią znęcałeś psychicznie, to musi to udowodnić – wyjaśniał cierpliwie Maciek. Tego dnia spotkaliśmy się z nim w warszawskiej siedzibie „Wrzosowiska”, by omówić spokojnie to, co może się wydarzyć na rozprawie.

– Czyli co musiałyby zrobić? – dopytywał Adam.

– Na przykład mieć świadków, opinie lekarza, który miałby jej pomagać w takiej sytuacji, ewentualnie jakieś nagrania. Inaczej będzie jej słowo przeciwko twojemu słowu, czyli jedno wielkie nic. Niezbędne są dowody.

– Nie ma ich, bo wszystko, co wypisała w pozwie, jest zwykłym pomówieniem. Adaś przecież nie był złym mężem ani tym bardziej złym ojcem – broniłam Adama.

– Tak czy inaczej, jest nastawiona bojowo. Znam ją. Nigdy nie odpuszcza.

Adam był przekonany, że Joanna przyjedzie do nas z pretensjami, że będzie chciała podburzać Rozalkę. Zamiast tego była niepokojąca cisza, którą różnie można było interpretować. Adam przewidywał, że w sądzie Joanna wypadnie świetnie.

Sama byłam przekonana, że czeka nas niezły popis jej złości. Nie potrafi się kontrolować. A najbardziej boli ją wytykanie jej własnych błędów.

Na nasze nieszczęście spotkaliśmy się z nią już w wejściu do pułtuskiego sądu. Nie była sama. Ale też i nie ze swoim facetem. Towarzyszyła jej dosyć młoda kobieta, która wyglądała na nieco wystraszoną. Za to Joanna była perfekcyjnie ubrana, pewna siebie i bardzo wyniosła. Posłała nam ironiczny uśmiech.

Pod salę rozpraw przyszła chwilę przed tym, jak protokolantka zaprosiła nas do środka. Nie wyglądała na przejętą. Wręcz przeciwnie. Dobry humor jej nie opuszczał. Dołączył do niej jej mecenas i jeszcze jakieś dwie osoby. Być może ktoś ze znajomych.

Sędzia otworzył rozprawę i podsumował krótko, co jest jej przedmiotem. Odebrał od adwokatów pełnomocnictwa i przeszedł do przesłuchiwania stron. Jako pierwszy zeznawał Adam. Był opanowany, chociaż widziałam, ile ta sytuacja go kosztuje.

– Czym się pan kierował, wnosząc o zmianę charakteru i zakresu opieki pani Joanny Mikulskiej nad państwa córką Rozalią Mikulską? – zapytał sędzia.

– Przed rozprawą rozwodową razem postanowiliśmy pokojowo podzielić się opieką nad naszą córką. Zdecydowaliśmy, że Rozalka będzie mieszkała ze mną z racji tego, że opiekowałem się nią przez kilka ostatnich lat. W tym czasie nie miała z matką kontaktu. Prawdopodobnie moja była żona przebywała za granicą, nie mam jednak co do tego pewności – tłumaczył Adam, a ja zerkałam na Joannę.

Siedziała z nietęgą miną. Zaciskała mocno dłonie. Chyba tylko po to, by nie wybuchnąć gniewem. Na pewno szykowała stosowną odpowiedź na argumenty Adama. Jej mecenas od czasu do czasu szeptał jej coś do ucha.

– Jak wyglądał podział opieki nad córką w praktyce? Czy udało się państwu zgodnie wykonać ustalone wcześniej postanowienia? – Sędzia zadawał kolejne pytania. Był wnikliwy, chciał dokładnie poznać źródło konfliktu pomiędzy Joanną a Adamem.

– Początkowo tak. Joanna odwiedzała Rozalkę w tygodniu. Zazwyczaj raz lub dwa razy. Rozumiałem, że pracuje zawodowo i czasami ma taką sytuację, że musi w pracy zostać dłużej lub zmienić plany. Sam pracuję i wiem, że często nie wszystko układa się zgodnie z przewidywaniami.

– Co zatem skłoniło pana do wystąpienia z wnioskiem o zmianę zasad kontaktu pana córki Rozalii z matką?

– Zauważyłem po dosyć krótkim czasie, że Joanna nie wywiązuje się z opieki nad córką tak, jak się zobowiązała. Na przykład ją przekupuje. Zarzuca drogimi prezentami, próbuje tym wynagrodzić jej swoją nieobecność przez kilka lat. Poza tym umniejsza moją rolę. Stawia mnie w złym świetle.

– Co ma pan na myśli? – dopytywał się sędzia.

– Mówi córce bardzo złe rzeczy na mój temat. Na przykład, że się znęcałem nad Joanną albo że przeze mnie rozpadła się nasza rodzina. Po ostatniej wizycie u matki Rozalka była roztrzęsiona. Dopytywała, czy to prawda, że jestem złym człowiekiem, pytała, czemu ją coraz mniej kocham. Joanna mąci dziecku w głowie.

– No chyba ty jej mącisz! Ciągłe jej wmawiasz jakieś bzdury! – Joanna nie wytrzymała.

– Pani Joanno, jesteśmy w sądzie. Tu obowiązują pewne zasady. Proszę o zachowanie spokoju. Teraz zeznaje pan Adam. Za chwilę pani będzie mogła się odnieść do jego zeznań i powiedzieć, jak pani ocenia waszą sytuację.

– Przepraszam – powiedziała i usiadła skruszona.

– Proszę kontynuować – zwrócił się sędzia do Adama.

– Jest coś znacznie poważniejszego. Joanna naraża Rozalkę na niebezpieczeństwo. Na przykład, gdy wzięła ją do siebie na weekend, zrobiła coś, co trudno sobie nawet wyobrazić. Matka tak nie postępuje.

– Co ma pan na myśli?

– Joanna zostawiła Rozalkę samą na całą noc, a w tym czasie poszła gdzieś ze swoim nowym partnerem. Moja córka została u niej sama. Dopiero nad ranem pomogła jej sąsiadka i zadzwoniła do mnie. Byłem w szoku.

– Lepiej powiedz, co ty zrobiłeś! Przez ciebie Rozalka uciekła z domu! Mieszkasz z jakąś kobietą i jej dzieciakiem, a zaniedbujesz swoją córkę! – krzyknęła Joanna.

– Szanowna pani, proszę o spokój! – zarządził sędzia.

– Przez niego moje dziecko omal nie zginęło w lesie! Tak jej pilnował! Udaje dobrego tatusia, a dziecko musi uciekać z domu! – krzyczała coraz głośniejsze. Jej mecenas ją uspokajał, ale nic to nie dało.

– Dostaje pani karę porządkową w wysokości pięciuset złotych. Ogłaszam przerwę.

Joanna nie mogła się uspokoić i rzucała pod adresem Adama obelgi i oskarżenia. Adam był zdenerwowany i ciągle pytał mnie i Maćka, jak wypadł i czy przypadkiem sobie nie zaszkodził. Wyszliśmy przed budynek sądu, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Joanna razem z mecenasem stała na parkingu i głośno z nim rozmawiała.

Po jakimś czasie trzeba było wracać na salę rozpraw. Adam spokojnie dokończył swoje zeznania. Opowiedział jeszcze dokładnie o tym, jak Joanna umniejsza jego rolę jako ojca. Mówił dużo o samej Rozalce, jak zaczyna się gubić w całej sytuacji, ma poczucie winy i doszukuje się jej w sobie, a nie w tym, że matka ciągle ją podburza. Wykazał też, że troszczy się o to, by zapewnić córce spokój.

Przyszedł czas na Joannę. Nie przebierała w słowach. Adama przedstawiła jako mężczyznę, który nie potrafił być dobrym mężem. Wymagał od niej zbyt wiele, nie

pozwalając się spełniać w życiu zawodowym i stosował przemoc psychiczną. Twierdziła, że jako ojciec nie jest wcale lepszy. Ciągłe naraża Rozalkę na stresujące sytuacje, czego skutkiem było to, że chciała uciec z domu. Mało tego, uciekła z dzieckiem nowej partnerki ojca, co wyraźnie pokazuje, jaka jest atmosfera w tym domu.

Miałam wrażenie, że sędzia z niedowierzaniem słucha jej kolejnych rewelacji. Zadawał jej konkretne pytania, domagał się dowodów. Joanna lawirowała w swoich zeznaniach. Raz przedstawiała coś jako zaniedbanie ze strony Adama, innym razem podkreślała, że może i Adam się stara, ale za bardzo mu to nie wychodzi.

Adam niepokoił się, że zarówno jego zeznania, jak i zeznania Joanny jasno dowiodą, że oboje mają problem z wychowaniem dziecka, a to, co miało być tylko wojną między byłymi małżonkami, tak naprawdę obróci się przeciwko nim.

Słowa sędziego wskazywały na taką możliwość.

– Szanowni państwo. Dzisiejsze zeznania prowadzą do bardzo niepokojących wniosków. Państwo jako rodzice małoletniej Rozalii Mikulskiej, mając na względzie dobro dziecka, powinniście starać się o lepszą relację. Niestety, tego tu nie widzę. Obie strony wzajemnie się oskarżają, a skutek jest taki, że małe dziecko nie radzi sobie z sytuacją. Zasadne jest zatem pytanie, czy zarówno jedna, jak i druga strona jest w stanie poradzić sobie z wychowaniem dziecka, czy jednak będzie trzeba rozpatrzyć konieczność ograniczenia władzy rodzicielskiej obojga rodziców – stwierdził poważnie sędzia przewodniczący.

Zapadła cisza. Adam chyba się tego nie spodziewał. Joanna tak samo, bo aż pobladła ze strachu. Wizja nakreślona przez sędziego była najgorszym scenariuszem dla nich obojga. Miałam nadzieję, że to tylko próba uświadomienia im, do czego może doprowadzić ich konflikt i wzajemne obwinianie się.

– Do czasu kolejnej rozprawy małoletnia Rozalia Mikulska zostanie pod opieką swojego ojca Adama Mikulskiego. Z przeprowadzonego wywiadu środowiskowego nie wynika, by dobro dziecka było zagrożone przez postępowanie ojca, stąd sąd przychyliła się do powyższej decyzji. Zlecam przeprowadzenie badań w Rodzinnym Ośrodku Diagnostyczno-Konsultacyjnym w Ostrołęce. Z kolei pani Joanna Mikulska będzie widywała się z córką dwa razy w tygodniu w miejscu jej zamieszkania. Raz w dzień powszedni, i będzie to wtorek, oraz raz w weekend, dokładnie w sobotę. Sąd, biorąc pod uwagę dobro dziecka, wstrzymuje pani Joannie Mikulskiej możliwość zabierania córki do siebie na noc oraz na weekendy. W tej chwili najważniejsze jest dobro dziecka i sąd podejmuje działania celem oceny bieżącej sytuacji rodzinnej. To wszystko na dziś. Przekładam rozprawę – orzekł stanowczo sędzia.

– Ale jak to? Nie mogę jej zabierać?! To chyba jakiś żart! – zaczęła krzyczeć Joanna za wychodzącym z sali rozpraw sędzią.

– Pani Joanno, proszę się uspokoić. Taka jest decyzja sądu i musimy na chwilę obecną na nią przystać – uspokajał ją jej mecenas.

– Zapłacisz mi za to! – krzyczała teraz w kierunku Adama.

Czym prędzej udaliśmy się do samochodu, nie chcąc, by Joanna na korytarzu wyzywała nas od najgorszych. Maciek tłumaczył na spokojnie Adamowi, co nas teraz czeka i jakie może mieć to konsekwencje. Adam chyba go nie słuchał. Patrzył w dal

obojętnym wzrokiem. Domyślałam się, że cała sytuacja zaczęła go przerastać. Przyszłość rysowała się w mało radosnych barwach. Czekaliśmy na kolejne starcie z Joanną.

Rozdział XII

O trudnej przeszłości pewnej intrygantki, rozmowie z ocaloną z obozowego piekła i propozycjach, które wprawiają w zakłopotanie

Echo przeszłości

Tego dnia wszystko było takie, jakie być powinno. Dzieci biegały pomiędzy alejkami w sadzie, a ja siedziałam pod ukochaną jabłonią mojego dziadka i wszystkie myśli starałam się przelać na kartki mojego pamiętnika. W powietrzu unosił się zapach zbieranego z pól siana, w oddali słychać było pracujące na polach maszyny. Lato. Dla mnie czas beztroski. Chwila oddechu. Najlepszy moment na pisanie.

Moja mama zawsze mówiła, że jak się nam coś nie układa, to trzeba poczekać na dobry moment. Robienie czegoś na siłę wiąże się z ryzykiem wyrządzenia krzywdy sobie i innym. Teraz widzę, jak wielka mądrość stała za jej słowami. Dobry moment. To właściwa miara. Jak go wyczuć? To taki czas, kiedy sprawy, które dotąd szły bardzo opornie, nagle zaczynają się rozwiązywać z dnia na dzień. Jakby coś pękło, jakby puściła jakaś blokada. Taki wiatr w żaglach i pewność, że już nic nam nie stanie na przeszkodzie. Uwielbiam to uczucie.

Po pierwszej rozprawie Joanna się uspokoiła. Można powiedzieć, że nad wyraz zadbała o to, by sprawiać wrażenie osoby, której zależy wyłącznie na porozumieniu z drugą stroną dla dobra dziecka. Jej kolejna wizyta odbyła się bez najmniejszej kłótni. Zabrała Rozalkę do Pułtuska nad przystań. Mała wróciła w znakomitym humorze i sama przyznała, że nigdy przedtem z mamą aż tak fajnie nie było. Zbyt mocno nam wcześniej dopiekle, byśmy ot tak po prostu uwierzyli w jej dobre intencje. Adam ciągle powtarzał, że pozory więcej go nie zwiodą. Liczył na korzystny dla siebie wyrok sądu, ale do tego droga była jeszcze daleka.

– Dziwna sprawa... – powiedział cicho Adam, wchodząc do kuchni. Ułożył dzieci do snu i potem z kimś długo rozmawiał przez telefon. Myślałam, że ze swoim klientem.

– Jaka? – Podniosłam na niego wzrok znad projektu. Mimo późnej pory miałam mnóstwo zapału do pracy, tym bardziej że wreszcie znalazłam rozwiązanie problemu, który od dłuższego czasu zaprzętał mi głowę.

– Dzwoniła do mnie dawna znajoma, Kasia Marczak. Pracowałam z nią kilka razy, kiedy jeszcze byłam na studiach. Potem mieliśmy wspólną wystawę. Po latach nawiązaliśmy kontakt na Facebooku i tak od czasu do czasu ze sobą piszemy.

– Korespondujesz z obcą kobietą? I tak beztrosko się do tego przyznajesz?
– zapytałam z zadziornym uśmiechem, widząc jego zakłopotaną minę.

– Rany! To tylko dawna znajoma. Zresztą, szczęśliwa mężatka i mama czwórki dzieci – odparł, naśladując moje miny.

– Czwórka dzieci... Chyba muszę ją podpytać, jak sobie radzi z taką gromadą, bo

ja czasami mam problemy z naszą parką – przyznałam rozbawiona.

– Wkrótce będziesz miała okazję.

– Przyjedzie do nas? – zapytałam, planując już, jakimi smakołykami mogłabym podjąć gości.

– Nie, my pojedziemy do niej. Chce się z nami spotkać. I nie chodzi o zwykłe odwiedzinę.

– A o co?

– Do Polski wróciła jej sąsiadka, którą ja również znam. To Ewelina Pasocka. Była rok wyżej na studiach niż ja. Bardzo zdolna. Mieszka w Anglii i tam ma własne studio – tłumaczył Adam.

– Chcecie się spotkać po latach, czy jak?

– Nie. Kasia, powiedziała mi przed chwilą, że Ewelina ma jakieś niesłychane wieści o Joannie. W Londynie miały ze sobą kontakt. Nawet mieszkały blisko siebie. Podobno Joanna związała się wtedy z jakimś szanowanym biznesmenem. Skończyło się to wielką aferą. O tym chcę z nami porozmawiać.

– No, no... robi się ciekawie – przyznałam zaintrygowana.

Spotkanie potraktowałam jako możliwość poznania dawnych znajomych Adama. Od momentu rozmowy z Kasią przez kilka dni wspominał studia, wspólne wyjazdy w plener i wiele zabawnych sytuacji. Widziałam, że cieszą go te wspomnienia i chciałam, by chociaż na chwilę oderwał się od codziennych zmartwień. Przy okazji miałam nadzieję na poznanie kilku ciekawych faktów z przeszłości Joanny.

– Adaś! Tyle lat! No niechże cię uściskam! – przywitała nas Kasia serdecznie w swoim podwarszawskim domu. Porozrzucane wszędzie zabawki świadczyły, że musi tu przebywać gromada dzieci. – Rany! Nic się nie zmieniłeś! Tak samo przystojny jak dawniej!

– Cześć, Kasieńko. Miło znów cię widzieć. Ale uważaj z tymi pochwałami, bo przyjechałem z narzeczoną i muszę być grzeczny. – Roześmiał się na widok jej miny.

– Narzeczona? Ekstra! Gratuluję! Dzień dobry, Katarzyna Marczak – przywitała się, podając mi rękę.

– Dzień dobry, Alicja Pniewska. Proszę śmiało mówić, jaki Adaś kiedyś był. Bardzo mnie ciekawi, co wyprawiał w czasach studenckich – powiedziałam z przekorą.

– Złego słowa powiedzieć o nim nie mogę. A że jest przystojny, to przecież żadna tajemnica. Zapraszam serdecznie! Upiekłam specjalnie dla was ciasto z powidłami!

Po kilku minutach pojawiła się Ewelina. Gdybym spotkała ją kiedyś na ulicy, od razu pomyślałabym, że to musi być artystka. Burza rudych loków przesłaniała jej zielone kocie oczy. Pewnie nosiła soczewki, bo nigdy nie widziałam oczu o tak intensywnej barwie. Do długiej kwiecistej spódnicy włożyła białą bluzkę wyszywaną w folkowy wzór. Wyglądała niczym rajski ptak. Biła od niej niesamowita radość i energia.

– Adasiu, tyle razy cię namawiałam na wspólny projekt, to może teraz dasz się wreszcie przekonać! – wykrzyknęła na jego widok.

Dość dokładnie opowiedziała nam, czym się zajmuje w Londynie i jak wielkie ma z tego pieniądze. Uważnie się jej przyglądałam i nieco zazdrościłam, że jest aż tak pewna siebie.

– Dobry pomysł, tylko jeszcze żeby czasu było więcej – przyznał Adam. – Teraz to mam na głowie problemy rodzinne, bo jak zapewne wiesz, moja była żona wróciła do Polski. Nagle przypomniała sobie, że ma córkę i chce mi ją odebrać.

– No tak. Joanna. Zawsze ci mówiłam, że to nie jest dobry człowiek. A znam się na ludziach. Ty mnie oczywiście nie posłuchałeś! – stwierdziła bez ogródek.

– Jak człowiek jest młody i zakochany, to wielu rzeczy nie widzi. No ale gdyby nie to wszystko, nie poznałbym mojej Alicji – powiedział i spojrzał na mnie niezwykle ciepłym wzrokiem, a mnie zrobiło się bardzo miło, że w ten sposób o mnie mówi.

– No właśnie! Opowiadaj! Jak się poznaliście? Kiedy ślub, wesele? Jakie plany?
– dopominała się Kasia.

Zatem im opowiedzieliśmy. O naszym poznaniu się podczas wypadku na pniewskich krzyżówkach, trudnych początkach i wreszcie daniu sobie szansy na wspólne życie. Z chęcią słuchały o tym, jak spotkałam Michałka i że dzięki adopcji został moim synem oraz o tym, że chcemy z Adasiem stworzyć taką dosyć niezwykłą rodzinę. On z kolei mówił o powrocie Joanny, jej próbach rozbicia naszego związku i złym wpływie na Rozalkę.

– Niesamowite! – zawołała Ewelina. – To jest po prostu historia wprost z powieści!

– Uwierz mi, że obydwójce wolelibyśmy wieść spokojniejsze życie – stwierdziłam.

– No ale nie ma tego złego... – weszła mi w słowo Kasia. – Jesteście razem, jesteście szczęśliwi, na resztę kłopotów znajdzie się rozwiązanie.

– Joanna też tylko stwarza pozory. Wcale taka mocna nie jest – wtrąciła Ewelina.

Sama wyemigrowała do Londynu mniej więcej w tym czasie, gdy Joanna porzuciła rodzinę. Kupiła dom, rozwijała swój talent, zarabiała coraz więcej. Jej sąsiadem był bardzo szanowany biznesmen, który po dramatycznej śmierci żony przed trzema latami, musiał zająć się dwójką maluchów. Szukał kobiety, która pomogłaby mu w opiece nad dziećmi, była dla nich matką, a dla niego partnerką na życie.

– Wyobraźcie sobie moją minę, kiedy pewnego dnia na schodach domu Erica zobaczyłam Joannę. Okazała się być jego tajemniczą partnerką, w której się zakochał za zabój.

– Joanna? – nie dowierzał Adam. – Porzuciła własną córkę, a potem chciała się zająć dziećmi innego faceta? A ten pilot, z którym uciekła? Co z nim? – Niczego nie rozumiał z tej historii. Nie tak sobie to wszystko wyobrażał. Widziałam, że jest w szoku.

– Uwierz mi, że byłam tym tak samo poruszona. Pewnego dnia spotkałyśmy się przy bramie. Nawet zapytałam, czy jej nie wstyd, że zostawiła córkę, a ma zamiar być matką dla dzieci innego faceta. Powiedziała, że mam się trzymać od niej z daleka i że jeśli pisnę słówko na temat jej przeszłości, to pożałuję – wyznała Ewelina.

– Bała się, że nowy ukochany dowie się, jaka naprawdę jest – dopowiedziała Kasia.

– Po jakimś czasie dowiedziałam się, że pilot, z którym uciekła od was, miał dosyć jej zaborczości i po prostu ją zostawił. Postanowiła gdzie indziej szukać szczęścia. Poznała Erica, szybko się do niego wprowadziła i grała rolę kochającej partnerki i opiekunki dzieci.

– Świetnie... Nie potrafiła być taka dla własnej córki – stwierdził gorzko Adam.

– Ale nie do końca – wtrąciła szybko Ewelina, widząc, że Adam bardzo się przejął.

– Owszem, początkowo wszystko było idealnie. Jak się na nich patrzyło, to wyglądali na szczęśliwą parę, a dzieci były zadowolone, że mają kogoś bliskiego. Ale jak wiadomo, kłamstwo nie może trwać wiecznie. Coraz częściej się kłócili. Zgadnijcie, o co.

– O dzieci – stwierdziłam przekonana.

– Właśnie. Joanna bardzo szybko zaczęła się wykręcać od opieki nad nimi. Eric załatwił jej dobrą posadę w firmie swojego kolegi, więc zamierzała wykorzystać to wyłącznie dla siebie. Wracła do domu po nocach, ciągle była w rozjazdach służbowych.

– To już zdecydowanie bardziej do niej pasuje – wtrącił Adam.

– Jak widać, zabawa w rodzinę jej się nie udała i musiała wrócić do Polski – dodałam zgryźliwie.

– To akurat już mało znacząca informacja. Wydarzyło się coś znacznie gorszego.

– Co? – dopytywała Kasia, widząc, że Ewelina ma naprawdę ważne informacje.

– Długo udawało jej się manipulować Erikiem i gdy tylko widziała, że on zaczyna mieć jakieś podejrzenia, od razu zmieniała się w opiekuńczą partnerkę. Trwało to kilka dni, Eric znowu nabierał nadziei, że stworzą rodzinę, a Joanna wracała do starych nawyków.

– Czuję, że po jakimś czasie Eric porządnie się wkurzył. Mam rację? – dopytała Kasia.

– Niestety, wydarzyło się coś gorszego. Po kilku miesiącach ciągle się kłócili i było tak źle, że Eric kazał się jej wyprowadzić. Joanna zaczęła go straszyć, że zniszczy i jego, i dzieci. Podobno była w posiadaniu jakichś kompromitujących nagrań. Ale o tym później.

– Ojej! Historia jak z jakiegoś thrillera! – stwierdziłam zaintrygowana.

– Tak, to dosyć poważna sprawa. Eric zatem nie mógł się jej pozbyć, a Joanna coraz częściej go szantażowała. Miał dylemat, nie mógł pozwolić na wyjawienie tych kompromitujących informacji, a zarazem chciał chronić dzieci. Coraz częściej pił i brał leki.

– Brzmi kiepsko – przyznała Kasia.

– Pewnego dnia opiekunka, która zajmowała się dziećmi, przyprowadziła je ze szkoły. Znalazła Erica leżącego na podłodze w gabinecie. Myślała już, że nie żyje. Jednak wezwała karetkę. Okazało się, że tego dnia wziął bardzo dużą dawkę silnych leków psychotropowych i wypił kilka drinków. Ledwo go odratowali.

– Boże... Joanna naprawdę jest potworem – stwierdziła Kasia.

– Po trupach do celu, to powiedzenie akurat tu pasuje – westchnęłam rozgoryczona.

– No widzisz. Myślałem, że ona sobie gniazdko wije z pilotem, a tu, można powiedzieć, poszła znacznie dalej. Chciała zawładnąć czyjś życiem – podsumował smutno Adam.

– Wszystko może i by jakoś jej uszło na sucho, ale sprawą zainteresowała się kuzynka Erica, bardzo znana w Londynie dziennikarka. W mediach zrobiła z tego wielką aferę. Ponadto zgłosiła sprawę policji i zmobilizowała Erica do walki – opowiadała Ewelina.

– Chociaż jedna rozsądna osoba – skwitowała Kasia.

– Joannie postawiono zarzuty znęcania się psychicznego nad Erikiem i jego

dziećmi, co zdaniem prokuratora omal nie doprowadziło do tragedii. Wyznaczono już termin rozprawy. Sąd miał zbadać, czy i w jakim stopniu Joanna przyczyniła się do załamania nerwowego Erica, przez co mógłby targnąć się na swoje życie.

– Pewnie nieźle się wystraszyła, co? – Czułam jednak pewną satysfakcję.

– No nie do końca. Poszła do mediów z materiałami, które obciążły Erica. Wiadomo, samotny wdowiec szukał pocieszenia. Spotykał się w swoim domu z paniami do towarzystwa. Zanim oczywiście poznał Joannę. Ale był na tyle głupi, że nagrywał te spotkania. Sama nie wiem, po co. Mniejsza o to. Jak to się mówi? Wolność Tomku w swoim domku. Dorosły facet, mógł robić, co chciał. Joanna przez przypadek znalazła te nagrania i miała na niego haka. Jak ją straszył rozstaniem, to ona szantażowała go ujawnieniem filmów. Eric zwyczajnie bał się skandalu.

– Trudno w to wszystko uwierzyć... – mruknął pod nosem Adam. – Pomyśleć, że ta kobieta była moją żoną, jest matką Rozalki... Ona nie zna żadnych granic.

– Jak to się wszystko skończyło? – dopytała Kasia.

– Najpierw była burza w mediach. Wszystkie brukowce o tym pisały. Eric oskarżał Joannę o psychiczne znęcanie się nad nim i dziećmi oraz szantaż, a ona o złe traktowanie, bicie i dyskryminację. Zrobiła się z tego wielka afera i w sumie zaczęto mylić ofiarę ze sprawcą. Kiedy doszło wreszcie do rozprawy w sądzie, obydwójce odmówili składania zeznań. Sąd nie miał wyjścia i z powodu braku dowodów umorzył sprawę. Potem wszystko ucichło.

Na potwierdzenie swoich słów Ewelina przywiozła kilka gazet, które ukazały się w tamtym czasie. Z okładek „krzyczały” tytuły, które w wolnym tłumaczeniu brzmiały mniej więcej tak: „Zabójcza miłość”; „Przypadek, czy próba samobójstwa?”; „Polka i jej nienawiść do dzieci”; „Skrzywdzony ojciec zakochany w bezwzględnej Polce”; „Tajemnicza kobieta omal nie doprowadziła do śmierci ojca dwojki dzieci!”. Gazety prześcigały się w opisywaniu tej niewątpliwie oburzającej sprawy. Na kolejnych stronach były umieszczone zdjęcia Erica i Joanny z sali rozpraw i samej Joanny stojącej pod domem.

Jak się okazało, nawet ona ma swoje granice wytrzymałości. Ewelina zdradziła, że Joanna gdzieś zniknęła zaraz po tym, jak sąd umorzył sprawę. Po jakimś czasie okazało się, że ma ciężką depresję i trafiła do kliniki prowadzonej przez fundację, która pomaga osobom po traumatycznych doświadczeniach. W Londynie nie mogła już mieszkać, bo obawiała się, że ktoś ją rozpozna.

Wróciła do Polski, dokładnie do Warszawy, i tu przez kilka miesięcy klepała biedę. Los uśmiechnął się do niej, dopiero gdy poznała obecnego kochanka. Z racji swojej pozycji załatwił jej dyrektorski fotel w domu mody. Czas mijał, a ona nabierała sił. Planowała upomnieć się o Rozalkę, bo z dnia na dzień zaczęła odzywać się do dawnych znajomych i wypytywać, co słychać u Adama, jak się ma jej córka i jak wygląda ich życie. Gdy stanęła porządnie na nogi, wtedy postanowiła zawalczyć o córkę.

Adam nie mógł sobie darować swojej głupoty. Przyznał przed Kasią i Eweliną, że dosyć długo sam usprawiedliwiał różne zachowania Joanny, wierząc, że warto dać jej szansę ze względu na dobro ich córki. Teraz ostatecznie dotarło do niego, że Joanna jest zdolna do wszystkiego. Uprzedził Ewelinę, że w razie potrzeby będzie ją prosił, żeby

o przeszłości Joanny opowiedziała w sądzie. Zapytał, czy mogłaby zostać jego świadkiem. Zgodziła się. Sama przyznała, że nie ma zamiaru nadal milczeć i pozwalać Joannie na takie podle postępowanie.

Ocalona

Promienie słońca mocno grzały moją twarz i ramiona. Poprawiłam słomkowy kapelusz, z którym od kilku dni się nie rozstawałam. Nadeszły prawdziwe upały. Dla rolników to idealny czas na zbiory. Pniewskie łąki zamieniły się w równo ścięte pokosy. W powietrzu unosił się przepiękny zapach siana. Na chwilę znowu stałam się małą Alicją, która biegała w kapeluszu po łące i wydawało jej się, że nie ma na świecie piękniejszego widoku. Teraz też tak myślę. Łąka to dzieło sztuki. I najlepsze lekarstwo na smutki.

Lubię czas żniw i sianokosów. Każdy rolnik wie, że trzeba zasiać dobre ziarno, by zebrać bogate plony. Najpierw musi dobrze się zastanowić, jakie w tym celu podjąć działania, a potem to wszystko zaplanować. Musi liczyć się z tym, że na każdym etapie mogą pojawić się sytuacje losowe, takie jak mocne opady albo susza. Dogląda wszystkiego, zabiega, martwi się. Musi ustalić, kiedy jest właściwa pora na zbiory i obliczyć, ile przeznaczyć na nie czasu.

Tak jest dokładnie z każdym życiowym celem. Żeby zebrać dobre plony, trzeba najpierw się przygotować, podjąć mądre decyzje, ciężko pracować, liczyć się z możliwością nieprzewidzianych zdarzeń, aż wreszcie czekać cierpliwie na efekty. Ludzie, którzy osiągają ogromny sukces, to ci widzący zwycięstwo wcześniej niż ktokolwiek inny.

Tak było z Janem i Elizabeth. Podjęli ogromne ryzyko, narażali nawet własne życie. Nie oczekiwali nagrody, kierowali się wizją ocalenia dzieci. Wszystko dokładnie przemyśleli, zaplanowali, a potem wykonali pracę, którą obecnie nawet trudno sobie jest wyobrazić. Czy odczuwali strach? Na pewno w jakimś stopniu tak, ale mieli wizję i to ona była kierunkowskazem w ich działaniach i wyborach.

Tego dnia miałam po południu spotkać się z ocaloną z obozu córką pani Matyldy, Irmą Krause. Żyje dzięki odwadze mojego dziadka Jana i Elizabeth. Od kilku dni tylko o niej myślę. Jaka jest? Jak wygląda jej życie? Czy jest wdzięczna za ocalenie, czy może jednak jest w niej żal o to, że przez tyle lat nie знаła swojego prawdziwego pochodzenia? Czy często o tym myśli? Jak wyglądają jej relacje z panią Matyldą?

Na spotkanie jechałam bardzo zestresowana. Jonas nie mógł mi towarzyszyć, bo tego dnia miał jakieś arcyważne spotkanie w firmie i nie mógł go przełożyć na inny termin. Obiecałam mu, że zdam po powrocie szczegółową relację i zapewnię panią Irmę, że bardzo by chciał kiedyś z nią porozmawiać. Sama byłam jej bardzo ciekawa. Można powiedzieć, że jest osobą łączącą przeszłość z terażniejszością. Ocalała z obozu i dostała szansę na nowe życie.

Czekały na mnie pośród przepięknie kwitnących róż w ogrodzie przylegającym do budynku domu opieki. Pani Matylda trzymała córkę za rękę i coś radośnie jej opowiadała. Na mój widok uśmiechnęła się i próbowała wstać z wózka.

– Bardzo proszę, niech się pani nie przemęcza – poprosiłam, widząc, że każdy ruch

sprawia jej trudność. – A tak w ogóle to dzień dobry. Piękna dziś pogoda.

– Dzień dobry, Alicjo, dzień dobry. Słońce jest, to trzeba z niego korzystać i wygrzewać stare kości – przyznała z uśmiechem. – Proszę, poznaj Irmę Krause, moją córkę – powiedziała to z niezwykle dumą.

– Dzień dobry, Alicja Pniewska. – Podeszłam do niezwykle eleganckiej kobiety i podałam jej rękę.

– Witam, mam na imię Irma – przedstawiła się łamaną polszczyzną, ale i tak bardzo dobrze sobie radziła. – Mama mi dużo mówiła o pani. I o pani dziadku.

– Kto by pomyślał, że kiedykolwiek w naszym życiu dojdzie do tego spotkania. Długo na nie czekałam – wyznałam poruszona i niezwykle szczęśliwa, że dostałam taką szansę.

W ich towarzystwie czułam się bardzo spokojna. Jakby były kimś najbliższym, przyjaciółkami, rodziną. Z podziwem obserwowałam, jak ciągle na siebie patrzą, dotykają swoich dłoni, mówią w sposób, który nie pozwalał na marnowanie ani chwili. Irma opowiadała o tym, że przechodząc na emeryturę, postanowiła poświęcić się dla innych, czując, że ma do spłacenia dług wdzięczności za ocalone życie. Założyła własną fundację. Pomaga dzieciom w potrzebie oraz wspiera ich rodziny. Dwa dni temu mieli doroczny piknik, na który zjechało mnóstwo ludzi. Dzięki zbiorce pieniędzy udało się zgromadzić potrzebne fundusze na planowaną we wrześniu wycieczkę dzieci do Rzymu. Ponadto mówiła dużo o swoich córkach. Ellen jest lekarzem, dokładnie kardiologiem, i dwa miesiące temu wyjechała na akcję humanitarną do Kambodży. Ester jest zapracowaną ekonomistką w wielkiej międzynarodowej korporacji i właśnie przebywa na szkoleniu w Stanach. Zabrała ze sobą swoich dwóch synów, którzy już nie mogą się doczekać powrotu do domu babci, czyli Irmy, bo obiecała im zakup nowego quada. Wspominała zmarłego przed trzema laty męża, który był nie tylko jej wielką miłością, ale i najlepszym przyjacielem. Pracował na uniwersytecie, był profesorem prawa. Do dziś Irma dostaje od jego byłych studentów kartki z okazji świąt. Piszą też do niej, informując o swoich ślubach, narodzinach dzieci, spełnionych marzeniach. Traktują ją jak dobrego przyjaciela, któremu można o wszystkim powiedzieć. Już dostała zaproszenie na inaugurację nowego roku akademickiego.

– Alicjo, tego wszystkiego by nie było, gdyby nie twój dziadek Jan i kochana Elizabeth – wtrąciła zniechęcona. Słuchałam jej z wielkim zachwytem i znowu dotarło do mnie, jak wiele znaczyło jej ocalenie.

– Dziękuję ci za te słowa. Twoja mama już o tym wie, ale powiem ci, że przez jakiś czas miałam wątpliwości, czy...

– Czy zrobili dobrze, oddając nas do obcych ludzi? – weszła mi w słowo. – Lepszej decyzji nie mogli podjąć. Przez całe życie byłam szczęśliwą córką, żoną, mamą, teraz i babcią. Nikt mi tego nie mógł odebrać. Dzięki ich odwadze. I dzięki mojej mamie, bo nie wyobrażam sobie, jak wielkie trzeba mieć serce i jak mocno kochać swoje dziecko, by się zgodzić je oddać, po to, by uratować mu życie – dodała łamiącym się głosem i przytuliła swoją mamę.

– Matka robi wszystko, by ratować swoje dziecko – dodałam, ocierając łzy.

To był bardzo wzruszający moment. Obok siebie siedziały trzy kobiety, które los

w pewnym momencie sprowadził na wspólną drogę. Jej początek miał miejsce w obozowym szpitalu. To właśnie tam spotkali się Matyllda, Elizabeth i Jan. Ciekawe, czy chociaż raz pomyśleli, jak potoczy się historia? Czy wyobrażali sobie życie ocalonych dzieci za dziesięć, dwadzieścia lat?

– Szczerze mówiąc, początkowo nie myślałam za dużo o tych, którzy mnie uratowali. Skupiłam się na odszukaniu mamy. Chciałam wiedzieć, kim jestem – przyznała zamyślona.

– Adoptowani rodzice ci powiedzieli? – dopytałam.

– Tak. Gdy do nich trafiłam, byli w dość podeszłym wieku, ale na tyle zdrowi, by podjąć wychowanie dziecka. Było mi u nich bardzo dobrze, ogromnie mnie kochali, a ja czułam, że jestem dla nich najważniejsza – powiedziała i spojrzała na panią Matyldę, która tylko pokiwała głową. – Potem mocno chorowali, a ja czułam, że ich koniec szybko się zbliża. Gdy moja mama Berta była w szpitalu, poprosiła mnie i tatę na rozmowę. Wtedy mi wszystko opowiedzieli.

– To musiało być trudne, prawda?

– I tak, i nie. Owszem, byłam w szoku. Dowiedzieć się z dnia na dzień o adopcji, o ocaleniu z obozu i wreszcie o tym, że gdzieś na świecie być może żyje kobieta, która podjęła tak heroiczną decyzję, to naprawdę wielkie wyzwanie. Szczególnie dla kogoś, kto i tak przez całe życie czuł się kimś innym. Ale nie miałam żalu ani pretensji. Zresztą, byłam już wtedy dojrzałą kobietą i wiedziałam, że życie piętrzy przed nami wiele trudności. Raczej byłam oszołomiona tym, że przecież tak mało brakowało, a mogłoby mnie nie być.

– I zaczęłaś szukać mnie – stwierdziła wzruszona pani Matyllda.

– Tak, moi rodzice adopcyjni też na to nalegali. Chcieli odnaleźć mamę. Zgłosiłam się do fundacji „Zapomniane korzenie” i tak to się wszystko potoczyło.

– Teraz jest czas na nadrabianie zaległości. O ile można tak powiedzieć – dodałam.

– Ostatnio tak sobie poukładałam sprawy swojej fundacji, że będę mogła odwiedzać mamę raz w tygodniu. Mamy jeszcze sobie tyle do opowiedzenia, prawda, mamusi?

– Prawda, kochanie. Chociaż wolę, gdy to ty mówisz o sobie. Wolę słuchać.

– Najbardziej ciekawi mnie to, kiedy i jak zdołano mnie wywieźć z obozu. Prawdę mówiąc, z początku nie przykładałam wagi do tego, kto mnie uratował i w jaki sposób. Człowiek dopiero później, kiedy się robi starszy, zaczyna sobie zadawać trudniejsze pytania. Jan i Elizabeth uratowali mi życie. To największy dar, jaki można otrzymać.

– Na pewno, słysząc te słowa, byliby bardzo dumni – przyznałam wzruszona.

– Elizabeth zdołałam podziękować, widziałyśmy się kilka razy. Twojemu dziadkowi nie. Wspominam go w modlitwie i mam nadzieję, że zaznał spokoju. Podziękowania składam na twoje ręce. Przed nami jeszcze wiele do odkrycia, ale jestem przekonana, że wszystko się powiedzie.

– Skoro oni tyle przeszli w obozie i nie poddali się, to my mamy obowiązek zachować pamięć o nich i mówić głośno o tym, czego dokonali – stwierdziłam dumnie i z przekonaniem.

Irma opowiadała jeszcze o spotkaniach z księdzem Braunem, jego wsparciu i pomocy. To dzięki niemu poznała szczegóły swojego ocalenia. Oraz oczywiście dzięki

mamie. Długo jeszcze rozmawiałyśmy. Irma bardzo chciała poznać Jonasa, więc obiecała, że będzie na organizowanym przez fundację „Zapomniane korzenie” dorocznym zjeździe. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo jest wdzięczna jego babci.

Wracałam ze spotkania ogromnie wzruszona. Każde usłyszane słowo, gest, spojrzenie były dla mnie na wagę złota. Byłam wdzięczna Irmie, bo dzięki jej historii zrozumiałam, jak wielkie znaczenie dla ocalonych dzieci ma poznanie własnych korzeni. Decyzję o przekazaniu fundacji dokumentów, które Jan i Elizabeth tłumaczyli w Stutthofie, uznałam za słuszną. Przecież ci ludzie mieli prawo o wszystkim wiedzieć.

Wieczorem zadzwoniłam do pani Walczak. Podekscytowana opowiadałam o spotkaniu i o tym, że zaczęłam inaczej patrzeć na próby odszukania ocalonych osób. Cała sprawa nabrała tempa. Stosowne dokumenty zostały wysłane do instytucji państwowych w Polsce i Niemczech. Fundacja złożyła również wniosek o pośmiertne odznaczenie Jana i Elizabeth za działalność na rzecz ratowania ludzkiego życia. To akurat mniej mnie ucieszyło. Nie byłam przekonana, czy dziadek by tego chciał. Był skromnym człowiekiem, nigdy nie dbał o rozgłos i nie podkreślał swoich zasług. Ale postanowiłam dać sobie czas. Może i ten pomysł uznam wreszcie za słuszny.

Nagle zwroty akcji

Stało się. Ewa namierzyła Kamila. W zupełnie banalny sposób. Dawny kolega ze szkoły miał kontakt z kimś, kto o Kamilu sporo wiedział. Uzyskała od niego wiele ważnych informacji o ojcu Sylwii, a nawet dostała jego numer. Ewa dowiedziała się, że wynajmuje od znajomych mały dom w Piasecznie. Mieszka sam, ciężko pracuje, nie ma rodziny. Ponad dwa lata temu wrócił do Polski, gdy jego brat nie mógł już samodzielnie funkcjonować. Opiekował się nim, pomagał we wszystkim, jemu podporządkował swoje życie. Niestety, choroba była silniejsza od nich obydwu. Sylwek, brat Kamila, niebawem zmarł. Kamil został sam i odsunął się od ludzi, wybierając życie samotnika.

Ewa nie była zachwycona tymi wiadomościami. Chyba liczyła na wersję z happy endem. Zdecydowanie wyobrażała sobie Kamila jako mężczyznę, który, mimo wielu przeciwności losu, wreszcie ułożył sobie życie, ma partnerkę, a może nawet i rodzinę. Tak jednak nie było.

Długo biła się z myślami, co powinna zrobić. Rozmowa przez telefon nie wchodziła w grę. Była pewna, że po pierwszym jej słowie Kamil by się rozłączył. Zapamiętała go jako człowieka niezwykle honorowego i kogoś, kto rzadko daje innym drugą szansę. Zostawało jedno wyjście. Pojechać do niego bez zapowiedzi. Tak też zrobiłyśmy.

– Boję się! Przecież on mnie może po prostu nie wpuścić – denerwowała się Ewa.

Podróż do Piaseczna była chyba jedną z najtrudniejszych w jej życiu. Musiała spojrzeć w twarz człowiekowi, którego naprawdę skrzywdziła.

– Ale chyba od razu mu wszystkiego nie powiesz? – dopytywałam się zaniepokojona.

– Co ty! Wyobrażasz to sobie? Stanę przed nim i powiem: „Ej, słuchaj, a tak w ogóle to masz córkę... Nic ci wcześniej nie mówiłam, bo nie było kiedy...”. Matko! Co ja narobiłam?

– Spokojnie. Najpierw z nim porozmawiaj. Tak, jakbyś po prostu starała się odnowić z nim kontakt. Powiedz, że od wspólnego kolegi dowiedziałaś się, gdzie mieszka i że chciałaś się z nim spotkać – starałam się jej coś doradzić.

Bałam się jeszcze bardziej niż ona, ale musiałam udawać, że się nie denerwuję. Ewa jest przykładem tego, że kłamstwo ma krótkie nogi. Prędzej czy później odczujemy jego skutki. Zazwyczaj nawet nie jesteśmy źli na kogoś, kto nas oszukał. Bardziej żałujemy, że już nigdy nie będziemy mogli mu ponownie zaufać. Kłamstwo jest zawsze bronią tchórzy. Lepiej by zraniła prawda, niż pocieszyło kłamstwo. Bo inaczej zaczynamy obawiać się, że jeżeli ktoś chociaż raz nas oszukał, zrobi to znowu. Niepewność boli najbardziej.

Zatrzymałyśmy się pod bramą niewielkiego domu. Nagle pewnym krokiem wyszedł zza niego młody mężczyzna. Ewa powiedziała, że to właśnie Kamil. Wysoki, dobrze zbudowany. Ciemne nieco zbyt długie włosy okalały jego zmęczoną twarz. Spojrzał w naszym kierunku, a ja kazałam Ewie natychmiast do niego podejść.

Wysiadła i jeszcze kilka razy odwróciła się w moją stronę, szukając ratunku. Jednak musiała zmierzyć się z rzeczywistością. Delikatnie pchnęła furtkę i stała przy niej przez dłuższą chwilę. Kamil od razu ją poznał, ale starał się nie okazywać, że to zrobiło na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Zaczęli rozmawiać. Nie słyszałam słów, ale po tonie głosu można się było domyślać, że ta rozmowa od początku nie należy do przyjemnych. Ewa od razu zaczęła płakać. Kamil nie ułatwiał jej zadania, bo zaczął coraz bardziej podnosić głos, a do tego wymachiwał rękami. Na koniec cisnął czymś o ziemię, krzyknął i ruszył w kierunku domu, głośno zatraskując za sobą drzwi.

– Jedź! Natychmiast! – zażądała Ewa, wsiadając do samochodu.

– Co się dzieje?

– Jedź! – krzyknęła.

Ruszyłam. Ewa zanosila się od płaczu. Powtarzała, że jest głupia i ciągle kogoś krzywdzi. Nie mogłam jej uspokoić. Kilka razy się zatrzymywałam, by przemówić jej do rozsądku, ale to nic nie dawało. Zawiozłam ją do mieszkania, położyła się na chwilę i od razu zasnęła. Nie mogłam jej zostawić w takim stanie. Sylwia poszła pobawić się z córką sąsiadki, a ja wzięłam się za gotowanie obiadu. Chociaż tyle mogłam dla nich zrobić. Ewa obudziła się po godzinie. Miała już lepszy humor, chociaż wciąż powtarzała, że jest okropnym człowiekiem i sama sobie zasłużyła na te wszystkie nieszczęścia.

– Powiesz wreszcie, jak zareagował Kamil? – zapytałam ciekawa ich spotkania.

– No jak? Powiedział, że mam niezły tupet, że tak po tym wszystkim, co mu zrobiłam, przyjeżdżam bez zapowiedzi i chcę porozmawiać jak ze starym znajomym.

– Nie próbował cię wysłuchać?

– Zapytał tylko, czy to prawda, że Marek mnie puścił z torbami. Śmiał się, że tak kończą się wszystkie wielkie miłości oparte na kasie. Ma prawo tak mnie traktować.

– Nie ma. Mimo wszystko ty jednak miałaś prawo wybrać Marka. Twoim grzechem jest to, że Kamil nie wie o istnieniu swojej córki.

– No i się nie dowie. Nie umiem mu powiedzieć. Zrobię dla Sylwii wszystko i postaram się, by miała dobre życie. Ojciec nie jest jej potrzebny.

– A tobie nie był? – zapytałam, a ona spojrzała na mnie niepewnie.

Obawiała się na pewno, że córka nigdy jej tego nie wybaczy. Znowu zaczęła porównywać siebie do Magdaleny i powtarzać, że nie jest wcale od niej lepsza. Tak samo odebrała swojemu dziecku możliwość kontaktu z ojcem. Była świadoma, że prędzej czy później będzie musiała się zmierzyć z prawdą. Kamil, jak widać, nie miał zamiaru jej niczego ułatwiać. Zachował się jak człowiek, który został bardzo skrzywdzony.

Ewa także następnego dnia nie czuła się najlepiej. Zastanawiałam się, czy nie pojechać do lekarza, ale ona stanowczo odmówiła. Jej ponury nastrój bardzo mnie martwił. Tyle złego wydarzyło się ostatnio w jej życiu. Przecież człowiek nie jest ze stali. Bałam się, czy to przypadkiem nie są początki depresji. Postanowiłam poświęcać jej więcej czasu.

Teraz musiałam zająć się sobą, a raczej swoim wyglądem. Wieczorem miałam stawić się razem z Frankiem na kolejnym bankiecie.

Znowu pojawiła się wizja męczącego poszukiwania kreacji. Tym razem z pomocą przyszła mi Dorota. Kilka dni wcześniej umówiła mnie ze swoją koleżanką, która jest stylistką w bardzo popularnej stacji telewizyjnej. Nie powiem, było warto. Pani Kaja mocno mnie zaskoczyła. Na pierwszy rzut oka wybrana przez nią kreacja wydała mi się bardzo kusząca. Mocno dopasowana, w kolorze głębokiego kobaltu, z porządnym dekoltem. Do niej dobrała czarne szpilki, kopertówkę w tym samym kolorze i długie kolczyki z małymi szafirami.

Gdy przed wyjściem na bankiet stanęłam przed lustrem, uznałam, że takie imprezy są jednak bardzo dobre. Zmuszają do mobilizacji. Nie powiem, ostatnio się nieco zaniedbałam. Wszystko zrzuciłam na nadmiar problemów. A to słaba wymówka. Jest jeszcze coś. Moje wielkie wyjścia działają dobrze na Adama. Jest taki zazdrosny! Najpierw ukradkowo zerka, jak się wdzieczę przed lustrem. Potem wypytuje, z kim tam będę, co zamierzam robić i kiedy wrócę. Na koniec zapewnia, jak bardzo mocno mnie kocha. Jeszcze trochę i polubię bankiety!

Franek czekał na mnie pod teatrem, w którym mieliśmy spędzić miły wieczór na rozmowach branżowych, poznawaniu nowych ludzi i dobrej zabawie.

– Na miejscu Adama nigdzie bym cię nie puścił. Wyglądasz obłędnie! – stwierdził na przywitanie. Wydawał się jednak bardzo przygnębiony. Domyślałam się, że bardzo przeżywa śmierć swojego taty. Franek jest typem samotnika, a to nie jest dobre dla człowieka w żałobie.

– Zamierzam się dziś dobrze bawić, a przy okazji oczarować kilku nowych klientów. Będę postępować jak Dorota. Tu się uśmiechnę, tam zagadam i gotowe! – zażartowałam.

– Obawiam się, że w przypadku naszej przyjaciółki chodzi o jakieś czarodziejskie moce. Możesz sobie wyobrazić, że ostatnio udało jej się namówić na wspólny projekt nawet tego bufona z Green & Blue? Facet uchodzi za jednego z najbardziej nadętych ludzi w branży. – Franek nie krył swojego podziwu.

– No ma kobieta talent, trzeba przyznać. Pamiętasz, jak na studiach owinęła sobie wokół palca wykładowcę logiki? – Przypomniały mi się czasy studenckie.

– Ona dostała pięć, a my ledwo trzy na szynach! – zaśmiał się Franek.

– Wiesz co... Czasami chciałabym wrócić do tamtych beztrudnych czasów. Dopiero po latach docenia się studenckie życie – stwierdziłam zamyślona. – Teraz jak nie praca, to dom.

– Ale teraz jesteśmy mądrzejsi, nauczyliśmy się wiele na popełnionych błędach. Jest coś, czego bardzo żałuję, że nie wydarzyło się na studiach – powiedział tajemniczo.

– Zdradzisz coś więcej?

– Może kiedyś... Chodź! Zaraz się spóźnimy na te wielkie i ważne przemowy.

– Już widzę, jak nas porywają do działania – roześmiałam się.

Wieczór był bardzo udany. Spotkała nas miła niespodzianka. Na bankiecie był nasz kolega ze studenckich lat, Jacek Falkowski. Czas nie był dla niego łaskawy. Posiwał, przytył ze trzydzieści kilogramów. Nie zmieniło się tylko jego poczucie humoru. Ciągłe nam opowiadał o swojej pięknej żonie i synach bliźniakach. Powspominaliśmy nasze wyjazdy plenerowe, a Jacek zaprosił nas do swojej posiadłości w Bieszczadach. Od razu pomyślałam, że mogłabym tam jechać z Adamem i dziećmi.

Nie wiem, o której wyszliśmy z bankietu. Była już ciemna noc. Franek bardzo chciał pokazać mi, jak mieszka, a przy okazji zaprosił na wyjątkową kawę, którą przywiózł ze Stanów. Widać było, że zwyczajnie chce porozmawiać. Domyślałam się, że samotność bardzo mu doskwiera. Gdy się zgodziłam, zareagował niezwykłym entuzjazmem i przy okazji uznał, że pokaże mi kilka zdjęć z czasów studiów.

Jego mieszkanie robiło wrażenie. Przestronne, pięknie zaprojektowane w każdym szczególe, urządzone z niesłychanym wyczuciem. Urzekło mnie, że na jednej ze ścian salonu wisiał wzruszający napis: „Z każdej, nawet najdalszej, podróży człowiek wraca do domu, bo tu są jego korzenie”.

– Przepraszam, że o to pytam, ale jak sobie radzisz ze śmiercią taty? – zapytałam ostrożnie, obserwując, jak zaparza kawę. W powietrzu unosił się jej niezwykły aromat.

– Taka kolej rzeczy. Chociaż miałem nadzieję, że lekarze będą w stanie mi pomóc – przyznał zasmucony.

– Nic nie mówiłeś. Przez przypadek dowiedziałam się o wszystkim od Doroty.

– Wiesz, że nie lubię mówić o swoich problemach. Tak mnie ojciec wychował. Ale nie ukrywam, że bardzo mi go brakuje. We wrześniu mieliśmy jechać na wspólną wyprawę.

– Tak mi przykro.

– Tęsknię za nim. Zostałem zupełnie sam. Nie mam już żadnej rodziny.

Było mi go tak żal... Patrzyłam na jego zmęczoną twarz i zastanawiałam się, dlaczego dotąd nikt go nie pokochał. Zasługiwał na to. Może za bardzo angażował się w pracę? A może po prostu nie miał szczęścia w miłości?

Poprosiłam go o pokazanie zdjęć z naszych studenckich czasów. Chciałam, żeby się uśmiechnął i by chociaż na chwilę zapomniał o śmierci ojca.

Zaskoczył mnie. Miał zdjęcia, których nigdy nie widziałam. Ja mam z tych samych wyjazdów zupełnie inne. Szczególnie jedno było super. Franek, Dorota, dwie nasze koleżanki i ja na Krupówkach. To był wyjazd na letnie praktyki do Tatrzańskiego Parku Narodowego. To właśnie wtedy Dorota w nocy uciekła ze schroniska, bo spodobał jej się pewien przewodnik i umówiła się z nim na randkę. Ależ wtedy była afera! Nasza

opiekunka, pani Sobańska, nazywana nie bez powodu „żyletą”, omal nie doprowadziła do wyrzucenia mojej przyjaciółki ze studiów. Całe szczęście jakoś się Dorocie upiekło. Miała zawsze swoje sposoby!

– Patrz, jakie miałam wtedy loki! A Dorota na studiach miała sporo więcej kilogramów niż teraz – śmiałam się. – Ty za to byłeś okropnie chudy!

– Jak student biedny, to i głodny. Wtedy u nas w domu się nie przelewało. Marzyłem o tym, że kiedyś odniosę sukces i na wszystko będzie mnie stać – przyznał Franek.

– Chyba nikt z roku nie zaszedł tak daleko jak ty – powiedziałam z podziwem.

– Miałem też inne plany. Rodzinne, że tak powiem. Tu zawałem na całej linii.

– Jeszcze wszystko przed tobą. Masz dopiero czterdzieści lat. Mój dziadek w tym wieku spodziewał się syna!

– Może jakbym był śmielszy, to na studiach dałabyś mi szansę – powiedział zawstydzony.

– Wtedy to były... takie szczeniackie zaloty! – zażartowałam, ale Franek był poważny.

– Może teraz powinienem wreszcie zdobyć się na odwagę – powiedział i nachylił się w moją stronę. Czułam, że przekracza jakąś granicę. Granicę przyjaźni.

– Franek... Co ty robisz? My razem? Przecież ja mam narzeczonego, dziecko, dom.

– Nie jesteś z nim szczęśliwa. Przecież to widzę – stwierdził stanowczo. – Ja dałbym wam wszystko. Tobie i Michałkowi. To wszystko na was czeka. Tylko powiedz „tak”.

– Franek... Ty chyba nie mówisz tego poważnie? – zapytałam zdziwiona.

– Chcę dać wam szczęście.

– Franek... ale... – Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– Alicja, ja cię kocham – powiedział cicho i pocałował mnie w usta.

A ja ten pocałunek odwzajemniłam. Pochopnie, bezmyślnie, bez zastanowienia. I z poczuciem, że właśnie coś tracę. Objął mnie i tak długo całował, aż zabrakło nam obojgu tchu. Jego bliskość była mi potrzebna.

Rozdział XIII

Stawiając na prawdę – o listach pisanych sercem, ponownej walce w sądzie, próbach oszukania własnych uczuć i pamiętnych urodzinach

Twarzą w twarz

Tempo mojego życia przypomina film akcji. Na nudę nie mogę narzekać, szczególnie jeśli chodzi o mężczyzn. Zaskakują mnie na każdym kroku, zwłaszcza swoją determinacją. Franek przez kolejne trzy dni próbował się do mnie dodzwonić, pisał maile i esemesy. Nie, nie przepraszał. Wręcz przeciwnie, składał coraz to śmielsze propozycje. Mało tego, przyznał, że od dawna ma nadzieję, że wreszcie zwrócę na niego uwagę. Obiecywał, że będzie cierpliwie czekał. Tak napisał w ostatniej wiadomości. Potem przepadł. Teraz to ja dzwoniłam i pisałam, bo zaczęłam się o niego martwić. Miałam nadzieję, że gdzieś wyjechał, żeby wszystko przemyśleć.

Tyle samo trosk przysparzał mi Paweł. Również nie dawał za wygraną, ciągle próbował mi wmówić, że jeszcze nie wszystko stracone i przecież możemy spróbować od nowa. Dzwonił, pisał, nachodził mnie we „Wrzosowisku”. Nawet pofatygował się na spotkanie z Dorotą, żeby prosić ją o wstawiennictwo. Na szczęście moja przyjaciółka po prostu go przegoniła.

Może i mogłabym się tym wszystkim martwić, ale sprawa dokumentów sprzed lat skutecznie odrywała mnie od codzienności. A było czym się zająć. Fundacja przekazała nam kopię listu, który Elizabeth napisała do księdza Brauna jeszcze w obozie, na samym początku akcji wywożenia dzieci. Ksiądz przekazał go fundacji, która podjęła właściwe kroki, by ten bezcenny dokument zachować w dobrym stanie i wystawić w jednym z warszawskich muzeów. Stosowną kopię przywiózł dla nas pracownik fundacji i zapowiedział, że lada dzień czeka nas jeszcze jedna niespodzianka.

– Dziwnie się z tym czuję. Jakbym kogoś podglądał – przyznał Henryk, przechadzając się po swoim schronie. Uznaliśmy wspólnie, że to jest najlepsze miejsce do wyjaśniania tajemnic sprzed lat.

– A mnie zżera ciekawość. Jeszcze te kilka miesięcy temu nawet nie marzyłam o tym, że uda nam się odszukać dokumenty, poznać panią Matyldę, wysłuchać historii księdza Brauna, nawiązać współpracę z fundacją – mówiłam podekscytowana, ściskając w dłoniach białą kopertę, skrywającą list pisany ręką Elizabeth.

– Życie potrafi zaskoczyć, co?

– Dlatego trzeba brać, co nam daje. Dobra! Otwieram! Nie ma co zwlekać! Czytam!

Drogi Księżu!

Piszę ten list prosto z obozowego szpitala. Chociaż to miejsce trudno tak nazwać. Jest środek nocy, pełnię dyżur na salach, gdzie ludzie są zawieszani między życiem a śmiercią. Jak Bóg da i przeżyję ten okropny dla ludzkości czas, wtedy opowiem swoją

historię. By nikt nie zapomniał o tych, którzy zapłacili za naszą wolność życiem. Bo ja w to wierzę. Że przyjdzie taki dzień, kiedy bramy obozu zostaną wyważone, a więźniowie będą mogli wrócić do swoich domów i rodzin.

Nie znamy się, jednak ufam księdzu jak najbliższej w moim życiu osobie. Łączy nas troska o ludzkie życie. Czy robimy dobrze? Czasami nadchodzi mnie wątpliwość. Ale ocenę pozostawiam tym, za których podjęliśmy decyzję. Proszę się o nich modlić. Tylko tyle nam zostaje. Może Bóg da i kiedyś spotkam się z nimi twarzą w twarz i powiem, że chcieliśmy dać im szansę na szczęśliwe życie, mając zarazem nadzieję, że usłyszę także bezcenne słowo „dziękuję”.

Do zobaczenia kiedyś w lepszym świecie.

E.

– Miała wątpliwości – powiedział cicho Henryk. Oderwałam się od listu i spojrzałam w jego stronę. Był przygnębiony.

– Chyba każdy by miał. Ale zobacz... Cały czas wierzyła, że wojna kiedyś się skończy, a więźniowie wrócą do swoich rodzin.

– Każdy z nas w to wierzył. Tam naprawdę było miejsce na nadzieję. Także na przyjaźń, miłość, zwykłą życzliwość. Bez nich nie mielibyśmy siły, by rano wstać i odliczać dni do wyjścia z tego piekła.

– Dlatego muszę poznać tych, którym uratowali życie. Rozmowa z córką pani Matyldy była jak rozgrzeszenie. Rozwiązała wszelkie moje obawy, czy Jan i Elizabeth mogli decydować o życiu tych dzieci. Och, gdybyś słyszał jej opowieść!

Tak to już w życiu jest, że czasami wszystko zaczyna się układać w taki sposób, że wątpliwości same się rozwiewają, rozwiązują się problemy, mijają obawy. A wszystko to dzieje się w ekspresowym tempie i nawet nie ma czasu, żeby rzetelnie wszystko przemyśleć.

Nagły niezapowiedziany przyjazd pani Sabiny Walczak do Pniewa można przyrównać do trzęsienia ziemi. Miał jednak bardzo dobre konsekwencje, a to, co wcześniej wydawało się niemożliwe, nagle stało się jasne i oczywiste.

Gdy stanęła przed moją werandą, z miną osoby, która za chwilę przekaze niesłychaną wiadomość, już wiedziałam, że ten sierpniowy dzień na zawsze zmieni moje życie. I Henryka, bo on jeszcze mniej spodziewał się tego dnia tak ważnego gościa.

– Przepraszam, że nie uprzedziłam o swoim przyjeździe, ale musiałam się zjawić natychmiast – oznajmiła pani Walczak, a ja przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w nią w osłupieniu. – Zaskoczyłam panią, prawda?

– I to jak! Dzień dobry! Zapraszamy. Ach! Proszę pozwolić, że przedstawię! To jest właśnie mój przyjaciel, Henryk Sokolski, który razem z Janem i Elizabeth był w obozie Stutthof – powiedziałam z nieukrywaną dumą.

Henryk nie był tym zachwycony. Domyślałam się, że najchętniej by stąd uciekł

i nie pokazywał się nikomu na oczy przez cały tydzień.

– Dzień dobry, panie Henryku. Od dawna chciałam pana poznać. Pani Alicja bardzo dużo o panu opowiadała, a moja ciekawość rosła z dnia na dzień.

– Alicja lubi za dużo o mnie mówić, chociaż proszę ją, żeby tego nie robiła – odpowiedział z rozbawieniem.

– Zapewne wynika to z szacunku i sympatii do pana – stwierdziła pani Sabina.

– Proszę usiąść z nami. Proponuję zostać na werandzie. Mamy piękny dzień. Czego się pani napije? I od razu pytam z ciekawością, co sprowadza panią aż do Pniewa? – Nie kryłam, że jej nagły przyjazd był dla mnie wielkim zaskoczeniem.

– Okoliczności są szczególne. Mam bardzo dobre wiadomości dla państwa. Można by powiedzieć, że niespodziankę.

– Tym bardziej zamieniamy się w słuch.

Zamiast zrobić gościowi coś do picia i zaproponować coś do zjedzenia, przysiadłam na bujanym fotelu i wpatrywałam się w panią Sabinę.

– Już państwu wspominałam, że jako fundacja mamy pod swoimi skrzydłami kilka osób, które Jan i Elizabeth uratowali z obozu. Ale to nie wszystko. Porównaliśmy swoje dane z listą imion i nazwisk, która była dołączona do odnalezionych dokumentów, oraz z wykazem uratowanych dzieci, które ofiarował nam ksiądz Braun.

– Znaleźliście państwo coś nowego? – zapytałam, czując zarazem nagły strach. Spojrzałam na Henryka. On też wydawał się być poruszony.

– Tak, mamy jeszcze kontakt z dwiema innymi osobami. W naszej fundacji są przypisane do zupełnie innych spraw, stąd nie powiązaliśmy ich od razu z akcją ratowania dzieci z obozu Stutthof. Dopiero porównanie tych list dało nam taką możliwość.

– Ci ludzie wiedzą o swojej przeszłości? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak. Od dawna. Dowiedzieli się od swoich rodziców adopcyjnych. Nie szukali swoich rodzin, w pewnym sensie pogodzili się z życiem i nie chcieli go zmieniać. To nie wszystko. Te osoby dostały od nas zaproszenie na doroczną galę i wiedzą, że państwo też będziecie. Przed spotkaniem postanowili napisać do państwa listy. Oto one – powiedziała uroczyście i wyjęła z torebki kilka listów.

– Listy? Do nas? – dopytywałam zdziwiona.

– Tak, chcieli sprawić państwu niespodziankę. Śmiało, proszę przeczytać!

Henryk dał mi znać, że bym otworzyła pierwszy list. Czytałam go na głos, nie mogąc uwierzyć w te słowa. Z każdym zdaniem moje serce napełniała radość. A także poczucie ulgi, bo słowa napisane przez nadawców rozwiewały wszelkie moje wątpliwości.

Gdy dorosły człowiek dowiaduje się nagle, że cudem ocalał z obozu zagłady, wtedy wszystko się zmienia. Najpierw są pytania. Setki pytań. I poczucie, że żyło się w kłamstwie. Ale jak przychodzi moment odkrywania prawdy, wtedy dociera do głowy taka myśl, że ktoś zadawał sobie ogromny trud, by inni mogli dostać nowe życie. To jest najważniejsze. Dostać tyle od zupełnie obcych ludzi to niezwykle szczęście.

Ellas Bieler

W ciągu tygodnia mam taki zwyczaj, że każdy wtorek nazywam „dniem wolności”.

Po latach dowiedziałem się, że dokładnie we wtorek, dwudziestego siódmego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku dostałem nowe życie. Dlatego każdy wtorek jest moim prywatnym świętem. Modłę się za tych, którzy dali mi szansę. Bez nich dziś by mnie tu nie było. Więcej pisać chyba nie trzeba.

Adrian Langer

W czepku urodzona. Tak mogę o sobie napisać. Właśnie siedzę w swoim pięknym domu, w kuchni krzątają się moje córki, a na podwórku bawią wnuki. Patrzę na nich i wiem, że gdyby nie było na tym świecie mnie, nie byłoby też ich. To wystarczy, by mieć pewność, że dana kiedyś szansa została dobrze wykorzystana. Bo tak właśnie myślę, że moim obowiązkiem, poza ogromną wdzięcznością, jest takie życie, dzięki któremu udowodnię sobie i innym, że dana mi szansa nie została zmarnowana.

Amy Witt

Dziękuję. Jedno słowo, więcej na razie nie mogę napisać. Jestem mocno poruszona tym, że niebawem się spotkamy. Do zobaczenia!

Elsa Jauch

Przez wiele lat zastanawiałem się, kim byli ci, którzy wywieźli mnie z obozu. Czy moi prawdziwi rodzice o tym wiedzieli, czy zrobiono to bez ich zgody? Czasami się buntowałem, zadając sobie pytanie, kto i dlaczego śmiał to zrobić. Obiecałem sobie, że ich znajdę i zadam kilka niewygodnych pytań. Dziś inaczej na to patrzę. Może i ktoś za mnie zdecydował o moim życiu, ale dzięki temu w ogóle jestem. Mogę wstać rano, napić się ulubionej kawy, pójść z wnukiem na mecz, odliczać czas do świąt, planować następne wakacje. W tych drobnych sprawach mam odpowiedzi na wszystkie wątpliwości.

Horst Wanke

Ich listy były na wagę złota. Henryk łapczywie czytał kolejne zdania i wyobrażał sobie, co powiedzieliby Jan i Elizabeth, gdyby także mogli je przeczytać. Zaczął opowiadać pani Sabinie o obozie, o codziennym życiu, o ich wielkiej przyjaźni. Planował wyjazd na galę i spotkanie z tymi, którzy dostali szansę na nowe życie. Mało tego, poruszony ciepłem zawartych w listach słów stwierdził, że sam również powinien spisać swoje wspomnienia!

Kolejna próba sił

– Na to nie da się przygotować. Też się bałam tego badania, a Maciek ciągle powtarzał mi, że mam po prostu zachowywać się tak jak na co dzień – odparłam nieco rozdrażniona zmartwieniami Adama. Po raz kolejny tłumaczyłam mu, jak wygląda badanie w ośrodku w Ostrołęce. Kilka miesięcy temu, starając się o adopcję Michałka, przechodziłam dokładnie to samo. Mogłabym już nawet udzielać porad innym.

– Joanna na pewno z czymś wyskoczy – stwierdził zrezygnowany.

– Z czym? Będziecie rozmawiać ze specjalistami, którzy naprawdę znają się na

rzeczy. Bardzo szybko wychwyca próby oszukiwania czy udawania – uspokajałam go.

– A jak Rozalka wybierze matkę? – padło wreszcie to pytanie. Adam najbardziej boi się tego, że Rozalka ostatecznie wybierze Joannę. Jej zdanie również będzie miało wpływ na ostateczną decyzję sądu.

– Jak czujesz? Co ci podpowiada intuicja? – zapytałam, podchodząc bliżej.

– Co ja mogę? Wydaje mi się, że przy mnie Rozalka czuje się bezpieczna. Joanny się obawia. Sama to mówiła – stwierdził z nutką nadziei w głosie.

Na badanie do Rodzinnego Ośrodka Diagnostyczno-Konsultacyjnego w Ostrołęce jechaliśmy pozytywnie nastawieni. Dla towarzystwa pojechał z nami Michałek. Początkowo nawet nie braliśmy tego pod uwagę, ale później uznaliśmy, że jego obecność zapewni Rozalce dodatkowe wsparcie. To był dobry pomysł, dziewczynka tryskała energią i tłumaczyła Michałkowi, że to ważne badanie i ma zamiar być dzielna.

Zaraz przy wejściu do budynku natknęliśmy się na Joannę. Wylewnie przywitała się z Rozalką, a mnie i Adamowi podała rękę, co wprawiło nas w niemałe zdziwienie. Po chwili zorientowałam się, o co chodzi. Maciek uczył nas, że w ośrodku nawet na korytarzu są kamery i od samych drzwi możemy być obserwowani. Widocznie Joanna też o tym wiedziała i chciała koniecznie pokazać, jaka z niej dobra matka i jaka życzliwa osoba. W specyficzny dla niej sposób. Dałam Adamowi znak, by się nie denerwował. Bardziej martwiłam się o Rozalkę.

Na szczęście nowa sytuacja i nowe miejsce nie zrobiły na niej dużego wrażenia. Grzecznie przywitała się z matką, a potem wraz z Michałkiem podeszła do szafek, na których stały kolorowe zabawki. Joanna co jakiś czas wtrącała się do ich wspólnej zabawy i dawała rady, co i jak mają robić. Z Adamem spoglądaliśmy na siebie porozumiewawczo. Przedstawienie Joanny przerwała młoda kobieta, która pojawiła się w drzwiach gabinetu. Przedstawiła się jako psycholog i wyraziła nadzieję, że badanie przebiegnie sprawnie. Adam jeszcze raz się na mnie obejrzał, a potem razem z Joanną i Rozalką zniknęli za białymi drzwiami. Michałek od razu stwierdził, że muszę go zabrać na frytki. Zgodziłam się, bo wiedziałam, że badanie będzie trwać około czterech godzin. Przez cały czas zastanawiałam się, jak radzi sobie Adam i czy Joanna znowu nie zacznie kombinować.

Tym większe było moje zdziwienie, kiedy wracając z Michałkiem z pobliskiego baru, stałam się świadkiem niezwyklej sceny. Joanna właśnie z impetem otworzyła drzwi ośrodka, mówiła coś pod nosem i energicznie gestykulowała rękami. Szybko wsiadła do samochodu i odjechała z piskiem opon. Po chwili na schodach pojawili się Rozalka i Adam.

– Ta kobieta nigdy się nie zmieni! – mruknął pod nosem. Stojąca obok niego Rozalka była wystraszona.

– Co się stało? Jak badanie? – Zorientowałam się, że wydarzyło się coś, czego nikt z nas nie przewidział.

– Chodźcie... Pójdziemy do parku na lody – odparł Adam i dał mi znać, bym zaczęła chwilę ze swoimi pytaniami.

Widziałam wyraźnie, że badanie nie wypadło po jego myśli. Był milczący. W parku rozglądał się dziwnie wokół siebie. Poczekał, aż dzieci dostały ulubione lody i poszły na huśtawki.

– Powiesz wreszcie, o co chodzi? – pytałam zmartwiona.

– Jak to co? Nawet tu Joanna musiała urządzić przedstawienie! – odparł zdenerwowany.

– Co konkretnie się stało?

– Wszystko było w porządku, gdy każde z nas poszło na badanie oddzielnie. Najpierw ona z Rozalką, potem ja. Tak jak mówiłaś. Kazali nam się bawić, obserwowali nas, zadawali pytania. Rozalka powiedziała, że kocha mnie najbardziej na świecie i chce ze mną mieszkać – przyznał z delikatnym uśmiechem.

– To chyba dobrze wypadliście?

– Nie do końca. Potem panie prowadzące badanie wezwały do gabinetu nas wszystkich. No i się zaczęło – stwierdził zrezygnowany.

– Nie strasz mnie...

Można się było domyślić, co się wydarzyło. Gdy doszło do konfrontacji, Joanna pokazała, na co ją stać. Nakręciło ją to, że Rozalka nie chciała usiąść jej na kolanach, a na pytanie, z kim chciałaby mieszkać, zdecydowanie odpowiedziała, że z tatą. Potem było już tylko gorzej.

Joanna powiedziała psychologom, że są stronniczy i z góry założyli, jak ma się potoczyć badanie. Zarzucała im złe przygotowanie, brak fachowego podejścia i postraszyła, że zgłosi sprawę ich przełożonym. Wyszła z gabinetu, nie czekając na koniec badania. Zagroziła, że znajdzie sposób, by odebrać Adamowi dziecko. Rozalka, słysząc to, zaczęła krzyczeć, że nie chce, by tata ją oddawał. Aż nie mogłam w to uwierzyć.

Po kilku dniach jechaliśmy na kolejną wyznaczoną przez sąd rozprawę. Byliśmy pewni, że czeka nas tak samo trudna przeprawa jak i w ośrodku w Ostrołęce. Nie myliliśmy się. Joanna nabrała impetu w wymyślaniu nowych pomówień i kłamstw pod adresem Adama. Do tego, że był niedobrym mężem i ojcem, dorzuciła jeszcze historyjkę o tym, że Adam miał ją straszyć popełnieniem samobójstwa i zmusił, żeby porzuciła pracę zawodową.

Na tej rozprawie wystąpiłam jak świadek. Mówiłam, jakim Adam jest ojcem, jak radził sobie po nagłym zniknięciu żony i jak całą sytuację znosi Rozalka. Swoje zeznania złożyła również Mikulska. Ze strony Joanny zeznawała jakaś kobieta, podobno znajoma z czasów studiów. Wystraszyła się jednak, widząc sposób działania Joanny. Jako świadek wypadła słabo, nie wniosła do sprawy niczego nowego.

Kiedy Maciek wnioskował o dopuszczenie do sprawy nowych świadków, czyli dawnych znajomych Adama – Eweliny Pasockiej i Katarzyny Marczak, uzasadniając, że mają wiele do powiedzenia w kwestii prowadzenia się Joanny po opuszczeniu rodziny, a także na temat głośnej afery z jej udziałem w Londynie, Joanna wpadła w furję i zaczęła tłumaczyć przed sądem, że to próba zszargania jej nieposzlakowanej opinii. Zarzuciła Adamowi spisek, a także stwierdziła, że na pewno jego świadkowie zostali przekupieni i będą się starali ją oczernić. Sędzia jak najszybciej zamknął rozprawę i poinformował, że niebawem poznamy kolejny termin.

– Nie zrobisz tego! – Joanna podbiegła do Adama na korytarzu i złapała go za przedramię. Wyglądała jak rozwścieczony wilk.

– Masz coś do ukrycia? Ciekawe, co sąd powie o tym, że przez ciebie omal nie odebrał sobie życia ojciec dwójki dzieci? Co? Tak szybko o tym zapomniałaś?

– Pożałujesz! Przyprawdzą takich świadków, że się zdziwisz!

– Proszę bardzo! Nie mam nic do ukrycia.

– To jeszcze się okaże!

Odwróciła się na pięcie i z impetem wyszła na zewnątrz.

– Co za człowiek... Tylko krzywdziłaby innych – westchnęła ciężko Mikulska.

– Spokojnie, mam, jeszcze trochę i będzie po wszystkim – zapewnił ją Adam.

Tęsknota

Sprawę Ewy i Kamila uznałam nieopatrnie za zamkniętą. Tyle razy moja siostra zarzekała się, że już nie zamierza mieć z nim kontaktu. Namawiałam ją, żeby jeszcze spróbowała, ale była nieugięta. Widocznie miała jednak plan, by zrobić to bez świadków, bez dobrych rad, po swojemu.

Zadzwoiła do mnie w ciągu dnia i zapytała, czy mogłybyśmy się spotkać. Niestety, byłam zajęta pracą, a wyjazd do Warszawy był ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę. Sądziłam, że chodzi jej o zwykle siostrzane ploteczki.

Szybko zmieniłam zdanie, gdy koło południa zobaczyłam ją na swoim podwórku. Akurat siedziałam na werandzie. Na stole miałam rozłożone szkice, próbki roślin, narzędzia kreślarskie i chyba ze cztery filiżanki po wypitej kawie. Dzieci bawiły się radośnie na obrzeżach sadu. Na widok cioci rzuciły się jej w ramiona i od razu zaczęły dopytywać, czy przypadkiem czegoś im nie przywiozła. Ewa pod tym względem była zawsze przygotowana. Dzieci dostały od niej po tabliczce czekolady i nic nie pomogło moje kręcenie głową.

– Za bardzo ich rozpieszczasz. I to jeszcze czekoladą. A dentysta ostatnio jasno powiedział, że mają zakaz jedzenia słodczy – tłumaczyłam groźnym tonem na widok jej zmartwionej miny. – Proszę, usiądź sobie. Przepraszam za bałagan, ale inaczej nie umiem. Wszystko jest mi potrzebne. Podziwiam tych, co zawsze mają porządek.

– Ależ nie przejmuj się. U mnie jest tak samo. Posprzątam i zaraz znowu mam całe mieszkanie zavalone rzeczami, które na pewno kiedyś mi się przydadzą – zaśmiała się.

– Jesteśmy za bardzo sentymentalne! Czego się napijesz?

– Dobrej kawy. Prawie dzisiaj nie spałam.

Kawa była gotowa po kilku minutach. Ostatnio kupiłam ekspres i był to strzał w dziesiątkę. Jedynym minusem było to, że podwoiła się liczba kaw wypijanych przeze mnie w ciągu dnia!

– Powiedz w ogóle, jak tu dotarłaś? I gdzie Sylwia? – zapytałam, wchodząc na werandę z tacą, na której niosłam filiżanki, dzbanuszek z mlekiem i kilka kawałków ciasta z malinami, które wczoraj przyniosła pani Irenka. W sam raz dla niespodziewanego gościa.

– Autobusem. Nie powiem, całkiem miło się jechało, miałam czas na słuchanie audiobooka. A Sylwia jest dziś w dzielnicowym domu kultury. Ma zajęcia teatralne.

– Super! To naprawdę mądra dziewczynka. Dobrze, że dajesz jej takie możliwości.

– Sama ich nie miałam, więc niech moja córka korzysta z życia – przyznała smutno.

– A ty jak się czujesz? – zapytałam, widząc jej zmęczenie.

– Czuję się tak sobie. Ale ważniejsze, że jest coś, o czym ci nie powiedziałam

– stwierdziła poważnie, patrząc na mnie wystraszonego wzrokiem. A ja poczułam w sercu dziwne ukłucie. Czyżby kolejne tajemnice?

– Mam się bać?

– Nie. Chodzi o mnie i Kamila. Spotkałam się z nim ponownie. Dwa razy. Nic nie mówiłam, bo tak było łatwiej. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz?

– Wiesz... Nie mam prawa wtrącać się do twoich spraw. Uznałaś, że tak będzie lepiej i ja tę decyzję akceptuję. Powiedz lepiej, co wyniknęło z tych spotkań?

– Powiedziałam mu o Sylwii. Że jest jego córką.

– I co on na to? – zapytałam, dokładnie ją obserwując. Była poruszona.

– Bałam się, że będzie krzyczał, może mnie zwyzywa... A on tylko powiedział, że do tej pory jakoś tłumaczył sobie to, że go zostawiłam. Ale utajenie faktu, że byłam z nim w ciąży i mam córkę, nazwał najbardziej okrutną krzywdą, jaką mogłam mu wyrządzić.

– Nie chcę absolutnie cię oceniać, ale rozumiem jego żal. Czuje się oszukany. Wykorzystałaś jego miłość, a potem z dnia na dzień go rzuciłaś. Teraz pojawia się w jego życiu, w dodatku z informacją, że ma kilkuletnią córkę. Postaraj się go zrozumieć.

– Ja wiem, że on ma rację. Bardzo go skrzywdziłam – mówiła łamiącym się głosem.

– Może jakoś jeszcze uda się to posklejać?

– Dotarło do mnie, że Kamil bardzo dużo dla mnie znaczy. Że przez te wszystkie lata bardzo za nim tęskniłam. I chyba nadal go Kocham... – wyznała ze łzami w oczach.

– Ewa... To jednak nie będzie takie proste. A co mówił o Sylwii? Chce ją zobaczyć?

– Tak. Nawet bardzo – odpowiedziała, wycierając nos. – Powiedział, że teraz nie będzie w życiu sam i chce uczestniczyć w jej wychowaniu.

– O widzisz... To wiele znaczy. Chce spróbować naprawić przeszłość. Nie mówię o tym, że macie do siebie wrócić, bo nie sądzę, żeby to było możliwe. Ale macie córkę.

– Wiem. Będę się starała z całych sił, by Sylwia mogła mieć ojca i żeby Kamil mógł być częścią naszego życia. Mnie nie wybaczysz nigdy. Ale dla Sylwii może zrobić dużo.

Jej wyznanie bardzo mnie zaskoczyło. Nie dość, że na własną rękę skontaktowała się z Kamilem, to jeszcze okazało się, że wciąż go kocha. Nie umiałam sobie wyobrazić, co może czuć mężczyzna porzucony przed laty, do którego nagle odzywa się dawna miłość. W dodatku dowiaduje się, że ma córkę. Boże! Nie chciałabym się znaleźć w takiej sytuacji.

Ewa miała jeszcze jeden problem do rozwiązania. Przyznała, że Jonas zaproponował jej, żeby spróbowali razem stworzyć związek. Nawet się wstępnie zgodziła, bo mój przyjaciel był mężczyzną, który dawał jej ogromne poczucie bezpieczeństwa.

Ale odżyło w niej uczucie do Kamila. Była świadoma tego, że na pewno Kamil do niej nie wróci, ale to sprawiło, że nie chciała obiecywać Jonasowi zbyt wiele. Nie kochała go. Owszem, była wdzięczna za pomoc i opiekę, ale pomiędzy nimi brakowało chociażby wzajemnej fascynacji. Ewa, nauczona już, jak łatwo można zranić czyjeś uczucia, powoli zaczęła wycofywać się z tego układu. Trzymanie dystansu było najlepszym wyborem.

Jonas od razu zauważył zmianę. Bo i trudno było nie dostrzec, że Ewa zachowuje się inaczej niż dotychczas. Zabiegał o nią jeszcze bardziej, nie rozumiejąc, o co tak naprawdę chodzi. Zaczął obwiniać siebie. Ewa nie mogła dłużej czekać. Opowiedziała mu o swoim związku z Kamilem i o tym, że zakończyła go przed laty, dokonując wyrachowanego wyboru. Przyznała się do tego, że udało jej się odnaleźć Kamila i ma zamiar zrobić dosłownie wszystko, by jego relacje z Sylwią były jak najlepsze. Miał prawo widywać się z córką i mieć udział w jej wychowaniu. O sobie również wspomniała, przyznając się, że tak naprawdę wciąż kocha Kamila. Mimo pewności, że on nigdy jej nie wybaczy uczynków z przeszłości, na pewno nie może być z Jonasem i nie chce dawać mu nadziei.

Jonas, jak to Jonas, przyjął jej słowa do wiadomości i zapadł się pod ziemię. Dzwoniłam do niego przez cały następny dzień, ale nie odbierał. Bardzo mnie to niepokoiło, więc zdecydowałam się go odwiedzić w jego warszawskim mieszkaniu. Nie był zdziwiony moją wizytą. Czuć było od niego alkohol. A więc tak, zapijał smutki.

– Zostawiła mnie – stwierdził, kładąc się na sofie.

– Wiem, że jest ci ciężko, ale ja ją rozumiem. Postanowiła zakończyć wszystko na wstępnym etapie. Nie chciała cię ranić.

– No... Byłem dobry, kiedy potrzebowała pomocy. Możesz jej przekazać, że nie musi się martwić o pracę u mnie. Nie jestem ostatnim łajdakiem.

– Jonas... proszę cię... Mówisz tak, jakby zerwała z tobą kobieta po kilku latach związku. Ewa się pogubiła i chce być wobec ciebie uczciwa. Nie skreśla waszej znajomości. Chce jedynie poczekać. Wolałbyś, żeby dała ci nadzieję, a potem, na przykład po roku, cię rzuciła?

– Nie – mruknął pod nosem.

– Dąsanie się nic tu nie da. Pomyśl sobie, że to taki mały sprawdzian dla was. Jeżeli upłynie trochę czasu i okaże się, że jednak będziecie chcieli ze sobą być, to tym lepiej. Zaczekasz?

– A mam wyjście? Alicja... To nie jest tak, że Ewa jest moim sposobem na walkę z nudą. Ja naprawdę coś do niej czuję – mówił, patrząc mi prosto w oczy.

– Wiem. Życzę wam jak najlepiej. Ale proszę cię, daj jej trochę czasu.

– Czas tu nic nie pomoże. Ona już wybrała. To widać.

Czterdzieści lat minęło...

Urodziny to taki moment, kiedy człowiek zaczyna zastanawiać się nad tym, co już przeżył i co jeszcze go czeka. Szczególnie, kiedy zbliżają się okrągłe urodziny. Coś się kończy, coś się zaczyna. Taki moment przełomowy. Z upływem lat życie wcale nie staje się łatwiejsze, po prostu człowiek jest na tyle dojrzały, że łatwiej radzi sobie z problemami. Najpiękniejszych chwil w życiu nie można zaplanować. One przychodzą same. Tak jak i wszystko inne. Czy się zmieniłam? Bardzo... Aż trudno uwierzyć, jaka była Alicja Pniewska pięć, dziesięć, dwadzieścia lat temu.

Nic dwa razy się nie zdarza... Także czterdzieste urodziny! A w naszej rodzinie sierpień to przecież miesiąc potrójnych urodzin: moich, Rozalki i Michałka. Takie święto

wymagało niezwykle przygotowań. Jak zwykle nie mieliśmy żadnego planu, ale znając naszych przyjaciół, mogliśmy mieć pewność, że każdy z nich przygotuje coś wyjątkowego. Razem z Adasiem na miejsce uroczystości wybraliśmy nasz sad. Nie mogło być inaczej! W głównej alei ustawiliśmy kilka stołów, które wypożyczyła nam pniewska straż pożarna. Przykryliśmy je kolorowymi obrusami, na których dzieci poustawiały zrobione z kwiatów dekoracje. Na drzewkach powiesiliśmy lampiony i girlandy, by uzyskać niezwykle bajkową scenerię.

Przygotowania trwały dobre dwa dni. Pani Irenka, pani Mikulska, Basia, babcia Jasia i Dorota zaangażowały się w przygotowanie jedzenia. Co tu dużo mówić... Zrobiły tego tyle, że zapewne starczyłoby dla całego pułku w wojsku! Ciągle dostawałam od nich reprimendę, że mam się zająć sobą, a resztę zostawić im. Dorota nawet chciała mnie na pół dnia wysłać na jakieś zabiegi do salonu swojej koleżanki, ale się zbuntowałam. Wolałam mieć wszystko pod kontrolą. Za to dostałam od niej szczególny prezent. Zwiewną sukienkę aż do samej ziemi w kolorze pudroworóżowym, w której wyglądałam niczym dziewczyna u progu dorosłości. Postanowiłam w niej wystąpić na urodzinach. Szczególna sukienka na wyjątkową okazję.

Goście dopisali! Największą radość miałam z przyjazdu Doroty i jej rodziny. Zosia tryskała energią i można powiedzieć, że prawie nie było śladu po jej wypadku. Moja przyjaciółka dawno nie była tak szczęśliwa. I taka spokojna o to, że jej dziecku nie grozi już nic złego. To samo mogłam powiedzieć o Ewie. Co prawda była nieco wycofana i zbyt cicha, ale widziałam, że czuje się zdecydowanie lepiej. Nawet na krok nie odstępował jej Jonas, który wciąż miał nadzieję, że zdobędzie jej serce. Sama byłam ciekawa, co z tego wyniknie. Na szczęście nie było niespodziewanego nalotu Joanny, która dostała od Adama rozkaz, żeby nawet nie próbowała w ten ważny dla nas dzień pojawiać się w Pniewie.

Mnie samą najbardziej zadziwił Franek. Byłam pewna, że gniewa się na mnie za to, że nie odwzajemniłam jego uczuć. Jednak zadzwonił jakieś dwa dni temu i zapytał, czy może przyjechać na urodziny. Serdecznie go zaprosiłam i miałam nadzieję, że nasza relacja wróci na dawne, przyjacielskie tory.

Goście nadciągali z każdej strony. Poza rodziną i przyjaciółmi zaprosiliśmy małych przyjaciół Michałka i Rozalki, a także sąsiadów bliższych i dalszych, bez których już sobie nie wyobrażam swojego życia w Pniewie. Adaś zrobił nam niespodziankę i zaprosił kolegę, który przygotował pokaz baniek mydlanych. Na prawie godzinę przenieśliśmy się w świat magii. Dzieci były zachwycone! Ja tym bardziej! To były takie urodziny, jakie miewa się tylko w marzeniach.

Dzieci miały ogromny, wielopiętrowy tort i od razu zaznaczyły, że mogą mi odstąpić najniższą warstwę. Obsypane przez wszystkich mnóstwem prezentów czuły się jak w siódmym niebie. Natychmiast stwierdziły, że takie święto powinno być przynajmniej dwa razy w roku. Rozalka nie mogła się wprost nacieszyć zestawem dla małej krawcowej, a Michałek z dumą oglądał nowy kask do jazdy na rowerze. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że z samego rana dzieci poszły same nad staw, by wrzucić do niego po pięć monet. Ostatnio wyczytały w książce, że to przynosi szczęście. Babcia Jasia od razu skarciła je za tak mało rozsądne zachowanie i zapowiedziała, że mają zakaz

chodzenia nad staw.

Patrzyłam na wszystkich ludzi wokół mnie i nie mogłam wprost uwierzyć w swoje szczęście. Powrót do starego domu w Pniewie był początkiem niezwykłych zmian.

– Rok temu były zaręczyny, więc wszyscy oczekujemy na jeszcze lepsze wieści!
– zaczął Maciek, a reszta mu wtórowała.

– Wszystko w swoim czasie. Na pewno z Adasiem jeszcze was zaskoczymy
– odparłam nieco zawstydzona tymi pytaniami o ślub. – Zresztą, jak wiecie, żadna ze mnie panna młoda nie będzie. Tej czwórki z przodu nie da się już wymazać!

– Alicjo! Bo ty teraz wchodzisz w drugą, lepszą połowę życia! – stwierdziła pani Irenka.

– Oby! Liczę na to, że przede mną już tylko same dobre zdarzenia – powiedziałam z nadzieją w głosie.

Co jakiś czas chodziłam między starym domem i sadem, starając się zadbać o to, by gościom niczego nie brakowało.

W tym pędzie zatrzymałam się jednak na chwilę i wzięłam do ręki stojące na kominku zdjęcie moich dziadków. Czterdzieści lat życia. Tyle się wydarzyło. Czy byliby ze mnie dumni? Co powiedzieliby na to, że w moim sadzie jest dzisiaj tylu gości? Dziadek zapewne zabawiałby ich niezwykłymi opowieściami, a babcia krzątałaby się w kuchni i tylko donosiła coraz to nowe smakołyki. Wszystko bym oddała, by mieć ich z powrotem chociaż na jeden dzień. Porozmawiać, przytulić się.

– Tęsknisz za nimi? – usłyszałam za sobą znajomy głos. Nie musiałam się odwracać, by wiedzieć, że stoi za mną Franek. Poczulałam się niezręcznie.

– Byłam dla nich bardzo ważna – odpowiedziałam po chwili namysłu i odwróciłam się. Miał bardzo smutne oczy. Wyglądał jak człowiek, który czeka na słowo otuchy.

– Alicja... Naprawdę cię mocno... – próbował podjąć niewygodny temat.

– Franek... Błagam cię, nie tu i nie teraz. Nie mów nic, czego nie będzie można cofnąć. Bardzo cię lubię i jesteś dla mnie kimś bliskim. Prawdziwym przyjacielem...

– Mógłbym dać ci wszystko. Wystarczy jedno słowo – przekonywał mnie. Podeszedł, położył dłonie na moich ramionach. Nie mogłam wykonać najmniejszego ruchu. Jego pewność siebie mnie onieśmiała.

– Franek... Ja naprawdę uwielbiam swoje życie. Nie komplikuj go – poprosiłam jak osoba, która panicznie szuka ratunku. Przy nim traciłam panowanie nad sobą.

– Alicjo, wszystko w porządku? – zapytał Adam, który zniemacka znalazł się w drzwiach. Franek natychmiast się ode mnie odsunął. Bałam się, że zaraz dojdzie do awantury.

– Tak... Wszystko dobrze. Franek tylko... – próbowałam coś szybko wymyślić.

– Jeszcze raz, Alicjo, wszystkiego dobrego, niech kolejne lata będą dla ciebie jak najlepsze. Po prostu bądź szczęśliwa – powiedział głośno Franek i pocałował mnie w policzek. – Będę się zbierał. Mam dziś samolot do Francji. Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Wyszedł pospiesznie z domu, a ja czułam, że kamień spada mi z serca. Adam długo na mnie patrzył, ale nic nie powiedział. Na pewno się domyślił, że Franek przekroczył granicę naszej przyjaźni. Byłam mu wdzięczna, że zbył wszystko milczeniem.

Zabawa trwała do późnej nocy. Dzieci dokazywały i pełno ich było wszędzie. Adaś dwoił się i troił, by spełnić każde ich życzenie. Babcia Jasia siedziała zamyślona. Henryk towarzyszył dzieciom w ich zabawach. Dorota wtuliła się w Maćka, ciesząc się odzyskanym szczęściem. Jonas okrył swoją marynarką ramiona Ewy i dbał, by niczego jej nie brakowało. A ja? W duszy nazywałam siebie niezwykłą szczęściarą. Na wyciągnięcie ręki miałam tych, którzy zrobiliby dla mnie wszystko. Jeszcze długo po północy rozbrzmiewały w mroku nasze rozmowy i radosny śmiech. Dzieci, bardzo zmęczone całodziennymi harcami, postanowiły spać w mieszkaniu Henryka, który obiecał się nimi opiekować. Reszta przyjezdnych miała wyznaczone pokoje w domu babci Jasi. Nie było sensu wracać po nocy. Tym bardziej że mieliśmy zaplanowany poranny wyjazd nad rzekę i piknik. Chwilę posiedziałam jeszcze na werandzie i z zamkniętymi oczami rozkoszowałam się wspomnieniem minionych godzin. Dawno nie byłam tak szczęśliwa. Swoje czterdzieste urodziny oceniłam jako idealne.

– Już dawno zauważyłem, że się w tobie buja. Dziś posunął się trochę za daleko. Na kolejny krok mu nie pozwolę – powiedział groźnie Adam, gdy zostaliśmy już sami w starym domu. Przestraszyłam się. Jednak o wszystkim wiedział. Czekałam na kolejne wyrzuty.

Zamiast tego chwycił mnie i przyciągnął do siebie. Jedną dłoń wplótł w moje włosy i odchylił moją głowę do tyłu. Łapczywie całował usta, szyję, dekolt. Spojrzałam w jego oczy. Był jak zwierzę, które zaznacza swój teren i ma zamiar go bronić do końca. Uśmiechnął się zawadiacko, jak to tylko on potrafi. Odwzajemniałam jego pocałunki i pozwoliłam, by przejął nad wszystkim kontrolę. Pospiesznie zdjął ze mnie sukienkę, wziął na ręce i zaniósł do sypialni. Kochaliśmy się, jakby jutro świat miał się skończyć. Chciwi kolejnego pocałunku, dotyku. Spragnieni siebie, rytmicznie zmierzaliśmy w kierunku nieziemskiej rozkoszy. Przyszła szybko, gwałtownie i była wymownym znakiem tego, że należymy wyłącznie do siebie. Nikt nie mógł stanąć pomiędzy nami. Nigdy.

Rozdział XIV

Chwytając chwile szczęścia – o nagłej zmianie planów, decydującej rozgrywce w sądzie, niespodziewanych decyzjach i spotkaniu ludzi, którzy dostali nowe życie

Propozycja nie do odrzucenia

Z okazji urodzin mieliśmy jeszcze jedną niespodziankę. Wyjazd na wakacje. Dokładnie do Zakopanego, na tydzień. Rok temu obiecaliśmy to dzieciom, a żeby było nam różniej, pojechaliśmy całą gromadą. Dorota z Maćkiem i dziewczynkami mieli wreszcie szansę ochłonąć po kilku miesiącach walki o zdrowie Zosi. Ewa z Sylwią potrzebowały odskoczni od codziennych problemów, a także chociaż odrobiny radości po śmierci Magdaleny. Miałam pewne obawy, czy wyjazd w tak dużej grupie nie zaowocuje nieporozumieniami między nami. Wiadomo, co innego spotykać się raz na jakiś czas, a co innego spędzać ze sobą całe dni.

Znowu martwiłam się niepotrzebnie. Dzieci były zachwycone nie tylko samym wyjazdem, ale i tym, że od rana do nocy mogą się razem bawić. Michałek marzył o wjechaniu kolejką na Kasprowy Wierch. Dziewczynki trochę się bały, ale mój synek skutecznie je przekonał. Rozalka uwieczniła kamerą komórki całą trasę wjazdu na szczyt góry i od razu oznajmiła, że pochwali się niezwykłą pamiątką już pierwszego dnia w szkole. Zuzia i Zosia obiecały sobie, że zostaną w przyszłości (uwaga!) skoczkami narciarskimi! Sylwia ciągle powtarzała, że kiedyś będzie miała taki sam stary dom jak ja, tylko że w górach.

A dorośli? Również świetnie bawiliśmy się w swoim towarzystwie. Każdego dnia mieliśmy wyznaczone dyżury opieki nad maluchami. Za to wieczory należały wyłącznie do nas, wtedy dzieci zostawały pod opieką animatora w hotelu. Chodziliśmy do restauracji, na dyskoteki, spacerowaliśmy nocami po mieście. Byliśmy szczęśliwi. Dopiero podczas wyjazdu dostrzeżliśmy wraz z Adamem, jak bardzo oddaliły nas od siebie problemy związane z Joanną. Przyznał, że tamtej nocy, gdy zostałam napadnięta i w końcu musiałam prosić o pomoc Pawła, on specjalnie nie odbierał, bo był na mnie zły. A teraz miał z tego powodu poczucie winy i nie mógł sobie darować, że mi nie pomógł. Gdy dowiedział się, że spędziłam noc u Pawła, wystraszył się, że może nie jestem pewna swoich uczuć. Uznał, że naciskanie na mnie nic nie da, bo przecież nikogo nie można zmusić do miłości. Ten wyjazd dał nam poczucie bliskości i pozwolił spojrzeć na wszystko z innej perspektywy – dwojga ludzi, którzy nie wyobrażają sobie życia bez siebie. Wreszcie przestałam się czuć samotna.

Powrót do domu był nieco bolesny, bo nikt z nas nie miał ochoty rezygnować z wakacyjnej sielanki. Ale wyjścia nie było, tym bardziej że pani Irenka dała mi znać, że stan zdrowia babci Jasi się pogorszył. Wakacyjne upały źle na nią wpływały i znowu miała bardzo poważne problemy z ciśnieniem. Uznała oczywiście, że pani Irenka

niepotrzebnie nas zawiadomiła, bo jest przecież pod troskliwą opieką sąsiadek.

Henryk zdradził nam, że babcia Jasia całe dnie przesiadywała na cmentarzu przy grobie swojego męża, córki i zięcia, a potem tłumaczyła, że jest bardzo zmęczona życiem i czuje, że niedługo przyjdzie jej się pożegnać ze światem żywych.

Humor poprawiły jej dzieci, które zaraz po powrocie strasznie rozrabiały, ciesząc się ostatnimi dniami wakacji. Babcia Jasia uznała, że bez niej w żaden sposób nie ogarniemy tego codziennego chaosu.

Trzeba było wracać do pracy, bo jesienny grafik w naszym „Wrzosowisku” miałyśmy napięty do granic możliwości. Na szczęście Dorota wróciła do formy i od pierwszego dnia wzięła się ostro do pracy. Ja tym bardziej. Adam śmiał się, że im większy mamy wszędzie bałagan, tym on jest bardziej przekonany, że wszystko idzie mi świetnie. Sam po wyjeździe także nabrał energii i zabrał się za nowe projekty. Zgodził się na kilka wystaw w największych miastach w Polsce, na ASP wziął jeszcze więcej zajęć ze studentami i postanowił prowadzić w wyszkowskiej bibliotece zajęcia plastyczne dla dzieci.

Ale najbardziej zaskoczył mnie czymś innym. Tego dnia śleczalam od rana nad projektem, a Adam miał coś ważnego do załatwienia w Pułtusk. Niespodziewanie przyjechał do domu tuż po południu. Wyglądał na przejętego.

– Alicjo, czy ty nadal chcesz, żebyśmy byli razem? – zapytał nagle.

– Co to za pytanie? – zdziwiłam się, odrywając wzrok od projektu.

– Czyli chcesz? – upewniał się z bardzo poważną miną.

– Tak. Może jakiś czas temu za dobrze między nami nie było, w czym miała swój udział Joanna, ale chcę z tobą być i... – zawiesiłam na chwilę głos. – Bardzo mocno cię kocham.

– Rozumiem, że ślub też bierzesz pod uwagę? – podsunął niepewnie Adam.

– Tak. Chcę być twoją żoną – odpowiedziałam, wstając z fotela. Podeszłam do niego i chwyciłam go za dłonie. Wiedziałam, że za chwilę usłyszę coś ważnego.

– To dobrze. Bo mamy już termin. Dziś zamówiłem go w urzędzie stanu cywilnego w Pułtusk. Nasz ślub odbędzie się dwudziestego siódmego września, w sobotę – oznajmił.

– Adaś... Ty tak poważnie mówisz? – wydusiłam z siebie.

– Tak. Nie mogę dłużej czekać. Kocham cię i chcę, żebyśmy byli małżeństwem.

– Adasiu! – Rzuciłam mu się na szyję.

Adam właśnie taki jest. Jak już ma człowieka zaskoczyć, to na całego! Chyba ze sto razy upewniałam się, czy aby na pewno mnie nie wkłręca. Ale oczywiście nie... Pokazał mi dowód wniesienia opłaty za ślub i potwierdzenie terminu!

Czułam dziwną mieszankę radości, szczęścia, niepokoju, zaskoczenia. Jednak byłam mu wdzięczna za podjęcie tej decyzji beze mnie. Ten gest dał mi pewność, że Adam naprawdę mnie kocha i chce ze mną być.

Następnego dnia, przy okazji spotkania z Dorotą w warszawskiej filii „Wrzosowiska”, przekazałam jej jako pierwszej dobre wieści i od razu poprosiłam, żeby wspólnie z Maćkiem zostali naszymi świadkami.

– Co? Alicja! Ty wariatko! Tak nagle? Ale jak? Przecież nic nie mówiliście!

– Dorota omal nie zemdląła po usłyszeniu tej nowiny.

– Kochamy się, chcemy być ze sobą, zatem będzie ślub! – oznajmiłam radośnie.

– Jezu! Tak się cieszę! Alicja, nawet nie masz pojęcia jak! Zasługujecie na szczęście jak mało kto! Od początku wam kibicowałam! – mówiła rozanielona. – Chodź, przytul się!

– Pomożesz mi wszystko zorganizować? Nie mam nic! Muszę kupić sukienkę, buty. Matko! A w dodatku wesele ma być w ogrodzie!

– Spokojnie, będziesz mieć taki ślub i takie wesele, że latami będziemy je wspominać – przegoniła szybko moje zmartwienia. Po jej minie mogłam wnioskować, że ma już jakiś plan.

– Dziękuję! Z całego serca. Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wymarzyć.

– A co to za obściskiwanie się? – Do biura wszedł niepostrzeżenie Franek i przyglądał się z uwagą, jak siedzimy na kanapie, płaczemy i śmiejemy się jak wariatki.

– Franek! Alicja i Adam biorą ślub! Już pod koniec września! – oznajmiła Dorota.

– Ślub? Tak szybko? We wrześniu? – Franek był naprawdę zaskoczony. Spojrzał na mnie wymownie. Jakby chciał usłyszeć jakieś wytłumaczenie. Poczułam się nieswojo. Jeszcze niedawno prawie wypłakiwałam się w jego rękaw i skarżyłam się na Adama. Dotarło do mnie, że w ten sposób dałam mu nadzieję na coś pomiędzy nami.

– Co szybko? Tyle czasu czekałam na taką nowinę! – weszła mu w słowo Dorota.

– Dwoje dorosłych ludzi, a czaili się jak małolaty! A tu pierwsza młodość dawno za nimi!

– Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko serdecznie pogratulować – stwierdził zmieszany Franek, podszedł do mnie i przytulił w geście współodczuwania mojego szczęścia. Jego oczy mówiły jednak coś innego. Był smutny. Zawiedziony takim obrotem sprawy. Patrzyłam na niego, chcąc spojrzeniem przekazać jedno słowo – „przepraszam”.

– Mam nadzieję, że będziesz z nami w tym ważnym dniu? – zapytałam zawstydzona.

– Będę. Przyjaciele są zawsze blisko w ważnych momentach w życiu. Bardzo się cieszę z waszego szczęścia i życzę wam jak najlepiej – odpowiedział mimo smutku.

– Dziękuję – wyszeptalam, jeszcze mocniej ściskając jego dłoń.

To było jak pożegnanie. Z naszą młodością, młodzieńczym zauroczeniem na studiach, tęsknotą po latach i usilnym staraniem się o zdobycie szczęścia.

– Przepraszam Franek – powiedziałam, gdy wreszcie zostaliśmy sami. – To wszystko moja wina. Nie powinnam mówić ci o swoich problemach, bo mogłam zasugerować...

– W porządku... – wszedł mi w słowo. – Po prostu od czasów studiów jestem w tobie beznadziejnie zakochany – przyznał, patrząc mi prosto w oczy. – Ale widzę, że ty wybrałaś Adama. Uszanuję twoją decyzję. O nic się nie martw. W biznesie między nami się nic nie zmieni, możesz być spokojna.

– Franek, nawet nie pomyślałam...

– Alicja... – chwycił mnie za ramiona. – Jeszcze raz życzę ci szczęścia. Zasługujesz na nie. Obydwoje zasługujecie – powiedział i wyszedł z biura.

Z prawdą nie wygrasz

– Sam go tam wsadziłeś! To miała być próba odwagi! A Krzyś przecież mówił, że nie chce tego robić! – krzyczała zapłakana Rozalka.

– Przepraszam – odpowiedział Michałek, pociągając nosem.

– I co teraz zrobimy? – pytała zmartwiona. – On tam siedzi i płacze. Jego mama się wścieknie i już nigdy mu nie pozwoli przyjść się z nami bawić.

Staliśmy z Adasiem na werandzie, wpatrując się w dwie prześliczne buzie naszych kochanych dzieci. Ledwie powstrzymując się od śmiechu, z kamiennym wyrazem twarzy słuchaliśmy tragikomicznej historii uwięzienia Krzysia na wysokiej sośnie. Sprawa wyglądała paskudnie. Wszystko z powodu próby odwagi, przez którą musiał przejść każdy, kto chciał zostać przyjęty do Gangu Złotej Strzały. Krzyś chciał. Tak bardzo, że zgodził się podjąć wejścia na sosnę. Mało tego, wywiązał się z niego znakomicie. Wszedł! Problem pojawił się wtedy, gdy miał wrócić na dół. Zwyczajnie wystraszył się wysokości. Utknął na samym szczycie. Finał był taki, że połowa dzieci z gangu ze strachu uciekła do swoich domów.

Adaś stanął przed nie lada wyzwaniem. Musiał wejść na sosnę i sprowadzić Krzysia na ziemię. A ten wcale nie pomagał, bo gdy tylko Adam wdrapał się na górę, chłopiec zaczął krzyczeć, że nie chce jeszcze umierać. Pozostałe dzieci z zadartymi głowami zastanawiały się, czy ich kolega wyjdzie z tego cało. Stałam obok i miałam wrażenie, że oglądam całkiem niezłą komedię. Na szczęście akcja ratowania Krzysia zakończyła się sukcesem. Michałek i Rozalka przez cały wieczór siedzieli w swoim pokoju, bojąc się, czy przypadkiem nie dostaną od nas reprimendy za swoje pomysły. Adam stwierdził, że taka chwila niepokoju wyjdzie im na dobre i może chociaż przez następny tydzień będą w miarę grzeczne.

A spokój był nam w tych dniach bardzo potrzebny, ponieważ czekała nas kolejna rozprawa w sądzie. Wiadomo było, że niełatwa, bo mieli zeznawać kluczowi świadkowie. Na kilka dni przed rozprawą przysłała do Adama opinia z RODK w Ostrołęce. Nie pomogły żarty kochanego pana Miecia. Adam otwierał kopertę blady jak ściana. Potem uważnie czytał. Zapadła cisza. Po wyrazie jego twarzy starałam się odgadnąć, czy dostał dobre wieści, czy niekoniecznie. Nic nie powiedział, jedynie oddał mi list. Przeczytałam kilka pierwszych zdań.

Sukces! Specjaliści uznali, że Adam ma świetne relacje z Rozalką, dla której jest dużym autorytetem. Córka ufa mu, czuje się przy nim bezpieczna i wie, że może zawsze na niego liczyć. O Joannie pisali nieco gorzej. Położyli nacisk na to, że stara się zdyskredytować Adama w oczach córki, podważa jego kompetencje jako rodzica. Ponadto buntuje Rozalkę, sprawiając, że dziecko jest zagubione i nie potrafi odnaleźć się w konfliktowej sytuacji, która występuje pomiędzy jej rodzicami.

Adam odetchnął z ulgą. Chociaż na chwilę. Chciał się dobrze przygotować do zeznań. Poprosił swoje znajome, Ewelinę i Kasię o spotkanie z Maćkiem, by omówić możliwy przebieg rozprawy, przewidzieć pytania, jakie może zadać sędzia, a także pomyśleć nad linią obrony, na której oprze się Maciek. Obie koleżanki mocno wspierały Adama i obiecały opowiedzieć przed sądem, jak wyglądało jego małżeństwo, w jakich

okolicznościach Joanna zostawiła rodzinę, jak się prowadziła w Londynie i jak stała się główną podejrzaną w głośnej aferze.

W dniu rozprawy byłam bardzo zestresowana. Droga do pułtuskiego sądu wydawała się nam niemożliwie długa. Joanna stała pod drzwiami sali rozpraw wraz ze swoim mecenasem oraz całym zastępem różnych osób. Wystraszyłam się, bo wszystko wskazywało, że to jej świadkowie. Zastanawiałam się, skąd ona ich wytrzasnęła. Ewelina rozpoznała dwie kobiety, które kiedyś pracowały z Joanną w jednym z praskich muzeów. Zdziwiła się, bo w tamtych czasach nie darzyły się sympatią.

Rozprawa trwała długo. Świadkowie składali kolejne zeznania. Joanna starała się jeszcze bardziej zdyskredytować Adama. Nie pozostawał jej dłużny i coraz śmielej mówił o ich małżeńskim pożyciu i o tym, jak Joanna zachowywała się po narodzinach dziecka i chwilę przed tym, kiedy postanowiła porzucić swoją rodzinę. Słuchałam tego i nie mogłam pozbyć się wrażenia, że Joannie tak naprawdę w ogóle nie zależy na Rozalce. Gdy sędzia zadawał jej kolejne pytania, gubiła się w zeznaniach. Raz mówiła, że chce nadrobić z córką stracony czas, by za chwilę stwierdzić, że jest tak zapracowaną kobietą, że będzie musiała wynająć dobrą opiekunkę, co będzie wymagało dużych nakładów finansowych.

Decydujące były zeznania Eweliny, która opowiedziała o życiu Joanny w Londynie, jej trudnym związku z Erikiem i skandalu, który stał się jej udziałem. Opowiedziała dokładnie o niechęci Joanny do partnera i jego dzieci oraz fatalnych skutkach całej sprawy, która omal nie przyczyniła się do śmierci Erica.

Joanna wpadła w furję, starając się przekonać sąd, że zeznania Eweliny są próbą jej oczernienia, a także formą zмовy z Adamem. Krzyczała coś o wynajętych za pieniądze ludziach, którzy mają potwierdzać wersję Adama. Sąd uznał, że w związku z napiętą atmosferą oraz ogromem zebranego w sprawie materiału z zeznań, przekłada termin rozprawy o dwa tygodnie. Wtedy zostanie ogłoszony wyrok.

Joanna szalała jeszcze na korytarzu, nie szczędząc pod adresem Adasia wulgarnych słów. Nie mieliśmy najmniejszej ochoty na te przepychanki. Szybko wyszliśmy z budynku. Po krótkiej kolacji w przyjacielskim gronie, wróciliśmy do Pniewa.

Czekała na nas mała niespodzianka. Dzieci namówiły Henryka na nocleg w schronie! Mało tego, były już spakowane, a nawet pomyślały o przygotowaniu moich rzeczy. Wyjścia nie było, szykował się nam nocleg w niezwykłym miejscu. Adaś obiecał strzec starego domu, a nam życzył udanej zabawy. Zawiózł nas pod cmentarz, skąd razem z Henrykiem ruszyliśmy przez gęsty las do schronu.

Po dotarciu na miejsce dzieci zachowały się jak dorośli goście, wręczając gospodarzowi drobny upominek, którym był oprawiony w ramki portret naszej rodziny. Pośrodku obrazka znajdował się Henryk. Siedział na bujanym fotelu, a wokół niego zebrała się cała rodzina ze starego domu. Mój przyjaciel tak się tym prezentem wzruszył, że uspokajaliśmy go dobrych kilka minut. Dla nas również miał niespodziankę.

Przygotował prawdziwą ucztę i przyznał się, że pomogła mu w tym pani Irenka, piekąc pyszne ciasto. Cały wieczór spędziliśmy na zabawie i słuchaniu ciekawych historii opowiadanych przez Henryka: o tym, jak wyglądało jego dzieciństwo, jakich miał przyjaciół, w co się najczęściej bawili. Około północy dzieci stwierdziły, że są senne

i grzecznie ułożyły się na piętrowym łóżku, które wiele lat temu Henryk wykonał samodzielnie z dębowego drewna. Mnie w udziale przypadł całkiem wygodny materac. Długo nie mogłam zasnąć. Słuchałam podekscytowanych głosów moich dzieci, które były zachwycone, że mają takiego dziadka.

– Nikt ze szkoły nigdy nie spał w takim tajemniczym miejscu – zachwycał się Michałek.

– Michaś, to jest idealne miejsce, żeby się przed wszystkimi ukryć – dodała Rozalka, a ja starałam się ze wszystkich sił, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Mamusiu, a dziadzius pozwoli nam tu częściej nocować? – Michałek od razu przeszedł do negocjowania kolejnych wizyt u kochanego dziadka.

– Zobaczymy, ale pamiętajcie, że dziadek musi mieć spokój.

– I tak go rano przekonam – stwierdził z uśmiechem Michałek. – Dziadzius tylko na początku mówi, że czegoś nie robi, a potem i tak się zgadza!

Jeszcze długo wsłuchiwałam się w ich rozmowę. Gdy zasnęli, zaczęłam wspominać swoje dzieciństwo i czas, kiedy z dziadkiem Janem zamykałam się w podziemnej spiżarni i uważałam to za największą przygodę swojego życia. Starałam się zapamiętać każde jego słowo, jakbym przeczuwała, że te nasze wspólne rozmowy niebawem się skończą. Dlatego tym bardziej dziękuję losowi, że moje dzieci mają takiego dziadka jak Henryk.

Ostatnia prosta

– Przepraszam, że nie mówiłam ci o wszystkim. Wolę po cichu załatwiać sprawy, a jak już wiem, że wszystko idzie zgodnie z planem, wtedy mówię głośno, o co chodzi. Taka jakaś przesądna jestem – tłumaczyła się Ewa.

– Dla mnie się liczy, żebyś była szczęśliwa. Naprawdę się nie gniewam. Lepiej opowiedz, jak do tego doszło. No wiesz, kiedy się spotkaliście i jak przebiegała rozmowa.

– Kamil sam do mnie zadzwonił. Poprosił o spotkanie. Myślałam, że chce mi jeszcze raz wygarnąć moją podłość i to, że tak bardzo go oszukałam – stwierdziła zażenowana.

– Raczej spodziewałaś się kłótni, prawda? – weszłam jej w słowo.

– Tak. A on wiesz, co zrobił? Od razu opowiedział mi, jak bardzo czuł się zraniony, gdy z dnia na dzień go zostawiłam. Z tego żalu postanowił wyjechać za granicę. Uznał, że jedynie ciężka praca pomoże mu zapomnieć o świństwie, które mu zrobiłam. Przyznał, że mimo wszystko cały czas o mnie myślała. Pewnie gdyby wiedział o Sylwii, już dawno temu próbowałby namówić mnie, żebym dała mu szansę.

– A teraz to zrobił? – zapytałam z ciekawością.

– Tak. Nie tego się spodziewałam. A on tak bez niczego, bez zbędnego wyciągania różnych spraw stwierdził, że ze względu na Sylwię powinniśmy spróbować być ze sobą.

– Moja mama zawsze mówiła, że próbować to można... – zawahałam się przez chwilę. – Można próbować jedzenia, a nie związku.

– Doskonale wiem, co masz na myśli. Tylko zrozum, ja nigdy nie przestałam go kochać – wyznała i wpatrywała się we mnie tymi swoimi niebieskimi oczami.

– A Kamil?

– Mówi, że o niczym innym nie marzy, jak tylko o tym, byśmy byli rodziną. Ja, on i Sylwia. Wiem, przed nami mnóstwo pracy, starań. Nawet dopuszczam do siebie myśl, że może nam się nie udać. Bo jednak trochę czasu minęło.

– Przede wszystkim i on, i ty bardzo się zmieniliście.

– Tak, zdajemy sobie z tego sprawę. Tylko że ja muszę spróbować. Za długo oszukiwałam samą siebie. Źle zrobiłam, zostawiając Kamila dla Marka. Teraz już wiem, że nie ma w życiu nic cenniejszego niż prawdziwe uczucie. Muszę o nie zawalczyć – mówiła podekscytowana.

– Będę wam kibicować – obiecałam, widząc, jak bardzo jest przejęta.

Kamila poznałam jeszcze tego samego dnia. Przyszedł do mieszkania Ewy. Wspólnie z Sylwią wybierali się na wizytę u psychologa. Mała dowiedziała się, że Kamil jest jej tatą. Przyjęła to ze spokojem, jednak Ewa uznała, że potrzebna jest wizyta u specjalisty.

– Miło mi panią poznać – powiedział radośnie Kamil, gdy wszedł do mieszkania.

– Nie pani, tylko Alicja. W dodatku siostra Ewy. Bardzo mi miło.

– Kilka lat minęło. Ja się dowiedziałem, że mam córkę, a Ewa, że ma rodzeństwo – stwierdził nieco zawstydzony.

– Uwierz mi, że mam w swoim życiu równie wiele niespodziewanych zdarzeń. Tajemnice to specjalność naszej rodziny! – roześmiałam się.

– Alicja jest tą lepszą siostrą i zawsze znajdzie sposób, żeby rozwiązać problemy, a nawet pomaga innym. Gdyby nie ona, nie wiem, czy dałabym sobie radę – przyznała Ewa.

– Grunt, że nie jesteś już sama – odpowiedział jej Kamil i mocno ją przytulił.

– Tak się składa, że dosłownie za kilkanaście dni biorę ślub. Ewa jest już oczywiście zaproszona. Ciebie, Kamil, także serdecznie zapraszam. Mam nadzieję, że przyjdiesz?

– Przyjdzie – odpowiedziała za niego Ewa. – Jest jeszcze coś, o czym ci nie powiedzieliśmy...

– Zamieniam się w słuch.

– Postanowiliśmy zamieszkać razem. Wiem, pewnie pomyślisz, że to mało rozsądne, ale naprawdę chcemy jak najszybciej nadrobić stracony czas – tłumaczyła Ewa.

– Nic nie myślę. Życzę wam jak najlepiej i mam nadzieję, że ułoży się wam tak, jak tego pragniecie. Z całego serca wam tego życzę – przyznałam szczerze. – Kamil, dbaj o swoje dziewczyny, bo zasługują na to.

– Teraz mam już o kogo dbać – potwierdził Kamil.

Wychodziłam od nich naprawdę spokojna. Wszystko działało się tak szybko i w sumie poza mną, chociaż nic mi do tego, kto i jak układa swoje życie. Muszę przyznać, że Ewa mnie zaskoczyła. Pierwszy raz widziałam, jak świadomie i odpowiedzialnie bierze życie w swoje ręce i robi wszystko, by razem z Sylwią były szczęśliwe. Wydaje się, że Kamil to dobry człowiek i mam ogromną nadzieję, że stworzą rodzinę i dom, o którym zawsze marzyli. Wiadomo, że jeszcze bardzo długa droga przed nimi, wiele nieporozumień, mnóstwo spraw do wyjaśnienia. Jednak mocno wierzę, że wykorzystają szansę, jaką właśnie dostali.

Ja też kiedyś byłam sama i nie wierzyłam, że jeszcze ktoś mnie pokocha. Potem spotkałam Adama. Mam nadzieję, że z Ewą będzie podobnie i u boku Kamila odnajdzie spokój i przede wszystkim będzie miała wsparcie. Widać, że to człowiek honoru, jestem pewna, że zawalczy o kobiety, które kocha.

W centrum, zamiast w kierunku Pragi, pojechałam w zupełnie inną stronę. Stwierdziłam, że muszę załatwić jeszcze jedną ważną sprawę. To był impuls. Jadąc windą na dwunaste piętro, miałam wystarczająco dużo czasu, by przemyśleć, co tak naprawdę mam do powiedzenia. Stojąc przed drzwiami, chwilę się zawahałam, jednak nacisnęłam na dzwonek.

– Alicja? Coś się stało? – Mina Pawła wskazywała, że byłam ostatnią osobą, której by się w tym momencie spodziewał.

– Możemy porozmawiać? – Przeszłam od razu do sedna sprawy.

– Tak, proszę, wejdź – odparł zaskoczony moim nagłym pojawieniem się.

– Nie zajmę ci dużo czasu. Biorę z Adamem ślub. Za kilkanaście dni. Chciałam, żebyś dowiedział się o tym ode mnie – stwierdziłam bardzo pewna siebie.

– Czyli jednak?

– Tak. Dlatego chciałam wyjaśnić dziwną relację, która nas łączy. Zacznę od tego, że wciąż uważam, że byliśmy nieudanym małżeństwem – powiedziała bez zastanowienia.

– Było aż tak źle?

– Bardzo! A jeszcze gorsze było to, że po kilku latach obydwoje świetnie zdawaliśmy sobie z tego sprawę, ale żadne z nas nie zrobiło nic, żeby to przerwać.

– Mocne słowa – stwierdził Paweł.

– Ale prawdziwe. Potem sam wiesz, jak to wszystko się potoczyło. To, jak się nawzajem traktowaliśmy, świadczyło, że nie znaczyliśmy dla siebie zbyt wiele.

– Tu się mylisz, bo... – chciał mi przerwać.

– Nie, Paweł. Nie myślę się. Potem nagle zachorowałeś i to spowodowało, że nabrałeś dystansu do pewnych spraw.

– A może po prostu się zmieniłem i dostrzegłem, że straciłem coś ważnego w życiu?

– To na pewno, ale nie ma co zaklinać rzeczywistości. Nawet gdybyśmy dali sobie szansę i sto razy, nigdy nie uda nam się być ze sobą i żyć w zgodzie. Nie pasujemy do siebie i dobrze o tym wiesz. Choroba pokazała ci, co w życiu jest ważne i jak tak naprawdę mamy mało czasu.

– Nie wiesz, co tak naprawdę się stało i co ja myślę – sprzeciwił się rozzłoszczony.

– Patrę na to już z innej perspektywy. Jesteś teraz samotny. Rozumiem to. Czulałam się przeraźliwie samotna będąc twoją żoną, i rozpaczliwie szukałam sposobu, żeby to zmienić. Teraz wiem, że trzeba trafić w życiu na właściwą osobę. Na siłę nie da się stworzyć związku i rodziny.

– Tu się z tobą zgodzę.

– Zaczynam nowe życie. Uszanuj to i nie rób nic, co by mogło popsuć moje plany.

– Czyli mam zniknąć?

– Tego nie oczekuję. Zwyczajnie zajmij się sobą. „Nas” już nie ma i nie będzie.

- Zmieniłaś się Alicja. Umiesz walczyć o swoje – przyznał z podziwem.
 - Tak. I zrobię wszystko, by moje życie ułożyło się po mojej myśli.
- Wdzięczność wyrażona pięknym życiem

Wsluchiwałam się w uderzający o szyby wrześniey deszcz. Gonitwa myśli nie dawała mi spokoju. Co jakiś czas spoglądałam na wyświetlacz telefonu, by sprawdzić godzinę. Przeżywałam zbliżający się nowy dzień. Dzień prawdy. Wieczorem razem z Jonasem i Henrykiem mieliśmy się stawić na dorocznej gali fundacji „Zapomniane korzenie”. Było coś jeszcze, coś znacznie ważniejszego. Spotkanie z tymi, których uratowali Jan i Elizabeth. Czekałam długo na ten dzień. A kiedy wreszcie nadszedł, nagle ogarnął mnie niepokój. Jak to będzie? Jak na nasz widok zareagują? Co powiedzą? Nie byłam odosobniona w swoich obawach.

– Nie wiem, czy dam radę – stwierdził Henryk, kiedy po porannej pobudce poszłam do jego mieszkania, by zanieść mu śniadanie. Siedział na sofie, bardzo zdenerwowany.

– Czuję, że to usłyszę. – Znam go na tyle dobrze, że wiem, jak reaguje na wyzwania.

– Tyle lat minęło. Na co mnie staremu w tym uczestniczyć? Czy to coś zmieni? – dopytywał, nie oczekując odpowiedzi.

– Może przyniesie nam spokój? Bo wiesz... Bardzo bym chciała usłyszeć od ludzi, których uratowali dziadek i Elizabeth, że mają szczęśliwe życie. Nie zrozum mnie źle, wcale nie oczekuję pochwał czy podziękowań. Chcę tylko mieć pewność, że oni tak zwyczajnie, po ludzku, cieszą się swoim życiem.

– Przecież już ci o tym napisali w listach – podkreślił wymownie.

– Wiem, ale to nie to samo. I pamiętaj o prośbie pani Walczak. Bardzo chce, żebyś na dzisiejszej gali powiedział kilka słów.

– I ty każesz mi myśleć, że to będzie tylko wyjazd na galę, mam się nie stresować i udawać, że nie robi to na mnie najmniejszego wrażenia? – oburzył się.

– Nie, chcę tylko, żebyś powiedział do nich kilka słów jako ten, kto był w obozie, doświadczył tego piekła, a może i miał sposobność spotkać rodziców tych, którzy dziś tam będą. To dla nich bardzo ważne.

– Pojadę, ale nie oczekuj ode mnie porywającej przemowy.

Widziałam, że się denerwuje i martwi. Miałam wyrzuty sumienia, że narażam go na taki stres. Ale Henryk jest niezłomny, zawsze daje sobie radę. Po chwili pokazał mi kartkę, na której w punktach wypisał wszystko, o czym chciałby mówić. Czuję, że to zadanie pozwoli mu również odpowiedzieć na wiele dręczących go pytań.

Okolo południa przyjechał Jonas, co mnie nieco zdziwiło, bo gala na Zamku Królewskim miała się rozpocząć dopiero o osiemnastej. Przyznał, że jest zestresowany tak samo jak Henryk, więc postanowił spędzić resztę dnia w towarzystwie mojej wesołej rodziny. Były to pierwsze dni nowego roku szkolnego. Moje dzieci wróciły do domu już okolo trzynastej, więc Jonas miał murowaną ogromną liczbę atrakcji.

Wkrótce przyszła pani Irenka, która została wyznaczona do zajęcia się Henrykiem. Miała przyszyć mu włosy oraz brodę, a także zadbać, by w tym dniu wyglądał bardzo

elegancko. Na szczęście Henryk nie robił żadnych problemów.

Mogłam zająć się sobą. Z pomocą przyszła mi Dorota, od której pożyczyłam przepiękną czarną suknię aż do ziemi. Niezwykle skromną, ale za to elegancką. Poratowała mnie jeszcze stosowną biżuterią. Czarne szpilki miałam w swojej szafie. Włosy nieco podkręciłam. Byłam pewna, że wypadnę dobrze, tym bardziej że towarzystwo Jonasa i Henryka miało mi dodać odwagi. Adam trzymał za nas kciuki. Początkowo chciałam, by z nami pojechał, ale uznałam, że w domu będzie znacznie bardziej potrzebny.

Gdy zaparkowaliśmy przed Zamkiem Królewskim, chyba ostatecznie do mnie dotarło, co za chwilę się wydarzy i kogo poznam. Pani Sabina czekała na nas już przy szatni. Ubrana w elegancką suknię, z serdecznym uśmiechem witała gości. Widać było, że ten dzień jest bardzo ważny dla niej jako dla prezesa tej niezwyklej organizacji.

– Denerwujecie się państwo? – zapytała życzliwie, biorąc mnie za rękę.

– Trochę. Sytuacja nas onieśmiela – odparłam zgodnie z prawdą.

– Będzie dobrze. Panie Henryku, na pana wystąpienie czekamy najbardziej.

– Tego się obawiam – powiedział żartem Henryk. Ze zdenerwowania tak mocno ścisnął rękę swojej laski, że aż pobieleły mu dłonie. Pogładziłam go po ramionach na znak, że jestem z niego niesłychanie dumna.

– A teraz zapraszam tutaj – powiedziała tajemniczo pani Sabina i wskazała ręką boczny korytarz.

Poszliśmy za nią. Zatrzymaliśmy się przed brązowymi drzwiami, które niczym się nie wyróżniały. Pani Sabina otworzyła je i zaprosiła nas do środka. Przed nami stało kilkanaście osób, w większości seniorów. Patrzyli na nas i serdecznie się uśmiechali. Spojrzałam wymownie na Jonasa.

– Pani Alicjo, drodzy panowie... – zwróciła się w naszą stronę pani Walczak.

– Pragnę przedstawić wam osoby, które uratowali z obozu Jan i Elizabeth – powiedziała z uśmiechem. – Od nich dostaliście listy, a dziś możecie ze sobą porozmawiać, a przede wszystkim się poznać. Bo wszystkich nas łączy przeszłość i wydarzenia, które sprawiły, że teraz jesteśmy właśnie w tym miejscu.

Przez chwilę panowała cisza. Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, starając się uporządkować myśli. Więc to ich Elizabeth wynosiła na rękach ze szpitala, a dziadek dawał im nową tożsamość, podrabiając dla nich dokumenty? Kim są dziś? Co robią? Czy mają rodziny? Co myślą o swojej przeszłości?

– Dzień dobry, nazywam się Adrian Langer... – Podszedł do mnie rostry mężczyzna i podał mi rękę na powitanie. – To ja napisałem do pani list. Świętuję w każdy wtorek – powiedział bardzo słabą polszczyzną.

– Tak... dostałam... dziękuję – powiedziałam wzruszona.

Na środek wyszła kobieta i zaczęła mówić po niemiecku. Pani Sabina tłumaczyła. Kobieta mówiła, że to dla nas wszystkich bardzo wyjątkowy dzień i wspólne święto. Wreszcie prawda zwyciężyła. Jako dziecko została uratowana przez Jana i Elizabeth. Dziś niczego nie żałuje. Codziennie rano patrzy w lustro i dziękuje za cud swojego życia. Teraz chciałaby podziękować nam. Henrykowi za to, że w obozie był wsparciem dla swoich przyjaciół, którzy podjęli się wielkiego wyzwania. Nigdy ich nie opuścił, trwał przy nich,

a swoim życiem pokazuje, że człowiek jest niezłomny. Mnie i Jonasowi dziękowała w imieniu wszystkich za to, że tak uporczywie dążyliśmy do odnalezienia dokumentów, a potem podjęliśmy dalsze kroki.

To był bardzo wzruszający moment. Nie było wśród nas osoby, która by nie uroniła chociaż jednej łzy. Patrzyłam na twarze tych starszków i moje serce podpowiadało mi jedno. Oni żyją dzięki mojemu dziadkowi i dzięki Elizabeth. To ich wielka odwaga, upór i miłość do drugiego człowieka sprawiły, że stojący przede mną ludzie dostali szansę na nowe życie.

Rozmowom nie było końca. Wspierała nas pani Sabina oraz druga tłumaczka. Henryka wypytywano o życie w obozie i o to, czy poznał rodziców tych, z którymi teraz się spotyka.

Spoglądałam na niego z boku i zobaczyłam w nim człowieka, który przez całe życie poświęcał się dla innych. On nawet teraz żyje dla innych, nie dla siebie. Ostatecznie dotarło do mnie, jakie mnie szczęście spotkało tamtej upiornej nocy, gdy podczas burzy uciekałam przez las. Wtedy mnie uratował, i dosłownie, i w przenośni. Pokazał mi, że tak naprawdę człowieka nie można pokonać.

Czas było wyjść na oficjalną część gali. Dostaliśmy honorowe miejsca w pierwszym rzędzie. Wiedziałam, że to będzie wieczór pełen wzruszeń, ale zanim jeszcze wszystko na dobre się zaczęło, ja wciąż nie mogłam powstrzymać łez. To spotkanie, rozmowy sprawiły, że coś we mnie pękło. Zrozumiałam, że to dzięki poświęceniu poprzednich pokoleń mogę być dziś w tym niezwykłym miejscu, cieszyć się życiem i planować przyszłość.

Najpierw były oficjalne powitania zaproszonych gości, sponsorów, sympatyków fundacji, a także podopiecznych, którzy dzięki jej pracownikom rozwiązali wiele swoich problemów, odnaleźli swoje rodziny, dowiedzieli się prawdy o swoim pochodzeniu. Pani Sabina mówiła pięknie o znaczeniu pamięci, o dialogu pokoleniowym oraz o tym, że mimo upływu lat w pracy ich fundacji zawsze najważniejszy był, jest i będzie człowiek. Potem nastąpiły imienne gratulacje, wręczanie dyplomów, zaczęły się poruszające wspomnienia.

– Szanowni państwo, jest wśród nas gość szczególny – zaczęła pani Sabina. – Ktoś, kto był w obozie zagłady i cudem ocalał. Jego życie nigdy nie należało do najłatwiejszych. Jest dziś z nami, by podzielić się swoją historią. To pan Henryk Sokolski! Człowiek, który opowie nam o sile przyjaźni. Zapraszam pana na scenę!

Henryk spojrzał na mnie zmieszany. Szepnęłam mu na ucho, że na pewno sobie poradzi. Pomogłam mu wstać i wejść na scenę. Stałam kilka metrów dalej. Wyszedł na środek, podpierając się laską. Pani Sabina przedstawiła go jeszcze w kilku zdaniach i poprosiła, żeby opowiedział swoją historię.

– Szanowni państwo... – odezwał się Henryk drżącym głosem. – Zacznę od tego, że odkąd znam tę uroczą blondynkę stojącą po mojej prawej stronie, można powiedzieć, że mam same problemy. Na przykład dziś. Zmusiła mnie, bym przed państwem wystąpił, a to dla mnie trudne, bo na co dzień mieszkam w schronie kilka metrów pod ziemią – zażartował, a cała sala odpowiedziała mu śmiechem.

– Podobno większość problemów mężczyźni mają właśnie przez kobiety – wtrąciła

pani Sabina.

– Z tym bym się zgodził – przytaknął wesoło Henryk. – Ale powiem państwu, że dzięki tej kobiecie zacząłem żyć na nowo. Znalazła mnie w moim schronie, wyciągnęła do ludzi i kazała cieszyć się każdym dniem. Posłuchałem, bo to wnuczka mojego przyjaciela, Jana Pniewskiego, z którym byłem w obozie zagłady Stutthof. Dzięki niemu przeżyłem, bo gdy brakło już nadziei, to on kazał mi walczyć i przysięgał, że uda nam się wrócić do domu. Słowa dotrzymał. Teraz jego wnuczka trwa przy mnie i pilnuje, bym ciągle się starał.

Henryk opowiadał słowami płynącymi prosto z serca, jak wyglądało życie w obozie. O tym, że było tam miejsce na przyjaźń, miłość, wzajemny szacunek. Mówił dużo o Janie, Elizabeth i swojej ukochanej Małgosi. A także o strachu, który był jak zły cień, i nadziei, która nie pozwalała się poddać. Patrzyłam na wzruszone twarze zgromadzonych ludzi, którzy z zapartym tchem słuchali Henryka. Gdy wypowiedział ostatnie słowo, na sali rozległy się brawa. Spojrzał na mnie wymownie, wzruszony, a ja dałam mu znać, że było wspaniale.

– Szanowni państwo, bardzo dziękuję... – powiedziała pani Sabina. – To są takie chwile, dzięki którym zaczynam jeszcze mocniej wierzyć w ludzi i dostrzegać, że my jako fundacja wykonujemy naprawdę dobrą pracę. Chciałabym poprosić jeszcze na scenę wnuka pani Elizabeth, pana Jonasa Kleina. Zapraszam serdecznie!

Jonas podniósł się z fotela i wszedł na scenę. Nieśmiało zbliżył się do mnie. Przypominał ucznia wywołanego do odpowiedzi. Patrzył na mnie wymownie, ale ja sama nie wiedziałam do końca, jakie pani Sabina ma zamiary.

– Szanowni państwo. Dokonaliście niezwykłej rzeczy. Podjęliście się wielkiego trudu, by dokończyć dzieło zapoczątkowane przez waszych dziadków. Bez was pewne sprawy nigdy nie zostałyby rozwiązane, a prawda nie wyszłaby na jaw. Bardzo wam za to dziękujemy. Jako fundacja chcieliśmy w sposób szczególny podziękować państwa dziadkom. Wystąpiliśmy do pana prezydenta o pośmiertne odznaczenie Jana Pniewskiego i Elizabeth Klein Złotym Krzyżem Zasługi nadawanym za szczególne zasługi dla państwa lub obywateli. Medal został przyznany i za chwilę pan minister złoży go na państwa ręce. Panie ministrze, prosimy!

Staliśmy z Jonasem jak zamurowani. Pojawili się wokół nas jacyś ludzie. Uśmiechali się, dziękowali, gratulowali. Odpowiadałam jedynie uśmiechem, na nic więcej nie mogłam się zdobyć. Po chwili trzymałam w dłoniach czerwone pudełko, a w środku błyszczał złoty krzyż. Czulałam, że po policzkach lecą mi łzy. Nie zważając na nic, przytuliłam się do Henryka i Jonasa.

Rozdział XV

Wystarczy, że jesteś – o wzajemnym ocaleniu, pokojowym podjęciu ważnej decyzji, bajkowym ślubie i pamiętniku, w którym zapisano sens życia

Nigdy nie wolno nam zapomnieć

Światła reflektorów zgasły. Gwarne rozmowy i radosny śmiech stały się wspomnieniem. Nawet największa gala kiedyś się kończy, a człowiek musi wrócić do codziennego życia. Musi stawiać czoła problemom, chwycić nadarzające się szanse. Na tym polega sukces. To wynik wysiłku, który podejmuje się każdego dnia. Przeciwności losu powodują, że jedni się załamują, a inni przekraczają kolejne granice. Są niezłomni. Nie rodzą się wyjątkowi, ale stają się tacy dzięki ciężkiej pracy.

Po części oficjalnej gali był bankiet, na którym każdy miał szansę zamienić z innymi chociaż kilka zdań. A było o czym rozmawiać. Jonas poznał córkę pani Matyldy, Irmę Krause, i z wielkim wzruszeniem wspominali Elizabeth. Henryka zasypano pytaniami, dostał propozycję napisania książki, która byłaby relacją z pobytu w obozie. Mój przyjaciel cieszył się, że ludzie chcą słuchać jego opowieści. Dotąd myślał, że o przeszłości nie powinno się wiele mówić, a najlepiej byłoby w ogóle do niej nie wracać. Wystąpienie na gali dużo zmieniło. Henryk był zmieszany zainteresowaniem wokół własnej osoby, ale i cieszył się, że może opowiadać swoją historię.

W okrojonym gronie zebraliśmy się jeszcze w małej sali. Tłumacz zadbał o to, by każdy z nas miał szansę nawiązania chociaż krótkiej rozmowy z pozostałymi.

– Ten wieczór należy do nas, zatem wykorzystajmy go jak najlepiej – zachęcała pani Sabina. – Jako pierwsza chciałaby opowiedzieć o sobie pani Amy Witt.

– Dobry wieczór... – odezwała się nieśmiało staruszka, z trudem wstając z krzesła. – Będę mówić krótko, zacznę od słowa „dziękuję”... – wyznała wzruszona.

– Alicjo! Halo! – wyszeptał siedzący za mną Jonas. – Irma mówi, że twój pomysł spisania wspomnień byłych więźniów i osób uratowanych przez twojego dziadka i Elizabeth jest genialny i chętnie nam we wszystkim pomoże – przekazał mi bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy.

– Wspaniale, pani Elsa Jauch mówi to samo. Chce jak najszybciej spisać swoje wspomnienia i opowiedzieć innym, co zrobiła, kiedy dowiedziała się o swoim pochodzeniu i o odważnej decyzji ludzi, którzy postanowili podarować jej szansę na nowe życie.

– Nie możemy przegapić takiej okazji! – ekscytował się Jonas.

– Już tyle wspólnie przeszliśmy, że nie straszne nam teraz ostatnie wyzwanie – przyznałam z nadzieją w głosie i z radością patrzyłam na mojego przyjaciela, który swoją determinacją spowodował, że sprawę tajemnicy dokumentów doprowadziliśmy do końca.

Wracając do starego domu w Pniewie, byłam pewna jednego. Spiszę wspomnienia

tych, którzy ocalili i wydaję je. Tak daleko z Jonasem zaszliśmy, tyle trudności udało się nam pokonać. Mnóstwo czasu upłynęło, nim ostatecznie udało nam się poznać tajemnicę dokumentów. Stoją za nimi ludzie. Dzięki ocaleniu mieli szansę na stworzenie własnych historii. Czas się nad nimi pochylić, bo nikt nie pisze tak niezwykłych opowieści jak samo życie. Spoczywa na nas obowiązek zadbania o każdy szczegół historii ocalonych. Byłam pewna, że uda nam się tego dokonać. Tej nocy zasnęłam jako najszcześniejszy człowiek na świecie.

Ranek również przyniósł wiele dobrego. Razem z Henrykiem poszliśmy na cmentarz. Cisza była wymownym symbolem tego miejsca. Na krzyże spadały pierwsze jesienne liście, co potęgowało melancholijny nastrój. Cmentarz uczy pokory. Pokazuje ulotność życia. Często zapominamy, że jest ono kruche, delikatne, nie trwa wiecznie. Codziennie należy patrzeć na świat, jakbyśmy widzieli go po raz pierwszy, a zarazem ostatni. Bo nikt nie wie, ile czasu mu jeszcze zostało.

Po człowieku z rzeczy materialnych zostaje jedynie pomnik i wyryte na nim litery, pokazujące nasz początek i koniec. Znacznie ważniejsze są wspomnienia, które pozostawiamy ludziom towarzyszącym nam w życiu. To one będą naszym śladem na ziemi.

Staliśmy przy pomniku w zupełnej ciszy. Ja, Alicja Pniewska – wnuczka człowieka, który żył odważnie i podjął decyzję o ratowaniu innych ludzi. Henryk Sokolski – człowiek miłujący prawdę, niezłomny, który każdego dnia udowadnia, że kochać drugiego znaczy tyle, co przy nim trwać. Słowa modlitwy wypowiedane bezgłośnie były prośbą, a zarazem podziękowaniem za to, że ci, których już z nami nie ma, zrobili w swoim życiu bardzo dużo, byśmy my teraz mogli szczęśliwie doświadczać każdego kolejnego dnia. Dali nam dowód, jak cenne jest życie i pokazali, jak należy je traktować. Być radosnym i dobrym, kiedy świat jest zły, to dopiero odwaga. Jeśli chce się żyć naprawdę, z całych sił, nie można żyć tylko dla siebie. Należy dzielić się z innymi ludźmi, poświęcać im swój czas, uwagę, troskę.

– Wiesz... Na samym początku, gdy cię spotkałam i dostałam pamiętnik dziadka, w który znalazłam informację o tajemnicy dokumentów sprzed lat... Wtedy coś sobie obiecałam. – Moje słowa przerwały błogą ciszę. Henryk otworzył oczy i pokiwał głową.

– Że zrobisz wszystko, by rozwiązać ich tajemnicę? – zapytał pewnie.

– To też. Ale obiecałam sobie, że przy szczęśliwym zakończeniu tej sprawy zrobię wszystko, by pamiętano o moim dziadku i Elizabeth.

– Mamy wobec nich obowiązek pamięci – przyznał Henryk. – Co chcesz zrobić? Myślałaś już o tym?

– Tak. Założę fundację imienia Jana i Elizabeth. Jej celem będzie szerzenie wiedzy o obozach zagłady, ludziach, którzy do nich trafili i obozowej codzienności. Czas mija, te wydarzenia stają się coraz bardziej odległe. Nie mogę dopuścić, by poszły w zapomnienie. Dziadek i Elizabeth zasługują na pamięć. Bez nich nie byłoby tu dziś ciebie, mnie, mojej rodziny.

– Alicjo, dobrze wiesz, że we wszystkim ci pomogę – stwierdził, obracając się w moją stronę. Dotknął mojej dłoni, a ja znowu poczułam, że pisane nam było się spotkać.

– Teraz inaczej patrzę na przeszłość. Owszem, wciąż mocno boli. Nie ma dnia, żebym nie

myślała o nich. Pamiętam prawie każdy dzień spędzony w obozie. Gdyby nie Jan, na pewno odebrałbym sobie życie. Nagła śmierć Małgosi była jak wyrok. Nie chciałem dalej żyć. Jan i Elizabeth mówili, że nie mogę się poddać, bo mam w życiu jeszcze wiele do zrobienia. Nie wierzyłem im. Gdy zostałem sam, codziennie zadawałem sobie pytanie: po co ja żyję?

– Henryku...

– Zaczekaj. Chcę coś jeszcze powiedzieć. Potem już mogę nie mieć odwagi – przyznał nieco zdenerwowany. – Ty też mnie ocaliłeś. Dosłownie i w przenośni. W tamtą potworną noc, gdy podczas szalejącej burzy spotkałem cię w lesie i zabrałem do swojego schronu... Wtedy zaświtała we mnie nadzieja. Pojawił się w moim życiu ktoś, kto był do mnie podobny. Tamtej nocy chodziłem po lesie i błagałem Boga, by mnie stąd zabrał. Nie miałem siły żyć. Samotność to największy wróg człowieka. A ja byłem wtedy strasznie samotny. Tęskniłem za Janem, Elizabeth, moją Małgosią. I nie rozumiałem, dlaczego Bóg ich wszystkich zabrał, a mnie kazał dalej prowadzić to nędzne życie.

– Teraz już wiesz... Zostałeś, by ocalić mnie. Tamtej nocy ja także dostałam od ciebie nadzieję i pewność, że jest ktoś, kto czuje tak jak ja. Bez ciebie wciąż byłabym Alicją, która boi się życia i nie chce walczyć. To ty nauczyłeś mnie odwagi i pokazałeś, że człowiek poradzi sobie nawet w najtrudniejszej sytuacji. Dziękuję! – wyznałam, mocno przytulając się do niego.

Długo jeszcze staliśmy przy grobie, wspominając tych, którzy odeszli.

Wspomnienia są potrzebne. To mapa naszego życia. Dają nadzieję, ostrzegają, mobilizują do działania. Jedno jest pewne... Trzeba się z nimi rozliczyć. Nasze życie jest jak wielkie jezioro, które powoli wypełnia strumień lat. Na jego dnie leżą wspomnienia, które wraz z podnoszeniem się poziomu wody zaczynają zanikać. To jest nasze zadanie – uchronić przeszłość przed zapomnieniem. Każdy dzień trzeba zaczynać ze słowem „dziękuję” dla tych, którzy zapłacili swoim życiem, byśmy mogli spełniać swoje marzenia, planować przyszłość i zwyczajnie cieszyć się każdą chwilą.

Potrzeba miłości

Życiowy upadek nie oznacza od razu przegranej. Kiedy wstajesz i walczysz dalej, jesteś zwycięzcą. Przegrywają tylko ci, którzy nie próbują się podnieść. Najgorsza walka odbywa się między tym, co wiesz, a tym, co czujesz. Tu najtrudniej podjąć decyzję. Szczególnie, jeśli dotyczy kogoś, kogo mocno kochasz. Życie to przecież pasmo trudnych wyborów.

Adam po ostatniej rozprawie wcale nie czuł się wygrany. Co prawda zeznania Kasi i Eweliny były kluczowe dla sprawy i praktycznie gwarantowały sukces, ale to nie rozwiązało głównego problemu. Było nim przecież dobro Rozalki. Najłatwiej byłoby wywalczyć w sądzie, by Joanna widywała Rozalkę bardzo rzadko. Na pewno przyniosłoby to spokój całej rodzinie. Ale czy o to chodzi? Nie, bo mała dziewczynka ma prawo przebywać ze swoją mamą, uczyć się od niej, dzielić się z nią swoimi marzeniami i z nią rozwiązywać swoje problemy.

Tamtego dnia było bardzo ciepło. Spacerując po pułuskim rynku, miałam

wrażenie, że czeka nas za chwilę piękna wycieczka, a nie kolejna rozprawa w sądzie. Dokładnie pół godziny dzieliło nas od poznania postanowienia sądu w sprawie ustalenia kontaktów obydwójga rodziców z Rozalką oraz jej stałego miejsca zamieszkania. Byłam spokojna. Dowody i zeznania świadków jasno wskazywały, że Joannie jeszcze daleko do tego, by stała się dobrą matką i musi minąć sporo czasu, zanim nauczy się, że dziecko nie jest kartą przetargową w wojnie dorosłych i nie można go krzywdzić przez niespełnione oczekiwania i próby zemsty na byłym partnerze.

Stojąc pod drzwiami sali rozpraw, rozmawialiśmy z Maćkiem o możliwych decyzjach sędziego. Uspokajał nas i przewidywał, że za chwilę usłyszymy słowa, które raz na zawsze rozwiążą ten kłopotliwy spór. Joanna zjawiała się pięć minut przed rozpoczęciem rozprawy. Co nas zdziwiło, nie była bojowo nastawiona ani w żaden sposób nie pokazała po sobie, że coś ją denerwuje. Rozejrzała się, czy przypadkiem nie ma z nami Rozalki. Dzieci zostały pod opieką babci Jasi. Czuły, że przede mną i Adasiem bardzo ważny dzień.

Protokolantka wpuściła nas na salę. Sędzia sprawdził obecność, dokonał czynności procesowych. Jeszcze raz poprosił strony o podsumowanie swoich stanowisk. Adam był bardzo rzeczowy, nie dał się ponieść emocjom. Cały czas podkreślał, że najważniejsze jest dobro Rozalki oraz to, że obydwójga z Joanną powinni mieć na celu porozumienie się, by ich córka mogła mieć w miarę spokojne dzieciństwo. Joanna, o dziwo, również zachowała spokój i przedstawiła swoje stanowisko niezwykle jasno i konkretnie. Zrezygnowała nawet z atakowania Adama. Sędzia zarządził krótką przerwę, a potem przeszedł do ogłoszenia postanowienia sądu.

– Sąd postanawia utrzymać władzę rodzicielską obojga rodziców. – Na te słowa Adam zerknął na Maćka, który posłał mu uspokajające spojrzenie. Kątem oka widziałam, jak Joanna dopytuje o coś swojego adwokata. – Co do miejsca zamieszkania małoletniej Rozalii Mikulskiej sąd podtrzymuje wcześniejszą decyzję i wskazuje miejsce zamieszkania dziewczynki przy jej ojcu Adamie Mikulskim. Ponadto sąd wyznacza kontakty Joanny Mikulskiej z jej córką Rozalią Mikulską w sposób następujący: raz w tygodniu, w sobotę, w godzinach od dwunastej do osiemnastej w miejscu zamieszkania dziewczynki, czyli w domu jej ojca oraz w jego obecności. Bez prawa nocowania dziecka poza miejscem zamieszkania i bez prawa zabierania małoletniej Rozalii Mikulskiej przez jej matkę Joannę Mikulską do jej domu.

Na sali zrobiło się małe zamieszanie. Joanna chyba nie do końca rozumiała słowa sędziego i oczekiwała od swojego adwokata szybkich wyjaśnień. Ten starał się ją uciszyć. Adam ścisnął mocno moją dłoń. Spojrzałam mu w oczy i wreszcie dojrzałam w nich spokój.

– Pani Joanno... – sędzia zwrócił się bezpośrednio do niej. – Podjęta przez sąd decyzja w wyżej wymienionym zakresie ma na celu przede wszystkim dobro państwa córki Rozalii. Z przeprowadzonego badania w ośrodku w Ostrołęce oraz z opinii biegłych psychologów jasno wynika, że państwa córka czuje się zagubiona w związku z narastającym konfliktem między panią a pani byłym mężem. Podjęta przez sąd decyzja jest na chwilę obecną wiążąca i jej nieprzestrzeganie może nieść ze sobą konsekwencje całkowitego pozbawienia kontaktów oraz w ostateczności odebrania władzy

rodzicielskiej.

Sędzia mówił jeszcze, że najważniejsze jest zapewnienie Rozalce spokoju i dobrych warunków do codziennego funkcjonowania. Podkreślił więc łączącą ją z Adamem, który po decyzji Joanny o opuszczeniu rodziny zrobił wszystko, by jego córka miała szczęśliwe dzieciństwo. Nie negował roli matki, ale podkreślił, że jej nagłe pojawienie się jest dla Rozalki dużym wyzwaniem. Potrzeba czasu i wypracowania kompromisowych rozwiązań.

Joanna wyszła z sądu z płaczem. Chyba nie tego się spodziewała. Poniosła porażkę. Adam też był jakiś nieswój. Ogólnie cieszył się z wyroku sądu, ale coś nie dawało mu spokoju.

Wieczorem Rozalka zapytała go, kiedy będzie mogła jechać do mamy. Poszli do pokoju i długo tam rozmawiali. Nie wtrącałam się, bo sytuacja dla nich obojga była naprawdę trudna. Przez kolejne dwa dni Adam chodził jakiś osowiały i smutny. Gdy obudziłam się w środku nocy i spostrzegłam, że nie ma go w łóżku, byłam pewna, że coś ogromnie go martwi. Siedział na werandzie. Głowę objął rękami. Nie dało się zaprzeczyć, że nad czymś intensywnie rozmyśla. Chyba nawet domyślałam się, co to może być.

– Co się dzieje? – zapytałam, siadając obok niego na schodkach.

– Zadzwoń do Joanny. Jutro się spotykamy... – odpowiedział. Zapadła wymowna cisza. – Mam wyrzuty sumienia – dodał wreszcie. – Cieszę się z wygranej w sądzie, ale czy to ma znaczenie? Moja córka przeżywa brak matki, a ja mam się cieszyć?

– To co chcesz zrobić? – zapytałam zaskoczona jego słowami.

– Ustalenia sądu będą pomocne w sytuacji, gdy Joanna postanowi dalej macić. Ale chcę dać jej szansę. Powinna być blisko Rozalki. To jej mama. Nie mogę dopuścić do tego, że za kilka lat moja córka powie, że zabraniałem jej kontaktów z matką. To się obróci przeciwko mnie. Jutro... jak Joanna przyjedzie... będziesz przy naszej rozmowie? – zapytał nieśmiało.

– Pewnie, że będę – odpowiedziałam, kładąc głowę na jego ramieniu.

Po spotkaniu z Joanną nie oczekiwałam wiele. Właściwie zdziwiłam się, że na nie przystała. Była spora szansa na kolejną awanturę, bo jakoś nie mogłam uwierzyć w jej ugodowe nastawienie. Do kawiarni w centrum Wyszkowa przyjechała dokładnie o trzynastej. Była opanowana. Od razu wręczyła Adamowi paczuszkę i powiedziała, że to nowy piórnik dla Rozalki. Ostatnio mówiła jej, że o takim marzy. Miała też prezent dla Michałka, czym udowodniła, że przyjechała z dobrymi zamiarami. Adam od razu przeszedł do sedna sprawy i wytłumaczył jej, że na razie będą postępować zgodnie z decyzją sądu, a jeśli wszystko będzie w porządku, wtedy we własnym zakresie zrobią inne ustalenia.

– Czyli w nagrodę za dobre zachowanie będę mogła widywać Rozalkę częściej? – zapytała bez zbędnych słów. Była świadoma swojej sytuacji.

– Nie traktuj tego w ten sposób. Pomyśl o Rozalce. To dla niej musimy się jakoś dogadać. Jeżeli ona lub ty będziecie chciały się spotkać częściej, proszę bardzo. Nie będę wam niczego zabraniał, ale wasze spotkania mają się odbywać w Pniewie.

– W porządku, zgadzam się. Wiem, że Rozalka przy tobie czuje się pewniej. Za

dużo miałam oczekiwań po swoim powrocie. Teraz to widzę – przyznała spokojnie. – Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Mam na głowie mnóstwo pracy i obowiązków. Zresztą... Ja się nigdy nie będę nadawała na perfekcyjną matkę... – powiedziała niewzruszona, a ja z Adamem przyjęliśmy jej słowa ze zdziwieniem. – No co się tak patrzycie? Taka jest prawda.

– Nie ma perfekcyjnych matek. Jedynie te, które dla swoich dzieci zawsze chcą jak najlepiej. Po prostu, by były szczęśliwe – odezwałam się, próbując ją usprawiedliwić.

– Rozalka cię potrzebuje. Bardzo cię kocha – dodał Adam.

– Dobrze wiedzieć, że chociaż dla własnej córki jestem kimś ważnym. Mimo że kiedyś ją zostawiłam. Teraz nie mogę tego schrzanić. Kolejnej szansy nie będzie. Liczę na to, że jakoś się dogadamy. Nie martwcie się, nie będę robić wam problemów – powiedziała i wstała od stolika.

Patrzyłam na nią, gdy wychodziła i wreszcie dotarło do mnie, że Joanna tak jak każdy potrzebuje porządnej dawki wsparcia, dobroci, miłości. Brak tego powoduje irytację, poczucie odrzucenia, złość, chęć zemsty. Adam ma rację. Trzeba pozwolić Joannie być blisko córki, bo obie bardzo tego potrzebują.

Wyszłam za męża, zaraz wracam

– Powiem tak, jak mówią w tym kabarecie: ogarnij się, bo ja wiecznie żyć nie będę!
– wtrąciła Dorota, schodząc z antresoli w biurze naszego „Wrzosowiska”.

– Widzę, że humor ci dopisuje. Całe szczęście, że minął stres po wypadku Zosi.

– Nawet mi o tym nie przypominaj! Ależ ja byłam głupia. Tylko praca i praca.

– Dobra, teraz lepiej mi pomóż. Co mam wybrać? – zapytałam, zerkając zniechęcona na piętrzące się na biurku stopy katalogów z różnymi sukienkami.

– Weź tę – wskazała bez wahania na zwiewną koktajlową sukienkę w kolorze miętowym, która miała dekolt chyba do samego pępka.

– Zwariowałaś! – oburzyłam się na jej sugestię.

– A co? Do ślubu się szykujesz czy do zakonu? – drażniła się ze mną.

Tak wyglądał ostatni tydzień przed ślubem. Zaraz po rozprawie dotarło do mnie, że na jedną z najważniejszych imprez w swoim życiu będę musiała iść w golfie i w dżinsach. Moja szafa świeciła pustkami. Dorota, jak na prawdziwą świadkową przystało, wzięła sprawy w swoje ręce. Zamknęła „Wrzosowisko” na dwa dni i rozpoczęliśmy prawdziwy zakupowy maraton.

Dorota czuła się jak ryba w wodzie, a mnie raczej to przerażało, zwłaszcza kolejne ekspedientki, które próbowały mi wcisnąć niepasujące na mnie ciuchy. Po pierwszym dniu miałam już dosyć i zrezygnowana stwierdziłam, że założę tę suknię, w której byłam na bankiecie z Frankiem. Dorota naskoczyła na mnie, że to zła wróżba, że tak nie można, suknia musi być nowa. I dopięła swego. Sięgnęła po środki ostateczne (tak to nazwała) i zadzwoniła do swojej koleżanki, która jest właścicielką salonu sukien ślubnych. Pomysł wydawał się głupi, bo ani ze mnie panna, ani tym bardziej młoda, więc ślub w białej sukni odpadał.

Na miejscu nieco ochłonęłam. Okazało, że poza całym zestawem typowo ślubnych

sukien były także dostępne bardziej wieczorowe. Przymierzyłam jedną, drugą, trzecią. Nic mi się nie podobało! Pani Elwira poprosiła, żebyśmy chwilę zaczekały, i poszła na zaplecze.

Wróciła z suknią, na widok której oniemiałam. Była dokładnie taka, jaką sobie wymarzyłam. W kolorze ciemnego pudrowego różu, niezwykle zwiewna, z koronkowymi rękawami do łokcia i pięknym srebrnym paskiem. Przymierzyłam ją, ale od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że chcę ją mieć. Dorota natychmiast przystąpiła do realizacji dalszej części swojego planu i stwierdziła, że kupuje mi tę suknię jako prezent ślubny. Nie dowiedziałam się, ile kosztowała, ale byłam pewna, że niemało. Do sukienki dobrałyśmy beżowe szpilki i delikatne bolerko, w razie brzydszej pogody. Chociaż mam nadzieję, że na ten dzień skutecznie zamówiłam pogodę, taką jak na złotą polską jesień przystało!

Organizacją wesela w sadzie zajęli się Adam, Jonas, babcia Jasia i wszyscy moi przyjaciele. Byłam pewna, że staną na wysokości zadania i przyszły sobotni wieczór zapamiętamy wszyscy na zawsze.

Dorota, widząc moje coraz większe zdenerwowanie ślubem, zarządziła wielką całodzienną wyprawę do spa, którego właścicielką jest jej koleżanka.

Tego mi było trzeba... Dawno nie czułam się tak odprężona. Zabrałyśmy ze sobą Ewę, uznając, że jej również przyda się oderwanie od problemów dnia codziennego.

Pomysł wspólnego zamieszkania z Kamilem okazał się rozsądną decyzją. Ewa przyznała nawet, że powoli zaczyna wierzyć w ich wspólną pomyślną przyszłość. Tylko wciąż było jej szkoda Jonasa. Ostatnio poprosiła go o spotkanie i powiedziała mu, że mieszka z Kamilem, kocha go i chce zbudować prawdziwą rodzinę. Jonas zrozumiał to, jednak nie krył swojego zawodu, przyznając, że liczył na związek z Ewą. Obiecał być na moim ślubie, a potem zamierzał wyjechać na miesiąc do Australii, by wszystko sobie przemyśleć.

Nasz sobotni poranek nie był podobny do tych w amerykańskich filmach, gdzie para szykująca się do ślubu spędza leniwie czas na perfekcyjnych przygotowaniach, nikt nie zakłóca ich spokoju, a jedynym problemem jest przedślubny stres. U nas była lawina nietuzinkowych zdarzeń.

– Mamo! Mamo! Leci! – krzyczał Michałek, wpadając do naszej sypialni.

– Co leci? – Zerwaliśmy się na równe nogi wystraszeni podniesionym alarmem.

– Woda w łazience!

– O cholera! – zaklął Adam, a ja skarciłam go za używanie niecenzuralnych słów.

W łazience była prawdziwa katastrofa. Poluzował się zawór przy wannie i woda lała się strumieniem na podłogę. Rozalka stała w drzwiach i płakała, bo na półce nad wanną siedział Jowisz, a ona bała się, że jej ukochany kot za chwilę się utopi. Pognałam do szafy po sterty ręczników. Adam pobiegł do garażu po skrzynkę z narzędziami i bohatercko zabrał się do naprawiania zaworu. Najpierw musiał jednak uratować kota!

W całym tym zamieszaniu pojawili się Dorota z Maćkiem i dziewczynkami. Ponad godzinę musieli siedzieć na werandzie, dopóki nie posprzątałyśmy zalanego wodą holu.

– Co za dom... Co za rodzina... A ja myślałam, że tylko u mnie jest cyrk, a tu proszę... Nie wiem, jak wy będziecie dalej funkcjonować. I omal kota nie utopili!

– zrzędziła Dorota.

Stała nade mną i przy pomocy lokówki starała się wyczarować na mojej głowie piękne fale.

– Doti, a tobie co się stało? Gadasz jak stara baba. Czego tak narzekasz?

– No bo przyjeżdżamy, a tu taki młyn. Ślub o czternastej, a jeszcze tyle trzeba zrobić! – żartowała.

Patrzyłam w stojące naprzeciwko mnie lustro i uśmiechałam się do siebie. O takim młynie marzyłam. Całe swoje dorosłe życie pragnęłam mieć dom, kochającego mężczyznę i dzieci. Po tym wszystkim, co przeszłam w życiu, powrót do starego domu w Pniewie był dla mnie szansą. Dzisiaj nie wyobrażam sobie swojego życia bez rodziny i tej naszej nieco poplątanej codzienności. Zalana łazienka, przypalone mleko, mała sprzeczka... Jakie to ma właściwie znaczenie, jeśli bliscy sobie ludzie są dla siebie całym światem.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Adama, który narzekał, że nie może znaleźć spinek do mankietów. Znowu! Uśmiechnęłam się tylko pod nosem i zajrzałam do pierwszej szuflady w sypialni. Były na wierzchu.

– I co ja bym bez ciebie zrobił, moja ty żono? – zapytał cicho i pocałował mnie w usta.

– Jeszcze nie żono... – odpowiedziałam, odwzajemniając jego pocałunek.

– Gotowa do ślubu? Warto było czekać?

– Na ciebie zawsze! Chodź... Przed nami całe życie.

Gdy wysiedliśmy na pułtuskim rynku, miałam wrażenie, że wszystko razem z nami świętuje ten niezwykły dzień. Słońce głaaskało nas swoimi promieniami, bezchmurne niebo wydawało się sprzyjać naszym planom, a tańczące na bruku liście jakby czekały na słowa przysięgi. Gdy wchodziliśmy po schodach do pułtuskiego ratusza, zupełnie obcy ludzie krzyknęli do nas, że życzą nam szczęścia i trzymają za nas kciuki.

W sali ślubów czekał już na nas urzędnik, przed którym mieliśmy złożyć przysięgę. Goście powoli zajmowali swoje miejsca, a ja przez ciemną kotarę ich podglądałam. Ewa dumnie zerknęła na Kamila, który trzymał na rękach Sylwię. Obie wyglądały na bardzo szczęśliwe. Basia z Jankiem i swoimi pociechami rozglądali się na wszystkie strony. Obok nich pani Irenka z mężem głośno plotkowała z babcią Jasią, która co rusz poprawiała krawat Henrykowi. Uparła się rano, że źle go zawiązał i tak się droczyli ze sobą aż do momentu wyjazdu. Najbardziej zadziwił mnie Jonas, który na ślub dotarł z uroczą blondynką. Nowa miłość? Czy tylko skuteczny ratunek przed tym, by nie być samotnym podczas naszego ślubu? To się okaże, chociaż chciałbym, żeby kogoś miał. W pierwszym rzędzie dostrzegłam Franka. Przyglądał się z uśmiechem, jak dzieci same ustawiają się w szeregu i mają z tego niezłą frajdę.

Michałek podbiegł do nas i upewnił się, czy Adam na pewno da mu znać, kiedy ma podejść z obrączkami. Rozalka, Sylwia, Zuzia i Zosia stały niezwykle przejęte i ciągle poprawiały swoje bukiety. Zastanawiałam się, która z nich zacznie płakać jako pierwsza. Prosiłam Dorotę, by miała na nie oko i w razie czego szybko interweniowała.

Idąc z Adasiem środkiem sali, czułam, że spojrzenia wszystkich skierowane są na nas. W pięknej sukni, u boku przystojnego mężczyzny w idealnie skrojonym garniturze,

zdawałam się unosić kilka metrów nad ziemią. To właśnie nazywa się szczęście. Poczucie, że człowiek ma u stóp cały świat, a pod rękę idzie z ukochaną osobą. Po chwili, patrząc sobie w oczy, powtarzaliśmy słowa, które były przypieczętowaniem naszej miłości.

– Świadomy praw i obowiązków... – Adam powtarzał za urzędnikiem.

W tej chwili jakby świat stanął w miejscu. Jeszcze mocniej ścisnęłam go za rękę. W jego oczach wyczytałam to, co pragnie dostrzec i czuć każda kobieta. Szacunek, miłość, wielkie oddanie.

– Świadoma praw i obowiązków wynikających z założenia rodziny... – powtarzałam coraz bardziej drżącym głosem. – Uroczyście oświadczam, że wstępuję w związek małżeński z Adamem Mikulskim – kontynuowałam coraz bardziej wzruszona. – I przyrzekam, że uczynię wszystko, aby nasze małżeństwo było zgodne, szczęśliwe i trwałe.

Włożyliśmy sobie nawzajem złote obrączki, symbol nowego etapu wspólnego życia.

– Mam przyjemność ogłosić, że małżeństwo pomiędzy panią Alicją Pniewską i panem Adamem Mikulskim zostało zawarte. Jesteście państwo mężem i żoną.

Wśród oklasków, słów gratulacji i życzeń wszelkiej pomyślności staliśmy my. Mąż i żona. Ludzie, którzy dużo w życiu musieli przejść, by wreszcie wkroczyć na wspólną drogę. Wszystko, co złe, jest za sami. Wszystko, co dobre, właśnie na nas czeka.

– Szczęśliwa? Możemy jechać na wesele, droga żono? – zapytał wzruszony Adam.

– Z tobą mogę iść i na koniec świata – powiedziałam, całując go.

Pod tym samym niebem

Gdy wyszliśmy z ratusza, poleciały na nas kwiaty, ziarna ryżu i monety. Obstąpili nas goście, składając życzenia wszelkiej pomyślności, zdrowia, dobrej przyszłości i spełnienia wszelkich marzeń. Dzieci dopominały się o kilka wspólnych zdjęć, a my w całej tej euforii uroniliśmy także kilka łez. Inaczej się nie dało. To była kumulacja szczęścia. Prywatna wygrana na loterii życia. Dorota uparła się, że mam rzucić do zebranych gości swoją wiązanekę ślubną. Tak jak na hollywoodzkich filmach. Niektórzy śmiali się z niej, że wypadła już z obiegu jako wieloletnia mężatka.

Ale ja jej prośbę spełniłam, a bukiet wpadł w ręce Ewy, co uznałam za dobry znak. Długo trwało przyjmowanie życzeń i zamienianie chociaż kilku słów z tymi, którzy zechcieli cieszyć się naszym szczęściem. Droga do Pniewa była jedną z najweselszych w naszym życiu. Dorota śpiewała, Maciek cały czas włączał klakson, a inni goście mu wtórowali. Wtuliłam się w Adama i myślałam o tym, że jestem największą szczęściarą pod słońcem.

To było wesele, o jakim marzy każda panna młoda, a już szczególnie Alicja Pniewska. Od dziś Alicja Pniewska-Mikulska. Pani swojego życia, szczęśliwa żona i mama, właścicielka starego domu w Pniewie, ekspertka od rozwiązywania wszelkich problemów i tajemnic!

Kolejna pojawiła się na samym początku wesela. Nikt nie umiał wyjaśnić, jak Jonasowi udało się ściągnąć trzech przystojnych panów, którzy grali muzykę na żywo!

Cieszyłam się każdą sekundą, przyjmowałam gratulacje, smakowałam nieziemsko pyszne dania, tańczyłam i dziękowałam w myślach za ten mój prywatny cud.

Franek przejął opiekę nad dziećmi i zabawiał je jakimiś niesamowitymi grami. Babcia Jasia wspominała swój własny ślub i to, że wesele odbyło się w pniewskiej remizie, gdzie przy blasku świec goście tańczyli do muzyki granej na akordeonie. Henryk opowiadał o swojej przemowie na gali i o tym, że chce spisać swoje wspomnienia.

Dorota z Maćkiem uraczyli nas kilkoma żartami, a przy okazji ciągle sobie wypominali, że po swoim własnym ślubie ponad rok zbierali się, by wreszcie pojechać w podróż poślubną. Od razu zdradzili sekret, że wśród podarowanych nam prezentów jest voucher na tygodniowy wyjazd do wybranego kompleksu wypoczynkowego w Polsce.

Jonas rozmawiał z Ewą i Kamilem, a ja miałam nadzieję, że nawiąże się między nimi nić sympatii. Basia z panią Irenką rozprawały o pięknych dekoracjach, które Dorota przywiozła z Warszawy. A gdzie Adam? Adam gdzieś przepadł!

– Co to jest? – zapytałam na jego widok, gdy nagle wyłonił się zza rogu starego domu. Niósł spore pudło, a minę miał przy tym nad wyraz komiczną.

– Paczka dla ciebie. Kurier był przed chwilą, coś tam usiłował mi tłumaczyć, dlaczego jedną dobę się spóźnił, ale powiedziałem mu, że ja tu właśnie mam swoje wesele i uciekam do ukochanej żony – mówił z uśmiechem. Postawił pudło na werandzie i pocałował mnie najczulej, jak umiał.

– Wariat! – przyznałam rozbawiona jego zachowaniem.

– Ale twój! Kochasz mnie nad życie – wtrącił i ponownie mnie pocałował.

– Zobaczę, co te nasze dzieciaki wyprawiają! Idziesz?

– Za moment do was dołączę – obiecałam.

Niespodziewana przesyłka nie dawała mi spokoju. Poszłam po scyzoryk, którym sprawnie otworzyłam karton. Pośród bąbelkowej foli zobaczyłam stos książek. Ładna okładka w różnych odcieniach błękitu przyciągała wzrok. Wzięłam jedną z nich do ręki i przeczytałam tytuł:

Pod tym samym niebem

Pamiętnik Jana Pniewskiego

spisany w obozie zagłady Stutthof

Nie wierzyłam własnym oczom. Wpatrywałam się długo w złote litery na okładce. Narastało we mnie dziwne uczucie, połączenie radości, wzruszenia i obawy. Pamiętnik dziadka został wydany i za chwilę trafi w ręce ludzi, którzy przeczytają jedną z najbardziej niezwykłych historii, która przydarzyła się człowiekowi o wielkim sercu.

Usiadłam w bujanym fotelu i dokładnie obejrzałam książkę. Po chwili otworzyłam ją na przypadkowej stronie. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam czytać.

Być dobrym człowiekiem. To niezwykle postanowienie w tym miejscu, gdzie walczy się każdego dnia o zachowanie resztek godności. Jednak dobro jest ostatnią szansą na trwanie w tym, co pozwala mierzyć się z tragiczną codziennością. Ile dasz z siebie dobra, tyle do ciebie wróci. Od zupełnie innych osób, w innej postaci, w innym czasie, ale na pewno wróci. Mieć nadzieję to znaczy wierzyć, że dobro jest możliwe.

Nie wiem, jak potoczy się dalej moje życie. Nie żałuję niczego. Każdy dzień był dla mnie szansą. Kochałem, marzyłem, troszczyłem się o tych, których miłowałem. Teraz, z perspektywy obozu i świadomości, że w każdej chwili ktoś może wydać na mnie wyrok, wiem, że człowiek może pozostawić po sobie tylko jeden trwały ślad. Są nim wspomnienia tych, dla których był najważniejszy. Szczęśliwy człowiek to ten, który kocha i jest kochany. Do tego sprowadza się sens naszego istnienia.

Jeśli nie przeżyję, a mój pamiętnik trafi w ręce tych, których kocham, chcę, by wiedzieli tylko jedno. Największym prezentem, jaki można podarować drugiemu człowiekowi, jest obecność. Wystarczy, że jesteś. Nic więcej się nie liczy. Nic więcej nie musisz. To, że jesteś, jest twoim największym podarunkiem dla innych. Bez ciebie nic nie byłoby takie samo.

Wystarczy, że jesteś... Te słowa powiedziałam sama do siebie dzisiaj rano, patrząc w lustro. To takie oczywiste. Wystarczy być, kochać, szanować, troszczyć się i mieć nadzieję, że w zamian dostanie się to samo. Jeszcze trzy lata temu o tym nie wiedziałam. Myślałam, że aby ktoś mnie pokochał, muszę spełnić tysiąc wymagań, zrezygnować ze swoich marzeń i być na każde zawołanie. Teraz już wiem, że sama sobie robiłam krzywdę i pozwalałam się krzywdzić innym. Dopiero tu, w pniewskim starym domu, dotarło do mnie, że gdyby nagle coś mi się stało, to nie ma na świecie nikogo, kto chociaż by mnie wspomniał. Przerażająca to była myśl, a zarazem tak bardzo realna. Spotkani ludzie i wszystko, co mi się przydarzyło, dało mi szansę na zmianę siebie. Pokochałam Alicję Pniewską taką, jaka jest.

– Kochanie! – Z rozmyślań wyrwał mnie czuły głos Adama. – Dołączysz do nas? Za chwilę będzie tort! A poza tym goście oczekują pierwszego tańca weselnego! Czy szanowna żona zechce ze mną zatańczyć? – pytał wesoło, robiąc przy tym śmieszne miny.

– Mężu drogi, już idę! – odpowiedziałam radośnie, zastanawiając się przy okazji nad tym, czy szybko przyzwyczaję się do nowej roli. Żona Adama Mikulskiego. To brzmi dumnie!

Zamknęłam pamiętnik dziadka i odłożyłam go na stół. Dotarł do mnie we właściwym momencie życia. W dniu ślubu. To jakby nowy start, nowy początek oraz idealny przykład podarowania komuś swojej obecności. Wystarczy, że jesteś...

Zatrzymałam się pośrodku podwórka i jeszcze raz spojrzałam na mój stary dom. Blask promieni zachodzącego słońca, podkreślał piękno starych drewnianych ścian. Spadające na dach i werandę liście przypominały o tym, że wszystko w życiu ma swoje miejsce i swój czas. Tak jak zmieniają się pory roku, tak zmienia się ludzkie życie. Nic nie trwa wiecznie i nic nie daje gwarancji jutra. Dlatego dziś jest właśnie odpowiednim dniem, by być szczęśliwym.

Adam wyciągnął do mnie rękę i poprosił do tańca. Wtuliłam się w niego z całych sił, a goście zaczęli bić brawo. Wyszeptał mi do ucha słowo „dziękuję”. Odpowiedziałam tym samym. Czulałam bicie jego serca, ciepły oddech, troskę o mnie i naszą rodzinę.

Wystarczy, że jesteś... Tak, tylko to się liczy. Mój mąż Adam, mój synek Michałek,

moja Rozalka, Henryk, babcia Jasia, przyjaciele i rodzina. Dzięki nim każdego dnia budzę się i dziękuję za swoje życie. Teraz od nas wszystkich zależy nasza przyszłość. Będziemy żyć tak, by pozostały po nas jak najlepsze wspomnienia. Choćby te spisane w pamiętniku ze starego domu...

Epilog

Ślady przeszłości

Wieczór to pora nostalgii. Dzień powoli chyli się ku końcowi, niebo przybiera ogniste barwy zachodzącego słońca, które nad horyzontem wita nadchodzącą noc. Dobry dzień przynosi spokojne sny, a dobre życie obdarowuje najlepszymi wspomnieniami. Wczoraj jest historią, jutro obietnicą, a dziś darem, z którym należy obejść się jak najlepiej. Po każdym dniu trzeba postawić kropkę, odwrócić kartkę i zacząć na nowo.

W kominku skwierczał jasny ogień, nadając wnętrzu starego domu bajkowy charakter. Zapalone na stole świece były uroczym rozwiązaniem dla częstych o tej porze roku awarii prądu. Aromat świeżo zaparzonej kawy przywoływał na myśl czasy, gdy babcia z dziadkiem delectowali się jej naparem, szczególnie jesienią, gdy dzień szybko zastępowała noc.

Alicja spojrzała na stojące nad kominkiem stare zdjęcia i wydawało jej się, że jej rodzice i dziadkowie są jakby na wyciągnięcie ręki, są tak blisko... Uśmiechnęła się na samo wspomnienie czasów, gdy wspólnie z nimi spędzała wieczory przepelnione szczęściem, śmiechem i wzajemną bliskością. Z dziadkiem czytała niezwykle książki, z babcią wyszywała serwetki, a z tatą i mamą grała w karty i oglądała ulubione filmy, które rozbawiały ich do łez. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie tamte chwile i słuchając piosenki w tle. Była dokładnie o niej.

Odeszła w zapomnienie historia szarych dni,

Był w nich potężny smutek i niespokojne sny.

Uśpione serce zaczęło kochać od nowa,

Przed tobą swoich uczuć już nie chowam.

W starym domu dziś znalazłam spokój tamtych lat,

Powróciły te wspomnienia niczym serca znak.

To jest przystań na kolejne życia rozdziały,

Krucze chwile naszej miłości prawdą się stały.

Szukając naszych dłoni, chodźmy przez życie razem,

By łapać pomyślne wiatry nadchodzących zdarzeń.

Gdy przyjdą chwile zwątpienia, spojrzę na ciebie,

Ty będziesz tak blisko mnie w każdej potrzebie.

Tam jest dom twój ukochany, gdzie jest miłość twoja,

Wspólnych życzeń dla przyszłości nic nie pokona.

Tam witają bliskich ludzi ciepłe spojrzenia,

Ich obecność chroni cię od zapomnienia.

W szalonym pędzie czas zatoczył wielki krąg,

Na mojej mapie znów jest dzisiaj stary dom.

Trwała chwilę w zadumie nad swoim życiem. Ostatnie trzy lata udowodniły jej, że z dnia na dzień może zdarzyć się wszystko. Przełożyła kolejną kartkę swojego pamiętnika i po krótkim zastanowieniu napisała pierwsze zdanie. Proste, płynące z jej serca.

Człowiek ma w życiu tyle, na ile się odważy. Nasz czas jest ograniczony, więc szkoda go marnować na bycie kimś, kim nie jesteśmy. Wszelkie przeciwności sprawiają, że z dnia na dzień stajemy się silniejsi. To, co dziś wydaje się być stratą, jutro może być wielkim zyskiem. Nie ma co czekać, nigdy nie będzie idealnej pory na zmiany, na chwytanie swojego szczęścia. Teraz wiem to nawet ja, Alicja Pniewska. Upadałam wiele razy. Był moment, że nie potrafiłam już wstać. Ale powrót do starego domu był początkiem nowego życia. Z dnia na dzień powstały nowe szanse, obcy mi ludzie stali się najlepszymi przyjaciółmi, a wciąż pojawiające się problemy były jedynie napędem do coraz pewniejszej walki o samą siebie i swoje szczęście. Dziś mogę powiedzieć, że nie ma takiej sytuacji, z której nie znalazłoby się wyjścia. A jak się ma przy sobie taką rodzinę i takich przyjaciół jak ja, jest to jeszcze łatwiejsze. Trzeba tylko chcieć i głośno mówić o swoich marzeniach.

– Kochanie, co robisz? – zapytał Adam, który niepostrzeżenie wszedł do salonu. Przytulił się do Alicji i wdychał zapach jej włosów, całując ją delikatnie w szyję.

– Tak sobie myślę, że jestem wielką szczęściarą. A ty jesteś tego przyczyną.

– Ja? – zapytał, obracając ją w swoim kierunku. Miała taki spokojny wyraz twarzy.

– Zobacz... Dziś by nas tu nie było, gdyby nie mój przyjazd do Pniewa i ten nieszczęsny wypadek na krzyżówkach, podczas którego skradłam twoje serce – stwierdziła zadziornie Alicja, całując go w usta.

Był spełnieniem jej marzeń o mężczyźnie, z którym można iść nawet na koniec świata. Dowodem na to, że aby znaleźć prawdziwą miłość, nie trzeba pukać do żadnych drzwi. Gdy będziemy gotowi, sama przyjdzie do naszego domu, życia i serca.

– Akurat wtedy jeszcze niczego mi nie skradłaś. Ale z twojego powodu trochę

siwych włosów mi jednak przybyło. Ależ ty mnie wtedy zdenerwowałaś.

– A ty byłeś uparty i nie chciałeś mi dać odejść – odparła jego argumenty.

– Bo taki jestem, nigdy nie pozwolę ci odejść – wyznał i czule przytulił ją do siebie.

– Wiesz, co dziś zrobiłam? – zapytała tajemniczo.

– Pisałaś swój pamiętnik?

– To też, ale jest coś ważniejszego. Dziś wysłałam wniosek o zarejestrowanie fundacji imienia Jana i Elizabeth. Myślisz, że mi się uda? Że ta fundacja naprawdę powstanie?

– Alicjo, jestem tego pewny. Ty, Henryk, Jonas i ci wszyscy ocaleni ludzie zrobiliście tak wiele, że fundacja będzie ostatnim krokiem do całkowitego zamknięcia sprawy.

– Raczej początkiem nowej drogi. Mam tyle pomysłów, marzeń. Sama dostałam już wszystko, o czym w życiu marzyłam. Teraz chcę zrobić coś dla innych.

– Jesteś niezwykła. Taka moja. Bardzo mocno cię kocham – przyznał i czule pocałował ją w usta. – Zaczekaj tu na mnie chwilę. Zobaczę tylko, czy dzieci śpią spokojnie. Jak wrócę, zdradzę ci pewną tajemnicę – stwierdził zniemacka i mrugnął do niej okiem.

– Co za dom! Same tajemnice! – powiedziała radośnie.

Jeszcze raz spojrzała na zapisaną przed chwilą stronę w pamiętniku. Uśmiechnęła się na wspomnienie słów Adama i wiedziała, że czeka ich bardzo romantyczny wieczór. W duchu podziękowała za awarie prądu. Mają jednak swoje plusy!

Zamknęła pamiętnik i podeszła do szafy, w której od niedawna stał jej tajemniczy kufer. Miała w nim ukryte wszystkie swoje skarby. Pewnym ruchem ręki otworzyła go, by właśnie tam schować swój pamiętnik. Pośród śladów przeszłości. Bo właśnie tak nazywała przedmioty, które pozostały po jej bliskich. Niezwykły pamiętnik dziadka, zdjęcie Jana i Henryka z czasów służby w AK, obrączki rodziców i dziadków, jedwabne rękawiczki Małgorzaty, zdjęcie Jana i Elizabeth zrobione w obozie, zabawki z czasów dzieciństwa, stare listy, ważne dokumenty i ich kopie. To są właśnie ślady pozostawione przez tych, których tak bardzo kochała, przez najbliższych. Dzięki nim jest teraz w swojej bezpiecznej przystani. Kocha i jest kochana. Po prostu, wystarczy, że jest... Do tego sprowadza się definicja miłości.

Ten stary dom w Pniewie, zapisany na zawsze w pamięci małego dziecka, miał być bezpieczną przystanią, do której w końcu zaprowadzą kręte ścieżki życia.

Alicja nie wiedziała przecież, że los wystawi ją na ciężkie próby, które zabiorą radość, wiarę i nadzieję małej dziewczynki na bardzo długi czas. Ale tak miało być, bo przeznaczenie jest nieuchronne. Historia zatoczyła krąg i stary dom stał się na nowo centrum jej świata.

W tym miejscu czas się zatrzymał, zamykając w drewnianych ścianach historię dawnych lat. Alicja codziennie dziękuje za swoje życie, rodzinę, przyjaciół i sam powrót. Powrót do starego domu...

Słowo od autorki

Drogie Czytelniczki! Drodzy Czytelnicy!

Zdradzę Wam pewną tajemnicę. Spotkani ludzie, przeżyte emocje, odwiedzone miejsca są dla mnie bazą zarówno do tworzenia fabuły powieści, jak i bohaterów. Chcę, żeby byli wiarygodni, a zarazem... niedoskonali. Bo tacy są ludzie. Cały czas szukają swojej drogi w życiu, odkrywają na nowo siebie samych, poszukują, błądzą, wyciągają wnioski, a niekiedy trwają w swoim uporze i niczego nie zmieniają. Każdy jest inny, ma różne intencje i motywy. Kluczem do sukcesu jest to, by w codziennej gonitwie nie zapomnieć o najważniejszym. O czym? By polubić siebie, bo to właśnie sami ze sobą spędzamy najwięcej czasu.

W pamiętniku Jana Pniewskiego pojawia się zdanie: „Wystarczy, że jesteś”. Pamiętajcie o tym, kiedy będziecie mieć gorszy dzień, kiedy kolejna osoba was skrytykuje lub sami sobie postawicie zbyt wysokie wymagania. Wystarczy, że jesteś... Do tego się wszystko sprowadza.

Moje powieści cechują się nieoczywistym zakończeniem. Każdy czytelnik może samodzielnie wyobrazić sobie, co mogłoby stać się z konkretnym bohaterem, jakie podejmie decyzje, co uzna dla siebie za najlepsze. Staram się nie oceniać ludzi i taką samą zasadę stosuję wobec moich bohaterów. Patrząc z boku, łatwo jest osądzać, doradzać, krytykować. Jestem zdania, że człowiek w życiu jest sam ze swoimi myślami i emocjami, stąd ma prawo tak nim kierować, by to właśnie jemu było jak najlepiej. Najgorsze to spełnianie czyichś oczekiwań.

Pisząc te słowa, siedzę w swoim starym domu w Pniewie. Zbliża się wieczór, panuje przyjemna cisza, ogień w kominku daje ciepło w ten mroźny dzień. Za oknem sypie śnieg, bez przerwy od trzech dni. Dawno nie było tu takiej zimy. Nadszedł moment pożegnania z bohaterami ze starego domu. Dzięki nim zaczęła się moja przygoda z pisaniem. Kilkanaście lat temu, gdy pojawił się pierwszy pomysł. Na pewno trochę mi żal, ale przecież za chwilę będą nowe, zupełnie inne powieści. I bohaterowie, których mam nadzieję pokochacie!

Często na spotkaniach autorskich lub w e-mailach pytacie mnie, ile mam wspólnego z Alicją Pniewską? Zazwyczaj odpowiadam, że łączy nas miłość do starego domu w Pniewie. Różnimy się przeszłością, doświadczeniem, zawodem, sytuacją rodzinną, a także ogólnym podejściem do życia. Jednak nie da się całkowicie odciąć od swoich bohaterów. Myślę, że jako autorka pojawiaam się na kartach swoich powieści. Niekiedy są to moje myśli, opinie, przekonania, innym razem wspomnienia lub coś, co mnie kiedyś dotknęło. Pewnie czasami nie jestem do końca świadoma tego, gdzie jeszcze jestem ja, a gdzie zaczynają się moi bohaterowie.

W tym miejscu chciałabym serdecznie podziękować tym wszystkim, dzięki którym spełniam swoje marzenia i piszę powieści. Zatem bardzo serdecznie dziękuję:

Moim Rodzicom, Danucie i Grzegorzowi Gołębiowskim, którzy bardzo mocno mnie wspierają w realizacji planów i marzeń.

Przyjaciołom, którzy służą mi wsparciem i dobrą radą. Szczególne podziękowania

dla pani profesor Teresy Zaniewskiej oraz Nikodema Muszyńskiego.

Wydawnictwu MUZA SA, za opiekę i piękne wydawanie moich powieści. Szczególnie dziękuję pani redaktor Małgorzacie Czarzasty, panu Rafałowi Gilowi i pani Sylwii Kęczkowskiej.

Pani redaktor Małgorzacie Burakiewicz, za rzetelną i wnikliwą współpracę przy redakcji książki oraz za wszystkie dobre rady.

Członkom mojej grupy na Facebooku *Domowe zacisze Ilony Gołębiowskiej i jej przyjaciół*, za wsparcie, promowanie moich powieści oraz niezwykłą atmosferę!

Spółeczności strony na Facebooku *Ilona Gołębiowska – strona autorska* za życzliwość i ciekawe rozmowy o książkach i życiu.

Blogerkom, które czytają moje powieści i napisały o nich kilka serdecznych słów. Szczególnie dziękuję: Joannie Wolf, Wiolecie Sadowskiej, Magdalenie Barwińskiej, Katarzynie Żarskiej, Monice Niedźwiedź, Paulinie Molickiej, Agnieszce Caban-Pusz, Małgorzacie Cichockiej, Agnieszce Sonenberg, Magdzie Zimnej, Hannie Smarzewskiej, Annie Rosińskiej, Mai Szkolniak, Edycie Lis, Adrianie Rak, Karolinie Rybińskiej, Karolinie Krakowiak, Anecie Kwaśniewskiej, Katarzynie Tuszyńskiej-Jąkalskiej, Katarzynie Roszczenko oraz wielu innym niezwykłym pasjonatkom literatury.

Dziękuję też Wam, Drodzy Czytelnicy, za to, że sięgnęliście po *Pamiętnik ze starego domu*. Mam nadzieję, że powieść dostarczyła Wam wielu emocji i wzruszeń.

Za chwilę nowa powieść, nowe wyzwania, nowi bohaterowie, a w głowie setki nowych pomysłów. Trzymajcie za mnie kciuki!

Zapraszam! Skontaktujcie się ze mną i napiszcie kilka dobrych słów.

www.ilonagolebiowska.pl

www.facebook.com/golebiowska.ilona.pisarka

ilona.golebiowska@gmail.com

Pozdrawiam Was serdecznie

Ilona Gołębiowska